

MY DEPORTOWANI

Wspomnienia Polaków z więzień, łagrów i zsyłek w ZSRR

Wybór i opracowanie Bogdan Klukowski

30 09. MI 2 9 10. 2002

11 OB. 2006

WYDAWNICTWA „ALFA” • WARSZAWA 1989

Projekt okładki i strony tytułowej

MACIEJ KAŁKUS

Redaktor

BOŻENA MAZUR

Redaktor techniczny

ZOFIA JAGIELSKA

Copyright by Wydawnictwa ALFA, Warszawa 1989

FILIA nr 7 itylA

ISBN 83-7001-298-1

Rozmowa z historią

Mistrzynie życia, Historio, zachciewa ci się psich figłów, zza kraty podgląda Orion, jak razem siedzimy na kiblu.

Opowiadasz mi stare kawały i uśmiechasz się, na wpół drwiąca, i tak kiblujemy pomału — ty od wieków, ja od miesiąca. O Nieśmiertelna, skądże ta skłonność do paradoksów, i powiedz mi — czy to mądrze całemu światu krew popsuć? Bo skoro na całym świecie jak nie wojna, to stan wojenny — Historio, powiedz mi przecie: po diabła tu kiblujemy? Rewolucyjny poeta

ma zgnić w tym mamrze sowieckim? Historio, przecież to nietakt, ktoś z nas po prostu jest dzieckiem. Więc wstydz się sędziwa damo, i wypuść z Zamarstynowa... (Na kryminał zaraz za bramą zasłużymy sobie od nowa)

Władysław Broniewski

(druk w „Wiadomościach” nr 833 z 18 marca 1962, Londyn. Wiersz pisany w lwowskim więzieniu Zamarstynów, kwiecień 1941)

Wstęp

Prezentowany wybór pamiętników i wspomnień Polaków z okresu drugiej wojny światowej ma szczególny charakter. Są to relacje ludzi, którym wojna kojarzy się z pobytem w więzieniach i obozach radzieckich, z osiedleniem na Syberii lub na południu Związku Radzieckiego. Książki, z których dokonano wyboru fragmentów, nie były dotychczas publikowane w kraju, ukazały się przeważnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych na Zachodzie, głównie w Anglii i we Włoszech. Autorzy przekazywali ze swoich doświadczeń to, co było najsilniej doznany przeżyciem. Niektóre z tych relacji powstawały jeszcze w czasie działań wojennych, ich autorzy czynili zapiski w formie urywkowych dzienników podczas zesłania i później, by potem, na Bliskim Wschodzie lub w Europie nadać im kształt ostateczny.

Najnowsze ustalenia historyków ostatniej wojny, na których opiera się m.in. strona polska komisji zajmującej się badaniem „białych plam” w stosunkach polsko-radzieckich, mówią o liczbie ponad 2 milionów Polaków poddanych różnym formom represji na terenie Związku Radzieckiego. Na liczbę tę składają się poniższe dane.

- a) 1 114000 stałych mieszkańców cywilnych z terenów przedwojennej Polski, przejętych przez ZSRR w 1939 roku, którzy zostali wywiezieni na wschód podczas czterech wielkich akcji wysiedleńczych w latach 1940-1941.
- b) 336000 stanowią uchodźcy z centralnych i zachodnich ziem polskich, uciekający w 1939 roku przed prześladowaniami ze strony Niemców — wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego w czerwcu 1940 roku.
- c) 210000 to obywatele polscy zmobilizowani do Armii Czerwonej (roczniki 1917, 1918 i 1919), a następnie w latach 1940-1941 przewiezieni na wschód.
- d) 250000 osób cywilnych indywidualnie aresztowanych w latach 1939-1941 i wywiezionych do obozów i więzień w ZSRR.
- e) 181000 jeńców polskich, wziętych do niewoli w 1939 roku i wywiezionych na wschód (w liczbie tej znajduje się także ponad 10000 oficerów polskich uznanych za zaginionych, zwłoki części z nich odkryto w Katyniu).
- f) 12000 jeńców polskich internowanych w 1939 roku na Litwie, przejętych przez radzieckie organa bezpieczeństwa po włączeniu Litwy w 1940 roku do Związku Radzieckiego.

Do tego należy doliczyć nie znaną bliżej liczbę Polaków, którzy zostali aresztowani już po zakończeniu kampanii wrześniowej przy próbie przekraczania granic z Rumunią i Litwą. Wiadomo, że po osądzeniu dzielili losy rodaków zsyłanych w głąb ZSRR.

Podsumowując: do 22 czerwca 1941 roku liczba obywateli polskich, którzy zostali wywiezieni na wschód, wynosiła ponad 2 mln osób.

Do osób deportowanych w czasie wojny historycy wliczają bliżej nie określoną ilość żołnierzy Armii Krajowej internowanych i aresztowanych w 1944 roku, po wkroczeniu na wschodnie tereny Polski Armii Czerwonej, a za nią oddziałów NKWD. Największą liczbę aresztowań i wywozek odnotowano na

terenie dwóch Okręgów AK — Wileńskiego (9100 żołnierzy w jednostkach pierwszej linii w czasie akcji „Ostra Brama”) i Nowogródzkiego (5700 żołnierzy wystawionych w pierwszej linii).

Podstawowe źródła do badań nad losem Polaków wywożonych na tereny Związku Radzieckiego znajdują się poza granicami naszego kraju. Dotychczas dostępne są te źródła, które gromadzono w archiwach trzech największych ośrodków polskich na Zachodzie: w Instytucie Generała Władysława Sikorskiego w Londynie, w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Instytucie Literackim w Paryżu. Gromadzone w tych placówkach naukowo-badawczych dokumenty, to m.in. meldunki i raporty wojskowe i dyplomatyczne, materiały informacyjne gromadzone przez odpowiednie komórki wszystkich państw uczestniczących w wojnie, imienne wykazy deportowanych, internowanych i aresztowanych, wykazy osób zmarłych i zaginionych. Na podstawie tych zasobów archiwalnych powstało wiele opracowań monograficznych i szczegółowych. Materiały archiwalne i biblioteczne umożliwiają wielu osobom zajmującym się historią drugiej wojny światowej weryfikację faktów i innych danych. W archiwach znajdują się także relacje osób, które przeżyły pobyt na terenie Związku Radzieckiego. Relacje te były zbierane przez władze wojskowe i cywilne rządu emigracyjnego.

Na podstawie badań prowadzonych w tych ośrodkach historycy emigracyjni przedstawili jeszcze jedno zestawienie dotyczące deportacji. Ustalenia te są przyjmowane także przez badaczy krajowych. Dane dotyczą czterech wielkich deportacji mieszkańców kresów wschodnich.

Pierwsza miała miejsce 10 lutego 1940 roku, kiedy to wywieziono 220000 ludzi, głównie niższych urzędników i pracowników państwowych z miast, właścicieli ziemskich i pracowników leśnictwa.

Druga deportacja odbyła się 13 kwietnia 1940 roku. W jej trakcie wywieziono 320000 ludzi zamieszkałych na obszarach przygranicznych, rodziny osób aresztowanych dwa miesiące wcześniej, kupców i pracowników rolnych ze skonfiskowanych majątków ziemskich.

Trzecia deportacja odbyła się w czerwcu 1940 roku. Objęła ona 240 000 osób, głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, którzy znaleźli się za linią Bugu.

Czwarta wielka deportacja ludności polskiej miała miejsce w czerwcu 1941 roku. Wywieziono wówczas 200000 osób, wśród nich resztę uciekinierów z zachodu, inteligencję zawodową, wykwalifikowanych robotników, kolejarzy i zamożnych rolników. Po raz pierwszy na większą skalę wywieziono ludzi zamieszkałych na Wileńszczyźnie.

Deportacje, nazywane przez Polaków wywózkami, odbywały się w gruncie rzeczy w ciągu całego 1940 roku i w pierwszej połowie 1941. Miały one jednak mniejszą skalę niż cztery wymienione uprzednio. Deportacje realizowane były na podstawie instrukcji wydanej oddziałom NKWD na Litwie, Białorusi i Ukrainie „o trybie przeprowadzania operacji deportacji elementu anty-sowieckiego”. Akcją, która nazywana była oczyszczaniem zaplecza, kierował generał Iwan Sierow, zastępca ówczesnego Ludowego Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego — Ławrientija Berii.

W praktyce za „element antysowiecki” uznani zostali wszyscy obywatele polscy, którzy znaleźli się na ziemiach przejętych przez Związek Radziecki w 1939 roku — stali mieszkańcy cywilni oraz tzw. bieżący, czyli uchodźcy z Polski zachodniej i centralnej.

Deportowani byli dzieleni na kilka głównych kategorii. Najliczniejszą stanowili tzw. wolni osiedleńcy, przede wszystkim ludzie nie nadający się do pracy — kobiety, dzieci, starcy. Byli oni wysyłani

przeważnie do Azji Środkowej, głównie do Kazachstanu, gdzie sami starali się o miejsca do mieszkania i bytowania, znajdowali zatrudnienie w kołchozach i pobliskich zakładach produkcyjnych. Prymitywne warunki życia, niedożywienie oraz niedostosowanie do ostrego klimatu były przyczyną dużej śmiertelności wśród tej kategorii deportowanych.

Drugą kategorię stanowili ci, którzy byli kierowani do obozów przymusowej pracy w fabrykach, kopalniach i obozach pracy (łagrach). Wśród nich śmiertelność również była wysoka.

Trzecia kategoria to więźniowie, skazywani często na kilkunastoletnie wyroki, kierowani po skazaniu do łagrów na głównych szlakach syberyjskich i arktycznych.

Czwartą grupę stanowili więźniowie zsyłani do obozów o obostrzonym rygorze, kierowani do najtrudniejszych prac w kopalniach i przy wyrębie lasów. Do niedożywienia, ciężkiej pracy i zabójczego klimatu dochodziło w ich przypadku surowe traktowanie przez komendantów i strażników. Tylko 15 procent z nich było w stanie przetrwać więcej niż jedną zimę.

Wśród wszystkich wywiezionych obywateli polskich około 65 procent stanowili Polacy, resztę — Żydzi, Ukraińcy, Białorusini i Litwini. Na mocy umowy Sikorski-Majski i ustaleń generała Władysława Sikorskiego ze Stalinem z końca 1941 roku do punktów werbunkowych Armii Polskiej i delegatów ambasady polskiej zgłosiło się 116000 obywateli polskich z całego terenu Związku Radzieckiego. Byli to przeważnie „amnestionowani” oficerowie i żołnierze; 45 000 osób stanowili cywile. Pozostali weszli w skład I Korpusu organizowanego przez Związek Patriotów Polskich (stan z końca 1943 roku — 32 400 ludzi). Część deportowanych wróciła w pierwszych falach repatriacji w latach 1945-1946. Trudno podać liczbę tych, którzy z głodu, przemęczenia i mrozu zmarli na terenie Związku Radzieckiego.

Autorami prezentowanych książek są przeważnie ludzie pióra i ludzie sztuki: Beata Obertyńska, Wacław Grubiński i Gustaw Herling-Grudziński — pisarze, Anatol Krakowiecki — dziennikarz, Józef Czapski — artysta malarz. Jan Umiastowski' — młody podchorąży września 1939 roku — należał do grupy internowanych żołnierzy polskich na Litwie. W 1940 roku został wraz z innymi przejęty przez radzieckie organa bezpieczeństwa. Ostatnia książka jest pracą zbiorową, składającą się z relacji tych, którzy w czasie wojny znaleźli się z rodzinami na terenie Związku Radzieckiego jako dzieci i ocalili zazwyczaj dzięki własnej przeczności i odporności organizmu.

Czas, w którym powstały książki zaprezentowane tu we fragmentach, nie pozwalał zazwyczaj na zachowanie dystansu, zresztą nie można go oczekiwać od osób, które uszły przed zagładą dzięki szczęśliwym zbiegom przypadków. Na chłodną, niemal filozoficzną relację zdobył się Gustaw Herling-Grudziński, którego książka zaliczana jest do wybitnych. Zwraca uwagę wisielczy humor znanego przed wojną dramaturga Wacława Grubińskiego i młodzieńcza fantazja Jana Umiastowskiego. W przedstawionych fragmentach czytelnik znajdzie wiele emocji, słów i wyrażeń świadczących o indywidualności autorów, dużo mówiących o ich umiejętności przedstawiania świata, z którego wrócili w sposób dla nich samych zadziwiający. Przy lekturze tego wyboru narzucać się będą pytania o tych, którzy przetrwali tylko w pamięci autorów wspomnień, o rzesze bezimiennych, masowo wymierających w czasie nieustannie trwających transportów kolejowych, w trakcie wielogodzinnych marszów i równie wyniszczającej pracy.

Przy wyborze poszczególnych fragmentów kierowałem się zasadą komplementarności: pokazać co działo się z deportowanymi od września 1939 roku lub od momentu aresztowania do chwili załadowania na statki w Krasnowodsku, zmierzające do portu Pahlevi. W tych ramach czasowych mieszczą się miesiące pobytu na Syberii, w rejonie Morza Białego, w Kazachstanie, w Kraju Kołymskim, pobytu w więzieniach Lwowa i Moskwy, obozach na terenie europejskiej części Związku Radzieckiego i pod pokładami statków wiozących głodnych i spragnionych ludzi na miejsca zesłania.

We wszystkich tekstach została w miarę możliwości ujednolicona fonetyczna forma zapisu zwrotów powszechnych i nazw własnych zaczerpniętych przez autorów z języka rosyjskiego. Rusycyzmy wyróżnione zostały przy komocy kursywy. Do obowiązków redaktorskich należało też uporządkowanie pisowni łącznej i rozłącznej zgodnie z obowiązującymi zasadami ortografii, wprowadzenie współcześnie używanej odmiany i ujednolicenie interpunkcji (tylko tam, gdzie ingerencja redakcyjna nie niszczy autentyzmu spisywanych „na gorąco” relacji).

Skróty w ramach poszczególnych akapitów i opuszczenia większych partu tekstu zaznaczono znakiem (...). Wykropkowania nie ujęte w nawiasy pochodzą od autorów.

B.K.

Józef Czapski

Na nieludzkiej ziemi

Paryż, 1962

JÓZEF CZAPSKI, ur. 3 kwietnia 1886 roku w Prylukach na Białorusi, artysta-malarz, pisarz i eseista. Jako oficer rezerwy został wzięty do niewoli 27 września 1939 roku. Przebywał w obozie w Starobielsku, potem przez rok w Griazowcu pod Wołogdą. Po amnestii w 1941 roku na zlecenie generała Andersa poszukiwał zaginionych polskich oficerów, stykał się z wieloma osobami więzionymi i z przedstawicielami władz radzieckich. Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji, do chwili obecnej mieszka we Francji.

Jest autorem dwóch publikacji związanych z pobytem na terenie Związku Radzieckiego. Pierwsza — Wspomnienia starobielskie jest relacją z pobytu w obozie, druga Na nieludzkiej ziemi (mająca kilka wydań zagranicznych i wydana w kraju w drugim obiegu) jest pisana z pozycji człowieka, wykonującego polecenie zebrania największej liczby danych o polskich oficerach, których grobów poza Katyniem nie odnaleziono do chwili obecnej.

Na nieludzkiej ziemi

Minęły święta. W wielkiej zimnej sali sztabu Armii Polskiej w Buzułuku zaczęła się znowu praca, nieustanny ruch, klepanie na maszynie. Wniesiono z powrotem nasze stoły i skrzynki kartotek.

Do Buzułuku tak samo jak do Tocka, ale w mniejszych ilościach i przeważnie pojedynczo lub małymi grupami przybywali Polacy z więzień i obozów.

28 grudnia przyszedł do nas na salę por. Sołczyński. Nie z północy, jak większość, ani ze wschodu czy z południa, jak ci z Kołomy i Turkiestanu, ale z zachodu, z Artiemowska pod Starobielskiem, poprzez Stalingrad. Stamtąd w tym okresie nie przybył jeszcze nikt.

Nie robił już na nas wrażenia wygląd wynędzniałych jeńców w fufajkach. Byliśmy bardzo otrzaskani, ale oficer, który wszedł wówczas na naszą jasną empirową salę, nie był normalnie „wynędzniały”. Małego wzrostu, z głowiną okrągłą na chudziutkiej szyi, por. Sołczyński robił naprawdę wrażenie kościotrupa w porwanej fufajce. Drobne rysy, papierowo-biała cera, głębokie oczodoły pod wysokim, bardzo białym czołem, zupełnie zapadłe policzki — to nie była głowa żywego człowieka, to była czaszka, która z niezrozumiałych powodów ożywiona jasnymi oczami jeszcze żyła.

Porucznik Sołczyński z 77 p.p. miał 31 lat i był studentem na czwartym roku Politechniki Warszawskiej. Najbardziej nieoczekiwane dla nas było wówczas to, że niektórzy go znali przelotnie ze Starobielska, jeszcze w styczniu 1940 roku.

Zresztą pierwsza moja nadzieja, że będzie on mógł nam dać informacje o naszych starobielskich kolegach z lat 1939-1940 zaraz się rozwiła. Był on rzeczywiście w Starobielsku w styczniu 1940, ale trzy dni tylko, przywieziono go z 12 innymi. Od nich wówczas mieliśmy pierwsze rzeczywiste dane, jak wygląda okupacja sowiecka, pomimo że trzynastkę nowoprzybyłych odseparowano natychmiast. Po trzech dniach wywieziono ich z obozu w niewiadomym dla nas kierunku i z niewiadomych powodów.

Teraz, kiedy przyszedł do nas do Buzułuku, był w dziwnym, jakby przedśmiertnym podnieceniu. O swoich przejściach, o ostatniej wędrówce mówił wiele i wciąż wracał do j e d n e g o tematu: pozostawił w Stalingradzie półżywych kolegów, błagał o natychmiastową pomoc dla nich, o ratunek. Tak jak do nas przyszedł, wyczerpany do ostatnich granic sił, miał niepokonowaną potrzebę podzielenia się tym, co przeszedł, opowiadał precyzyjnie, gorączkowo, jakby się bał, że o czymś zapomni, że czegoś nie dopowie, opowiadał nam, których widział pierwszy raz, wszystko jak najbliższym braciom, do których dobrnął u progu śmierci, po okrutnych mękach.

Jego historię zanotowałem z miejsca.

Opowiadanie porucznika Sołczyńskiego

„Raniony na froncie zostałem przygarnięty w Haliczu przez nieznanego kolejarza, który mnie do swego mieszkania przyjął i pielęgnował. Doniesiono bolszewikom o moim istnieniu. Zostałem aresztowany i przewieziony do więzienia w Stanisławowie. Zamknięto mnie w celi z 12 kolegami, z którymi się już nie rozstawałem przez dwa lata poprzez wszystkie więzienia, aż po Artiemowsk. Większość z naszej trzynastki była złapana przy przekradaniu się przez granicę, wszystko wojskowi, poza trzema cywilami — Stanisławem Burzyńskim — inżynierem rolnikiem; sędzią — Józefem Bronikowskim ze Stanisławowa i Józefem Menelem, obywatelem ziemskim, znanym hodowcą koni spod Stanisławowa.

Poza tym wszystko wojskowi — kpt. Antoni Pawlikowski, por. Oskar Schab, obaj z Centrum Wyszkożenia Artylerii Pomiarowej z Wesołej pod Warszawą, por. Stanisław Rusznica ze Stanisławowa, ppor. Józef Szostak, student Akademii Górniczej w Krakowie, por. Bronisław Grabowski, pchor. Józef Cepak z łączności, pchor. Bolesław Wisz, majster wojskowy, sierżant Tadeusz Kotynia oraz mgr praw ppor. Podłużny z Halicza

Ze Stanisławowa zostaliśmy wywiezieni przez Lwów, Kijów, Stalino, Donbas, Charków, Woroszyłowgrad. Do Starobielska przybyliśmy po parotygodniowej podróży. Przybyliśmy tam wysłani przez prokuratora ze Stanisławowa. Komendant obozu jednak uznał, że decyzja prokuratora go nie obowiązuje i nie przyjął nas. Zapakowano nas wskutek tego znowu do stoiypinki i odesłano z powrotem do Stanisławowa. Powstał spór kompetencyjny. Stanisławski prokurator w sporze z komendantem starobielskim zdecydował jednak postawić na swoim i 23 marca wysłał nas powtórnie ze Stanisławowa do Starobielska. Dotarliśmy jednak tylko do Artiemowska o 130 km od Starobielska i tam nas zatrzymano i zamknięto w celi.

Od tego czasu bez przerwy aż do 12 października 1941 roku, a więc półtora roku, pozostawiono nas w Artiemowsku. Warunki były ciężkie. Siedziało nas w celi 3x3 m — 26 osób w kucki, jeden na drugim, przeważnie Polacy. Nie dano nam w tym czasie ani jednej gazety, nie wiedzieliśmy, co się na świecie dzieje. Jedyny sposób uzyskania wiadomości to było wyciąganie strzępów gazet z kału, z wychodka, do którego nas wypuszczano wyłącznie dwa razy dziennie. Odczyszczając je, dowiadywaliśmy się czegoś.

Gdy po roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka nikt nam o tym nie powiedział, ale zdwojono straż na korytarzu i co noc robiono zaciemnienia tak, żeśmy się domyślali. Kiedyśmy się zapytali dozorczy, czy nie ma wojny z Niemcami, odpowiedział ze złością: — Was pobiliśmy w trzy dni, Giermańców pobijemy w pięć!

2 sierpnia odwiedził nas prokurator tamtejszego woroszyłowgradzkiego rejonu, obchodził naszą celę i wypytywał wszystkich kolejno, za co siedzą. Zirytowałem się i powiedziałem mu:

— Biłem waszych przyjaciół Niemców, za to siedzę.

— Nigdy Niemcy nie byli naszymi przyjaciółmi — skoczył prokurator — a was sprzedał Beck i dlatego siedzicie.

Dopiero we wrześniu ze skrawka gazety dowiedzieliśmy się o tworzeniu Armii Polskiej i o tym, że Kot jest ambasadorem. Z dnia na dzień czekaliśmy zmiany. Przypuszczaliśmy tylko, że szybkie postępy armii niemieckiej mogą uniemożliwić naszą ewakuację. Nie przeczuwaliśmy, że w Artiemowsku pozostawią wszystko, ale zabiorą więźniów.

Któregoś dnia wyprowadzono nas w liczbie tysiąca, uszykowano w czwórki, dano po kilogramie chleba, po jednej rybie i kazano maszerować.

Wyszliśmy z więzienia. Otoczył nas 107 pułk konwojowy pieszo, na koniach i z psami. Było również wśród nas 80 kobiet, w tym jedna Polka ze Lwowa, blondynka o zmiętej twarzy, zdaje się, że prostytutka.

Przechodząc przez ulice Artiemowska spotykaliśmy się z wielkim współczuciem. Rzucano nam chleb, nawet bułki. Z dwóch stron chodnika biegło kilkanaście kobiet, płakały, chciały się dostać za kordon, bo miały wśród więźniów swoich bliskich. Bito je kolbami i odrzucano. Tak maszerowaliśmy bez przerwy do godziny 6 wieczorem w bardzo trudnym, błotnistym terenie. O godzinie 6 na wzgórku zbito nas w kupę i pozwolono nam usieść. Nie dano nam nic jeść ani pić. Jeden z Rosjan — więźniów poprosił o wodę.

— Masz wodę! — odpowiedział konwojent na koniu i zaczął proszącego okładać szablą. Nie tylko wówczas nie dano nam ani kropli wody, ale i na drugi dzień nie dano nam nic do picia, przy tym jeden z dowódców konwoju zaznaczył nam na początku, że jeśli 5 procent nas wszystkich uda mu się doprowadzić do celu podróży, to będzie z górą wystarczające. Byłem strasznie spragniony, wziąłem kawałek chleba, żułem i nie mogłem połknąć przez kilkanaście minut z powodu niedostatecznej ilości śliny. Ślina zrobiła się jakaś biała i bardzo gęsta.

Psy były używane przez konwojentów od pierwszego dnia, nie spuszczano ich ze smyczy, bo by ludzi zagryzły, ale podpuszczano je do idących, którzy zwalniali kroku lub iść nie chcieli, czy nie mogli. Pies rwał spodnie więźnia, gryzł i więźniów zdobywał się na ostatni wysiłek, szedł dalej.

Po marszu bez przerwy od godziny 10 do 6 wieczorem zarządzono pauzę, przesiadzieliśmy na dworze bez pożywienia, bez wody, zbici w gromadę, od godziny 6 wieczorem do

6 nad ranem w dotkliwym zimnie, a od trzeciej rano w deszczu. Potem ruszyliśmy dalej.

Nie dawano nam w dalszym ciągu wody do picia. Głód, resztkę chleba, którą miałem, nie przechodziła przez gardło, szalone pragnienie doprowadziło mnie do zupełnego upadku sił, zacząłem odstawać od kolumny. Błoto było takie, że trzeba było dźwigać po parę kilo na oblepionych nogach. Przed oczami zaczęły mi krążyć czarne plątki. W pewnym momencie, idąc pod górę upadłem.

Leżałem bez sił zupełnie.

Gdy wstałem wreszcie, po przejściu kilku dalszych metrów przybliżył się do mnie ppor. Podłużny i dał mi kilka kostek cukru, swój schowany żelazny zapas. Ten cukier mnie zbawił. Czarne plątki znikły i przy pomocy Podłużnego, o którego ramię się opierałem, zacząłem znowu iść. Uratował mi życie.

Rosjanie, którzy z nami szli, należeli przede wszystkim do dwóch kategorii więźniów. W większości byli to bandyci, tzw. żuliki. Stanowili zwarte, bezwzględne zespoły i terroryzowali całą resztę jeńców.

Już w drugim dniu wędrówki rzucili się w drodze na kilku towarzyszy i okradli ich ze wszystkiego. Mnie tego dnia wyrwano z rąk ostatni kawałek chleba.

Drugą kategorię stanowili tzw. progulszczyki; dla wielu z nich termin kary kończył się za tydzień czy dwa. Niejeden był zaaresztowany za spóźnienie się do pracy o kwadrans czy pół godziny, jeden miał jeszcze wszystkiego dwa dni do odsiedzenia. Powiedziano im, że będą zwolnieni po przyjsciu na miejsce i pędzono ich około 700 kilometrów, aż do Stalingradu. Nie przypuszczam, by wielu z nich wyżyło.

Od godziny 10 zaczął padać śnieg. Była to wielka dla nas radość, brać garście śniegu i choć trochę ugasić pragnienie! Przeszliśmy tego dnia 30 km. Na noc umieszczono nas w kołchozie, w szkole powszechnej i w kilku budynkach sąsiednich. Tam dowiedzieliśmy się, że dwa dni przed nami przechodził podobny konwój, składający się również z 1000 ludzi w przybliżeniu, także z artiemowskiego więzienia.

W sali 6x7 metrów, gdzie mnie umieszczono, było 60-70 więźniów. W następnej sali, większej, około 100. Nie dali nam znowu nic do jedzenia ani picia. Na stronę wypuszczano zaledwie 10 osób, więcej nie pozwalano. Wszyscy załatwiali się przy drzwiach, tak że powstało gnojowisko powyżej kostek.

Tej nocy z 13 na 14 umarł na naszej sali pierwszy z transportu, obywatel polski, Żyd. Umarł na serce. Został również postrzelony więzień Rosjanin, który się ukrył na strychu. Zwalono go rannego na drugi dzień na wóz, który szedł z partią do przyszłego postoju, gdzie zrzucony z wozu wyczołgał się do baraku i tegoż wieczoru skonał. Dopiero 14 rano przy wyjściu wniesiono nam przez większą salę parę wiader wody. Wybuchła natychmiast dzika bijatyka o tę wodę, ani jedno wiadro nie zostało do naszej sali doniesione.

14 października wieczorem doszliśmy do Diubalcewa — wielkiej stacji węzłowej. Nocowaliśmy znów w szkole. Na drugi dzień o godzinie 8 rano pozwolono nam wyjść na zewnątrz i obmyć się śniegiem. Jeden z NKWD wyjął z kubła garść odpadków, były to jakieś kawałki wątroby, resztki mięsa i rzucił tę garść na salę. Znów zaczęła się bójka. Jeden z Ukraińców, wielki chłop, chwycił większy ochłap mięsa i chciał go natychmiast połknąć. Drugi więzień, chcąc go wyrwać, rozdarł mu głęboko wargę w dwóch miejscach na obu końcach otworu ust.

15 października o godzinie 11 kazano nam wychodzić na oblodzone podwórze. Mieli wydawać chleb na dworze. Było mroźne słońce, większość wyszła. Zostało kilku Polaków oraz kilku Ukraińców. Ja się trzymałem z kpt. Pawlikowskim oraz por. Schabem. Podniosłem się do wyjścia, oni również. Ale tknięty jakimś przeczuciem usiadłem na ziemi i powiedziałem, że nie pójdę. Dwa razy wracał por. Grabowski, który był komendantem naszej polskiej grupy i prosił na wszystko, żebym nie utrudniał mu pracy, żebym wyszedł i pobrał chleb.

Wiedziałem, że za chwilę, kiedy wyjdę na zewnątrz, ustawią nas w szeregu, puszczą psy i będę musiał iść.

Widziałem przez okno, że każdy otrzymał kawałek chleba dwustugramowy, nie ruszyłem się jednak. Po wyjściu większości przyszli dozorczy i zaczęli bić kolbami po plecach obecnych i wyrzucać na zewnątrz. Kiedy wstałem, jeden z nich chwycił mnie za kołnierz i włókł jakieś 10 metrów na korytarz.

Uderzyłem głową w próg, przygryzłem zębami wargę i zaczęła mi się sączyć krew z ust. Konwojent, gdy zobaczył krew na ustach, powiedział tylko: „Pewnie zdechnie” — popchnął mnie w piersi i zostawił. W korytarzu i w innych salach leżeli inni, podobnie jak ja nieruchomi, bezsilni, zrezygnowani na wszystko”. Co do mnie, czułem się nawet wówczas lepiej, a jeżeli się uparłem, żeby się nie ruszać, to dlatego, że miałem jakąś wewnętrzną pewność, że to jedyny ratunek. Rzeczywiście, gdybym się nie był uparł, pędzony pieszo jak inni nie doszedłbym na pewno.

Kolumna ruszyła. Do pilnowania pozostałych 32, wśród których było 14 Polaków, pozostawiono 8 konwojentów.

O godzinie 1 po południu usłyszeliśmy dalekie odgłosy artyleryjskie. Myśleliśmy, że to lekka artyleria z frontu, że może posuwają się Niemcy, może już przestaną nas pędzić. Ale to była tylko artyleria przeciwlotnicza.

Wieczorem przysłano samochód, który wiózł ryby dla transportu. Zabrał on jeszcze 4 Rosjan i 2 Polaków, którzy dali się namówić, bo im obiecano 200 gramów chleba i kawał ryby. Jeden z tych Polaków, jak sobie przypominam, nazywał się Czeczot."

— Czeczot — pytam ze zdziwieniem. — Jak wyglądał?

Według opisu por. Sołczyńskiego stwierdziłem, że to ten sam młody por. Czeczot, szczupły, sympatyczny blondyn, z którym wywożono mnie podczas likwidacji Starobielska nr 1 półtora roku wcześniej. Leżeliśmy wówczas we dwójkę jakieś 7 dni, zapchani na najwyższe piętro przedziału naszej stotypinki (nie było tam mowy o siedzeniu, można było tylko leżeć). Ostrzegano mnie przed nim, że miał kontakty z bolszewikami, że mógł donosić. Nie bardzo w to wierzyłem wówczas. Był inteligentny, pochodził ze skromnej ziemiańskiej rodziny z Wileńszczyzny, o pięknej filomackiej tradycji, zdaje się, że szczerze radykalizował. Wiózł ze sobą wówczas gruby tom Uwag Lenina, pisanych na marginesie jego lektur o kapitalizmie międzynarodowym. Przez te dni przeleżane „na strychu” naszego przedziału, w dziki upał, sporośmy przegadali. Żywo mi opowiadał o chłopach, z którymi wiele przestawał, o swoich wędrówkach młodzieńczych po moczarach i lasach. Ku naszemu zdziwieniu wysadzono go o parę stacji wcześniej niż nas. Już na wolności dowiedziałem się, że go odesłano z powrotem do Starobielska. Starobielsk był wówczas przepełniony, ponad 20000 więźniów politycznych, mężczyzn i kobiet, tzw. Starobielsk nr 2. Czeczot mieszkał jednak w specjalnych, o wiele wygodniejszych warunkach. Przypuszczam, że bolszewicy spodziewali się zrobić z niego „swojego człowieka”, być może szczerze się do komunizmu skłaniał, albo tylko w pewnym momencie wykazał brak charakteru, czy zwyczajnie się załamał. Teraz od por. Sołczyńskiego dowiedziałem się o dalszych jego losach. Temu zagubionemu, miłemu chłopakowi na nic się nie przydało studiowanie Lenina i taka czy inna, mniej lub więcej szczerza czy wyrachowana gra z bolszewikami. Jak tylu innych, pędzonych w bestialski sposób, musiał i on zginąć na okrutnym szlaku.

„Po wywiezieniu i tych paru więźniów, zostało nas w Diubalcewie 26, w tym 12 Polaków. Wieczorem dostaliśmy 200 gramów chleba i była to ostatnia porcja aż do Stalingradu, konwojenci nam powiedzieli, że żadnej racji dla nas nie mają, bo racje są w kolumnie, która poszła w kierunku na Lichaj. Zawieziono nas na stację, wsadzono do wagonu towarowego, który zamknięto i ruszyliśmy tegoż wieczoru. Ale trasy codzienne były bardzo krótkie, po kilkanaście kilometrów. Tory były straszliwie zawałone, brak lokomotyw. Z mojej dawnej trzynastki byli ze mną Mencil, Bronikowski i Kotynia. W tej drodze dołączył do nas i bardzo się z nami zżył pułkownik Ludwik Miłkowski, lekarz emerytowany, dentysta ze Lwowa, dyrektor gimnazjum w Ostrogu Ostrowskim, wachmistrz żandarmerii Witold Kasiński z Łucka oraz polonista ze szkoły Rejtana z Warszawy.

Miłkowski, nadzwyczaj sympatyczny staruszek, był szefem sanitarnym DOK Lwów w czasie, gdy dowódcą DOK był gen. Sikorski. Jeszcze w 1939 roku z nim korespondował. Ten 64-letni człowiek był żonaty i miał dwóch chłopców, których wspominał z rozrzewnieniem.

Jechaliśmy to w towarowych zamkniętych wagonach, to na odrutowanych odkrytych lorach. Raz wsadzono nas do wagonu zawałonego beczkami z ogórkami. Zrobiliśmy dziurę w beczce i żywiliśmy się tymi ogórkami. Chleba nie dostawaliśmy wcale. Jedliśmy także surową kukurydzę z pola, którą nam ludność rzucała. Na stacji Lichaj czekaliśmy 5-6 dni i tam znowu doznaliśmy od ludności sporo współczucia. Rzucano nam kukurydzę, a nawet raz rzucono kawałki sucharów. W drodze konwojenci pozwalali nam brać wodę. Wyżyliśmy tylko dzięki temu, że konwojenci kradli dla nas. Kazano im nas dowieźć żywych, a racji dla nas nie mieli. Zresztą nie wiem, czy to było tak konieczne, byśmy dojechali wszyscy żywi. Raz jeden z konwojentów się upił i wraz z kolegami zaczął strzelać do zamkniętego wagonu, w którym nas trzymali. Jedna kula trafiła w głowę rolnika, Polaka, sympatycznego osadnika i zabiła go na miejscu. Był on przez szereg lat w Ameryce, był patriotą i chłopskim działaczem. Mencil naiwnie powtarzał: „No, z tego musi być dochodzenie”. A tu zostawili nam trupa na całą noc, rano wynieśli i nic.

Po kilku dniach pobytu w Lichaju udało się żulikom, którzy chodzili po wodę (nam Polakom nie pozwalano), ukraść trochę ziarna pszenicy i żyta. Dali nam wspaniałomyślnie to surowe ziarno do gryzienia, jedliśmy chciwie — głód robił swoje.

Nie mieliśmy nic ciepłego w brzuchu od wyjścia z Artiemowska, przy tym ziarno i ogórki doprowadziły do tego, że wszyscy dostali krwawej biegunki. Wszyscy bez wyjątku. Trzech na tę biegunkę zmarło pod Stalingradem w mojej obecności — wzór poczciwości, dr Tomaszek ze Stanisławowa, Szulc, starszy konduktor, bardzo wartościowy działacz społeczny oraz wachmistrz Kasiński z Łucka. Dr Tomaszek nam wyjaśniał, że to przeszło miesięczne życie bez ciepłej strawy i bez ciepłej wody wywołuje ten ostry nieżyt kiszek.

Dopiero 22 listopada wyprowadzono nas z wagonu i przewieziono do baraku odległego o 11 km od miasta.

Na drugi dzień po południu przyjechała z odległej o 100 km od Stalingradu stacji grupa z naszej partii artiemowskiej, którąśmy pożegnali w Diubalcewie. Nie mogli już dalej iść pieszo.

Pierwsze słowa, z którymi zwrócił się do mnie jeden z przybyłych, Rosjanin, którego poznałem w ciągu wspólnej podróży, były: „Wasze szczęście, wszyscy wasi wyginęli”.

I każdy, kto przychodził, powtarzał to samo, że wszyscy Polacy zginęli po drodze, że nie ma już ani jednego. Nie dawaliśmy temu wiary. Na drugi dzień nadeszła reszta. Do baraku 7x12 m, w którym były 4 rzędy prycz piętrowych, wtłoczono około 300 więźniów. W ogóle przeznaczono dla przybyszów dwa sąsiadujące baraki. Byli niepodobni do ludzi. Z dwóch partii po 1000 ludzi przybyło nie więcej jak 550, przy tym przeciętnie, tylko w naszym baraku umierało 10-15 dziennie.”

Mój rozmówca milknął na dłuższą chwilę, jakby się namyślał, jakby szukał słów i potem znowu trochę gorączkowo, ale bardzo rzeczowo mówi dalej:

„Żaden nie miał butów, nogi owinięte gałganami. Były już wówczas mrozy dwudziestostopniowe, wszyscy oczy mieli tak zapadnięte, że nie było ich prawie widać. Twarze zarośnięte, dziury zamiast policzków, nie myci od przeszło miesiąca, jak zresztą my wszyscy. Po rozlokowaniu rozszedł się po sali okropny odór, większość miała odmrożone nogi z potwornie cuchnącymi ranami, ciało gniło.

Pierwszego dnia ciągle szukałem Polaków. Był tylko jeden, młody czołgista z Białegostoku z objawami pomieszania zmysłów, bez butów, z odmrożonymi nogami. Nieustannie się trząsł. Gdy pytałem go o innych, całą odpowiedzią było ciągle powtarzanie: „Zimno mi, zimno”.

Pytałem wszystkich o naszych towarzyszy. Wciąż mówiono mi to samo: „Wszyscy zginęli”.

Pytałem dosłownie dziesiątki ludzi i oto co mi się udało z tych potwierdzających się wzajemnie opowiadań dowiedzieć.

Najwięcej wyginęło w czasie przemarszu na stepach między Donem a Wołgą. Pewnego dnia, około 25 października cała kolumna doszła w stepie wieczorem do miejsca odległego od najbliższego kołchozu o 75 km. Konwojenci dla ostatecznie wyczerpanych ludzi zarządzili odpoczynek. W dużym ogrodzeniu dla krów, bez dachu, w saraju, jak to tam nazywano, trzymano wszystkich pięć dni i pięć nocy. Bez jedzenia, mrozy dochodziły do dwudziestu kilku stopni. Więźniowie łamali ogrodzenie, rozpalali ogniska. Żuliki silną i zwartą masą obsiadali ognisko, wypychając słabszych, między nimi Polaków, na

zewnątrz. Wobec tego, że Polacy byli pomimo wszystko przeważnie -lepiej ubrani, żuliki zdzierali z nich ubrania, zostawiając ich w koszulach i kalesonach.

W tej zagrodzie na śniegu zmarł porucznik Stanisław Rusznica, oficer piechoty z mojej trzynastki. A także kpt. Antoni Pawlikowski, którego charakterystyczne narciarskie spodnie z automatycznymi zamkami widziałem na jednym z więźniów.

Szóstego dnia postoju w saraju przywieźli jakieś mięso końskie i ugotowali strawę dla więźniów w ilości po kubku mięsa z kaszą na osobę i potem kazali dalej maszerować. 60 oświadczyło, że dalej iść nie mogą, byli wśród nich Polacy. Ustawiono tych 60, zbliżył się do nich dowódca konwoju, nie żądał by szli razem, kazał im jedynie iść po wodę dla siebie do pobliskiej studni. Tym, którzy ruszyli po wodę kazano dołączyć do kolumny i pędzono siłą dalej, szczując jak zwykle psami. Czternastce, która się nie ruszyła (był w niej plut. Drożdżuk) kazano na śniegu się rozebrać do naga i przejść za pobliski domek. Jeden z Ukraińców opowiadał mi dokładnie, że zaraz potem usłyszał 14 strzałów. Rozstrzeliwania nie widzieli. Ale w kilkanaście minut po strzałach tenże Ukrainiec widział, jak więźniowie rozrywali między sobą ubrania uprowadzonych za domek.

Pochód ruszył wówczas dalej. Coraz więcej ubywało z szeregów. Wtedy umarł ppor. Podłużny, który mi uratował życie, oddając mi swój zapas cukru. Stoi mi jak żywy przed oczami. Miał wijące się blond włosy, miłą twarz, był synem chłopca na paru morgach, skończył uniwersytet, utrzymując się korepetycjami, był aplikantem w Haliczu, rodziców jego wywieziono w głąb Rosji. Umarł wówczas również pchor. Wisz, pchor. Cepak, nie mam danych co do śmierci ppor. Schaba. Najdłużej trzymał się por. Tadeusz Grabowski, do którego konwojenci i dowódca ze względu na to, że władał dobrze rosyjskim językiem poczuli sympatię.

Ale i on zginął już za Donem o 110 km od Stalingradu.

W ciągu tygodnia po przyjeździe tych resztek z obu transportów dzień w dzień konwojenci sprawdzali akta i wywoływali nazwiska. Żadnej nie było ewidencji umarłych, statystyki; kiedy wywoływano nazwisko takiego, który umarł, to sami więźniowie przeważnie odpowiadali: „Padoch” lub „Został w saraju”.

Przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w baraku otrzymywaliśmy 300 gramów chleba, poza tym przynoszono nam 2-3 wiadra wody. Chleb wydawano zwykle na dworze: ustawiano nas w kolejce i każdy dostawał po kawałku. My, Polacy zjadaliśmy go natychmiast, przed wejściem do baraku, bo każdemu, który wracał z chlebem w rękę wrywali go po drodze silniejsi. Było bardzo trudno ten chleb tak szybko przetykać, pomagaliśmy sobie zwilżając go śniegiem.

Pewnego dnia nie wyprowadzili nas na zewnątrz i chleb rozdawali w baraku. Wszystkim nam kazano usieść na pryczach z nogami spuszczonymi. Konwojenci szli z workami chleba i rozdawali po kolei. W przejściu na ziemi leżał nagi więzień, konał. Już był do naga ograbiony przez kolegów, oczy miał zamknięte i robił dziwnie płynne ruchy rękami i nogami. Ktoś z eskorty powiedział: „Dla niego niepotrzebny chleb, on i tak zdechnie” i widocznie zawahał się przez sekundę, komu ten chleb oddać. Kilkunastu więźniów rzuciło się błyskawicznie ku temu kawałkowi chleba, depcząc, traktując w straszny sposób konającego, zmarł po pół godzinie.

O wodę toczyła się stale walka, głównie chorzy jęczeli o wodę. Błagali. Oddawali za nią swój chleb. Radziliśmy sobie w ten sposób, że w czasie porannych porządków (wyprowadzano nas wtedy i

wynoszono trupy) zbieraliśmy śnieg w szmaty i jedliśmy ten śnieg w baraku. Sprytniejsi mieli cały proceder. Sypali śnieg w szmaty, z których kroplami skapywała woda. Ten skroplony śnieg sprzedawali za chleb. Po paru dniach zbieranie śniegu było utrudnione, bośmy już wszystek śnieg, który był bliżej baraków, wyzbierali.

Były wówczas silne mrozy; jednego dnia wychodząc na podwórze zwróciłem uwagę na dziwne pnie drzew przy domu. Powiedziałem Kotyni, co to za dziwne drzewo liliowego koloru, pewno obdarte z kory, wykrzywione konary. Podeszliśmy bliżej. To wcale nie były konary, to były zamrożone członki nagich trupów ludzkich, które tak sterczały ze śniegu. Konwojenci chwyтали je za nogi, ciągnęli przez śnieg i rzucali do w pobliżu nas znajdującej się jamy. Od tego czasu szukaliśmy śniegu na innym miejscu, a nie tam, gdzie rzucono trupy.

Co noc słyszeliśmy charczenie słabszych lub konających, duszonych przez sąsiadów, którzy zdierali z umarłych ubranie, sprzedając je za chleb.

Opowiadałem już o jednym Polaku, który został przy życiu, czołgście z Białegostoku. Otóż w dwa dni po przyjeździe partii ze stepu, gdy wychodziłem podczas porannych porządków, nasz czołgista się nie pokazał. Za to zobaczyliśmy jego płaszcz na plecach jednego sąsiada z pryczy. Został prawdopodobnie, jak wielu innych, doduszony przez kolegów i rozebrany do naga.

Codziennie wnoszono kilkanaście nagich trupów z baraku. Jedyni Polacy, którzy pozostali, to było tych paru, którzy ze mną razem przebyli drogę z Diubalcewa w wagonach.

Ale i ci zaczęli po kolei umierać. Pierwszy w baraku z Polaków umarł najlepszy, dr Tomaszek. Był już zupełnie wyczerpany biegunką, ani węgiel, ani nafta mu nie pomogły. Po nim umarł Kasiński (...) potem przyszła kolej na Szulca. Dwie godziny przed śmiercią prosił mnie o wodę. Właśnie się dowiedziałem z kawałka gazety, że Sikorski jest w Moskwie. Powiedziałem mu to. Szulc, który zawsze tak namiętnie wszystkim co polskie się interesował, machnął już teraz tylko ręką.

Rozchorowali się poważnie Mencil i Bronikowski. Garstka nasza szybko topniała.

Nie widziałem trupa wnoszonego w jakimkolwiek ubraniu. Zdierano z nich wszystko przed wyniesieniem z sali.

Po paru dniach pobytu w baraku „zamieszkaliśmy” wszyscy Polacy razem. Z początku leżeliśmy na górnej pryczy, lecz musieliśmy po paru dniach pójść pod pryczę, bo już Mencil nie miał sił na pryczę się wdrapywać. Leżeliśmy upchani jak psy, mając od podłogi do desek ponad nami najwyżej 50 centymetrów wysokości. Ja i Kotynia byliśmy najsilniejsi, więc ułożyliśmy się na skrajach, żeby móc się lepiej bronić, a gdy nam próbowali zdierać ubrania, tośmy kopali. W środku położyliśmy Menela, Bronikowskiego i Miłkowskiego. Zanim wzięliśmy Miłkowskiego między siebie, mieli z nim żuliki specjalną zabawę. Ukradziono mu jego wysokie buty kawaleryjskie ze świetnej skóry. Miały one na tamte warunki cenę bajońską, więc sprzedano je dozorczy i Miłkowski chodził boso. Ale nie dość na tym, żuliki codziennie zdierali z niego ubranie, a po dwóch godzinach przynosili mu je z powrotem, sprzedając mu za porcję chleba jego własne ubranie po to, by je na drugi dzień znowu ukraść.

Z chwilą gdyśmy go położyli między siebie, pod pryczami, zabawa żulików się skończyła. Nie zapomnę jednej z ostatnich rozmów z Miłkowskim, opowiadał mi o swoich dzieciach, zaczął mi dziękować za opiekę złapał nagle za rękę i mnie, takiego szczeniaka, w rękę pocałował. [Opowiadać mu coraz

trudniej, widać, że go łzy ściskają za gardło]. Więc to mnie wzruszyło, rozplakałem się, no i jego znów w rękę pocałowałem.

(...)

Jeśli chodzi o mnie, od pierwszego grudnia straciłem apetyt. Nie mogłem zjeść nawet tego chleba, który mi dawali. Nie mogłem przełknąć tej solonej ryby, miałem gorączkę na pewno ponad 38 stopni, zapadłem na płuca, przy tym miałem owrzodzenie jamy ustnej, co mi uniemożliwiało przełykanie. Od pierwszych dni grudnia zaczęło się wywoływanie niektórych, jeżeli wywoływany jeszcze żył, mówiono: Sobirajties s wieszczami.

11 grudnia usłyszałem swoje nazwisko i sobirajties s wieszczami. Zerwałem się, nie zdążyłem się nawet pożegnać prawdziwie, tylko Kotynia za mną zawołał: „Pamiętaj o nas!”.

Zaprowadzili nas do biura, dali dwa kilogramy chleba, kilogram ryb, 45 rubli i powiedzieli, że jestem wolny.

Przy wyjściu przewróciłem się dwa razy ze słabości, potem nabrałem trochę sił. Jeden z dozorców wskazał mi drogę do odległego o trzy kilometry tramwaju, którym miałem się dostać do Stalingradu. Ta podróż jeszcze nie była łatwa. Te pierwsze wrażenia, kiedy zbliżałem się do tramwaju, nie miałem sił podnieść nogi na stopień.

— Nu słarik, skariej — powiedziała mi kobieta, która sprzedawała bilety. Spytałem ją, ile ona myśli, że ja mam lat. Powiedziała mi, że 50, a ja mam 31 i zawsze śmiano się ze mnie przed wojną, że wyglądam na 18. Na stacji czekałem na pociąg od 11 do 16 grudnia, wkręciłem się

do jakiejś kompanii nowozacieżnej, gdzie było dużo Żydów z Rumunii i z Polski, więc dostawałem chleb. Potem jechałem wszelkimi sposobami, otwartymi lorami, gdzie zdawało się, że zamarznię z zimne, a raz to nawet osobowym wagonem. Wagon był zatłoczony, wpakowali mnie do tego wagonu, wepchnęli od tyłu, a ja straciłem resztkę sił i upadłem. Jeden milicjant roześmiał się i wtedy mnie wziął gniew i powiedziałem mu, żeby się nie śmiał.

— To z waszej winy jestem taki, jaki jestem. I wtedy cały wagon zamilkł. Dojechałem do Kujbyszewa do ambasady, tam mnie skierowano do Buzułuku. Ja tak ciągnąłem do was ostatnimi siłami, bo chciałem umrzeć przy was. To nie o ten chleb chodzi, co mi dajecie, czy pieniądze, ale widzieć choć jednego człowieka chciałem, by mi okazał współczucie ...

(...) Niech pan mi wierzy, ja nie jestem histeryk, ale trochę się ... wzruszyłem".

(...)

Moskwa

(...)

Poprzez listy generała Andersa dotarłem do generała Żukowa i Reichmana, bezpośrednio podległych Berii i Mierkułowowi. (...)

Zacząłem od zanieśnięcia listów na Łubiankę. Do wnętrza wielkich gmachów tej centrali NKWD (...) w ogóle mnie nie dopuszczono, skierowując do jakiegoś domu położonego o wiele dalej. (...) Po

wyczekaniu się, wyjaśnieniu przez okienko personaliów i celu mojej wizyty, skierowano mnie telefonicznie do innej poczekalni, już ogrzewanej, gdzie młodemu tryskającemu zdrowiem enkawudziście w mundurze musiałem znowu wyjaśnić cel mojej wizyty. To, że generał Sikorski z generałem Andersem byli przyjęci u Stalina zaledwie dwa miesiące temu, że organizacja armii polskiej była wszędzie propagowana, a fotografie generała Andersa znajdowały się w pismach ilustrowanych było reklamą, która — jak sądziłem — ułatwi mi chociaż wstępne kroki. Liczyłem na to, że listy, które miałem rozkaz osobiście doręczyć obu generałom, otworzą mi przynajmniej drzwi do nich. Na moją prośbę jednak, bym te listy mógł osobiście wręczyć, spotkałem się z uśmiechem prawie ubawionym młodego enkawudzisty i ze stanowczą odmową; jedyne co mi wolno było zrobić, to wręczyć oba pisma jemu i czekać cierpliwie na odpowiedź. Pod tym względem nie mogło być żadnych wyjątków, żadne z mojej strony tłumaczenia nie mogły zachwiać żelaznej instrukcji...

Zaraz po wyjściu z poczekalni NKWD udałem się do misji brytyjskiej (...) zostałem przyjęty z największą uprzejmością. Po wyjaśnieniu celu mojej podróży przeprowadzono mnie do gabinetu szefa misji. Był nim generał MacFarlan, dowódca spod Dunkierki, potem obrońca jednego z bardziej zagrożonych odcinków wybrzeża angielskiego. (...)

Usiedliśmy na kanapie. Generał władający świetnie francuskim wysłuchał mnie uważnie. Nic pomóc mi nie mógł poza tym, że pozwolił mi w misji pracować i tam złożyć papiery, których w hotelu wolałem nie trzymać. Ostrzegął, że trafić do wodzów NKWD, Mierkułowa i Berii jest prawie niemożliwe, że on sam musi na takie spotkania czekać tygodniami.

(...)

Po Anglikach i Erenburgu pozostało mi jedno: czekać odpowiedzi z Łubianki. Czekałem szereg dni coraz niecierpliwiej. Pisanie tekstów memoriału zajęło mi pierwszych parę dni, potem znalazłem pewnego cudzoziemca, który mi ten tekst po rosyjsku na maszynie przepisał. (...)

Pewnej nocy obudził mnie telefon z Łubianki: mam się stawić w tej samej co wówczas poczekalni o takiej i takiej godzinie dnia następnego, będę przeprowadzony stamtąd do generała Reichmana.

O umówionej godzinie przyszedłem do znanej mi już brudnej i zimnej poczekalni na parterze. Czekał na mnie spasiony urzędnik w wysokiej czapce z siwego karakułu i w takimże karakułowym kołnierzu. Trochę gogolowski Cziczikow z wyglądu. Po krótkiej kontroli papierów przejechaliśmy wzdłuż kilkunastu domów, zatrzymując się przed głównym wejściem centralnego gmachu Łubianki. Zdziwiła mnie nieoczekiwana elegancja wejścia. Wysokie szklane drzwi, jaskrawoczerwony puszysty dywan, warta z karabinami złożona z paru wysokich żołnierzy, w świetnie dopasowanych, długich po kostki płaszczach i spiczastych czapkach.

Przy wejściu znowu staranna kontrola papierów, korytarze. Winda i znowu korytarze. Wpuszczono mnie do skromnego saloniku--poczekalni. Tu odkryłem ze zdziwieniem czekającego również na przyjęcie byłego bolszewickiego komendanta naszego obozu w Griazowcu pod Wołogdą, majora Chodasa.

(...)

Został on teraz przyjęty kwadrans przede mną. Przypadek? Może musiał złożyć o mnie raport? Chyba dlatego był wezwany. Potem przyszła kolej na mnie.

Pokój o dużych kotarach z dywanem. Reichman szczupły, niedużego wzrostu, o rasowej twarzy i wypiełgnowanych rękach, usadził mnie po przywitaniu naprzeciwko okna. Przy całej rozmowie asystuje w zupełnym milczeniu, siedząca pod światło, przy kotarze okna osoba trzecia, również w mundurze NKWD. Reichman wygląda na zimnego, bardzo opanowanego człowieka. Przyjmuje mnie poprawnie i chłodno. Podczas całej wizyty nie dojrzałem ani jednego gestu, czy nawet wyrazu, nie usłyszałem ani jednego słowa nie obrachowanego. Na suchej twarzy względnie młodego, tysięcącego blondyna nie było cienia takiej czy innej reakcji.

Podaję mu memoriał, w memoriale tym ustalam dokładnie liczby oficerów i szeregowych wziętych do niewoli z bronią w ręku i umieszczonych w obozach w Starobielsku i w Ostaszkowie. Stwierdzam, że Kozielsk miał w chwili rozładowania, w kwietniu 1940 r. około 5000 jeńców, z których około 4500 oficerów wszystkich stopni. (Była to w przybliżeniu cyfra ofiar katyńskich, według obliczeń zrobionych później na podstawie dokumentów w 1945 r.). Stwierdzam dalej, że Ostaszków miał w chwili rozpoczęcia rozładowania 6670 ludzi, z których 380 oficerów, a Starobielsk 3 920, wśród których zaledwie kilkudziesięciu podchorążych i cywilów, reszta zaś wszystko oficerowie. Dodałem, że z ogólnej sumy tych 15000 odnalazło się około 400 ze wszystkich trzech obozów, zgrupowanych od maja 1940 roku w Pawliszczew-Borze, potem zaś w Griazowcu pod Wołogdą.

Reichman czyta najuważniej, wodząc dobrze zaostrzonym ołówkiem po każdym wierszu, po każdym słowie, ja zaś śledząc bieg jego ołówka czytam przez ramię z nim razem:

„Od dnia ogłoszenia „amnestii” dla wszystkich polskich jeńców i więźniów, 12.VIII.1941 r. przeszło prawie sześć miesięcy (...) do polskiej armii, napływają grupami i w pojedynkę polscy oficerowie i żołnierze uwolnieni z więzień i obozów, oficerowie i żołnierze, którzy byli zatrzymani przy próbach przejścia przez granicę po wrześniu 1939 r., albo aresztowani w terenie, ale nie bacząc na „amnestię”, pomimo kategorycznej obietnicy danej w październiku 1941, przez samego Stalina naszemu ambasadorowi Kotowi zwrócenia nam jeńców, pomimo kategorycznego rozkazu, wydanego przez Stalina w obecności głównodowodzącego polską armią gen. Sikorskiego oraz gen. Andersa 4.XII.1941 r. odnalezienia i uwolnienia wszystkich jeńców ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa, nie ma ani jednego jeńca ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa — poza wyżej wspomnianą grupą griazowiecką i kilku dziesiątkami uwięzionych oddzielnie, a uwolnionych jeszcze we wrześniu 1941, który by wrócił — nie doszło do nas ani jedno wezwanie o pomoc od jeńców wojennych z wyżej wspomnianych obozów. Wypytyując tysiące wracających z obozów i więzień kolegów, nie otrzymaliśmy żadnych pewnych danych o ich miejscu przebywania poza słuchami z drugiej ręki: o przesłaniu na Kołymę przez Buchtę Nachodkę sześciu do dwunastu tysięcy oficerów i podoficerów w 1940 r., o koncentracji więcej niż pięciu tysięcy oficerów w kopalniach Franciszka Józefa, o zesłaniu na Nową Ziemię, Kamczatkę i Czukotkę, o tym, że na 180 km od Piostrej Drestwy (Kołyma) pracowało latem 1940 r. 630 oficerów, jeńców z Kozielska, że widziano 150 ludzi w oficerskich mundurach na północ od rzeki Sośwy około Gari (na wschód od Uralu), że polscy jeńcy, oficerowie, byli wywiezieni na ogromnych barkach, holowanych (po 1700 do 2000 ludzi na każdej) na północne wyspy i że trzy barki zatonięły na Morzu Barentsa. Ani jedna z tych pogłosek nie jest dostatecznie potwierdzona, chociaż wieści o wyspach północnych i o Kołymie wydają się najbardziej prawdopodobnymi”.

Ile przesłanych, odrzuconych wersji, ile wypytywanych, zbadanych przesłuchanych nędzarzy, w porwanych fufajkach, w Kujbyszewie, w naszej chłodnej, drewnianej budce w Tocku, w Czkałowie,

żeby napisać tych parę zdań, myślę sobie, spoglądając ukradkiem na tekst, po którym Reichman beznamiętnie wodzi ołówkiem.

„My wiemy, z jaką dokładnością każdy jeńiec był zarejestrowany. (...) Jak sprawa każdego z nas z licznymi zapisanymi zeznaniami była zachowana w teczkach ze sprawdzonymi fotografiami i dokumentami, my wiemy, do jakiego stopnia starannie i dokładnie prowadziło te prace NKWD: tak że nikt z nas, jeńców wojennych nie przypuszcza ani na minutę, by miejsce przebywania 15 000 (piętnastu tysięcy), w tym ośmiu tysięcy oficerów, mogło być nie znane wyższym instancjom NKWD. Czy solenna obietnica samego Stalina, jego kategoryczny rozkaz wyjaśnienia losu byłych polskich jeńców nie pozwala nam mieć nadziei, że przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie się znajdują nasi bojowi towarzysze, a jeżeli zginęli, to jak i gdzie to się stało?”

Śledzę twarz i ruchy Reichmana, żaden muskuł mu nie drga, tak samo spokojnie przesuwa utemperowanym ołówkiem po wierszach. Następowало potem możliwie dokładne liczbowe zestawienie. Memoriał kończył się następująco:

„Opierając się na tych danych, ilość oficerów, którzy nie powrócili ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa, wynosi 8300 ludzi. Wszyscy oficerowie polskiej armii (formowanej w Rosji sowieckiej), których ilość 1 stycznia 1942 wynosiła 2300 ludzi, byli zamknięci albo internowani na Litwie, Łotwie i Estonii, lecz nie byli jeńcami wojennymi (z wyjątkiem wspomnianych 400 griażowczan). Nie będąc w stanie z równą dokładnością określić ogólnej liczby wszystkich, co nie wrócili, podajemy wyłącznie ilość jeńców Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, w większości oficerów, gdyż ilość tę stwierdzić mogliśmy ze względną dokładnością. Rozszerzając według decyzji Stalina i gen. Sikorskiego naszą armię na południe ZSRR, odczuwamy coraz silniej brak tych ludzi, tracimy w nich najlepszych specjalistów wojskowych, najlepszy zespół dowódczy. Nie potrzebuję dowodzić, do jakiego stopnia zaginięcie tych towarzyszy bojowych utrudnia nam robotę nad stworzeniem zaufania naszej armii do Związku Sowieckiego, zaufania, które jest tak konieczne dla zdrowego rozwoju wzajemnych stosunków dwóch sojuszniczych armii w walce ze wspólnym wrogiem”.

Reichman skończył czytać. Do ostatniej chwili prowadził ołówkiem po czytanych wierszach, nic nie przekreślił, nic nie zaznaczył.

Odpowiada mi sucho, nie patrząc mi w oczy, że to nie jest jego dział, że on o tym nie wie nic, ale że dla gen. Andersa jest gotów sprawę tę zbadać (nawiesti sprawki), żebym poczekał, że za parę dni, gdy tylko się dowie, da mi znać.

W cieniu kotary siedzi wciąż ten drugi, wysoki, barczysty i niemy.

Proszę generała, by mi umożliwił audiencję u Berii czy Mierkułowa, dodaję jeszcze parę uwag, uściśleń, mówię może zbyt gorączkowo, chcąc go odruchowo, beznadziejnie, zarazić ludzką stroną tej sprawy.

Generał Reichman odpowiada mi z tą samą lodowatą, lakoniczną uprzejmością. Nie przypuszcza, żebym mógł widzieć Mierkułowa czy Berię. Zresztą Mierkułow wyjechał. Również gen. Żuków, do którego list drugi od Generała przekazałem razem z listem do Reichmana, pojechał właśnie do Turkiestanu w sprawach wojska polskiego i nie wiadomo, kiedy wróci.

Audycja skończona.

Widząc, że nic nie wydobędę, nic nie wydebę z tego precyzyjnego urzędnika NKWD, ociągając się z wyjściem, od tak dawna przygotowywałem się do tej rozmowy. Ale nie widzę żadnej możliwości przedłużenia wizyty. Z lodowatą uprzejmością pożegnany, wychodzę po ściszącym każdy krok dywanie.

„Nie znam się na tej sprawie, to nie mój dział” — powiedział mi gen. Reichman. Ale ja znam sztabowego oficera, który przeszedł przez Łubiankę i był przez tegoż gen. Reichmana badany. Ja wiem, że p. Reichman od dawna prowadził dział polski na Łubiance i że nie może nie wiedzieć, co się stało z 15000 jeńców wojennych, którzy stanowili trzon oficerów i szeregowych wziętych we wrześniu 1939 roku do niewoli z bronią w ręku.

Spotykam na korytarzu wychodzącego właśnie Chodasa. Razem wychodzimy z Łubianki i dochodzimy do placu Dzierżyńskiego. Wspominam mu Griazowiec, zapraszam na obiad, staram się nawiązać jakąś rozmowę. Może tu mi się uda uchwycić jakąś nitkę, zdobyć jakiś ślad.

Ale Chodas gna coraz szybciej po oblodzonym chodniku na placu Dzierżyńskiego, czuję, że wystrzega się mnie jak diabeł święconej wody, że skorzysta- z pierwszego pretekstu, żeby się ze mną rozstać. Odmawia uprzejmie ale najkategoryczniej jakiegokolwiek spotkania, tłumacząc się, że nie mieszka obecnie w Moskwie.

Wracam do Metropolu. Cóż mi pozostaje? Czekać zmiłowania, czekać wezwania Reichmana.

(...)

Zbliżał się termin mego prawa pobytu w Moskwie, minęło już 12 dni, nie miałem żadnych wiadomości od Reichmana.

Pewnego dnia położyłem się wcześniej i zasnąłem. Nagle telefon: była dopiero godzina 24. Zbudzony z głębokiego snu, zdaje mi się, że to już 8 rano. Kto przy telefonie? Generał Reichman. Mówi mi, że telefonował trzykrotnie do mnie, że telefonował do administracji, że się dziwi, jak mogli nie dać mi znać o tym (?), że chciał się ze mną widzieć osobiście, ale że niestety nazajutrz rano wyjeżdża i niestety nie zdąży. Wszystko to tonem nadzwyczaj przyjaznym, ujmującym, nawet ciepłym. Mówi mi dalej, że w mojej sprawie informował się i dano mu wiadomość, że wszystkie materiały, dotyczące jeńców polskich przekazano z NKWD do NKID (Narodnyj Komisariat Inostrannyh Diet), że radzi mi wracać do Kujbyszewa i tam zwrócić się do tow. Wyszyńskiego lub tow. Nowikowa. — Czy ktoś się do nich zwracał — pyta naiwnie.

Już zupełnie rozbudzony, rozumiem wszystko. Reichman wybrał najłatwiejszy pozór, żeby mnie spławić, nie obrażając gen. Andersa, o którego mu wówczas chodziło. Ani chwili nie wątpię, że kłamał, opowiadając mi, że telefonował uprzednio trzykrotnie. Dyrekcja jednego z dwóch hoteli, w których wolno mieszkać cudzoziemcom, na wpół pustego i natkanego enkawudzystami dałaby mi niewątpliwie natychmiast znać o telefonie takiego dygnitarza.

Czuję, że ostatnia nić zrywa mi się w ręku, odpowiadam generałowi, że nasz ambasador zwracał się do tych panów w tej sprawie już nie raz ale osiem razy, że Stalin w grudniu i listopadzie dał obietnicę wypuszczenia poszukiwanych, że przecież to wszystko umieściłem w memoriale jemu wręczonym, który w mojej obecności czytał. Reichman na to, że słyszał, jakoby wielu jeńców spływało ostatnio do wojska z różnych miejsc, jak np. z Irkucka.

— Wiem o tym dobrze — odpowiadam — że napływają, ale to wszystko nie ci, nie te aresztowania, nie te obozy.

— Ach, rzeczywiście — odpowiada — jaka szkoda, że nie jestem w tej sprawie dostatecznie zorientowany i nie mogę służyć wskazówkami.

Tłumaczy mi dalej jeszcze, że cała administracja NKWD wyjechała do Kujbyszewa, że ponadto nie mógł tego przedstawić wyższym czynnikom, bo towarzysze Mierkułow i Żuków wciąż nie wracają. Dodaje, że polecił tow. Chłopowowi, któremu w NKID musiałem przedstawić moje papiery, przedłużyć mi dokument pobytu w Moskwie, gdzie „naturalnie” mogę pozostać, ile sobie życzę. Radzi mi jednak powrót do Kujbyszewa oraz porozumienie się z Wyszyńskim — na tym rozmowa się kończy. Staram się jeszcze przedstawić zupełną bezpłodność naszych rozmów w tej sprawie z Wyszyńskim, ale Reichman już rozmowę o wiele zresztą dłuższą niż ta, którą prowadził ze mną na Łubiance, urywa, mimo że utrzymuje ją do końca w tonie prawie serdecznym.

Zostaję znów sam przed milczącym telefonem, na szklanym blacie eleganckiego stolika, wśród foteli z niebieskiego pluszu. Ten przerwany telefon przekreśla nie tylko sens mojej podróży do Moskwy, ale również moje wielomiesięczne i płońne przygotowania do tej podróży.

Nie zdobyłem żadnych wieści, nie wiem nadal, czy żyją i gdzie się znajdują moi koledzy. Nie mam już w Moskwie drzwi, do których mógłbym pukać z nadzieją, że mi je otworzą. Co się tyczy Reichmana, nie mam wątpliwości, że nie chce nic powiedzieć właśnie dlatego, że coś wie, czego powiedzieć nie może.

Wersja nagłego wyjazdu, nocny telefon, którym mnie obudził, dają mu wszelkie plusy, a mnie wszystkie minusy. Nie mam czasu nawet przygotować odpowiedzi, kończy się więc na tym, że muszę przyjąć wyrok do wiadomości i wyjechać nie tylko z pustymi rękami, ale jeszcze z poczuciem, że mi dano do zrozumienia „nie pchaj się do sprawy, gdzie i tak ci nic nie powiemy”.

Decyduję się na wyjazd z Moskwy.

(...)

Wacław Grubiński

Między młotem a sierpem

Londyn, 1948

WACŁAW GRUBIŃSKI ur. 25 stycznia 1883 roku w Warszawie, zm. 8 czerwca 1973 roku w Londynie, dramaturg, krytyk i nowelista, znany głównie jako autor utworów komediowych. Aresztowany w styczniu 1940 roku we Lwowie, skazany na śmierć za „kontrrewolucyjną działalność i bluźnierczą sztukę o Leninie”. Po kilkumiesięcznym oczekiwaniu i odwoływaniu wyrok został zamieniony na 10 lat zamknięcia i 4 lata pozbawienia praw obywatelskich. Najdłużej przebywał w obozie na Syberii nad rzeką Sośwą. Po układzie Sikorski-Majski zwolniny z obozu przedostaje się do miejsca formowania armii polskiej przez generała Władysława Andersa. Po wojnie mieszkał w Londynie, współpracował z Wiadomościami, pisał eseje i dramaty.

Aresztowano mnie 23 stycznia 1940 roku nad ranem w mieszkaniu państwa Ludwikostwa Starków przy ul. Wałowej nr 1 we Lwowie.

Trzeba to nareszcie zapisać, bo potem wyjdą mi z pamięci szczegóły tego, samego przez się nieosobliwego wydarzenia, ale dla moich przyszłych biografów, z pewnością interesującego. Czwarty dzień leżę w łóżku. Influenza. Tak w Bombaju nazywają grypę. Za mojego dzieciństwa i w Warszawie grypa była influenza. Z 39 stopni plus kreski temperatura moja dzisiaj spadła do 37,8, nie bardzo mam ochotę na czytanie, biorę blok i ołówki. Kiedyś przecież musiałbym się zdecydować na nudę wyliczania moich więzień, etapów i obozów katorżniczych; niechże się to dzieje dzisiaj. Postaram się być zwięzły i dokładny.

Do pokoju, w którym sypiałem na małej kanapce, wszedł podoficer NKWD z dwoma żołnierzami tej samej formacji. Trzeci żołnierz został w przedpokoju, czwarty w sieni. Wszyscy z karabinami, na karabinach bagnety.

NKWD znaczy Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Jest to ostatnie wcielenie instytucji, która w pierwszych latach rewolucji komunistycznej w Rosji straszyla świat istnieniem Czerezwycajki, była powołana do życia przez towarzysza Dzierżyńskiego, idealistę (...) filantropa, drugiego Marata, potem się nazywała GPU, a w historycznej swojej filiacji wywodzi się z ducha Iwana Groźnego, z jego Oprycyny, za caratu zaś nosiła miano Ochrony i fiołkowe mundury.

— Pańskie dokumenty? — zwrócił się do mnie bardzo uprzejmie podoficer NKWD (a może oficer?).

Podąłem mu paszport.

— Pan tutaj nie jest zameldowany — rzekł enkawudzista głosem ciepłym i serdecznie do mnie uśmiechnięty.

— Bo ja mieszkam na Starym Rynku nr 58. Wczoraj się tutaj zasiedziałem. Nie chciało mi się wracać do domu.

(...)

Potem wypełniłem blankiet z tak zwanymi personaliami: imię, nazwisko, pochodzenie, etc; uczyniłem to, leżąc w łóżku.

— Niech się pan podpisze. Położyłem podpis.

— Niech się pan ubierze. Wstałem.

Poszli do innych pokojów, zachowując się wszędzie cicho i grzecznie. Wszyscy mieli papiery w porządku, ja jeden nie miałem miejscowego meldunku.

— Jestem aresztowany? — spytałem.

— Nie. Udamy się do urzędu.

— Na godzinę dziesiątą zamówiłem furkę, którą jadę po drzewo na opał.

— Do dziesiątej pana zwolnią.

— Czy mogę wstąpić do pokoju przyjaciela, gdzie zostawiłem czapkę?

— Naturalnie.

Towarzyszył mi, oczywiście, żołnierz. (...)

Przebywałem w więzieniach i obozach sowieckich od stycznia 1940 roku do 8 marca 1942, przywykłem do wszystkich osobliwości więziennych tego okropnego kraju; do rewizji przyzwyczaić się nie mogłem, mimo że nigdy nie miałem do ukrycia ani ołówka, ani igły, ani nawet rzeczy tak bezcennej, jak odłamek szkła. Te grube paluchy, chamskie, wsuwające się do moich kieszeni czy do mojego worka po to, żeby stamtąd wydobyć moją niewinną tajemnicę, nie będącą tajemnicą, wywoływały we mnie skurcz obrzydzenia. Zaciskałem szczęki i patrzyłem na rewidenta bladymi oczyma nienawiści. Rewident spostrzegał moje spojrzenie i odpowiadał spojrzeniem bezczelnym, spokojnym, spojrzeniem gwałciciela, który się nie śpieszy.

Trzeba przyznać, że enkawudziści lubili przeprowadzać rewizje, byli w tej robocie drobiazgowi. Może za wykrycie zakazanych przedmiotów otrzymywali nagrody?

(...)

Najniecierpliwiej wyczekiwany przedmiotem przesyłki więziennej były papierosy. Jako niepalący nie rozumiałem siły tego nałogu, a ponieważ w moim przeświadczeniu papieros nie jest przedmiotem pierwszej potrzeby człowieka, a poza tym jest przyzwyczajeniem szkodliwym dla organizmu, więc nawet się dziwiłem, że władze więzienne pozwalają więźniom na posiadanie tego zbytku. (...)

Później widziałem więźniów, którzy za garstkę machorki oddawali swoje skromne racje jedzenia. Woleli nie jeść, niż nie palić. (...)

Pod koniec 1941 roku znalazłem się w grupie skazańców, jadących do obozu katorżniczego na północnym Uralu. Jechaliśmy tzw. stołypinówkami, wagonami specjalnymi, wprowadzonymi do sądownictwa rosyjskiego przez ministra Stołypina w okresie dławienia rewolucji 1905-8 roku. W porównaniu z wagonami, w których odbywałem poprzednie etapy, te wydały mi się po prostu cackami.

Można by je nazwać sleepingami więziennymi. Ta sama konstrukcja, co sleepingów, tylko że zamiast kanap materacowych — siedziska, czyli leżaki drewniane i zamiast dwu pięter, trzy piętra, zresztą najzupełniej wygodne, jeżeli zabierają przepisową ilość pasażerów. Każde coupś posiada duże okno, oszklone drzwi, okna i drzwi przyozdobione cieniutką siecią krat metalowych, ślicznie połączonych czy może brązowych. Drzwi coupe są zamykane małym kluczykiem i na mały łańcuszek, duże drzwi wagonowe mają zamek większy.

Wyznaję, że widok tego wagonu w innym nieco świetle mi przedstawił i okrucieństwo caratu i przysłowiowo potworną dzikość Stołypina. Oczywiście, na tle więźniarek bolszewickich, którymi mnie dotąd wożono. Były to tzw. ciepłuszki, zwykle wagony dla bydła, o dwu maleńkich okienkach, ciemne, brudne, nie otwierane w czasie upału, więc duszne, i na każdej stacji w dzień i w nocy badane przy pomocy żelaznego drąga czy są całe, czy więźniowie nie naruszyli dachu, ścian lub podłogi. Enkawudziści włączają na dach, pod wagon, i okładają boki, dół i górę wozu żelaznymi pałkami z nieprawdopodobną zawziętością. Wolę stołypinówki.

(...)

Budzono nas co rano bardzo wcześnie, jeszcze po ciemku. To znaczy, że ciemno było na dworze, bo w celi całą noc świeciła żarówka. Pierwsze słowo, jakieśmy słyszeli, było: Padnimajsia! drugie: Bystro!. W ciągu dwu minut musiało się być gotowym do wyjścia na korytarz. Tam stawaliśmy parami z rękami splecionymi z tyłu (w rękach ręcznik, lub gałgan) i po chwili rozlegał się półgłosny rozkaz:

— Dawaj! Bystro!

Szliśmy do umywalni.

Poza tym kultura bolszewicka znakomicie wzbogaciła słownik rugatelińskich słów i zwrotów, zwłaszcza zwrotów. Wpajanie w szerokie masy materialistycznego poglądu na świat rozpoczęto od podstaw, więc do najśtywniejszego rosyjskiego zwrotu obelżywego o matce, do tak zwanego matiernawo rugateliństwa wprowadzono jedno z najbardziej umiłowanych imion religii chrześcijańskiej.

(...)

O tym, co się działo we Lwowie, w Polsce i na świecie, dowiadaliśmy się od nowych towarzyszków więziennych i z podniesionego ukradkiem na podwórzu więziennym, na korytarzu czy gdzie indziej kawałka gazety.

Kiedys się zdarzyło, że do przegrzewania bielizny i ubrań naszych w łaźni wzięli enkawudziści do pomocy już skazanego więźnia, Żyda, i tego Żyda wypytał zręcznie młody Żyd z naszej celi, odbierając swoją przegrzaną bieliznę, przy czym rzucał od niechcienia krótkie zdania w żargonie.

Próbowaliśmy również zadawać pytania lekarzowi. Był to Żyd lwowski, człowiek młody, z usposobienia raczej wesoły, ale natychmiast poważniejący, kiedy się wykraczało poza rozmowę o

zdrowiu. Co prawda, niekiedy tylko zostawał sam w gabinecie, zawsze mu „pomagała” „siostra”, czasem Ukrainka, częściej Żydówka, a na korytarzu, pod uchylonymi drzwiami, czuwał ponury, bo znudzony, żołnierz. W czarnych oczach doktora i na jego rumianej, puciołowatej twarzy nieraz malował się strach. Jako lekarz więzienny musiał być komunistą, o czym nie umieliśmy pamiętać, zasugestionowani przez fakt, że przecież był lwowianinem.

(...)

Z towarzyszami, którzy opuszczali naszą celę na zawsze (sobirajsia s wieszczami — zabieraj się z rzeczami), omawialiśmy znaki, jakimi mają nas zawiadomić, że są na wolności. W ciągu pięciu miesięcy mojego pobytu w więzieniu zamarstynowskim nie doszedł nas żaden z tych znaków, czyli że nikt z naszych kolegów więziennych nie wy dostał się na wolność.

W dwa lata później dowiedziałem się przypadkiem, nie pamiętam już od kogo, że pan Weryński znajdował się w więzieniu kijowskim (...). Już na Zamarstynowie pan Weryński miał cerę woskową, oczy bez blasku, mówił mało i kiedyś mi powiedział, że więzienie go przygnębia. Aresztowano go isticie po bolszewicku. Urzędował jako wiceprezydent miasta Lwowa jeszcze za okupacji sowieckiej i, oczywiście, stykając się nieustannie z władzami sowieckimi. Pewnego rana oficer sowiecki zawiadomił pana We-ryńskiego, że o godzinie pierwszej oczekuje go u siebie w sprawach urzędowych towarzysz taki a taki.

— Dzisiaj o pierwszej nie zdążę — odpowiedział pan Weryński. — Mam do załatwienia pilne sprawy, muszę być tam a tam. Może jutro?

Następnego dnia pan Weryński pojechał ze wspomnianym oficerem do wspomnianego urzędu, wszedł do gabinetu wspomnianego towarzysza i zastał tam dwu enkawudzistów, którzy go niezwłocznie zabrali do więzienia. Nazajutrz kazano mu sprzątać klozety. I pan W., rzekomy „trockista”, młodzieniec sprytny, nie zawiadomił nas, że jest na wolności, i pan W.R., chłopiec biedny, prawdziwy proletariusz, z przekonania komunistą lub prawie, wezwany na sprawę sądową („z rzeczami”), widocznie również nie wzbudził zaufania przedstawicieli reżimu sowieckiego, bo od niego nie mieliśmy sygnału.

(...)

Po zamarstynowskiej małej celi poklasztornej, kamera horodnieńska o dwu oknach wydawała mi się obszerna. Ze względu na ilość więźniów, ilość zmienną, od trzydziestu jeden do trzydziestu siedmiu osób, nie mieliśmy w niej luzu, ale nie byliśmy tak ściśnięci, jak w więzieniu na Zamarstynowie.

I „umeblowanie” kamery było bogatsze. Dostaliśmy duży stół kuchenny, trzy czy cztery małe szafki na naczynia (oczywiście, za mało na tylu lokatorów), trzy proste stołki, któreśmy nazywali taburetami, wiadro na wodę do picia, dość dużą paraszę. Sienników nie starczyło dla wszystkich, więc sypiałem na swoim palcie. Sen miałem znakomity, mimo że palto było twarde jak deska.

Inni więźniowie upomnieli się o słomę do sienników. Słomy nie było w Horodni. Sienniki zawierały po kilka cienkich gałązek, nie wiem jakich krzaków, i panowie W., Babecki i Kowalski co wieczór „wzburzali” te sienniki, niby poduszki z pierzem, w myśl klasycznego przysłowia: „jak sobie pościelesz, tak się wypisiesz”, a nazajutrz rano pan Babecki mówił do mnie z zazdrością: — Jak pan prędko zasypia! Ledwie pan przyłożył głowę do... postania, już pan śpi!

Tak. Bez poduszki, na twardym, a gdy nadeszły zimna, okryty ręcznikiem żyrardowskim i marynarką, ponieważ nie miałem koca, w ciężkim powietrzu, zatrutym przez oddechy i niepachnący pot tyłu ciał ludzkich, spałem wyśmienicie.

Budzono nas przed świtem, wyprowadzano po ośmiu do okropnego wychodka, rozdawano po sześćset gramów czarnego chleba, przeważnie dobrego, podawano wiadro herbaty, nie wiadomo z czego zrobionej, i szliśmy na czterominutowy spacer, w lecie po piachu, w zimie po śniegu i ślizgawicy, na wiosnę po błocie.

Na podwórku więziennym stały dwie krzywe latarnie naftowe, jedna z nich o okienku, które się nie domykało. Piętrowy stary mur otaczał podwórzec i łączył budynki. Więzienie miało przeszło sto lat i posiadało wdzięk małomiasteczkowości słowiańskiej, pochylone mury, niezdarne drzwi, ciężkie i skrzypiące, artretycznie spęczniałe schody, krótkie rynny, sterczące w bok, żeby odchlusnąć wodę jak najdalej od muru, tuż u głównego wyjścia bajoro i rynsztok, a wśród tego wszystkiego dozorca NKWD, powtarzający z zaciętością:

— Czystość! Kultura!

(...)

Oprócz latarni naftowych światłem przerywanym oświetlała kąt podwórca więziennego pospolita żarówka, wisząca na drucie przeciągniętym byle jak od budynku więziennego do latarni ulicznej. W naszej kamerze (nr 1) również była żarówka, która co wieczór świeciła przez pierwsze pięć minut jasno, po czym jej światło żółkło, aż w końcu dochodziło do koloru zgorączkowanej uryny. Tak wygląda elektryfikacja „wszystkich miast i wsi sowieckich”.

Czytałem wiersz Majakowskiego na chwałę żarówki, coś w rodzaju rymowanego ogłoszenia kupieckiego w prowincjonalnych czasopismach polskich. Majakowski jest w Związku Republik Radzieckich uważany oficjalnie za Puszkina nowej ery cywilizacyjnej, jest największą gwiazdą na niebie „literatury proletariackiej”. Majakowski się zastrzelił. Myślę, że jego spotkanie w przestworzach nieśmiertelności z twórcą Eugeniusza Oniegina musiało być burzliwe.

— Hej, ty, żarówko! zawołał do niego Puszkina. — 'Paszoł won ot siuda! — a że lubił za życia używać przekleństwa matiernego, więc zapewne i po śmierci przy tak wybornej sposobności...

(...)

Co dzień po śniadaniu zachodziła do nas lekcom, pomocnica lekarza, coś w rodzaju felczera. Miała pod pachą papierowe pudełko, w nim trochę lekarstw. Obskakiwali ją więźniowie, dopominając się o środek na wzmocnienie serca, o proszek przeciw bólowi głowy, o krople przeciw biegunce, o maść na wysypkę, o bandaż na skaleczenie, o jodynę, niektórzy prosili o zapisanie ich „do doktora”, inni zwracali jej uwagę na niewystarczające wyżywienie. Proszków przeciw bólowi głowy nie dawała, aspiryny przeważnie brakowało, zamiast jodyny używano czegoś innego, przeciw „darcu kości” otrzymywaliśmy amoniak, serce wzmacniała „walerianką”. Narzekającym na niewygody więzienne, złe powietrze, krótkość spaceru, rzadkość łaźni, brak materaców, odpowiadała ze złością:

— Nie trzeba było robić tego, czego nie trzeba! (...)

W kilka tygodni po przybyciu do Horodni zaraziłem się świerzbem. Poszedłem do doktora. Doktor mnie obejrzał, zapisał maść i posłał do szpitala. Towarzysze mi zazdrościli, bo szpital w więzieniu znaczy lepsze jedzenie.

Otóż szpital w więzieniu horodnieńskim była to po prostu taka sama cela więzienna, mała, o czterech łózkach, na których leżały materace cienkości naleśnika bez konfitur. Pod materacami zamiast sprężyn, deski. Łóżka były żelazne, najtańsze, najordynarniejsze i kalekie, skrzypiały nie tylko wtedy, kiedy się człowiek na nich poruszał, ale przy najlżejszym powiewie od okna. (...)

Nazajutrz lekarz przyniósł dwie porcje maści, jedną dla mnie, drugą dla drugiego chorego (jednocześnie ze mną przybył do szpitala niejaki pan Mrozek, również świerzbowaty) i kazał się nam tą maścią koloru ciemnobrązowego dokładnie wysmarować. Postanowiliśmy to zrobić po śniadaniu.

Śniadanie nas zawiodło. Liczyliśmy na mleko, któregośmy nie widzieli (przynajmniej ja) od pół roku, albo raczej od ośmiu miesięcy, tj. od czasu trafienia do więzienia. Otrzymaliśmy taki sam jak wczoraj zabarwiony wrzątek, tylko że nie po jednym kubku, ale pół wiadra na dwu. Mnie to nie olśniło, kubek mi wystarczał, za to pan Mrozek, ku cichemu memu podziwowi, wchłonął niemal całą zawartość kubeczka, przy jednoczesnym schrupaniu w tempie błyskawicznym sześciuset pięćdziesięciu gramów chleba, całej racji dziennej, świerzb nie psuje apetytu.

Rozebraliśmy się do naga, zaczęliśmy się smarować. Każdy siebie. Była to robota ciężka ze względu na jakość lekarstwa. Maść z każdą chwilą stawała się twardsza, my coraz bardziej zdyszani, ciała nasze coraz więcej obolałe. Długośmy po tym zabiegu odpoczywali.

Na obiad, czyli na kolację, dostaliśmy zwykłą zupę więzienną, tylko że w większej ilości. Przed spaniem znów pół wiadra zabarwionego wrzątku.

W dwa dni później obejrzał nas doktor. Nie był zadowolony z naszego smarowania, obiecał nową porcję maści, lepiej spreparowanej, kazał -nam się smarować ponownie i nosić na sobie tę obrzydliwość czterdzieści osiem godzin.

Lekpomy przyniosła nam maść jeszcze ciemniejszą i jeszcze twardszą. W obawie, że zedrę z siebie skórę, przerwałem nacieranie, a lekarstwo utopiłem w paraszy. W trzy dni później zjawił się doktor, obejrzał nas w milczeniu, głęboko się zamyślił, i przepisał nam łaźnię.

Nazajutrz zaprowadzono nas pod prysznic. Byliśmy tylko we dwu, więc się wygodnie wyszorowali jakimś kawałkiem mydła, nie mniejszym niż czternastokaratowy brylant i, zachwyceni kuracją, wróciliśmy każdy do swojej celi. Oczywiście, pod ścisłym dozorem żołnierza NKWD.

Okazało się, że to, co doktor uważał za świerzb, było dziełem wszy.

Do roboty nas nie brano, ponieważ nie byliśmy jeszcze osądzeni. We wrześniu wyszło na jaw, że i śledztwo w naszych sprawach nie było zakończone. Zjechali do Horodni towarzysze śledczy, podobno ze Lwowa, i na nowo rozpoczęło się badanie. Po-nocne. Ledwieśmy się rozebrali i przyłożyli do poskręcanych na-c*ych łachów, zgrzytał klucz w zamku, drzwi się otwierały, na progu stawał żołnierz i półgłosem wymawiał nazwisko, czasem dwa. Nie rozpoczynał od wezwania:

— Na literę „he”!

Ale po prostu mówił nazwisko, nieraz wyinaczone.

W godzinę albo dwie później kogoś wprowadzali. Wracający o różnych porach nocy skwapliwie dopadali swoich legowisk, ponuro milczeli, inni nerwowo szeptali najbliższym sąsiadom, o co byli zapytywani, co odpowiadali, a byli i tacy, którzy zapalali papierosa, siadali oparci o ścianę i dopiero rozkaz „korytarzowego” powalił ich na ciasne wyrko, ale i wówczas palili ukradkiem papierosa po papierosie późno w noc do rana.

Wezwano i mojego bezpośredniego sąsiada z lewej strony, pana Babeckiego. Gdy w dwie godziny później wrócił do kamery, zapalił papierosa, ponieważ palił nałogowo, a korytarzowy nie mógł widzieć przez okienko we drzwiach, co się dzieje pod naszą ścianą. Zaciągnąwszy się dymem pan Babecki milczał. Nie zadawałem mu pytań. W pewnej chwili wzruszył ramionami i rzekł lekceważąco:

— Długo czekałem. Przesłuchiwał kogo innego.

Pan Babecki przymrużył oczy z powodu gryzącego dymu machorkowego, który wypuścił razem z wydechem i opryskliwym tonem powiedział:

— Ze mną trwało krótko. Znów wzruszył ramionami. (...)

Traciłem siły. Aż mnie to zaniepokoiło. Nie miałem zamiaru kończyć kariery życiowej w więzieniu. Zacząłem rozmyślać nad znalezieniem sposobu, który by mi wrócił krzepkość. Przede wszystkim należało więcej jeść i potrawy esencjonalniejsze.

Tłuszczów nie dostawaliśmy wcale. Cukru — kostkę dziennie (później sypki równoważnik kostki), rzadką zupę roślinną dwa razy dziennie, bardzo mało kaszy raz dziennie, małe rybki solone, oczywiście nie codziennie, i co rano sześćset gramów czarnego chleba. Pęcaku, który mi tak smakował w więzieniu lwowskim, w Horodni nie było.

W sklepiku więziennym (ławoczka), bywała przeważnie machorka, papierosy, bibułka i zapałki. Raz tylko w ciągu dwu lat sprzedano nam dodatkowo chleb, kilka razy cebulę i czosnek i trzy razy ser. Cebula była w pięćdziesięciu procentach zepsuta. Dwa

czy trzy razy kupowaliśmy suchary w najgorszym gatunku i dwa czy trzy razy sprzedano nam trochę lichej słoniny. Ale i tegośmy nie mogli nabywać, dopóki nam ze Lwowa nie przysłano naszych księżeczek pieniężnych, a na te księżeczki czekaliśmy kilka miesięcy.

(...)

Chyba jeszcze w grudniu, ale nie później niż w styczniu, wręczono mi akt oskarżenia. Oskarżano mnie na podstawie trzech paragrafów kodeksu ukraińskiego, o ile się nie mylę, 54-10, część II, 54-13 i 80. (Ten akt oskarżenia i dwa wyroki udało mi się wywieźć z obozów karnych na Uralu do Kujbyszewa, skąd je Ambasada Polska przesała pocztą dyplomatyczną do naszego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji w Londynie).

Oskarżenie brzmiało: W sztuce pt. Lenin Grubiński oczercił „geniusza ludzkości, Lenina”, a w ciągu dwudziestoletniej swojej działalności pisarskiej szkodził klasie robotniczej przez występowanie w „byłej Polsce” na łamach prasy burżuazyjnej przeciw partii komunistycznej i Związkowi Republik Sowieckich. Dalej: w grudniu 1939 przekroczył nielegalnie granice „państwa sowieckiego”, był

schwytyany po stronie litewskiej przez straż litewską, aresztowany i wrócony do „państwa sowieckiego”.

Państwem sowieckim akt oskarżenia nazywał obszar, siłą zabrany Polsce przez Sowiety w drugiej połowie września 1939 na zasadzie umowy Ribbentrop — Mołotow. Uciekłem nie z państwa sowieckiego, lecz z Polski, przekroczyłem ówczasie wytkniętą przez okupantów sowieckich „granicę” litewską o kilkanaście, czy kilkadziesiąt kilometrów za Lida, przenocowałem tam u zdradzieckiego chłopa, idealnie podobnego do molierowskiego Harpagona w interpretacji Solskiego, rano zaś przyszła straż — aresztowanie, rewizja, druga rewizja na odwachu. I po kilku godzinach odstawiono nas do prowizorycznej linii granicznej, gdzie się mną zajęła straż sowiecka.

(...)

Akt oskarżenia pokazałem ze śmiechem bezpośrednim sąsiadom w celi (było nas blisko czterdziestu) i panu L.L., prawnikowi z wykształcenia. Moi koledzy więzienni nie widzieli w akcie oskarżenia nic zabawnego, a pan L.L. mi poradził, żebym się i dobrze namyślił nad obroną, bo mogę już jutro stanąć przed sądem.

Ale ja wzruszyłem ramionami. Po pierwsze, sprawiedliwość sowiecka jest posłusznym instrumentem rządu, a po .drugie, co mnie może obchodzić wyrok taki czy inny! Wojna się skończy, więzienia się otworzą. Bo, oczywiście, wojna się skończy zwycięstwem Anglii- Ten akt oskarżenia nie ma rzetelnych podstaw prawnych, jako rdzenny obywatel państwa polskiego napisałem w Polsce przed dwudziestu laty sztukę poważną, prawda że ideowo przeciw komunistyczną, ale nie w sensie agitacji politycznej. Zresztą, gdybym nawet był napisał utwór agitacyjny, propagandowo-polityczny, nie mogą mnie zań ściagać sądy sowieckie, ponieważ rzecz napisałem u siebie, w Polsce, jako obywatel polski, a w Polsce wypowiedanie się na wszelkie tematy jest konstytucyjnie dozwolone. Zagraniczny kodeks karny nikogo w jego kraju nie obchodzi. Nie mam obowiązku znać kodeksu japońskiego, sowieckiego czy dahomejskiego.

— Inaczej się na to zapatrują władze sowieckie — odpowiedział mi pan L.L. — Według prawodawcy sowieckiego za głoszenie opinii przeciw komunistycznym odpowiada przed sądem każdy obywatel każdego państwa na świecie w chwili, gdy się znajdzie w zasięgu trybunału sowieckiego.

— Ależ to jest nielogiczne!

— Takie jest prawo sowieckie.

(...)

Domyśliłem się, że skoro moja sprawa była przesłana z Kijowa do Moskwy, Kijów również wydał wyrok śmierci. Pozostawała mi najostateczniejsza instancja. Najwyższy Sąd, orzekający w Moskwie dla wszystkich republik radzieckich.

Po odwołaniu się do Najwyższego Sądu kijowskiego i po zapewnieniu mnie przez naczelnika więzienia, że mi zmienią karę najwyższą na terminową, miałem przez kilka dni cień nadziei. Ale skargę kasacyjną do Moskwy pisałem już wyłącznie dla satysfakcji pisania, jakby nie o mnie chodziło, jakbym pisał powieść, w której mój bohater znajduje się w takim właśnie położeniu.

Nie miałem nadziei, że odpowiedź przyjdzie pomyślna. Sytuację moją pogarszał drugi wyrok śmierci. Trzeci komplet sędziowski nie zechce się wykazać mniejszą gorliwością w wymiarze kary za uchybienie „geniuszowi ludzkości”. Mógłby popaść w podejrzenie o sabotowanie najbardziej zasadniczego dogmatu wiary bolszewickiej. Na to się nie narazi. A kiedy znów upłynął tydzień, nabrałem nowej pewności, że będę stracony. Może dziesięcjej nocy, może jutro.

Pewnego przedwieczera leżałem na sienniku i rozważałem, jaki rodzaj egzekucji najbardziej by mi przypadł do smaku. W Polsce wieszają. Nie! Obrzydliwe! W Anglii również wieszają, ale jeszcze paskudniej, bo się spada na długim sznurze pod usuniętą nagle podłogę. W Niemczech odrąbują głowę toporem. Ohydne! Już lepiej we Francji: gilotyna. Bądź co bądź, nie człowiek rąbie. Uderzenie jest precyzyjniejsze, maszynowe. Tylko że to wstępowanie na szafot, kładzenie się na deskę, to podsuwanie deski razem z człowiekiem pod bramkę z nożem!... okropny jest ten zabieg przedoperacyjny! W Stanach Zjednoczonych elektryczne krzesło. Przywiązywanie rąk do fotela i na głowę hełm, również przytwierdzony do fotela, bo uderzenie prądu jest tak silne, że delikwent nie przymocowany byłby wyrzucony pod sufit. A przedtem spacer między celami więziennymi, gdzie siedzą inni skazańcy, i każdy jakimś słowem żegna idącego, który za kilka minut stanie się węglem.

Wolę rozstrzelanie! Pluton żołnierzy, komenda, salwa, koniec. Nikt mnie nie dotyka, stoję sam i sam upadam. Lepszy i strzał z rewolweru w tył głowy. Ze świadomości walę się raptem w wielkie „Nie wiem”!

Odetchnąłem z ulgą, że grozi mi rozstrzelanie.

Zaczął się piąty tydzień mojego odosobnienia. W połowie dnia dozorca otworzył drzwi i powiedział, że zaraz pójde do łaźni. Ucieszyłem się, ponieważ byłem brudny. Myłem się pseudoherbatą, której sobie trochę zostawiałem co rano i wycierałem się chustką do nosa. Ucieszyłem się i z tego jeszcze względu, że łyknę świeżego powietrza, bo do łaźni szło się przez podwórze, jakieś dziesięć kroków.

Łaźnia była zepsuta, ale dostałem dwa wiadra wody, zimnej i gorącej, i mały kawałek mydła, trudny do utrzymania w palcach. Komfortem było to, że się myłem bez towarzyszków, nie w ścisiku, jak to się odbywało dotychczas. Pilnowało mnie dwóch żołnierzy.

(...)

Na drugie danie dawano nam trochę kaszy. Zjadłem swoją porcję ze smakiem i zwracałem talerz przez okienko, gdy drzwi się otworzyły i weszło do sali dwóch małych i chudych żołnierzy NKWD.

Spotkanie było tak niespodziewane, że mnie przeszedł dreszcz. Obaj byli w szynelach, obaj byli powolni, obaj położyli na mnie swoje spokojne spojrzenie. Znieruchomiałem z talerzem w ręku. Przeleciało mi przez myśl, że przyszli mnie zabić. Nigdy o tej porze nie wchodzili do celi żołnierze i nigdy nie widziałem tych dwóch małych enkawudzistów, wyglądających na niepozorne dwa stworzonka o straszliwej sile zabijania, jak jadowite pająki, skorpiony czy muchy. Jeden z nich powiedział flegmatycznie:

— Oddaj!

Dotyczyło to talerza, który trzymałem w ręku. Drzwi się już zamknęły. Zapukałem w okienko, zezem badając każdy ruch żołnierzy, a raczej ich prawie nieruchomość. Bliższy nie wyjmował ręk z kieszeni szynela; mogło się wydawać, że ściska w garści rewolwer. Drugi stał tuż za nim.

Okienko się otworzyło, musiałem się odwrócić od żołnierzy. „Teraz mogą mnie zastrzelić z tyłu” — pomyślałem. Ogarnęło mnie głębokie zniechęcenie do wszystkiego; nie potrafię inaczej nazwać tego uczucia. Zniechęcenie z odcieniem obrzydzenia. W tej chwili pożegnałem się z życiem.

Korytarzowy wziął ode mnie talerz, okienko się zamknęło. Znów spojrzałem na małych żołnierzy. Ten z rękami w kieszeni wciąż mi się przyglądał. „Co będzie dalej?” — myślałem. Milczeli. Ten znad materaca podniósł materac: zaczęło biec po podłodze kilka stonóg. Drugi rzekł spokojnie:

— Rozbieraj się!

Zdjąłem powoli marynarkę, położyłem ją przy sobie na podłodze; zdjąłem kamizelkę...

— Czy i koszulę? — zapytałem, gdy spadły ze mnie spodnie.

Zacząłem zdejmować koszulę. We wzroku żołnierza zaszła wyraźna zmiana. Wydało mi się, że mnie zrozumiał, że i jego ogarnęło to samo co mnie, bezgraniczne zniechęcenie, smutek, nie mający końca. Powiedział:

— Nie trzeba.

Sięgnął po marynarkę. Obejrzał ją niedbale, włożył rękę do kieszeni.....Ach, więc to jest tylko rewizja"! — pomyślałem. Ale zniechęcenie mnie nie opuściło.

Drugi żołnierz, obmacawszy materac i zrewidowawszy palto, wziął z kąta owe pantofle sznurkowe, otrzymane przeze mnie od naczelnika w pamiętny wieczór po procesie. Z jednego z tych pantofli wysypały się twarde kulki.

— Co to jest? — zapytał żołnierz.

— To jest mój kalendarz — odpowiedziałem.

Co dzień robiłem z chleba jedną kulkę i rzucałem do pantofla. Ósmego marca odbył się proces, pierwszą kulkę zrobiłem dziewiątego. W ten sposób zapisywałem, ile dni upłynęło od czasu, gdy mnie wprowadzono do „pojedyńki”, i wiedziałem jaki jest dzisiaj dzień i miesiąc.

— Nie wolno — rzekł żołnierz. Wysypał kulki do paraszy. Popatrzyli na mnie i wyszli. (...)

Pewnego popołudnia, koło godziny szóstej, usłyszałem kroki licznych osób na korytarzu. Drzwi mojej celi się otworzyły i wszedł wysoki mężczyzna w rozpiętym palcie, brodaty, bo nieogolony, typowy więzień bolszewicki. Za nim wszedł naczelnik, na progę został dyżurny.

— Przyprawdzam panu towarzysza — rzekł naczelnik. — Zalcman-Sulikowski.

Brodacz wyciągnął do mnie rękę, wymieniając swoje nazwisko, raczej tylko pseudonim.

— Sulikowski — powiedział.

— Otrzymał również najwyższy wymiar kary — rzekł naczelnik.

— Czyby mu pan nie zechciał pomóc w napisaniu skargi kasacyjnej? On nie zna języka rosyjskiego.

Dyżurny rzucił na podłogę worek, czyli siennik.

— Będzie pan miał z kim rozmawiać — powiedział naczelnik, a zwracając się do Sulikowskiego przed opuszczeniem celi, powiedział:

— Panu zmienią wyrok.

Zostaliśmy we dwóch, ja i pan Sulikowski.

— Woli pan leżeć bliżej drzwi, czy bliżej okna? — zapytałem.

— Wszystko mi jedno — odpowiedział pan Sulikowski. — Nie chciałbym zakłócać pańskich przyzwyczajień.

— Znam pana z widzenia i trochę ze słyszenia. Pokazano mi pana na „przejściówce” we Lwowie, przy tym powiedziano, że pan jest komunistą.

— Tak. Jestem.

— I dostał się pan do więzienia?

— Ano... tak. Za trockizm. Ale ja nie jestem trockistą. Właśnie wracam z sądu. Sprawa się toczyła od rana do tej pory. Niewiarygodne! (pan Sulikowski się uśmiechnął). Za uchył za odchylenie w interpretowaniu Marksza, skazali mnie na rozstrzelanie. Naczelnik mi powiedział w bramie: „Niech pan nie upada na duchu”. Daję panu słowo honoru, że wyrok mnie tylko rozśmieszył. I w ogóle cały ten proces nie mieści mi się w głowie. Nie rozumieją, co do nich mówię. Słuchają mnie, ale nie słyszą moich argumentów. Wiem, że w ciągu pięciu dni mam być rozstrzelany i nie mogę się do tego ustosunkować poważnie. Proces mi się wydaje niepoważny. Wiem, że to wszystko dzieje się naprawdę, że tu naprawdę chodzi o moje życie i jednocześnie wydaje mi się to wszystko nie poważne.

— Doznawałem czegoś bardzo podobnego.

— Miejscowa ludność musi inaczej reagować, bo sędzia był zaskoczony moim spokojem po odczytaniu wyroku. Trzy razy zapytywał, czy rozumiem, na co mnie sąd skazał. Oni tu muszą bardzo łatwo „upadać na duchu”.

— Niech pan sobie przypomni sławne procesy moskiewskie, Zinowiewa, Bucharina... To ich kajanie się! Długie lata walczył z caratem, potem za bolszewizmu, o swój punkt widzenia komunistycznej Rosji, i w końcu przed pójściem pod mur bije pokłony batiuszce Stalinowi, jak nieomylnemu!

— Już inaczej zachowywał się Radek, bo Radek pochodził z Polski.

Przez trzy dni, z przerwą nocną na spanie, oddawałem się nieustannej rozkoszy rozmawiania z moim niespodziewanym towarzyszem niedoli. Po pięciu czy sześciu tygodniach samotności miałem współlokatora!

Na trzeci dzień przyszedł do więzienia obrońca pana Sulikowskiego. Po krótkiej z nimi rozmowie w kancelarii pan Sulikowski powiedział, że skargę kasacyjną napiszę mu ja. Na co obrońca (jak mi powtórzył pan Sulikowski): „Czytałem skargę Grubińskie-go. Dobrze napisał. Bardzo dobrze napisał”.

Najwyższy Sąd w Kijowie zareagował na tę skargę powtórным skazaniem mnie na śmierć.

Tego samego dnia dostaliśmy papier, pióro, „taburet” i stolik.

Naradziliśmy się i napisałem skargę, którą pan Sulikowski uznał za dobrą.

— Będzie zabawne, jeżeli pan otrzyma odpowiedź przede mną. Pańska sprawa jest o wiele prostsza. Spraw o torckizm mają wiele, pańskie wyjaśnienia są przekonywające. Był pan współpracownikiem „Czerwonego Sztandaru” od chwili wkroczenia bolszewików do Lwowa, obserwowali pana przez kilka miesięcy na tym stanowisku, a oskarżają pana za „błędy przeszłości”, za artykuły, które pan pisywał przed wojną w polskiej prasie.

— Myliłem się. Bieg wypadków wskazuje, że jednak Stalin miał rację, nie jego przeciwnicy. Zrozumiałem to od razu po wkroczeniu czerwonej armii do Polski.

— Dlaczegoż oni się czepiają pańskich „starych grzechów”? Przecież kilka miesięcy należał pan do składu redakcji bolszewickiego „Czerwonego Sztandaru” i było dobrze!

— Tak. Zadenuncjowali mnie moi serdeczni przyjaciele, koledzy redakcyjni, z którymi jeszcze przed wojną żyłem naprawdę w najściślejszej przyjaźni.

(...)

Pan Sulikowski, o ile się nie mylę, wykładał przez pewien czas we Lwowie historię Polski w szkole. Władze bolszewickie uważały to za przestępstwo prawie takiej wagi, jak pełnienie funkcji policyjnych w państwie kapitalistycznym. Podczas naszych rozmów było rozmiłowanie się pana Sulikowskiego w historii Polski. Dziwny komunista, rozkochany w dziejach „Rzeczypospolitej panów” i w polskiej literaturze! Zauważyłem, że nie tylko dobrymi, ale nawet miernymi powieściami polskimi ostatniego dwudziestolecia był zachwycony.

(...)

Nocną służbę przy mojej celi objął żołnierz głupi, ale o dobrym sercu. Dawał mi zazwyczaj „lepszy” kawałek chleba i słyszałem przez drzwi, jak kiedyś się użerał z dziewczyną, nakładającą z kotła jedzenie dla mnie:

— Daj mu więcej! Co ty tak? Och, ty!

Wyciągnąłem się na sienniku zadowolony, że na korytarzu pilnuje mnie dzisiaj nie zwierzę. Wiedziałem oczywiście, że jeżeli przyjdzie rozkaz wyprowadzenia mnie pod mur, ten żołnierz o dobrym sercu nie będzie mnie bronił. Ale przynajmniej nie będzie na mnie patrzył z nienawiścią. Dziwne, ale to przeświadczenie robiło mi przyjemność. Zasympałem, odczuwając bliskość kogoś życzliwego. Jak, w gruncie rzeczy, niewiele potrzeba człowiekowi!

Wśród nocy obudził mnie szelest otwieranego okienka. Natychmiast siadłem na sienniku. Ujrzałem twarz dozorczy i jego rękę szybko zatrzaskującą okienko. Wstałem, zapukałem do drzwi. Dozorca nie

odpowiedział. Zapukałem mocniej. Cisza. Zapukałem jeszcze mocniej. Ani się okienko nie otworzyło, ani nawet się nie odsłonił „judasz”. Znow uderzyłem kilkakrotnie w drzwi, bo przecież za drzwiami był żołnierz o dobrym sercu: widziałem go przed chwilą w okienku!

Mimo że pukałem dosyć mocno, co w nocy wydawało się jeszcze głośniejsze, żołnierz okienka nie otworzył i nie zapytał mnie, o co chodzi. Oczywiście nabrałem pewności, że na korytarzu stoją oprawcy. Nie mogli mnie zaskoczyć wczoraj, przyszli dzisiaj. Widocznie mają wyraźny rozkaz naczelnika wziąć mnie znienacka. Może nawet jest z nimi naczelnik? Nie udało im się wejść do celi znienacka, podczas mojego snu, więc czekają żebym znow zasnął, albo odkładają robotę do jutra.

Czekałem pode drzwiami kilka minut, z korytarza nie doleciał mnie najlżejszy szelest. Cóż było robić? Położyłem się na worku, nakryłem się paltem, zasnąłem.

(...) przeniknął mnie nagły żal, że jednak będą mogli ze mną postąpić według swego upodobania, że umrę takim sposobem, jaki oni zechcą zastosować, przeniknął mnie żal na wskroś i — nie wiem, jak się to stało — wstrząsnęło mną szlochnięcie, jedno i drugie, ciche, ale z najostatniejszej głębi mojej istoty.

I natychmiast się uspokoiłem. Doznałem ulgi. Ulgi, która była więcej niż ulgą: rozkoszą!

Stałem tyłem do drzwi. Ukradkiem otarłem łzy, postąpiłem ku oknu, zapatrzyłem się w chmury.

Był to siedemdziesiąty siódmy dzień czekania na odpowiedź sądu.

(...)

Okienko we drzwiach się otworzyło i zamajaczyła w nim twarz, która mi się nie wydała twarzą korytarzowego. Szkła zabrano mi jeszcze na Zamarstynowie, więc niezbyt dobrze widziałem rysy twarzy o kilka kroków ode mnie i ocienione stałym półmrokiem korytarza. Wstałem z siennika i podszedłem do drzwi.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł, panie naczelniku! — powiedziałem, ujrawszy obywatela Moskalkę. — Niech mi pan pozwoli pójść na przechadzkę. Mnie się już kręci w głowie! Od trzech miesięcy nie byłem na spacerze.

— Pójdzie pan na spacer — odpowiedział cicho, jak zawsze,

naczelnik. — Zmienili panu wyrok.

Nie zrozumiałem tego drugiego zdania; zapewne naczelnik za cicho je powiedział. Ale, zanim zdążyłem go zapytać, co mówi, okienko się zamknęło.

W tej samej chwili zgrzytnął zamek, otworzyły się drzwi i do celi wszedł naczelnik.

— Zmienili panu wyrok. Dostał pan dziesięć lat zamknięcia i cztery lata pozbawienia praw obywatelskich (... cztery lata parażenia).

— Przyszła odpowiedź z Moskwy?

— Niech się pan podpisze.

Podał mi karteczkę niewiele większą od biletu tramwajowego. Było na niej napisane „Niezwłocznie zawiadomić Grubińskiego, że Sąd Najwyższy zmienił mu wyrok na...” itd. Spojrzałem na datę. „Niezwłoczne” zawiadomienie podróżowało z Moskwy do Horodni sześć dni!

Podpisałem.

- Zaraz pan przejdzie do celi ogólnej.
- Czy mógłbym wrócić do tej, z której poszedłem na sprawę?
- Nie wolno. Przejdzie pan do celi, gdzie siedzą kołchoźnicy. (...)
- Idziemy na spacer! — odezwał się żołnierz, stojący na progu kamery.

Ledwie ten próg przekroczyłem, żołnierz wziął mnie mocno w garść za ubranie z tyłu koło prawego ramienia i tak mnie zaczął sprowadzać ze schodów. „Cham, bo cham” — pomyślałem — ... „ale dobre chłopisko! Domyśla się, że miewam zawroty głowy z powodu niewychodzenia na powietrze i obawia się, że upadnę”.

Ale i na powietrzu nie wypuszczał mnie z garści. Więc powiedziałem:

- Puść mnie, nie upadnę.
- Nic, nic! — burknął drwiąco. — Idź dalej! Wtem usłyszałem wesoly głos Gorbatiienki:
- Puść!

Żołnierz mnie puścił.

Słońce się zniżyło ku horyzontowi, nie było już piekące, ale się zarumieniło, jak gdyby zmęczone całodzienną bieżącą po niebie. Zaciągałem się wiosną. Co za rozkosz! Wprawdzie na podwórku nie było zieleni, ani drzewa, ani krzaka, pod nogami piasek, ale to niebo bezkresne, ale to słońce nie parzące, i nareszcie ta świadomość, że już nie jestem skazany na śmierć! Dziesięć lat zamknięcia?

Chciało mi się śmiać!

(...)

Obudził mnie huk wybuchów. Śliczna pogoda, na niebie tylko dla ozdoby kilka białych obłoczków, ranek się śmieje, jak dziewczyna, do siebie i do niczego, pociąg zwalnia biegu. Ktoś mówi:

- Bachmacz! Widać stację.

Podjeżdżamy do stacji. Właściwie nie dojeżdżamy do stacji. Stajemy opodal długiego parterowego budynku, dawno nie odnawianego, jakiś kilometr za dworcem. Jednocześnie z nami przybyły do Bachmacza aeroplany niemieckie. Krążą nad miastem i od czasu do czasu rzucają bombę. Nikt do nich nie strzela. Miasto jak gdyby przycupnęło w ciszy na podobieństwo domowego ptactwa, które przyciska się do ziemi, spostrzegłszy wysoko nad sobą czarny sierp skrzydeł jastrzębich.

Znów pada bomba: daleko w mieście. Głuchy huk. Skutków detonacji nie widzimy. Na razie nie bardzo nas przejmuje ten pierwszy nalot niemiecki, z którym zdarzyło nam się spotkać, ale gdy

bombowce skręcają w naszą stronę i słysząc coraz głośniejszy warkot ich motorów, więźniowie zaczynają się domagać otwarcia wagonu, ten i ów krzyczy, niektórzy biją pięściami w ściany.

(...)

Jechaliśmy stłoczeni, głodni, żarci przez wszy i konający z pragnienia. Pociąg nasz stawał przeważnie poza stacją, więc enkawudzistom nie chciało się chodzić po wodę. Schły nam gardła i języki. Jedni błagali o wodę, inni ryczeli nieludzkim głosem, walili pięściami w ściany wagonu, zasypywali żołnierzy przekleństwami. Żołnierze rozdawali pchnięcia bagnetem w otwory okienne, oczywiście bezskutecznie, ponieważ na widok doskakującego żołnierza więźniowie się usuwali, ale dwa razy doszło do takiego obustronnego rozżarcia, że Gorbatienko zagroził strzelaniem.

— Zabij! — wołali więźniowie — Wolę paść od razu, niż zdychać z pragnienia!

— To jest bunt! Postawię kulomioty! — odkrzykiwał Gorbatienko.

W dusznym wagonie, cały dzień zaryglowanym na spiekocie, nieraz mi się wydawało, że następnego oddechu już nie wezmę, że wziąłem n aj ostatniejszą resztkę powietrza, że już nie ma ani źdźbła powietrza naokoło mnie, że jest do końca wyłykane przez moich towarzyszków.

— Otwórz drzwi! — ryczeli więźniowie.

— Spokój! bo każę strzelać! — odpowiadał Gorbatienko. Pewnego rana nie dostaliśmy nic do jedzenia.

— Chleb się wyczerpał — oświadczył nam konwojent. — Może wydadzą kilka bochenków na następnej stacji.

Jużeśmy się nie buntowali: zanadtośmy byli osłabieni.

Na pewnym przystanku kolejowym otrzymaliśmy kilku nowych towarzyszków; byli to zwykli złodzieje. Próbowali nas sterroryzować, ale stanowiliśmy tak wielką przewagę, że im się to nie powiodło.

Złodzieje sowieccy w gronie więźniów politycznych uważają się za „coś lepszego”. Nie mają się wprawdzie za element twórczy w społeczeństwie, ale powiedziałbym, za element fantazji, może figlarności. W swoim przeświadczeniu nie grzeszą przeciw społeczeństwu, ponieważ go nie zwalczają, nie pragną go wyrzucić, owszem uznają społeczeństwo po to, żeby je skubać. Są w społeczeństwie czymś w rodzaju rozpieszczonych jedynaków, nie lubiących pracować, ale uważających pracę za rzecz konieczną dla przeciętnych obywateli, pozbawionych brawury. Politycznymi przestępcami gardzą, jako wrogami istniejącej organizacji społecznej, jako szkodnikami. Bo musi istnieć zorganizowane społeczeństwo, aby mógł istnieć wolny złodziej. Musi ktoś pracować, żeby złodziej miał gdzie kraść! Kto chce obalić organizację społeczną, dybie na pole harców złodziejskich, jest wrogiem złodzieja. Przeciętnych obywateli złodzieje uważają za juczne zwierzęta, przestępców politycznych — za zbrodniczych głupców.

(...)

Zauważyłem, że nieznani nam miejscowi oficerowie NKWD wypytyują się o nas, a Gorbatienko daje im informacje. Musiała być i o mnie mowa, bo jeden z oficerów zbliżywszy się do mnie, przyglądał mi się

z zainteresowaniem. Właśnie lekarz badał mojego sąsiada metodą krótkich pytań i właśnie go zapewniał, że mu nic nie jest. Oficer zwrócił się pół żartobliwie do mnie:

— A Grubiński wytrzyma siedem kilometrów?

— Myślę, że wytrzyma — odpowiedziałem.

Trochę zaskoczony moją odpowiedzią, bo wszyscy więźniowie pragnęli jechać, oficer znów zapytał:

— A dwanaście kilometrów wytrzyma?

— Chyba wytrzyma — odpowiedziałem.

Oddychanie powietrzem, które sięgało nie po dach pudła wagonowego, ale pod wysokie chmury, sprawiało mi taką przyjemność, że chciałem jak najdłużej przebywać poza wagonem i murami.

Oficer przyglądał mi się ze zdziwieniem i cokolwiek kpiąco.

Wróciłem do wagonu.

(...)

Nareszcie przyszła zupa. Rzadka, chuda, mało! Zjedliśmy ją, raczej wypili, aleśmy zaraz potem zaczęli na nią wygadywać.

Obecny w tej chwili w baraku naczelnik przyszłego naszego więzienia, ten, który nas „odebrał” na stacji w Magnitogorsku, zapytał o co chodzi. Otrzymałszy odpowiedź, przybrał postawę mówcy, odkaslnął, i zabrał głos (barytonowy). Po oratorsku powiedział wśród ciszy, że nasza zupa jest cienka umyślnie, ze względu na nasze zdrowie. Małomśmy jedli w drodze, za mało, więc nagłe najedzenie się teraz do syta mogłoby nam zaszkodzić. Organizm ludzki jest instrumentem delikatnym...

Zaczelśmy się śmiać tak serdecznie, że mówca urwał w połowie zdania i lekko stropiony zapytał najbliższego więźnia, co się stało. Gdy mu wyjaśniono przyczynę naszej wesołości, na razie nie bardzo rzecz zrozumiał, szukał przez chwilę oratorskiego wyrazu, potem powiedział barytonem: „Zważywszy...” potem się zakłopotał i zamyślił, potem począł pojmować komizm sytuacji, uśmiechnął się, potoczył wzrokiem po więźniach, wreszcie wykręcił się na obcasie i wyszedł. A nas ogarnęło rozbawienie jeszcze większe.

(...)

Trudno znaleźć w historii tak błyskawicznie zawarty układ polityczny, którego wynikiem byłaby podobnie natychmiastowa, równie doniosła i tak dobroczynna zmiana w życiu milionowej masy ludzkiej, jak układ generała Sikorskiego z Sowietami w roku 1941. Dla obywateli polskich w Boiszewii po podpisaniu tego aktu dosłownie pękły mury więzienne, wrota obozów katorżniczych i obwodowa linia osiedleńcza. Wyszliśmy z więzień, obozów, posiłków. Nie wszyscy tego samego dnia, niektórych trzymano dłużej, zwalniano niechętnie, z opóźnieniem półrocznym, znam takich, których wypuszczono dopiero po ośmiu miesiącach, a byli i tacy, o których w ogóle słuch zaginął, ale to już są szczegóły. Z obywateli polskich, zagarniętych przez Sowiety, powstała prawie z dnia na dzień osiemdziesiąt tysięcy armia polska!

Rosja przechodziła z obozu niemieckiego do obozu aliantów; zależało jej na efektownym geście, podkreślającym wobec całego świata jej nowe wyznaczenie polityczne. Generał Sikorski pochwyił w lot tę sposobność, przez co ocalił ogromne rzesze Polaków. Co do lojalności swych rosyjskich kontrahentów z pewnością nie miał złudzeń. Kiedy Sowiety porosły w pióra wojennych dostaw angloamerykańskich, rząd moskiewski zaczął wprowadzać dysonanse do duetu, śpiewanego zarazu harmonijnie z politykami polskimi.

(...)

Na drugi czy dopiero na trzeci dzień naszego przybycia do Magnitogorska, pod wieczór zaprowadzono nas do łaźni. Łaźnia była w budowie: prysznic nie działał. Dano nam miski, zresztą w ilości niewystarczającej, nabieraliśmy wody gorącej i zimnej z kranów, które po pewnym czasie tryskały tylko wodą zimną, oblewaliśmy się tą wodą, przy czym nacieraliśmy ciało miniaturowym kawałkiem nie mydlącego się mydła, i zdzieraliśmy z siebie pazurami warstwę brudu.

Zaczęliśmy się trząść z zimna, zanim nam pozwolono przejść do obocznego pokoiku, w którym wydawano odwszawioną bieliznę i wyparzone ubrania, kołdry, buty, czapki i fufajki. Tutaj zapanował chaos. W ciasnocie, w wzajemnym obijaniu się, deptaniu sobie po nogach, wśród przekleństw i pod władczy nakazem stale powtarzającego się nawoływania: Bystro! odbieraliśmy nasze nie ponumerowane rzeczy.

Ktoś otrzymał pół koszuli, ktoś inny nie dostał spodni, komuś zginęły buty, innemu przepalono kalesony. Nie potrzebuję dodawać, że po dezynsekcji nasze ubranie nie było podobne do siebie, kolorowa bielizna zmieniała barwę i wróciła w plamach, prze-jąwszy częściowo fiolet lub czerwień od sąsiedniego łacha, z którym się prażyła w temperaturze 105 stopni powyżej zera, nie wiem już jakiego rosyjskiego termometru.

Wyrzucono nas nareszcie na podwórze. Ściął nas wieczorny chłód.

Szliśmy po górach i dołach, katnieniach, porzuconych deskach śmieciach i kałużach. Takeśmy dobrnęli do baraku. Zmęczenie waliło mnie z nóg. Byłem głodny. Rozdano nam spóźnioną zupę, przez troskliwość władz tak wodnistą, że najbardziej nawet odzwyczajonym od jedzenia nie mogła zaszkodzić.

Następnego dnia rozeszła się wiadomość, że pójdziemy piechotą do Wierchnieurałska, sześćdziesiąt dwa kilometry od Magnitogorska.

— Kiedy?

— Jutro o świcie.

— Co tam jest w tym Wierchnieurałsku, obóz czy więzienie?

— Podobno więzienie. Ale tam na krótko. Stamtąd zaraz nas roześlą po obozach i posiołkach. W tych stronach mają być kołchozy, w których się można nieźle najeść.

(...)

Do Wierchnieurałska wjechaliśmy po zachodzie słońca, ale jeszcze było tak widno, żeśmy z łatwością przeczytali napis na jakimś murowanym składzie mąki. Ten dwupiętrowy brudny dom wyglądał

najokazalej w rzędzie drewniaków i koślawych glinianek. Nie spotkaliśmy ani jednego człowieka na ulicach. Prawa strona ulicy, na którą wkrótceśmy skręcili, nie była zabudowana. Z tej strony rozciągało się pole. Zapewneśmy jechali brzegiem miasta, nie jego główną tętnicą. W każdym razie nie wydał nam się Wierchnieuralsk miastem dużym, i nie biła z niego zasobność. Ciężarówka wpadała co chwila w błoto i doły.

Żołnierze w dwu rogach lory parskali śmiechem. Rzadko rozrzucone domki stawały się coraz radsze. Zaczęło nam się zdawać, że wyjeżdżamy za miasto. Widocznie to jeszcze nie jest Wierchnieuralsk! Żołnierz przy kierownicy zatrąbił dwa razy. Ujraliśmy ogromny gmach. Zmieraliśmy do tego gmachu. Żołnierz znów zatrąbił. W promieniu trzech kilometrów od gmachu urozmaicał płaszczyznę pełną mały gajk. Spytaliśmy żołnierza, co to za lasek. Odpowiedział:

— Cmentarz!

Stanęliśmy przed ciemnym gmachem o żelaznej bramie. Po chwili wjechaliśmy w tę bramę, która rozchyliła swe ogromne, płaskie skrzydła. Ogarnęła nas noc. Kiedy się brama za nami zamknęła, usłyszeliśmy otwieranie drugiej żelaznej bramy i wjechaliśmy na podwórzec. Ze wszystkich stron tego podwórca wznosiły się czarne mury gmachu więziennego albo raczej gmachów więziennych.

Najpierw zabrano kobiety. Potem zjawił się między nami żołnierz z ogarkiem w rękę i wprowadził nas poprzez jakiś hall, korytarz, zakamarek, do obszernej i wysokiej izby, która się wydawała jeszcze obszerniejsza przez to, że rozbijał jej mroki mały płomyk ogarka. Zajęliśmy miejsce pod ścianami na granitowej podłodze.

Żołnierz wyszedł, zabierając ogarek. Zostaliśmy w ciemnościach, wśród przejmującego chłodu. Więźniowie którzy z nami przyjechali, a których po raz pierwszy widzieliśmy w ciężarówce, zaczęli się w ciemnościach zachowywać podejrzanie. Próbowano ukraść Leśniakowi jego tobołek spod głowy. Krzyk, potem wzajemne pogroźki, już miało dojść do bójki. Było ciemno, choć oko wykol!

Skrzypnęły drzwi i wszedł z ogarkiem dozorca korytarzowy. Zażądaliśmy światła. Odpowiedziano nam, że jeśli się nie uspokojimy, pójdziemy do karceru. Światła nie będzie, ponieważ reperują przewody elektryczne.

Od granitowej podłogi wiało zimno. Leśniak mi coś podłożył pod kostniejące ciało, ale i przez to coś przenikał chłód i gniotła twardość granitu.

(...)

Po trzech dniach umieszczono nas w dużej celi, gdzie jednak było ciasno, ponieważ wprowadzono do niej zbyt wielu więźniów. Tym razem sąsiadowałem z młodzieńcem o nazwisku S-in. Razem, o ile się nie mylę, było nas czterdzieści trzy osoby. W poprzedniej celi szczękaliśmy zębami z zimna, w tej było tak duszno, że miałem nieustannie przyśpieszone bicie serca. Podłoga granitowa. Pod oknem kaloryfery (nie działające). Na kaloryferach firma polska Gostyńskiego z Warszawy i, o ile się nie mylę, data sprzed pierwszej wojny światowej.

(...)

Jako przesyłkowe, więzienie w Magnitogorsku było o wiele lżejsze, niż „specturma” Wierchnieuralska. Jeść dawano lichy ale do dozorców można się było zwracać z pytaniami i na

pytania odpowiadali, może nie bardzo grzecznie, przecież bez tej nienawiści, jaka wilczymi iskrami patrzyła na nas z oczu enkawudzistów wierchnieuralskich. Spędziliśmy w tym więzieniu blisko tydzień.

Pewnego przedwieczera ustawiono nas w kolumnę i poprowadzono osiem czy dziesięć kilometrów na stację kolejową. Tutaj kazano nam przykucnąć między szynami. W tej niewygodnej pozycji czekaliśmy na dalsze rozkazy co najmniej trzy kwadranse. Potem przeszliśmy na drugi plant, gdzie czekał nasz pociąg. Wpakowali nas do wagonów trzeciej klasy (nareszcie nie ciepłuszki!) już po ciemku. Nie potrzebuję dodawać, że było ciasno.

Nie pamiętam, jak długośmy jechali do Świerdłowska. Pamiętam natomiast, że w przesyłkowym więzieniu świerdłowskim, które mi się wydało rajem, trzymano nas kilka dni.

I jedzenie było tutaj lepsze, i szachy w celi, i przechadzki dłuższe, i gazety nam czytywała raz na trzy dni jakaś brudna towarzyszka od kultury, i wolno było listy pisać, i nawet na korytarz się wydostać. Spotkałem tutaj polskiego porucznika czy kapitana o dziwnym nazwisku pół francuskim, pół niemieckim. Bardzo długo przebywał, pomijany, zdaje się, od roku, przy wysyłaniu więźniów w dalszą drogę.

W ogromnej celi, urządzonej barakowo, po prawej mojej stronie leżał Niemiec nadwożański, po lewej bardzo śmieszny młody człowiek o jedwabistej rudej bródce, tak zwany bytowik, złodziej. Bytowik oznacza przestępcę nie politycznego, obywatela, który zawinił w dziedzinie moralności i obyczajowości, oszukał, ukradł, zabił, przestępstwa traktowane w Sowdepii raczej pobłażliwie. „Errare humanum est”.

(...)

O postanowieniach komisji lekarskiej mieliśmy się dowiedzieć nazajutrz, aleśmy się niczego nie dowiedzieli. Nie wzięto nas jeszcze do roboty.

Ci katorżnicy, którzy tu przybyli dawniej, wychodzili poza zonę przed świtem i wracali po ciemku. Byli zmęczeni, rzucali się na chleb i supę, nie należeli do rozmownych. Pracowali na szosie.

Wśród naszej grupy rozeszło się przeświadczenie, że w Kasza-ju jest lepiej niż w innych obozach i że trzeba się starać tutaj pozostać. Pan Leśniak i pan Drewniak zwracali mi uwagę na „konszachty” naszych towarzyszków, ale ja im odpowiadałem, że to me moja rzecz. Nie miałem nic do podarowania lekarzowi, więc co najwyżej mogę mu powiedzieć, że chciałbym zostać w Kaszaju, co go oczywiście mało wzruszy, więc się w ogóle nie odezwę. A zresztą, czy to od niego zależy?

_ On określa naszą zdatność do pracy i dobrze jest z naczelnikiem - objaśnił mnie pan Leśniak. - Ci, co tutaj są dłużej, powiadają, że to wielki łapownik.

Wieczorem zauważyliśmy, że dwu naszych delegatów, chodzących po talony na chleb i supę, robi malwersacje z elegantem bytowikiem. Nie chce mi się wchodzić w szczegóły tej „intrygi”, w której wyniku nasi dwaj delegaci i jeszcze dwaj ich wspólnicy otrzymywali podwójną porcję zupy i więcej chleba, oczywiście z krzywdą niektórych towarzyszków. Postanowiliśmy od jutra zmienić delegatów. Zaczęły się szeptki i pogrózki.

Tymczasem zachodził do nas Ormianin, zapytywał o zdrowie, temu i owemu kazał przyjść do prijomnoj na zbadanie. I do mnie zagadał. Zapytywał, czy zniknął obrzęk moich nóg.

- Niech pan do mnie zajdzie koło szóstej - powiedział i dodał: - Razem z tym dużym... Leśniakiem. - Pamiętał nazwisko. Nie skorzystałem z zaproszenia. Pan Leśniak poszedł sam i wrócił rozczarowany. Doktor go nie badał, mówił nie wiadomo co. Na zakończenie powiedział: Jeżeli pan będzie miał ochotę, niech pan do mnie znów przyjdzie. Zawsze panu pomogę. Najlepiej o tej porze. W Kaszaju jest lepiej niż w innych obozach. Łatwiej się zwolnić z pracy. Ja daję takie zwolnienia. Tutaj się zatrzymuje przeważnie półinwalidów.

Z tego badania wynikało, że doktor ciągle jeszcze liczy na zapasowe buty pana Leśniaka.

Nazajutrz odczytano listę zostających w obozie, jako niezdolnych do ciężkiej pracy. Między tymi słabymi byli pan Szajman, pan Emanuel Szerer i pan Radost, razem pięciu skazańców. Ormianin obecny w baraku podczas odczytywania nazwisk, powiedział nam w zaufaniu, że do tej listy można wnieść poprawki. Trzeba się do niego zgłosić z zażaleniem, on dokona nowej ekspertyzy ... Zaraz się zgłosiło kilku Ukraińców, ale nie umieli swych zażaleń umotywić dość przekonująco.

Następnego przedpołudnia kazano nam się szykować do drogi. Kto nie miał długich butów, miał dostać walonki i "rękawice.

Mróz aż trzeszczał.

Poszedłem do „magazynu". Było tam kilka par starych walonek, przeważnie w stanie opłakanym. Z ledwością dobrano mi coś połatanego i twardego. Dano mi ogromne rękawice, Bóg wie z jakich gałganów zrobione i przez kogo dotąd używane.

— Jest to własność państwowa! — pouczał mnie enkawudzista. Trzeba te rzeczy szanować i przy opuszczeniu obozu zwrócić. Niech pan pokwituje.

Napisałem pokwitowanie na brudnym świstku papieru, chyba wyjętym ze śmietnika.

W dwie godziny później ustawiono nas opodal wrót, zrewidowano nasze tobołki, zajrzano do naszych kieszeni i nie wiadomo na co jeszcześmy potem czekali na trzaskającym mrozie około godziny. Panowie Radost, Szajman, Szerer wyszli z baraku, żeby na nas spojrzeć pożegnalnie, trochę jakby zawstydzeni, że zostają w Kaszaju, w obozie dla półinwalidów, gdzie się mało pracuje albo wcale, gdy my się udajemy do obozu o gorszej reputacji. Pan Drewniak potupywał z zimna, elegant bytówik nasuwał czapkę na uszy.

Widząc nasze przestępowanie z nogi na nogę, Ormianin, który się właśnie wsunął między pana Szerera i pana Radosta, spojrział złośliwie na mnie i na pana Leśniaka i wesoło zawołał:

— Mróz w styczniu dochodzi do sześćdziesięciu stopni! A Tretia Komandirovka i Wtoroj Punkt leżą jeszcze bardziej na północy, niż Kaszaj.

Wyprowadzono nas z zony i przeszliśmy ku jakimś zabudowaniom drewnianym, jakby warsztatom i szopom. Grunt był nierówny i śliski. Tutaj znów czekaliśmy z pół godziny na samochód. Wreszcie kazano nam przejść z pół kilometra za szopę, gdzie czekała lora z ładunkiem drzewa.

Długie kloce sosnowe i inne leżały na ciężarówce, ze trzy metry wystając poza wóz, a było ich tyle, że trudno się było na nie wdrapać. Siedzieliśmy na tych drzewach, jak na wysokim i stromym pagórku, niewygodnie i niepewnie. Trzeba się było trzymać rękami za kawałek sęka, bo ciężarówka od razu ruszyła „galopem”, a grunt był wyboisty, a resorów ani śladu.

(...)

szachty” naszych towarzyszków, ale ja im odpowiadałem, że to nie moja rzecz. Nie miałem nic do podarowania lekarzowi, więc co najwyżej mogę mu powiedzieć, że chciałbym zostać w Kaszaju, co go oczywiście mało wzruszy, więc się w ogóle nie odezwę. A zresztą, czy to od niego zależy?

— On określa naszą zdarność do pracy i dobrze jest z naczelnikiem — objaśnił mnie pan Leśniak. — Ci, co tutaj są dłużej, powiadają, że to wielki łapownik.

(...)

Wieczorem zauważyliśmy, że dwu naszych delegatów, chodzących po talony na chleb i supę, robi malwersacje z elegantem bytowikiem. Nie chce mi się wchodzić w szczegóły tej „intrygi”, w której wyniku nasi dwaj delegaci i jeszcze dwaj ich wspólnicy otrzymywali podwójną porcję zupy i więcej chleba, oczywiście z krzywdą niektórych towarzyszków. Postanowiliśmy od jutra zmienić delegatów. Zaczęły się szeptki i pogrózki.

Tymczasem zachodził do nas Ormianin, zapytywał o zdrowie, temu i owemu kazał przyjść do prijomnoj na zbadanie. I do mnie zagadał. Zapytywał, czy zniknął obrzęk moich nóg.

— Niech pan do mnie zajdzie koło szóstej — powiedział i dodał: — Razem z tym dużym... Leśniakiem. — Pamiętał nazwisko.

Nie skorzystałem z zaproszenia. Pan Leśniak poszedł sam i wrócił rozczarowany. Doktor go nie badał, mówił nie wiadomo co. Na zakończenie powiedział: Jeżeli pan będzie miał ochotę, niech pan do mnie znów przyjdzie. Zawsze panu pomogę. Najlepiej o tej porze. W Kaszaju jest lepiej niż w innych obozach. Łatwiej się zwolnić z pracy. Ja daję takie zwolnienia. Tutaj się zatrzymuje przeważnie półinwalidów.

Z tego badania wynikało, że doktor ciągle jeszcze liczy na zapasowe buty pana Leśniaka.

Nazajutrz odczytano listę zostających w obozie, jako niezdolnych do ciężkiej pracy. Między tymi słabymi byli pan Szajman, pan Emanuel Szerer i pan Radost, razem pięciu skazańców. Ormianin, obecny w baraku podczas odczytywania nazwisk, powiedział nam w zaufaniu, że do tej listy można wnieść poprawki. Trzeba się do niego zgłosić z zażaleniem, on dokona nowej ekspertyzy ...

Zaraz się zgłosiło kilku Ukraińców, ale nie umieli swych zażaleń umotywować dość przekonująco.

Następnego przedpołudnia kazano nam się szykować do drogi. Kto nie miał długich butów, miał dostać walonki i rękawice.

Mróz aż trzeszczał.

Poszedłem do „magazynu”. Było tam kilka par starych walonek, przeważnie w stanie opłakanym. Z ledwością dobrano mi coś połatanego i twardego. Dano mi ogromne rękawice, Водлл/ie z jakich gałganów zrobione i przez kogo dotąd używane.

— Jest to własność państwowa! — pouczał mnie enkawudzista. Trzeba te rzeczy szanować i przy opuszczeniu obozu zwrócić. Niech pan pokwituje.

Napisałem pokwitowanie na brudnym świstku papieru, chyba wyjętym ze śmietnika.

W dwie godziny później ustawiono nas opodal wrót, zrewidowano nasze tobołki, zajrzano do naszych kieszeni i nie wiadomo na co jeszcześmy potem czekali na trzaskającym mrozie około godziny.

Panowie Radost, Szajman, Szerer wyszli z baraku, żeby na nas spojrzeć pożegnalnie, trochę jakby zawstydzeni, że zostają w Kaszaju, w obozie dla pólnvalidów, gdzie się mało pracuje albo wcale, gdy my się udajemy do obozu o gorszej reputacji. Pan Drewniak potupywał z zimna, elegant bytowik nasuwał czapkę na uszy.

Widząc nasze przestępowanie z nogi na nogę, Ormianin, który się właśnie wsunął między pana Szerera i pana Radosta, spojrział złośliwie na mnie i na pana Leśniaka i wesoło zawołał:

— Mróz w styczniu dochodzi do sześćdziesięciu stopni! A Tretia Komandirovka i Wtoroj Punkt leżą jeszcze bardziej na północy, niż Kaszaj.

Wyprowadzono nas z zony i przeszliśmy ku jakimś zabudowaniom drewnianym, jakby warsztatom i szopom. Grunt był nierówny i śliski. Tutaj znów czekaliśmy z pół godziny na samochód. Wreszcie kazano nam przejść z pół kilometra za szopę, gdzie czekała lora z ładunkiem drzewa.

Długie kloce sosnowe i inne leżały na ciężarówce, ze trzy metry wystając poza wóz, a było ich tyle, że trudno się było na nie wdrapać. Siedzieliśmy na tych drzewach, jak na wysokim i stromym pagórku, niewygodnie i niepewnie. Trzeba się było trzymać rękami za kawałek sęka, bo ciężarówka od razu ruszyła „galopem”, a grunt był wyboisty, a resorów ani śladu.

(...)

Wreszcieśmy dojechali do miejsca, gdzie ciężarówka stanęła i i kazano nam schodzić. W promieniu trzech czy czterech kilo- metrów las był wyrębany, stały niskie szopy, leżały kłody drzewne i deski. O jakiś kilometr od nas pracowało kilku ludzi.

Teraz na ziemi uczuliśmy w większym jeszcze stopniu dojmujący ból palców, rąk i nóg z zimna. Zaczęliśmy się gimnastykować, trzeć twarze, podskakiwać.

Ustawiono nas po czterech w szeregu i poszliśmy przez bór szeroką drogą. Później się droga zwężyła, szliśmy parami. Kazano nam iść prędko. Było to męczące, ale nas rozgrzało. Szliśmy godzinę, dwie ... zapadał zmrok, wlekliśmy się coraz wolniej. Prawie po ciemku zaszliśmy przed wrota obozu, zwanego 7Yef/a Komandirovka.

Przed tymi wrotami trzymano nas co najmniej godzinę. Potem wpuszczano nas przez wąskie drzwi oboczne po dwu. Był to rodzaj domku złożonego z dwu pokojów, coś niby kancelaria z przepierzeniem. Stało dwu żołnierzy i dwu cywilów w fufajkach. Zdejmowali z nas wierzchnie ubrania, obmacywali nas, przetrząsali nasze tobołki, zapytywali o nazwiska.

Powiedziawszy swoje nazwisko, zapytałem tego, który mnie rewidował, kiedy wyjdę na wolność. Zdziwił się, spojrzął na osobistość kierowniczą, również w fufajce, i rzekł:

— Dlaczego na wolność?

— Ponieważ jestem Polakiem. Powinienem być wypuszczony na podstawie umowy, zawartej między rządem polskim i rządem sowieckim.

(...)

Oddano mi moje zimowe palto z cielęcym kołnierzem, przyjrzawszy mu się w uznaniem i wypchnięto mnie z rozwiązaniem moim pakunkiem za drzwi. Znow wpadłem w mróz. Kilku moich towarzyszków już tu przestępowało z nogi na nogę.

— Czego sujetisz! (Co się kręcisz) — warknął na nich żołnierz, który ich pilnował.

Wkrótce przyszedł pan Leśniak, zły, z dużym tobołem, luźno związanym: zaczął dociągać końce sznurka.

Zaprowadzono nas do baraku. Na zupeł było za późno, chlebaśmy również nie dostali.

(...)

Niebo zaczęło blednąć, gwiazdy zmizerniały. Szliśmy godzinę szliśmy dwie. Z drogi skręciliśmy w las, w zasypany śnieżne, ten i ów zapadał w dół, przelaziliśmy okrzakiem kadłuby zwalonych drzew, jeden drugiego przeciągał przez zdradliwie ukryte pod śniegiem pniaki, pieliśmy się pod górę, schodziliśmy w dolinę ... Rozcierałem sobie czoło, nos i uszy, rozbolałe z mrozu, ale plecy miałem spocone. Mrok zaczął dokoła nas mięknąć, noc się, wymykała między drzewami. Szliśmy ze trzy godziny.

— Stać! — zawołał brygadier.

Część naszej kolumny roboczej już wcześniej odeszła w bok.

Ktoś zaczął krzesać ogień, inni szukali suchego drzewa. Przysiadłem na pieńku. Dopierośmy przyszli na miejsce pracy, a już byłem zmęczony! Zresztą wszyscy byli zmęczeni. Ten i ów kręcił papierosa, ten i ów chuchał w dłonie, jeden z nieznanym mi jeszcze kolegów wydobyl kawałek chleba z pazuchy...

(...)

Brygadier wskazywał drzewa przeznaczone na zrąbanie. Pomałuśmy się rozpełzli w promieniu jakichś dwu kilometrów. Trzymałem się pana Drewniaka, z którym zamierzałem powalić kilka co okazalszych olbrzymów leśnych. Zaczęliśmy od drzewa skromniejszych rozmiarów. Ja wziąłem jedną stronę piły, pan Drewniak drugą, pochyliśmy się na rozkraczonych nogach i zaczęliśmy ranić pień drzewny prawie nad samą ziemią.

Pan Drewniak znał się na piłowaniu, ja nie mogłem tego powiedzieć o sobie. Wziąłem, się do dzieła z zapalem, ale nieumiejętnie. Szwankowałem w rytmie i moje pociągnięcia nie miały posuwistości, przypominając raczej szarpnięcia i to szarpnięcia nie w porę. Piła się zwijsza pod moimi pchnięciami i nie wchodziła głęboko w drzewo." Zauważyłem, że pan Drewniak był mną rozczarowany. Wyznaję, że i ja inaczej sobie wyobrażałem ścinanie drzew w lesie. Nie przypuszczałem, że drzewo może stawić

taki opór. Stało nieporuszone, jak kamień, i na moje ataki odpowiadało milczącym jak gdyby twarzeniem w sobie.

(...)

Pan Drewniak zwrócił uwagę brygadiera na mój wiek i powiedział, że piłowanie jest dla mnie pracą zbyt ciężką.

— Niech pali sęczki — odpowiedział brygadier. — Niech zbiera gałązki, które zaśmiecają las, niech odrąbuje gałęzie drzew ściętych, niech to gromadzi w jednym miejscu i niech pali.

Zaraz się zabrałem do tej roboty, która mi się wydała idiotyczna. Ze zbieraniem gałęzi było jako tako, i nieźle z odrąbywaniem sęczków, ale podpalenie takiego śmietnika wymagało po pierwsze zapalek, których nie miałem, a po drugie umiejętności, do której mi było daleko. Chodziłem z kilometr do ogniska, brałem stamtąd palący się patyk, niosłem go do moich sęczków, po drodze patyk gaść, wracałem do ogniska, i tak w kółko. Pomimo mrozu w lesie było mokro.

Na łażeniu, rąbaniu, schylaniu się, podpalaniu, zeszedł mi cały dzień. Bez jedzenia. Wreszcie zaczęto nas zwoływać do powrotu. Na jakieś dziesięć minut przedtem usiadłem na pieńku i przygarbiłem się ze zmęczenia. Kiedy przyszło wstawać, uczułem niezwykle znużenie i tępy ból w plecach. Powlokłem się za innymi. Bolały mnie uda, a ból krzyża stawał się coraz ostrzejszy. Zaciskałem zęby, żeby nie jęczeć i pochylałem się coraz niżej.

Szliśmy gęsiego. Krzyknięto na mnie, żebym szedł prędzej. Z niezmiernym wysiłkiem podnosiłem nogi, przełaząc przez kłody, upadałem w śnieg, a potem szedłem zgięty prawie pod kątem prostym. Ktoś mnie ujął pod rękę. Był to pan Drewniak. Wziął ode mnie topór i pomagał mi iść. Plecy mnie tak bolały, że już nie mogłem się powstrzymać od stękania. Pan Drewniak powiedział do żołnierza, że nie dojdę do obozu. Żołnierz mi się przyjrzał i rzekł po namyśle:

— Gdy wyjdziemy z lasu, droga będzie równiejsza.

— Ale tej drogi jest trzy godziny! — odparł pan Drewniak.

Znów się przewróciłem. Pan Drewniak mnie podniósł. Towarzysze mnie mijali. Idąc noga za nogą pochylałem się coraz niżej. Ktoś mnie ujął pod drugie ramię. Nie znałem tego więźnia. Był to Rosjanin, człowiek młody, oficer, t.j. eksoficer.

— Niech się pan nie niepokoi — powiedział uprzejmie. — Doprowadzimy pana do obozu, tam pan odpocznie.

— Dziękuję panu — odpowiedziałem między jednym jęknięciem a drugim.

Było mi wstyd, że robię ludziom kłopot. Do tego stopnia tego nie lubię, że byłbym poprosił Drewniaka i eksoficera, żeby mnie zostawili w lesie, gdyby mnie nie był powstrzymywał inny wstyd: przed melodramatycznością takiego zwrotu.

(...)

Nie wyobrażałem sobie, że zdołam dojść aż tak daleko. Zgięty prawie w kabłąk, z wysiłkiem dźwigałem nogi, które najbardziej mnie bolały w udach, ale bolały mnie również łydki i czułem, że

mam pościerane kostki. Ogarniało mnie przerażenie na myśl, że już nigdy nie będę mógł rozprostować krzyża. Bo tak mi się wydawało. Musiał to być rodzaj zawiania. Rozgrzany przez nieustanny ruch, nieraz rozpinałem palto, a mróz był silny. Moje spocone plecy może przejął mróz, kiedy ostatnio odpoczywałem na zmarzniętym pieńku. Wyrzucałem sobie, że usiadłem. Ale czy mogłem nie usieść w ciągu dwunastu godzin?

Posuwałem się naprzód nie tylko wśród tortur fizycznych, ale i z głową pełną czarnych myśli. Jeszcze dwieście kroków, jeszcze sto, jeszcze dziesięć. Nareszcie jestem przy ognisku.

Żołnierz wydaje odpowiednie rozporządzenia któremuś „furmanowi”. Kilku furmanów patrzy na mnie z pogardliwym zaciekawieniem. Pan Drewniak skorzystał z odstąpienia nieco w bok któregoś więźnia i posadził mnie na belce koło ogniska. Oficer — katorżnik podążył na przetaj ku więźniom, którzy już wyszli na drogę.

— Niech pan nie spali sobie palta — ostrzegł mnie na odchodnym pan Drewniak, przy czym odgarnął moją połę, zaglądnąjącą między rozżarzone gałęzie.

I odszedł z żołnierzem.

(...)

Nareszcie przyjechała komisja lekarska. Zawiadomiono nas o tym po wieczornej zupie i kazano się nam zgłaszać w takiej a takiej kolejności do szopy lekarza. Samo chodzenie w ciemnościach po zlodowaciałym śniegu było trudne, ponieważ ścieżki biegnęły zygzakowato i składały się z urozmaiconych nierówności. Tu i ówdzie leżał kawałek deski, z której się człowiek ześlizgiwał w zdradziecki dołek, a po obydwu stronach dróżki wpadało się w puszysty śnieg po kolana. Mirrio że i komendant obozu tędy chadzał, nigdy nie przyszła mu do głowy myśl o możliwości wyrównania tych wybojów.

Dobrnąwszy do „szpitala”, z ledwością wcisnąłem się do „poczekalni”, w której było miejsce na czteroosobową nieoheblowaną ławkę, węższą niż dłoń męska, i na czterech stojących pacjentów, a w tej chwili dusiło się w niej po ciemku trzydzieści kilka osób. Z „gabinetu” lekarskiego wpadało do poczekalni trochę światła przez szerokie szpary w ścianie i wyraźnieśmy słyszeli gwar urzędującego dygnitariatu medycznego, poszczególne pytania przewodniczącego, jego głośne uwagi i cichsze odpowiedzi badanych. Padały takie zdania:

— Zdejmij koszulę! Co? Dlaczego nie możesz? A! związana sznurkiem. Rozplącz! I portki ściągaj! Następnym dwu niech się też rozbiera, bo w ten sposób do rana nie skończymy. A ty się ubieraj. Nic ci nie jest! Jesteś chory na próżniactwo! Nie chce ci się chodzić do lasu. A w lesie dobre powietrze, oddychasz samym zdrowiem. I ruch dobrze robi organizmowi.

Albo:

— Umyślnie się zaciąłeś w palec! Sztuczka sabotażysty. Utrzymasz siekiere i z tym skaleczeniem palca! Jakie tam odmrożenie! Za dużo gadasz. Nie słyszałeś o nowym prawie? Trzecia odmowa wyjścia na roboty grozi sądem i rozstrzelaniem. Strzeż się! Umierać nie warto, życie jest piękne, zwłaszcza gdy się posiada taki skarb, jak młodość. Masz przed sobą długie lata szczęścia!

Wtłoczony w moje plecy katorżnik zgrzytał złym śmiechem, drugi powiedział basem:

— Nie ma gdzie splunąć!

Ściśnięci stanowimy żywy blok, wykonywający bezwiednie „ruch robaczkowy” ku drzwiom lekarskiego gabinetu. Po pewnym czasie znalazłem się przy drewnianej klamce. Gdy wypchnięto jakiegoś pacjenta przez uchylone drzwi, ktoś mnie tak nagniół, że wpadłem do „gabinetu”.

Ujrzałem stół w oślepiającym blasku dwu małych naftowych lamp najstarszego systemu. Naokoło stołu ledwie się mogli zmieścić członkowie komisji. Albo raczej nie mogli się zmieścić. Nikt nie siedział przodem do stołu, wszyscy siedzieli bokiem, prawie połową ciała, a niektórzy nawet jakby tylko ćwiartką swojej całości. Przy przewodniczącym tkwiła kobieta. Było kilka kobiet w tym uczonym gronie. Przed każdą osobą leżał kawałek papieru, prawie wszyscy trzymali ołówki w ręku, ten i ów dzierżył pióro.

Doktor obozowy kazał mi wejść za przepierzenie, gdzie kilku kryminalistów zdejmowało z siebie ubranie, podejrzliwie zerkając na współtowarzyszów. Ściągali z siebie łachy dziwnie powiązane, wymyślnie uzależnione jedne od drugich, po wirtuozowsku poszczepiane sznurkami, łykiem, nawet patykami. Pan Leśniak w przykrótkiej koszuli i boso czekał tu na swoją kolej od dawna, bo się dopchał do „gabinetu” o jakie pół godziny przede mną. Tak atoli manewrował, żeby przed komisją stanąć razem ze mną.

Nie umiał mówić po rosyjsku i nie mógł się nauczyć trzech krótkich zdań, które mu wbijałem w pamięć, a które miały precyzyjnie odmalować opłakany stan jego organizmu. Umówiliśmy się że będę jego tłumaczem, niby przypadkowo znalazłszy się obok niego przed obliczem komisji.

W pewnej chwili doktor obozowy wykrzyknął moje nazwisko. Wyszedłem zza przepierzenia, za mną poczłapał na swoich rozległych stopach pan Leśniak. Przed stołem uczonych obojga płci stało trzech dekolowanych kajdaniarzy. Ja byłem piąty, pan Leśniak szósty. W jakiegoś suchotnika wmawiano, że jego osłabienie jest przejściowe i że nie ma lepszego sportu nad siekierę. Robiąc, głęboko się oddycha, co ogromnie rozwija płuca. Suchotnik próbował być innego zdania, ale się zakastał, więc racja została przy komisji.

Przewodniczący zapytał mnie o nazwisko i narodowość, po czym ślizgnął się spojrzeniem po doktorze obozowym. W tej chwili zrozumiałem, że moje pantofle w skórzanym futerale zrobiły na Uralu piorunujące wrażenie.

— Co panu dolega? — zapytał przewodniczący, niby w tym samym, trochę szyderczym tonie, w jakim rozmawiał z poprzednimi katorżnikami, ale życzliwiej, cieplej.

Zauważyłem, że całe grono komisyjne patrzyło na nas żartobliwie, jak to się zdarza dobrze dobranemu towarzystwu po niezłej kolacji, nie pozbawionej jakiejś takiej butelczyny. Łatwo się wówczas spostrzeżga śmieszne strony bliźnich, choćby nawet rzuconych w położenie dalekie od świetności.

— Anemia — odpowiedziałem — płuca nie w porządku i z sercem nie dobrze.

(...)

Prawie wszyscy katorżnicy mieli poprzeziębiane pęcherze. Dziwna to była dolegliwość. Bezbolesna. Uczuwało się nagle kategoryczną potrzebę wybiegnięcia z baraku. Ta kategoryczność spędzała nas z

naszych desek barakowych kilka razy w ciągu nocy. Wybiegaliśmy kłusem na zlodowaciałą zonę. Trzeba było biec z pięćdziesiąt kroków do odpowiedniego miejsca. Prawie nikt nie mógł zdążyć. Przytapani na niesuboordynacji dostawali się do karceru. Zimno w baraku wydawało się upałem, kiedy się z rozpędem wpadało w mróz nie osłonięty ścianami. Te wypadki nocne nazywałem wybieganiem pod Oriona. Człowiek się dostawał w uścisk chłodu, jak w przemocne garście zbója. Aż oddech zamierał! Naokoło cisza. Czarne budynki i obszar zony w poświaciej nocnej, niby w pleśni.

(...)

Na czwarty dzień pobytu w obozie udałem się do naczelnika! z zapytaniem, dlaczego dostaję tylko 250 gramów chleba dziennie] i najmizerniejszy kocioł, tj. cienką zupkę w południe i wieczorem. ' Enkawudzista przyjął mnie szorstko. Nie mogłem się dobrze przyj-1 rzeć jego twarzy, ponieważ małe szybki okienne były od zewnątrz! obłożone lodem i śniegiem, co powodowało prawie piwniczny! mrok w izdebce. Dygnitarz siedział przy stole nachylony nad papierem i usiłował czytać. W otwartym piecu płonęły polana, mimo to dygnitarz był w szynelu zapiętym pod szyję i w czapce na] głowie. Zapytał mnie o nazwisko i zawołał ordynarnie:

— Bo nie pracujesz!

— Nie wezwano mnie do pracy. A poza tym jestem inwalidą drugiego stopnia i w poprzednim obozie zwolniono mnie na dziesięć dni z robót z powodu osłabienia.

— Inwalidzi muszą pracować! Kto nie pracuje, ten nie je! Na tym polega komunizm. Poproś którego z brygadierów, żeby cię i wziął do swojej brygady!

— Komisja lekarska uznała mnie za niezdolnego do pracy w lesie. Uczę się robić łapcie.

— Rób łapcie! Jeżeli nie wyrobisz normy, będziesz dostawał j 250 gramów chleba dziennie! Poproś brygadiera Bardieja, może cię przyjmie do swojej brygady.

Wyszedłem na zonę. Zapytałem jakiegoś skazańca, czy nie jest Bardiejem. Potem zatrzymałem „furmana", który wioził na sankach ścięte drzewo. Nie wiedział, gdzie jest brygadier Bardiej, ale po chwili dodał:

— To dobry człowiek. Może jest w pierwszym baraku. On tam mieszka.

(...)

Następnego rana pracowałem w zimnej ciasnej szopie. Po dziś dzień nie rozumiem, jak to się mogło dzieć, że nie wybijano tam sobie oczu końcami cienkich drzew, zwłaszcza, że ciągle się toczyły swary o miejsca na ławkach. Bardiej przez piętnaście minut wtajemniczał mnie osobiście w sztukę plecenia łapci, potem oddał mnie pod opiekę jednookiego Uzbeka.

Nie mogę powiedzieć, że robiłem szybkie postępy. Normą dla inwalidów drugiego stopnia było wyrabianie siedmiu łapci dziennie, za to inwalida otrzymywał 550 gramów razowca. Szczytem mojej produktywności był jeden łapiec na dwa dni. Moja wydajność robocza nigdy się nie wznios/a nad ten poziom, a nieraz spadała poniżej i tego poziomu. Pierwszy łapiec, zrobiony przeze mnie samodzielnie, wyróżniał się ogromem. (...)

Gdyby nie życzliwość Bardieja, nie otrzymywałbym 550 gramów chleba, tudzież lepszego kotła. Co prawda i ta życzliwość wkrótce przestała skutkować przy skrzyżowaniu się z siłą wyższą. Zdarzyło się mianowicie, że od końcowych dni grudnia 1941 roku do marca 1942 przychodził chleb do obozu nieregularnie i w takich ilościach, żeśmy otrzymywali pięćdziesięciogramową, najwyżej sto pięćdziesięciogramową, kromkę raz na dwa dni, a czasem i rzadziej. Ale na razie jako tako.

(...)

Wezwano mnie do kancelarii. Wręczono mi ćwierćarkusz z pieczęciami. Miałem jechać do Buzułuku, gdzie na rozkaz generała Sikorskiego generał Anders, zwolniony z więzienia sowieckiego, formował Armię Polską.

Potem wyprowadzono nas za zonę: mnie i Leśniaka. Chodziliśmy od szopy do szopy, gdzie nas zaopatrzone w półbochenek chleba („resztę dostaniecie w Kaszaju”), przy czym dano nam po osiem rubli na bilety kolejowe, co stanowiło zdumiewająco małą część rzeczywistych kosztów przejazdu z Sośwy do Buzułuku. Leśniak się niepokoił, ja byłem uszczęśliwiony, żeśmy się nareszcie wyrwali za obóz.

Wreszcie wsadzono nas na lorę i ruszyliśmy do Kaszaja. W lesie pracowała grupa Gruzinów. Krzyknąłem ku nim i pożegnaliśmy się okrzykami i machaniem rąk.

W Kaszaju spotkaliśmy pana Emanuela Szerera. Zajmował uprzywilejowane stanowisko dniewalnego w najlepszym baraku. Poza kilkoma słabosiłkami barak był w tej chwili pusty. Panowie Szajman i Radost poszli na robotę do lasu.

Ogoliliśmy się, konwojent nas zaprowadził do kancelarii, gdzieśmy zostawili nasze dokumenty. Lekarza nie było Jakiś dygnitarz obozowy zadał mi kilka pytań i w końcu powiedział:

— Teraz może pan pojechać nawet do Londynu.

(...)

Gustaw Herling-Grudziński

Inny świat

Londyn, 1953

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI ur. 20 czerwca 1919 roku w Kielcach, pisarz i eseista. W końcu 1939 roku aresztowany podczas próby przedostawania się do Francji przez Litwę, przebywał w kilku więzieniach, a następnie w obozie pod Archangielskiem. Zwolniony w styczniu 1942 roku dotarł do miejsca formowania wojska polskiego w Ługowoje. Do końca wojny był w wojsku, uczestniczył m.in. w bitwie o Monte Cassino, po wojnie zamieszkał w Anglii, Niemczech Zachodnich, na stałe osiadł we Włoszech. Bliski współpracownik Instytutu Literackiego w Paryżu. W końcu 1988 roku Wydawnictwo

„W Drodze” wydało zbiór opowiadań Wieża. Inny świat ukazał się najpierw w wersji angielskiej, potem dopiero przyszło wydanie w języku polskim (1953) i tłumaczenia na kilka innych języków.

Przedmowa

Spośród wielu książek, jakie czytałem na temat przeżyć ofiar więzień i obozów sowieckich, Inny świat Gustawa Herlinga zrobił na mnie największe wrażenie i jest najlepiej napisany. Posiada on spotykaną w bardzo rzadkim stopniu siłę prostego i żywego opisu, i jest rzeczą zupełnie niemożliwą zakwestionować w jakimkolwiek miejscu jego prawdomówność.

Lata 1940-42 spędził Herling najpierw w więzieniu, a potem w obozie pracy przymusowej pod Archangielskiem. Większa część książki przynosi opis tego co widział i przecierpiał w obozie. Książka kończy się listami od wybitnych komunistów, którzy twierdzą, że takich obozów w ogóle nie ma*). Ludzie, którzy piszą takie listy, i ci spośród sympatyków komunizmu, którzy pozwalają sobie wierzyć w nie, dzielą odpowiedzialność za prawie niewiarygodne potworności, jakim poddawane są miliony nieszczęśliwych mężczyzn i kobiet zabijanych powoli przez ciężką pracę i głód w arktycznym zimnie. Sympatycy komunizmu, którzy nie chcą uwierzyć w świadectwo takich książek jak Inny świat Herlinga, są siłą rzeczy ludźmi wyciętymi z ludzkich uczuć, gdyby je bowiem w jakimkolwiek stopniu posiadali, nie odrzuciliby tak po prostu dowodów, lecz po-trudziłiby się choć trochę, by się z nimi zapoznać.

Zarówno komuniści jak i hitlerowcy wykazali tragicznie, że w dużym odłamie ludzkości istnieje impuls zadawania tortur, który wymaga tylko sposobności, aby się odsłonić w całej nagiej potworności. Ale nie sądzę, by można było to zło uleczyć ślepą nienawiścią do jego sprawców. Doprowadziłoby nas to tylko do tego, że stalibyśmy się tacy sami jak oni. I choć wysiłek nie jest łatwy, trzeba spróbować — czytając taką książkę jak ta — zrozumieć warunki, które obracają ludzi w potwory, i uprzytom-

*) Do angielskiego tekstu książki dołączono Appendix, który zawiera wymianę listów pomiędzy autorem a Stachanowem (na łamach „Tribune”) i prof. Traininem z Moskwy (na łamach „Manchester Guardian”).

nić sobie, że to nie poprzez ślepą wściekłość będzie można zapobiec temu złu. Nie twierdzą, że zrozumieć to wybaczyć; istnieją rzeczy, których ze swej strony nie potrafię wybaczyć. Ale twierdzą, że trzeba absolutnie zrozumieć, jeśli się chce zapobiec rozprzestrzenianiu podobnego zła na całym świecie.

Mam nadzieję, że książka Herlinga będzie bardzo szeroko czytana i że wzbudzi ona w czytelnikach nie bezużyteczną mściwość, ale ogromną litość dla drobnych kryminalistów, prawie taką samą jak dla ich ofiar oraz mocne postanowienie zrozumienia i usunięcia źródeł okrucieństwa w naturze ludzkiej, którą wypaczały złe systemy społeczne. A niezależnie od tych ogólnych refleksji, czytelnik przekona się, że jest to książka pochłaniająco ciekawa i o najgłębszym wydźwięku psychologicznym.

Bertrand Russel

Witebsk — Leningrad — Wołogda

Lato w Witebsku dobiegało końca. Po południu słońce prażyło jeszcze przez chwilę bruk dziedzińca więziennego i kończyło swój bieg za czerwoną ścianą sąsiedniego bloku. Z podwórza dochodziły kroki więźniów, wystukując miarowo drogę do łaźni i słowa komend rosyjskich, pomieszane z dźwiękiem kluczy. Dyżurny na korytarzu podśpiewywał, składał co parę minut gazetę i nie śpiesząc się zbytnio podchodził do okrągłego okienka w drzwiach. Dwieście par oczu odrywało się jak na dany znak od sufitu i zbiegało się w małej soczewce „judasza”. Spod ceratowego daszka spoglądało ku nam ogromne oko i objąwszy wahadłowym ruchem celę, znikало za opuszczoną zastawką z blachy. Trzy uderzenia butem w drzwi oznaczały: „Przygotujcie się do kolacji”.

Pólnadzy podnosiliśmy się z cementowej podłogi — sygnał do kolacji kończył również naszą popołudniową drzemkę. Czekając z glinianymi miskami na gorącą ciecz wieczorną, odlewaliśmy przy okazji do wysokiego kibla żółtawą ciecz z obiadu. Strumienie moczu z sześciu lub ośmiu otworów spotykały się, zatoczywszy łuk jak w fontannie, pośrodku kibla i wkręcały się wirującymi lejami do dna, podnosząc poziom piany u ścian. Przed zapięciem rozporków przyglądaliśmy się jeszcze przez chwilę wygolonym rozkroczom; wyglądały dziwnie, jak przygięte wichrem drzewa na jałowych zboczach polnych.

Gdyby mnie ktoś zapytał, co jeszcze robiliśmy w sowieckich więzieniach, niewiele umiałbym dodać. To prawda, że ledwie umilkła u drzwi kołatka poranna zwiastująca pobudkę, a do celi wjeżdżał kocioł gorącego odwaru z ziela i kosz z dziennymi racjami chleba, nasza skłonność do rozmów osiągała punkt szczytowy; chcieliśmy „przegadać” chleb do obiadu. Katolicy zbierali się wokół ascetycznego księdza, Żydzi obsiadali opodal rabina wojskowego o rybich ślepiach i fałdach skóry zwisających z dawnego brzucha.

(...)

Pierwsza hipoteza oskarżenia opierała się na dwóch dowodach rzeczowych: wysokie buty z cholewami, w których młodsza siostra wyprawiła mnie po klęsce wrześniowej w świat, miały świadczyć, że jestem „majorem wojsk polskich”, a pierwsza część nazwiska w brzmieniu rosyjskim (Gerling) kojarzyła mnie niespodzianie z pewnym marszałkiem lotnictwa niemieckiego. Logiczna konkluzja brzmiała: „jest oficerem polskim na usługach wrogiego wywiadu niemieckiego”. Jaskrawe niedokładności w obu przesłankach pozwoliły nam jednak stosunkowo szybko uporać się z tym ciężkim zarzutem. Pozostawał bezsporny fakt — usiłowałem przekroczyć granicę państwową Związku Sowieckiego i Litwy. Po cóż to, jeśli można wiedzieć? — Żeby się bić z Niemcami. — A czy wiadomo mi, że Związek Sowiecki zawarł pakt przyjaźni z Niemcami? — Tak, ale wiadomo mi również, że Związek Sowiecki nie wypowiedział wojny Anglii i Francji. — To nie ma znaczenia. — Jak brzmi ostatecznie akt oskarżenia? — „Zamierzał przekroczyć granicę sowiecko-litewską, aby prowadzić walkę ze Związkiem Sowieckim”. — Czy nie można by słów „ze Związkiem Sowieckim” zamienić na słowa „z Niemcami”? Uderzenie otwartą dłońią na odlew otrzeźwiło mnie z miejsca. „To wychodzi na jedno” — pocieszył mnie sędzia śledczy, gdy podpisywałem przedłożony dokument.

(...)

Małoletni przestępcy są plagą więzień sowieckich, ale nie spotyka ich się prawie nigdy w obozach pracy. Nienaturalnie ożywieni, wiecznie czegoś szukający na cudzych pryzkach i we własnych rozporkach, oddają się z zamiłowaniem dwóm wielkim namiętnościom: kradzieży i onanizmowi. Prawie wszyscy albo nie znają w ogóle rodziców, albo nie wiedzą nic o ich istnieniu. Na olbrzymich obszarach państwa policyjnego prowadzą z zadziwiającą swobodą typowe życie bezprizornych, podróżując na gapę pociągami towarowymi z miasta do miasta, z osiedla do osiedla. Żyją z kradzieży towarów ze składów państwowych i nierzadko kradną z powrotem to, co przed chwilą sprzedali, szantażując nieostrożnych nabywców groźbą donosu. Sypiają na dworcach kolejowych, w parkach miejskich, w remizach tramwajowych — za jedyny majątek mając czasem tylko małe zawiniątko, przewiązane rzemiennym paskiem. Dopiero później przekonałem się, że bezprizorni tworzą obok urków (przestępców pospolitych) najgroźniejszą mafię półlegalną w Rosji, która zorganizowana jest na wzór łóż masońskich. Jeżeli istnieje w Związku Sowieckim coś w rodzaju szczątkowego czarnego rynku, to tylko dzięki tym młodym oberwańcom, myszkującym niespokojnie w tłumie, oblegającym spectorgi, skradającym się o zmierzchu ku spichrzom zboża i składom węgla. Władze sowieckie przyglądają się temu przez palce, uważając bezprizornych za jedynych prolesów, nie obciążonych dziedzicznie grzechem pierworodnym kontrrewolucji, za masę plastyczną, z której można wszystko ulepić. Toteż młodzi chłopcy nauczyli się szybko uważać więzienie za coś w rodzaju kolonii letnich, i bez większego sprzeciwu korzystają z tego okresu wytchnienia po wyczerpującym życiu na wolności. Do naszej celi w Witebsku przychodził czasem wospiatiel o ewangelicznej twarzy, płowej czuprynie i niebieskich oczach, i głosem przypominającym łagodny szept w konfesjonale wzywał gromadę bezprizornych na naukę: „Rebiata, pajdiom niemnożko poucztisia”. Uszy puchły, gdy rebiata wracały z kursu. Najohydniejsze wyzwiska i przekleństwa przeplatały się z frazesami politgramoty. Z kłębowiska młodych ciał wybiegały ku nam nieustanne oskarżenia o „trockizm”, „nacjonalizm” i „kontrrewolucję”, zapewnienia, że „towarzysz Stalin dobrze zrobił, zamykając was w więzieniu” a „sowiecka władza zawojuje wkrótce cały świat” — wszystko to, powtarzane z okrutnym, sadystycznym uporem, tak typowym dla każdej bezdomnej młodości. Nieco później, w obozie, spotkałem osiemnastoletniego chłopca, który pełnił funkcję naczelnika Kawecze (kulturalno-wospitatielnaja czast') tylko z tego tytułu, że niegdyś jako bezprizorny uczęszczał na kursy pedagogiczne w więzieniu.

(...)

W parę minut potem jeden z bezprizornych zląkł z pryczy, odlał się do kibla przy drzwiach i zastukał w okienko. Na korytarzu zabręczały klucze, rozległo się przeciągłe ziewnięcie i o kamienną podłogę załomotały podkute buty.

— Czego? — zapytało rozespiane oko w judaszu.

— Obywatelu dyżurny, dajcie zapalić.

— Mleko ssać, gówniarzu — warknęło groźnie oko i zniknęło za blaszaną zastawką.

Chłopiec przywarł obiema pięściami do drzwi i wspinając się na palcach do ślepego okienka, zawołał głośno:

— Grażdananin dieżurnyj, ja imiejju k'wam wapros!

Teraz klucz zazgrzytał dwa razy w zamku i okute drzwi ustąpiły. Na progu stał młody strażnik w przekrzywionej na bok czapce z niebieskim denkiem i czerwonym lampasem.

— Gadaj.

— Nie mogę tutaj, muszę na korytarz.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem szerzej, chłopiec wślizgnął się pod rękę opartą o klucz tkwiący w zamku na korytarz i wrócił po chwili do celi z zapalonym papierosem. Zaciągając się chciwymi haustami, spoglądał ku nam niespokojnie i kulił się jak młode szczenię, cofając się przed kopnięciem.

Po kwadransie drzwi celi otworzyły się znowu szeroko, dyżurny przestąpił energicznie próg i krzyknął ostro:

— Wstawać! Dowódca bloku! Rewizja!

Dowódca bloku rozpoczął rewizję od bezprizornych, a dyżurny nie odrywał tymczasem wzroku od dwóch szeregów więźniów, stojących w postawie na baczność tyłem do pryczy, a twarzami do siebie. Wprawne ręce przerzucały szybko sienniki bezprizornych, pogmerały w moim barłogu i zanurzyły się w worku starego Żyda. Zaraz potem usłyszałem szelest papieru, stłumiony lekko miętoszeniem waty.

— Co to jest? Dolary?

— Nie. Fotografia mojego syna, kapitana Armii Czerwonej Natana Awramowicza Zygfelda.

— Za co siedzisz?

— Za szkodnictwo w rzemiośle.

— Szkodnik sowieckiego rzemiosła nie ma prawa przechowywania w celi fotografii oficera Armii Czerwonej.

— To jest mój syn...

— Milcz. Nie ma w więzieniu synów.

Gdy wychodziłem z celi na etap, stary szewc kiwał się na pryczy jak ogłupiała papuga na drążku, żując wraz ze skórkami chleba parę powtarzających się monotonicznie słów.

Szliśmy na dworzec późną godziną, przez opustoszałe już prawie miasto. Ulice wychłostane ulewą połyskiwały w czarnym świetle wieczoru jak długie tafle miki.

(...)

W Leningradzie nasz etap podzielony został na dziesięcioosobowe partie, które w parominutowych odstępach czasu odjeżdżały z dworca czarnymi karetkami więziennymi da pieresyłki. Wciśnięty pomiędzy towarzyszy, niemal dusząc się w drewnianym pudle bez okien i wentylatorów, nie miałem sposobności obserwować miasta. Jedynie na zakrętach ulic pęd samochodu spychał mnie z ławeczki, i na okamgnienie dostrzegałem przez szparę w budce szofera fragmenty gmachów, skwerów i tłumu ludzkiego. Dzień był mroźny, ale słoneczny. Spadł był już śnieg — przyjechaliśmy do Leningradu w listopadzie 1940 roku, na ulicach spotykało się pierwszych przechodniów w walonkach i futrzanych

czapkach-uszankach. Kłapiące boki czapek opadały wprawdzie tylko na uszy i nie zasłaniały oczu, ale na wzór końskich okularów pozwalały patrzeć prosto przed siebie i nie rozpraszać uwagi na boki. Nasz transport przejechał ulicami miasta niezauważony, ja stado czarnych kruków kołujące w poszukiwaniu żeru nad zaśnieżonym polem.

(...)

W Leningradzie zetknąłem się po raz pierwszy z hipotezami na temat liczby więźniów, zesańców i białych niewolników w Związku Sowieckim. W dyskusjach więziennych wahała się ona pomiędzy 18-25 milionami.

Nasz etap natknął się na korytarzu na grupę więźniów, zdążających ku drzwiom wyjściowym. Stanęliśmy w miejscu jak wryci, powstrzymywani bardziej impulsem strachu niż obawą przelotnego zajrzenia w obce twarze. Grupa idąca nam na spotkanie cofnęła się również w głąb korytarza. Staliśmy tak naprzeciwko siebie z opuszczonymi głowami — dwa światy sprzęgnięte wspólnym losem, a przedzielone murem nieufności i lęku. Konwojenci naradzali się krótko: okazało się, że musimy dać drogę. Zastukała żelazna kołatka w bocznych drzwiach, uchyliło się okienko judasza. Znowu krótka narada i wprowadzono nas na szeroki, widny korytarz oddziału, którego wygląd zdawał się przeczyć wszystkiemu, co widziałem dotąd w czasie mojej więziennej wędrówki.

Ten luksusowy pawilon o dużych oknach i lśniących od czystości korytarzach, które tak jaskrawo kontrastują z klasztorną martwością większości więzień rosyjskich, mieści się w najładniejszym skrzydle pieresyłki. Ogromne kraty, przesuwane na szynach, zastępują w jednej ścianie drzwi, dające złudzenie zupełnej wewnętrznej wolności i tej szczególnej dyscypliny, jaką ludzie izolowani od świata wytwarzają samorzutnie, aby zapomnieć o samotności. Cele były puste i robiły wrażenie izb mieszkalnych, opuszczonych przez kursantów na chwilę przed naszym przybyciem. Wzorowo posłane łóżka, nocne stoliki zastawione fotografiami rodzinnymi w ramach z kolorowego papieru i srebra, wieszaki na ubrania, duże stoły zavalone książkami, gazetami i szachami, białe muszle umywalni w rogach, radioodbiorniki i portrety Stalina; w głębi korytarza wspólna jadalnia z podium, jak sądzę, dla uzdolnionych muzycznie więźniów. Portrety Stalina w więzieniu! Aby zrozumieć całą niezwykłość tego faktu trzeba pamiętać, że więźniowie w Rosji są zupełnie wyobcowani z życia politycznego, nie biorą udziału w jego liturgii i obrzędach sakralnych. Okres pokuty odbywają bez Boga, nie korzystając jednak ze wszystkich dobrodziejstw tego przymusowego ateizmu politycznego. Nie wolno im Stalina chwalić, lecz nie wolno im go również ganić.

W ciągu tych paru minut wyczekiwania zdążyłem nie tylko zanotować w pamięci wygląd więzienia „Intourista” — które zwiedzała prawdopodobnie Lenka von Koerber, autorka entuzjastycznej książki o więziennictwie sowieckim — ale udało mi się również zamienić parę słów z jedynym w pawilonie więźniem, pełniącym w czasie nieobecności swych towarzyszy funkcje porządkowego w celach. Opowiedział mi, dłubiąc w radioodbiorniku i nie patrząc w moim kierunku, że odsiadują tu karę „pełnoprawni obywatele Związku Sowieckiego” o wyrokach nie przekraczających osiemnastu miesięcy, zasądzeni na kary więzienia za takie przestępstwa, jak miełkaja kraża (drobna kradzież), proguł (spóźnienie do pracy), chuligaństwo i uchybienia przeciwko dyscyplinie fabrycznej. Pracują cały dzień w ciężkich warsztatach mechanicznych, które mieszczą się w obrębie więzienia, otrzymują niezłe wynagrodzenie, mają dobry wikt i wolno im dwa razy w tygodniu przyjmować krewnych na widzeniach. Gdyby władze sowieckie stworzyły podobne warunki życia dwudziestu milionom więźniów i zesańców w Rosji, Stalin mógłby trzymać w szachu wojsko, NKWD i partię „czwartą siłą”.

Mój rozmówca bowiem nie oskarża się bynajmniej na brak wolności. Jest mu dobrze i wygodnie. Czy wie, jaki los zgotowano więźniom winnych blokach Dieresyłki leningradzkiej, w tysiącach więzień i obozów, rozrzuconych gęstą siecią na całym obszarze Związku Sowieckiego? Owszem wie, ale to są przecież „polityczni”. Tam — wskazuje ruchem głowy na martwy blok pieresyłki z zakratowanymi okien-karni _ zdycha się za życia. Tu oddycha się swobodniej niż na wolności. Nasz Pałac Zimowy — dodaje pieszczotliwie — nasz Zimnyi Dworec. Stalin wie z własnego doświadczenia, że stwarzając ludzkie warunki życia w więzieniach, można ducha pokory wzbudzić tylko w bytowikach, ale nigdy w „politycznych”. Co więcej — im lepiej czuje się materialnie „polityczny” w więzieniu, tym odważniej tęskni za wolnością, tym gwałtowniej buntuje się przeciwko władzy, która go uwięziła. Kiedy się czyta opisy dostatniego prawie i kulturalnego życia, jakie pędzili więźniowie i zesańcy carscy, trudno zrazu oczom uwierzyć; a przecież byli to ludzie, którzy obalili carat.

Nie należy mieszać zwykłych bytowików z urkami. Wprawdzie w obozach spotyka się czasem drobnych przestępców pospolitych, których wyrok przekroczył dwa lata, ale prawie zawsze zajmują oni w hierarchii obozowej pozycję wyjątkową, bliższą raczej przywilejów najmniejszej administracji niż statusu przeciętnego więźnia. Urką staje się przestępca pospolity dopiero po kilkakrotnej recydywie. W tej nowej sytuacji nie opuszcza już na ogół nigdy obozu, wychodząc na wolność tylko na parę tygodni dla załatwienia najpilniejszych spraw i dokonania następnego przestępstwa. Miarą pozycji, jaką wytworzył sobie w obozie urka, jest nie tylko to ile lat tułał się po łagrach i za co siedzi, ale i to jaką zdołał sobie uciąć fortunę z paskarstwa, kradzieży a nierzadko i mordów dokonywanych na białoruszczakach (politycznych), ilu ma po obozach błatnych naczelników i kucharzy, jakie ma kwalifikacje fachowe na brygadiera i co ile łagpunktów czekają na niego kochanki, jak rozstawne klacze. Urka jest w obozie instytucją, najwyższym funkcjonariuszem po dowódcy warty; on decyduje o wartości i prawomyślności robotników w brygadzie, jemu powierzają często najodpowiedzialniejsze stanowiska, dublując go w razie potrzeby fachowcem bez stażu obozowego, przez jego ręce przechodzą wszystkie „prawiczki” z wolności, zanim wylądują wreszcie w łózkach naczelników, on szarogęsi się w kulturalno-wspitatelnej cząści. Są to ludzie, którzy myślą o wolności z takim samym obrzydzeniem i lękiem, jak my o obozie. (...)

Ochłap

Czym jest, a raczej czym może być praca w rękach tych, którzy zechcą się nią posłużyć jako narzędziem tortur, świadczy najlepiej fakt, że zimą 1941 roku w sposób najzupełniej legalny i nieznacznie tylko wykraczający przeciwko prawu obozowemu zamordowano pracą więźnia w jednej z brygad leśnych.

W miesiąc po moim przyjeździe do Jercewa przyszedł do obozu z więzienia w Leningradzie nowy etap stu więźniów politycznych i dwudziestu bytowików. Bytowików zostawiono w Jercewie, a politycznych rozestano do łagpunktów z wyjątkiem jednego, Gorcewa — młodego, dobrze zbudowanego więźnia o tępej twarzy fanatyka, który został z miejsca skierowany na lesopowal.

O tym Gorcewie chodziły po obozie dziwne słydy, on sam bowiem wbrew utartym zwyczajom nie wspominał nigdy słowem o swojej przeszłości. Już ten fakt musiał do niego usposabiać współwięźniów niechętnie; ludzi strzegących zazdrośnie tajemnicy swego wyroku uważano bądź za zbyt dumnych, by ich dopuścić do zażyłości więziennej, bądź za potencjalnych donosicieli. Ale nie to

jeszcze było najgorsze, skoro donosicielstwo uchodziło w obozie za rzecz najzupełniej naturalną. Wszystkich drażnił przede wszystkim sposób zachowania się Gorcewa: robił wrażenie człowieka, któremu tylko jedna noga obsunęła się przez nieuwagę do obozu, a drugą oparł się był mocno na wolności. Tak wolno się było nosić jedynie specjalistom z iteerowskiego kotła, ale nigdy zwykłym więźniom z ogólnych robót. Chodziły więc słuchy, że Gorcew był przed aresztowaniem enkawudzistą.

(...)

Nie przez sympatię, ale ze zwykłej ciekawości próbowałem się do niego parę razy zbliżyć. Było coś fascynującego w możliwości rozmawiania z człowiekiem, który siedząc w obozie przyglądał mu się oczami komunisty z wolności. Ale Gorcew unikał mnie podobnie jak innych, odpowiadał opryskliwie na pytania nie reagował nawet na prowokacyjne zaczepki. Raz jeden tylko dał się wciągnąć w rozmowę na temat okrażenia kapitalistycznego, z której wyniosłem wrażenie, że popularny pogląd, jakoby młode pokolenie komunistów sowieckich było jedynie bandą wiernych swemu dowódcy kondotierów, gotowych opuścić go przy pierwszej nadarzającej się okazji — jest z gruntu błędny. (...) Około Bożego Narodzenia przechodził przez Jercewo etap z Kruglicy do obozów peczorskich. Więźniowie zatrzymali się na trzy dni w pieresylnym, a wieczorem odwiedzali nasze baraki, szukając znajomych. Jeden z nich mijający pryczę Gorcewa, zatrzymał się nagle i zbladł.

— Ty tutaj? — wyszeptał zbielełymi wargami.

Gorcew podniósł głowę, zbladł również i cofnął się do ściany.

— Ty tutaj? — powtórzył przybysz, zbliżając się do niego wolno. Po czym skoczył mu zwinnym susem do gardła, przewrócił go na pryczy na wznak, wparł prawe kolano w jego pierś, i pół-klęcząc tłukł w zapamiętaniu jego głowę o deski pryczy.

— Wpadłeś i ty? — krzyczał, wystukując prawie każde słowo głową Gorcewa. — Wpadłeś nareszcie i ty? Ale palce umiałeś łamać w drzwiach, igły pchać za paznokcie, bić w mordę, kopać w jądra, tłuc w brzuch... Zrosły się palce, zrosły — uduszą swołocz, uduuszą...

Mimo że młodszy i na pierwszy rzut oka silniejszy, Gorcew zachował się tak, jak gdyby zdrętwiał i nie umiał się bronić. Dopiero po paru chwilach oprzytomniał, kopnął napastnika zgiętym kolaniem w brzuch i zwałił się wraz z nim z pryczy na podłogę. Oparłszy się rękami o najbliższą ławkę, z twarzą przekrzywioną nieprzytomnym strachem, podniósł się z ziemi i zaczął biec w kierunku wyjścia z baraku. Zastąpiło mu drogę paru nacmenów z kąta obok drzwi. Odwrócił się — z tyłu stała jego własna brygada, przyglądając mu się wrogo. Napastnik szedł teraz ku niemu z żelaznym prętem, wetkniętym mu do ręki przez kogoś z górnej pryczy. Równocześnie pierścień z obu stron zaczął się zacieśniać. Gorcew otworzył usta do krzyku, ale w tej samej chwili od strony nacmenów dosięgnęła jego głowy drewniana pokrywa od cebrzyka. Zwałił się na ziemię, brocząc krwią. Resztkami sił podniósł się na kolana, spojrzał na zbliżających się wolno więźniów i krzyknął rozzwierającym głosem:

— Zabijają... striełok, zabijają...

Dimka zwlókł się ze swojej pryczy, wystukując w ciszy kroki protezą podszedł do drzwi baraku, i zamknął je na zasuwę. Z górnej pryczy spadł na Gorcewa rozpostarty buszlat, a zaraz potem | posypały się na jego głowę wściekłe razy żelaznego pręta. Zrzu- j cił z siebie buszlat i zataczając się jak pijany runął w kierunku | własnej brygady. Nadział się na wyciągniętą pięść i odskoczywszy] jak

gumowa piłka potoczył się dalej, chwiejąc się na nogach i wy- I miotując krwią. Podawali go sobie z ręk do rąk, aż wreszcie zupełnie już bezwładny obsunął się na ziemię, objąwszy instynktów- I nie głowę rękami i zastoniwszy kolanami brzuch. Leżał tak chwilę skurczony, zmięty i ociekający krwią jak wypluta szmata. Paru więźniów podeszło doń, trącając go butami. Nie ruszał się.

— Żyje? — zapytał ten, który go zdemaskował. — Sledowatiel

z charkowskiego więzienia, bratcy. Czestnych ludzi bił tak, że by i ich własne matki nie poznały. — Ah, swołocz — zawodził żałośnie. I

Dimka podszedł do leżącego z wiadrem chwoi i wylał mu je na głowę. Gorcew poruszył się, westchnął ciężko i znowu ze- 1 sztywniał.

Żyje — powiedział brygadier lesorubow — ale niedługo pożyje. I Nazajutrz rano Gorcew podniósł się ze swego miejsca, zmył z twa- I rzy zakrzepłe plastry krwi i powlókł się do ambulatorium. Do- I stał jeden dzień zwolnienia. Poszedł znowu za zonę i wrócił z niczym. Teraz było jasne. Trzeci Oddział ofiarował więźniom jednego ze swoich dawnych ludzi. Zaczęła się niezwykła gra, w której prześladowcy zawarli milczące porozumienie z prześladowanymi.

Po tym odkryciu Gorcewowi przydzielono w brygadzie leśnej najcięższą pracę; walenie jodeł łuczkiem. Dla człowieka nienawyk- I tego do pracy fizycznej w ogóle, a do pracy w lesie szczególnie, j jest to pewna śmierć, jeśli go się przynajmniej raz dziennie nie < zmienia i nie odsyła do palenia gałęzi. Ale Gorcewa nie zmieniano. Piłował codziennie jedenaście godzin, upadając wielokrotnie ze zmęczenia, łapiąc jak topielec powietrze, plując coraz częściej i krwią, nacierając sobie rozpaloną twarz śniegiem. Ilekroć się buntował i ciskał desperackim ruchem piłę na bok, brygadier podchodził do niego i mówił spokojnie: „Wracaj do pracy, Gorcew, bo cię skończymy w baraku”. Wracał więc. Więźniowie przyglądali się jego torturom z tym większą przyjemnością, im dłużej trwały.

Mogli go rzeczywiście skończyć w ciągu jednego wieczoru — teraz, gdy mieli już pozwolenie z góry. Ale chcieli za wszelką cenę przedłużyć jego śmierć w nieskończoność, chcieli by poznać dokładnie to, do czego sam niegdyś posyłał tysiące ludzi.

Gorcew próbował jeszcze walczyć, choć musiał już przecież wiedzieć, że jego walka jest również daremna, jak daremna była niegdyś walka jego ofiar na śledztwie. Poszedł do lekarza po zwolnienie, stary Matwiej Kiryłowicz nie zapisał go nawet na listę. Odmówił raz wyjścia do pracy, odesłano go na dwie doby do izolatora o samej wodzie, a trzeciego dnia siłą wypędzono do lasu. Porozumienie działało sprawnie — obie strony dopełniały uczciwie zobowiązań. Gorcew włókł się codziennie na samym końcu brygady, chodził półprzytomny i brudny, gorączkował, w nocy jęczał przeraźliwie, pluł krwią i płakał jak małe dziecko, w dzień żebrał o litość. Dostawał trzeci kocioł, żeby zabawa potrwała dłużej; nie wyrabiał go wprawdzie, nie wyrabiał już nawet pierwszego kocioł, ale brygada nie żałowała mu swoich procentów, aby pod-tuczyć ofiarę. Wreszcie pod koniec stycznia, po miesiącu stracił przytomność przy pracy. Zachodziła obawa, że tym razem nie będą już mogli nie odesłać go do szpitala. Woziwoda, który jeździł codziennie do lasu z primbludą dla stachanowców i przyjaźnił się z brygadą lesorubow, miał go zabrać po skończonym dniu pracy do zony. Wieczorem brygada leśna ruszyła wolnym krokiem w kierunku zony, za nią zaś — w odległości kilkuset metrów — wlokły się sanie z nieprzytomnym Gorcewem. Nie dojechał już nigdy do zony, na wartowni bowiem okazało się, że sanie przyszły puste. Woziwoda tłumaczył się, że siedział cały czas na przednim zaworze sań i nie

słyszał upadku ciała w miękki śnieg, usypany wałami po obu stronach drogi. Dopiero około dziewiątej, gdy strielok zjadł kolację, ruszyła na poszukiwanie zaginionego ekspedycja ratunkowa z zapaloną pochodnią. Przed północą z okien naszego baraku zobaczyliśmy na drodze prowadzącej z lesopo-wału płonący punkcik, ale sanie zamiast do zony skręciły do miasta. Gorcewa znaleziono w głębokiej na dwa metry zaspie śnieżnej, która przywaliła jeden ze strumieni — musiał zawadzić zwisającą nogą o barierę mostku. Ciało zamrożone na sople zawieziono wprost do jercewskiej kostnicy.

Długo jeszcze po śmierci Gorcewa więźniowie żyli wspomnieniami o tym odwecie. Jeden z moich znajomych inżynierów, któremu w zaufaniu opowiedziałem kulisy wypadku na lesopowale, zaśmiał się gorzko i powiedział:

— No, nareszcie i nam pozwolono odczuć, że rewolucja odwróciła stary porządek rzeczy. Dawniej rzucano niewolników lwom na pożarcie, teraz rzuca się lwy na pożarcie niewolnikom.

Dom swidanji

Domem swidanji nazywaliśmy nowo dobudowane skrzydło baraku obok wartowni, w którym więźniowie spędzali od jednego do trzech dni z krewnymi, przybyłymi na widzenia do obozu kargopolskiego ze wszystkich stron Rosji. Jego położenie topograficzne w obozie było w pewien sposób symboliczne — wchodziło się doń przez wartownię z zony, a wychodziło już za zonę, na wolnej ziemi; druty okalające obóz urywały się dokładnie w miejscu, w którym dom swidanji przylegał cienkim przepierzeniem do dźzurki naczelnika warty i obszernej izby dla konwojentów. Tak więc można śmiało powiedzieć, że dom w którym więźniowie spotykali się po latach ze swymi najbliższymi znajdował się na pograniczu wolności i niewoli; przestąpiwszy — po okazaniu przepustki i oficjalnego pozwolenia na widzenie — próg przepierzenia, wygolony, wymyty i odświętnie ubrany katorżnik wpadał prosto w ramiona, wyciągnięte ku niemu z wolności.

Widzenie z rodziną połączone było z niesłychanie zawiłą i trudną procedurą zarówno ze strony więźnia, jak i ze strony jego bliskich na wolności. W zasadzie — o ile mnie pamięć nie myli — dozwolone ono było raz do roku, w praktyce jednak większość więźniów dobijała się o nie bezskutecznie od trzech, a nawet pięciu lat. Rola więźnia była w tym względzie bardziej ograniczona: musiał po upływie roku od chwili aresztowania złożyć w Trzecim Oddziale podanie z dwoma załącznikami — listem od rodziny, z którego by wynikało jasno i niedwuznacznie, że ktoś z bliskich chce go odwiedzić, i zaświadczeniem władz obozowych o nienagannym sprawowaniu się w baraku i przy pracy. Znaczyło to, że więzień pretendujący do spotkania z żoną lub matką musiał utrzymywać się co najmniej na poziomie drugiego kotła, czyli pełnej normy, a od przywileju tego byli na ogół wyłączeni mieszkańcy „trupiarń”. List od rodziny nie był tylko pustą formalnością.

-rarn gdzie związki pomiędzy więźniami a ludźmi wolnymi nie były związkami krwi, ale swobodnego wyboru serca — mam na myśli małżeństwa — nacisk na zupełne zerwanie z „wrogiem ludu” był tak duży, że zdarzali się ludzie, którzy go nie wytrzymywali. Ileż czytałem w obozie takich listów, w których żony donosiły mężom, że „już dłużej tak żyć nie mogą” i prosiły o zwolnienie z przysięgi małżeńskiej! Czasami starania o widzenie utykały na martwym punkcie, mimo że początek był dobry i obiecujący. Dopiero po roku lub dwóch okazywało się, że ktoś tam na wolności „rozmyślił się” i wycofał podanie. Kiedy indziej znowu, za progiem przepierzenia czekały na więźnia nie wyciągnięte i drżące z tęsknoty ramiona, ale spojrzenie zmęczonych oczu i słowa błagające o litość. Czas takich

widzeń kurczył się nagle do paru godzin, niezbędnych dla omówienia losu dzieci, a serce takiego więźnia kurczyło się jak wysuszony orzeszek, tłukący się bezradnie w twardej łupinie.

W staraniach o widzenie większa część inicjatywy spoczywała oczywiście w rękach ludzi wolnych. Z listów jakie pokazywali mi zaprzyjaźnieni współwięźniowie mogłem być wywnioskować, że były to starania wyjątkowo uciążliwie, a nawet w pewien sposób niebezpieczne. Rzecz prosta decyzja w sprawie widzenia z krewnym w obozie należała nie do Gułagu (Głównoje Uprawienie Łagierej), który jest tylko czymś w rodzaju administracyjnej dyrekcji obozów i nie miesza się ani do wyroków, ani do oskarżeń ciężących na niewolnikach pracy przymusowej — ale teoretycznie do Naczelnego Prokuratora ZSRR, a w praktyce do najbliższego NKWD w miejscu zamieszkania petenta. Teraz trzeba uważnie prześledzić zakłęte koło, w jakie wkraczał człowiek wolny, jeśli miał dostatecznie dużo uporu, aby po natrafieniu na pierwszych parę przeszkód nie zrezygnować mimo wszystko ze swego szalonego zamierzenia. Prawo do uzyskania widzenia miał tylko ten, kto sam mógł się wykazać absolutnie nienaganną przeszłością polityczną i dowieść, że nigdzie we krwi nie ukrywa zarazka kontrrewolucji. Pomijając już fakt, że nie ma w Rosji człowieka, który by się odważył z zupełnie czystym sumieniem wejść do śledczego gabinetu analiz i że w tym wypadku świadectwa zdrowia politycznego żądali urzędnicy, którzy je sami jedynie byli w mocy wystawić — pomijając już, powiadam, ten oczywisty nonsens — wpadamy w inny, jeszcze bardziej koszmarny; oto bowiem posiadanie w rodzinie więźnia, „wroga ludu”, jest już samo w sobie dostatecznym dowodem, że ktoś, kto z nim współżył przez 1 tyle lat nie jest również wolny od kontrrewolucyjnej dżumy, skoro j przestępstwa polityczne uchodzą w oczach NKWD za chorobę zakaźną. Przyszedszy więc do NKWD po świadectwo zdrowia, petent składał tym samym pośredni dowód, że jest już najprawdopodobniej sam zarażony. Przypuśćmy jednak, że dokładne badanie krwi nie wykazało w organizmie żadnych zaczątków infekcji, petent dostawał szczepionkę uodporniającą i odchodził na czas nieograniczony do kwarantanny. Do kwarantanny? Po co? Po to, żeby uzyskawszy wreszcie bezsporne świadectwo zdrowia, otrzymać jednocześnie zezwolenie na trzydniowy, bezpośredni kontakt z chorym, którego samo istnienie zdawało się być przed chwilą jeszcze zaraźliwe na odległość paru tysięcy kilometrów. Sadystyczny, zniechęcający najczęściej ostatecznie paradoks tej sytuacji polega na tym, że krewny z wolności musi w czasie przesłuchania w NKWD robić wszystko, aby wykazać jak dalece rozluźnił się, uwiądł i wyjałował jego uczuciowy stosunek do krewnego w obozie. Jeżeli tak, to po co przedsięwzięcie daleką i kosztowną podróż, żeby go zobaczyć? Nie ma wyjścia z tej matni. I Ludzie, którzy wybierają się na widzenie do obozu z zamiarem definitywnego uwolnienia się od tego koszmaru życia w półniewoli, w atmosferze nieustannych podejrzeń i z piętnem współodpowiedzialności za cudze winy na czole, otrzymując zezwolenie bez trudu. Inni albo rezygnują, dochowując wiary w milczeniu, albo wąż się jeszcze na ostatni, desperacki krok — na wyjazd po protekcję do Moskwy. Ci ostatni muszą jednak pamiętać, j że wróciwszy z obozu do rodzinnego miasta nie tak łatwo już I obronią się przed mściwością najbliższego NKWD, które ominęli w drodze do celu. Łatwo odgadnąć, ilu się w takich warunkach znajdzie śmiałków.

Powstaje oczywiście pytanie, skąd te monstrualne przeszkody i trudności, skoro kontyngent robotników przymusowych został już do obozów dostarczony, a za podróż na widzenie z więźniem płaci się z własnej kieszeni? Można na nie odpowiedzieć trzema przypuszczeniami tylko, z których albo wszystkie, albo co najmniej jedno jest trafne. Po pierwsze, NKWD wierzy szczerze j w swoją misję urzędu ochrony zdrowia politycznego obywateli Związku Sowieckiego; po drugie, stara się odgrodzić ludzi wolnych od warunków życia w obozach pracy przymusowej — jeśli to możliwe — skłonić ich w drodze pośredniego nacisku do zerwania stosunków z uwięzionymi krewnymi; po

trzecie wreszcie, chce w ten sposób dać poważny atut w ręce władz obozowych, które całymi latami nieraz wyciskają z więźniów resztki sił i zdrowia, łudząc ich nadzieją rychłego spotkania z krewnymi.

W chwili kiedy krewny, przybyły na widzenie z więźniem, znajdzie się już w siedzibie Trzeciego Oddziału, sprawującego pieczę nad danym obozem, musi podpisać zobowiązanie, że po powrocie do miejsca zamieszkania nie zdradzi się ani jednym słowem z tym, co przez druty nawet dojrzał po tamtej stronie wolności; podobne zobowiązanie podpisuje więzień wezwany na widzenie, zaręczając — tym razem już pod groźbą najwyższych miernakazania (aż do kary śmierci włącznie) — że nie będzie w rozmowie poruszał tematów związanych z warunkami życia jego i innych więźniów w obozie. Można sobie wyobrazić, jak to rozporządzenie utrudnia nawiązanie bezpośredniego i bardziej intymnego kontaktu pomiędzy ludźmi, którzy po wielu latach rozłąki nieraz spotykają się po raz pierwszy w tak niezwykłych okolicznościach. Ostatecznie cóż pozostaje ze stosunku pomiędzy dwojgiem ludzi, jeśli wykreślić zeń wymianę wzajemnych doświadczeń? I oto więźniowi nie wolno ani słowem powiedzieć, a jego bliskim z wolności ani słowem zapytać, co się z nim działo od chwili aresztowania. Jeśli się zmienił nie do poznania, jeśli wychudł, posiwiał, zestarzał się przedwcześnie lub wygląda jak żywy trup, wolno mu tylko ogólnikowo i zdawkowo napomknąć, że „chorował trochę, gdyż klimat tej części Rosji mu nie służy”. Zarzuciwszy zasłonę milczenia na szmat — kto wie czy nie najważniejszy — jego życia, rozporządzenie to spycha go do zamierzchłej już przeszłości, kiedy był człowiekiem wolnym i zupełnie innym, kiedy czuł i myślał nie tak jak dzisiaj, i stawia go w nieznośnej sytuacji słuchającego tylko — jego, który powinien w pierwszym rzędzie mówić, a nawet krzyczeć. Nie wiem czy wszyscy więźniowie dotrzymali słowa danego przed widzeniem, choć cena jaką wypadałoby zapłacić za jego złamanie każe przypuszczać, że raczej tak. Bliskość krewnego, który przyjechał w odwiedziny do obozu, mogłaby wprawdzie stanowić pewną gwarancję dyskrecji, ale któż zaręczy, że w małym pokoiku wyznaczonym na wspólny pobyt w czasie widzenia nie ma aparatów podsłuchowych, lub że do szpary w cienkim przepierzeniu nie przytknął ucha urzędnik Trzeciego Oddziału? Wiem tylko tyle, że z domu swidani dochoziły często odgłosy płaczu i mam wiele powodów aby przypuszczać, że to on właśnie — ten bezradny i spazmatyczny szloch — wydobywał w chwilach nieznośnego napięcia z nędznych szczątków ludzkich przyodzianych w czyste ubranie więzienne to wszystko, czego nie wolno było wyrazić słowem. Myślę, że i to nawet trzeba uważać za pewien plus widzeń. Więzień nie ośmielił się nigdy zapłakać w obecności swych towarzyszy, a z częstego płaczu przez sen w baraku wiem, jaką przynosi on niekiedy ulgę. W każdym razie w tej próżni, jaką pomiędzy dwojgiem ludzi w domu swidani wytwarzała pieczęć na ustach więźnia, poruszali się oni po omacku niby kochankowie, którzy utraciwszy w czasie długiej rozłąki wzrok, upewniają się nawzajem bojaźliwymi dotknięciami rąk o swej namacalnej obecności aż do chwili, gdy nauczywszy się nareszcie na pamięć nowej mowy swych uczuć, muszą się rozstać na powrót. Toteż często, po powrocie z domu swidani do żony, więźniowie byli zamyśleni, rozczarowani i bardziej jeszcze przygnębieni niż przed widzeniem.

W / Chose Freedom Krawczenko opowiada, że jedna z jego przyjaciółek otrzymała po wielu staraniach (w zamian za obietnicę współpracy z NKWD) glejt na widzenie z mężem w obozie na Uralu. Do małej izdebki na wartowni wprowadzono starca w łachmanach, w którym młoda kobieta rozpoznała z trudem, i po upływie paru minut dopiero, swego męża. Wierzę, że się postarzał i zmienił, ale nie bardzo wierzę, że był w łachmanach. Nie mogę oczywiście twierdzić kategorycznie, jakie panowały stosunki w obozie na Uralu i odpowiadam za to tylko, co sam widziałem, słyszałem i przeżyłem w obozie nad Morzem Białym, lecz wydaje mi się, że wszystkie obozy pracy przymusowej w Rosji sowieckiej — choć różniły się między sobą pod wieloma względami — jedną cechą miały

wspólną i niejako nakazaną z góry: za wszelką cenę starały się zachować wobec ludzi wolnych pozory normalnych przedsięwzięć gospodarczych, które tym tylko różnią się od pewnych odcinków planu przemysłowego wypełnianych na wolności, że zamiast zwykłych robotników zatrudniają więźniów, opłacając ich i traktując — rzecz prosta — nieco gorzej, niż gdyby pracowali z własnej woli, a nie pod przymusem. Nie można było przed krewnymi przybyłymi na widzenie ukryć stanu fizycznego więźniów, ale można było — przynajmniej częściowo — ukryć sposób, w jaki ich traktowano w obozie. W przeddzień widzenia każdy więzień obowiązany był iść do łaźni i do-fryzjera, zdawał w składzie starżyny swoje łachy a otrzymywał na trzy dni czystą koszulę lnianą, czyste kalessony, nowe spodnie wataowane i buszlat, nieznoszoną czapkę-uszankę i walonki pierwszego gatunku; od tego ostatniego obowiązku zwolnieni byli tylko ci więźniowie, którzy zdołali w kufierku obozowym przechować na ten uroczysty dzień swoje dawne ubranie z wolności, lub dorobili go się — w nieuczciwy na ogół sposób — już w czasie odsiadki kary. Jak gdyby za mało było tego szczęścia, wydawano mu chleb i talony na zupełną na trzy dni z góry; cały chleb zjadał przeważnie od razu sam — żeby się raz wreszcie najeść do syta — a talony oddawał zaprzyjaźnionym współwięźniom, licząc na żywność przywiezioną przez krewnych. Po skończonym widzeniu więzień oddawał na wartowni do rewizji wszystko co otrzymał przed pożegnaniem od krewnych i szedł prosto do składu ubrań, gdzie zrzucał fałszywe piórka i przyoblekał swą dawną skórę. Przepis ten przestrzegany był bardzo ściśle, choć i on nie pozbawiony był pewnych jaskrawych sprzeczności, które od jednego uderzenia niweczyły pracowite dzieło maskarady, inscenizowanej na użytek wolnych obywateli Związku Sowieckiego. Pierwszego bowiem ranka po przyjeździe na widzenie krewny mógł, uchylwszy firankę w domu swidanki, zobaczyć na wartowni dziesiątki brygad wyruszających do pracy za zonę, w których brudne i zaropiałe cienie obleczone w podarte łachy, obwiązane sznurkami i trzymające kurczowo w rękach puste kociołki, słaniały się na nogach z zimna, głodu i wycieńczenia; musiałby więc chyba być niespełna rozumu, gdyby przypuszczał, że taki sam los ominął schludnego nędzarza, którego przyprowadzono wczoraj do domu swidanki w czystej bieliźnie i nowym ubraniu. Ta obrzydliwa maskarada była czasem aż komiczna w swej tragiczności i wywoływała wiele żartobliwych docinków ze strony towarzyszy w baraku; zdarzyło mi się parokrotnie widzieć żywe trupy, przyodziane w porządne ubrania, którym brakowało tylko jeszcze spleść dłonie na piersiach i wcisnąć między zeszywniałe palce święty obrazek i kawałek gromnicy, aby mogły spocząć na wieki w dębowych trumnach i ruszyć w tym odświętnym stroju w swą ostatnią podróż. Zbędne również dodawać, że więźniowie biorący z musu udział w tym widowisku czuli się na ogół niezręcznie w swym fałszywym wcieleniu, jak gdyby zawstydziała i upokarzała ich sama myśl, że służą za parawan, za którym obóz usiłuje na trzy dni ukryć przed ludźmi wolnymi swe prawdziwe oblicze.

(...)

Każdemu więźniowi przysługiwał w czasie widzenia osobny pokój. Tutaj jednak przepisy więzienne wkraczały z całą surowością oddzielając przywileje ludzi wolnych od skrupowań przestępców, odbywających karę w obozie pracy. Krewny z wolności mógł o każdej porze dnia i nocy opuścić dom swidanki i udać się do miasta, ale sam; więzień musiał cały okres widzenia spędzić w wyznaczonym mu pokoiku, lub — jeśli miał na to ochotę — wpaść poddawszy się uprzednio rewizji na wartowni, na parę chwil do zony. W wypadkach wyjątkowych pozwolenie na widzenie opatrzone było klauzulą, ograniczającą przebywanie z krewnymi tylko do pory dziennej; wieczorem więzień wracał do zony, a o świcie przychodził znowu do domu swidanki. (Nigdy nie mogłem dociec, czym podyktowane były te półwidzenia: niektórzy więźniowie sądzili, że charakterem przestępstwa, ale w praktyce nie znajdowało to potwierdzenia). Za to rano, kiedy brygady przechodziły obok domu swidanki do pracy,

prawie zawsze w jego oknach uchylały się firanki i mogliśmy na okamgnienie zobaczyć twarze naszych współtowarzyszy obok obcych twarzy z wolności. Brygady zwalniały na ogół wtedy krok i powłóczyły trochę przesadnie nogami, aby w ten milczący sposób donieść „ludziom stamtąd”, do czego doprowadza życie za drutami obozu. Innych znaków nie wolno było dawać, tak jak nie wolno było również — przechodząc obok toru kolejowego — machać rękami do pasażerów przejeżdżających pociągów osobowych. Nawiasem wypada tu dodać, że konwojenci mieli surowy nakaz odpędzania brygad z toru kolejowego w głąb lasu, ilekroć postyszeli dość wcześnie odgłosy zbliżającego się pociągu. Natomiast więźniowie w oknach domu swidajni uśmiechali się do nas dość często i przesyłali nam pozdrowienia, obejmując czule swych krewnych, jak gdyby w ten najprostszy i wzruszający sposób chcieli nam przypomnieć, że są również ludźmi, mają takich oto przywoicie ubranych bliskich i mogą poufale dotykać ludzi wolnych. Częściej jednak w przygastych oczach pojawiały się łzy, a przez zmizerowane twarze przebiegały konwulsyjne drgawki bólu; nie wiadomo co tak poruszało szczęśliwszych przecież od nas towarzyszy — czy nasza nędza, oglądana przez szybę ciepłej i czystej izdebki, czy myśl o tym, że jutro lub pojutrze znajdą nie znowu sami w brygadach, odmaszerowujących o głodzie i w mróz na dwanaście godzin do lasu.

Sytuacja ludzi wolnych, którzy po pokonaniu niezliczonych trudności zdołali wreszcie dotrzeć do obozu na widzenie, nie była również w pewien sposób godna pozazdroszczenia. Czuli bezmiar cierpienia swych bliskich, nie mogąc ani poznać go dokładnie, ani mu ulżyć; lata rozłąki wypaliły w nich wiele uczuć, jakie żywili niegdyś na wolności dla swych bliskich, a przyjechali tu przecież po to, by w ciągu tych krótkich trzech dni ogrzać ich żarem swej miłości, o ileż większym niż może wzniecić przechowywana w popiele iskierka. Poza tym obóz, mimo że daleki i szczelnie odgradzony od przybysza z zewnątrz, rzucał przecież i na nich swój złowrogi cień. Nie byli więźniami, nie byli „wrogami ludu”, ale byli krewnymi „wrogów ludu”. Chętniej może zgodziliby się dźwigać brzemień cierpienia i nienawiści, jakie spoczywało na barkach ich najbliższych, niż znosić w milczeniu upokarzającą i dwuznaczną sytuację „ludzi z pogranicza”. Urzędnicy obozowi traktowali ich grzecznie i poprawnie, ale z pewną nieukrywaną rezerwą i pogardą. Jak można okazać pełny szacunek żonie lub matce tego oto nędzarza, który żebrze o łyżkę zupy, grzebie w śmietniku i dawno już zatracił poczucie własnej godności?

(...)

Mimo że widzenia były tak rzadkie i trudne do uzyskania — a może właśnie dlatego — odgrywały one w obozie ogromną rolę. Przekonałem się jeszcze w więzieniu, że jeśli człowiek nie ma w życiu jakiegoś określonego celu — a ukończenie wyroku było zbyt odległe i niepewne, by je poważnie brać w rachubę, to musi przynajmniej mieć na co czekać. Listy przychodziły tak rzadko i były tak zdawkowe, że nie mogły stanowić żadnej atrakcji. Pozostawały więc widzenia. Więźniowie czekali na nie z niepokojem i radosnym napięciem, a często nawet liczyli czas swego wyroku i życia według tych krótkich chwil szczęścia lub oczekiwania na nie. Ci którzy ciągle jeszcze nie znali określonego terminu swego widzenia żyli nadzieją, rozdmuchiwali ją sztucznie, Pisali podania do Moskwy, znosili mężnie najcięższą pracę jak ludzie zaciskający zęby na pionierskim dorobku, wieczorami odwiedzali swych szczęśliwszych towarzyszy, wypytując po wielokroć o sposoby przyspieszenia tej niezwyklej chwili, w dzień wolny od pracy chodzili oglądać z daleka dom swidajni, jak gdyby upewniając się że ich pokój jest zarezerwowany i czeka tylko na przyjazd gości, spierali się między sobą zawczasu o pokoje, czyścili i cerowali swe prywatne ubrania — jednym słowem mieli zajęcie, a może nawet więcej, cichą namiętność, która ich chroniła od beznadziejności i rozpacz, od poczucia bezcelowej egzystencji. W

najgorszym położeniu byli oczywiście samotni więźniowie i cudzoziemcy, ale i oni nawet potrafili z widzeń wyciągnąć pewną korzyść, biorąc udział w radości i oczekiwaniu innych, lub traktując je jako jedyne źródło informacji o życiu na wolności.

(...)

Młodszy więźniowie przeżywali przed spotkaniem z żonami dodatkowe, i bynajmniej w stosunku do najbliższych towarzyszy na pryczy nie intymne, wzruszenia seksualne. Lata ciężkiej pracy i głodu podkopały w nich siły męskie, i teraz przed zbliżeniem z prawie obcą kobietą odczuwali oprócz nieśmiałego podniecenia bezsilną rozpacz i gniew. Parę razy zdarzyło mi się słyszeć przechwałki męskie po widzeniach, ale na ogół były to sprawy wstydlive i przez wszystkich szanowane milczeniem. Nawet wśród urków odzywały się pomruki oburzenia, ilekroć konwojent, który w czasie nocnej zmiany urozmaicał sobie na wartowni czas podsłuchiowaniem odgłosów miłości za cienkim przepierzeniem domu swidanki, spowiadał się przed brygadą ze śmiechem ze swoich poufnych spostrzeżeń. I dziwna rzecz: w zonie panowało wyuzdanie seksualne, kobiety traktowało się jak prostytutki, miłość jak spacer do wychodka, a ciężarne dziewczęta z baraku matek witało się drwinami — ale dom swidanki ostał się w tym morzu brudu, ponizienia i cynizmu niby jedyna przystań takiego życia uczuciowego, jakiego pamięć przechowała się w obozie z wolności. Pamiętam jaką radość przeżywaaliśmy wszyscy, gdy do jednego z więźniów przyszedł list o urodzeniu się dziecka, poczętego w czasie widzenia. Gdyby nam to dziecko oddano, byłoby ono naszym wspólnym dzieckiem, karmilibyśmy je odejmując sobie od ust, podawalibyśmy je sobie z rąk do rąk, choć mielibyśmy przecież pod dostatkiem własnych bękartów, poczętych na pryczach w zonie. I to właśnie było najważniejsze: że w zonie, a nie w domu swidanki — z wolną kobietą, na czystej pościeli... W ten sposób bowiem życie nas, ludzi martwych i zapomnianych, zaczepiało się cieniutką nicią o wolność, wydobywało się przez wąską szczelinę z trumny, której wieko ciążyło nam niekiedy bardziej niż wszystkie cierpienia fizyczne.

Cóż jeszcze mógłbym dodać o domu swidanki! Chyba to tylko, że jako cudzoziemiec nie oczekiwałem nigdy nikogo i może dlatego te moje zapiski o towarzyszach więziennych, w których radościach i smutkach uczestniczyłem jedynie mimo woli, tak są rzeczowe i aż do bólu obojętne.

Zmartwychwstanie

(...)

Wśród ludzi wolnych, zatrudnionych przez Gułag w administracji obozów sowieckich wielu było dawnych więźniów. Większość lekarzy, inżynierów, urzędników i techników otrzymywała natychmiast po ukończeniu wyroku albo drugi wyrok, albo propozycję pozostania w obozie na nie najgorzej płatnych posadach, z którym związane były z reguły dwu- lub trzypokojowe mieszkania w pobliskim miasteczku. Taka forma kompromisu przynosiła korzyści obu stronom, toteż rzadko się zdarzało, żeby spotkała się z odmową. Po latach pobytu w obozie przeciętny więzień na tyle odwykł od wolności, że myślał o niej z pewnym lękiem jak o sytuacji, w której będzie musiał znowu żyć w stanie wiecznej czujności, śledzony przez przyjaciół, krewnych i kolegów, z góry narażony na podejrzenia po odsiedzianym dopiero co wyroku; w pewien sposób również obóz stawał się jego drugim życiem — znał jego prawa, obyczaje i przepisy, poruszał się w nim swobodnie, wiedział jak się w nim żyje i unika niebezpieczeństwa. Lata spędzone za drutami przytępiły jego wyobraźnię, i marzenia o wolności kierowały nie tyle ku rodzinnemu Kijowowi czy Leningradowi, co ku otwartej przestrzeni za zoną i

w zonie, a chorych traktował z surowością, w której przebijała ledwie dostrzegalna nuta serdeczności. Ilekroć pojawiał się na drodze wiodącej do szpitala w swej długiej futrzanej szubie, wysokiej czapie z baranków i skórzanych sztylpach zapiętych na metalowe zatrzaski, lekarz dyżurny porządkował drżącymi rękami wykres temperatur, a siostra Jewgienia Fiodorowna bladła z przejęcia. Mówiono bowiem, że to ona była jedyną więzią łączącą Jegorowa z przeszłością więzienną. Poznał ją jeszcze przed zwolnieniem w Kruglicy, został jej obozowym mężem i swoje przeniesienie na stanowisko wolnego lekarza w centrali uzależnił podobno od wystania Jewgienij Fiodorowny do Jercewa. W każdym razie Michaił Stiepanowicz opowiadał mi, że przyszła etapem z Kruglicy, ze skierowaniem wprost do naszego szpitala, w dwa miesiące po nominacji Jegorowa.

Ten związek był w obozie czymś niezwykłym, gdyż opierał się na prawdziwym uczuciu, a nawet wierności. W zasadzie każdy wolny urzędnik mógł mieć kobietę z obozu za porcję chleba, ale było nie do pomyślenia, aby odważył się lub chciał nadać tej przelotnej transakcji trwalszy akcent uczuciowy. Kobiety przychodziły i odchodziły jak fale etapów, co zaś pozostawało na stałe, to możliwość ich posiadania bez najmniejszego trudu. Młody i nieżonaty urzędnik obozowy nie mógłby nawet przeliczyć i ogarnąć pamięcią twarzy, które przewinęły się przez jego drewnianą komórkę w zonie. Tu jednak wchodziło w grę coś więcej — miłość, lub w każdym razie jej szczątkowa forma. I chociaż władze obozowe, więźniowie w zonie i więźniowie zatrudnieni w szpitalu nie mogli mieć wątpliwości co do istoty związków łączących tych dwoje ludzi, Jegorow i Jewgienia Fiodorowna zachowywali się tak, jak gdyby intymność i dyskrecja były warunkami trwałości ich uczucia.

Siostra Jewgienia Fiodorowna przychodziła niekiedy na naszą salę wieczorem i usiadłszy na brzegu łóżka starego aktora, opowiadała o sobie. Z ojca Rosjanina i matki Uzbeczki, była zupełnie wyjątkowej urody; twarz miała smagłą i drobną, oczy pięknie smutne, czarne włosy zaczesane po staroświecku na boki i splecione na karku w mały węzeł; mimo trzydziestu już prawie lat zachowała w sylwetce i ruchach dziewczęcność i płynność młodej panienki. Była studentką medycyny na uniwersytecie w Taszkencie aż do chwili, kiedy ją aresztowano w roku 1936 za „odchylenie nacjonalistyczne”. Na czym to „odchylenie” polegało, nie umiała dokładnie powiedzieć, z jej uwag i wypowiedzianych śmiało poglądów wywnioskowałem jednak, że nie bardzo jej była w smak rusyfikacja Uzbekistanu, choć przecież po ojcu była Rosjanką, a tylko przez matkę mogła odczuwać jakiś daleki związek uczuciowy ze swą przybraną ojczyzną azjatycką. Jej poglądy stanowiły dziwną mieszankę europejskiej postępowości i azjatyckiego konserwatyzmu: uważała się za zwolenniczkę wolnej miłości, swobody obyczajów i luźnych związków małżeńskich, ale nie pozwalała złego słowa powiedzieć o tradycyjnym upośledzeniu kobiety w środkowej Azji. W tych rozmowach nie wspomniała nigdy o Jegorowie; raz tylko, gdy opisywała swoje trudne początki w Kruglicy, zdradziła się mimochodem, że u kresu sił wydobył ją z lasu do pracy w ambulatorium nasz wolny lekarz, wówczas również więzień kruglicki. Z tonu jakim to powiedziała wyczułem, że tajemnica otaczająca jej związek z Jegorowem miała swoje źródła nie tylko w potrzebie prywatności: Jewgienia Fiodorowna nienawidziła ludzi wolnych i w pewien sposób wstydziała się tego naruszenia solidarności więziennej. W obecności Jegorowa usiłowała zawsze zachować zupełną obojętność, ale ilekroć po paru godzinach spędzonych z nim w dyżurce szpitalnej wchodziła na salę, unikała naszych spojrzeń, zasłaniając szkliste oczy ciężkimi powiekami. Wyglądało więc na to, że Jegorow kochał ją, bo był niegdyś więźniem i nie chciał lub nie mógł tego zapomnieć, a ona jeśli odwzajemniała jego uczucia, to dokładnie z tych samych względów. „Nie może to jednak trwać wiecznie — mówiłem często do Michaiła Stiepanowicza — jest w tym dla niej coś poniżającego. Jegorow odwiedza ją jak prostytutkę i wraca za zonę do innego, wolnego życia”.

W miesiąc po wypisaniu ze szpitala odwiedziłem Jewgienię Fiodorowna w dniu kiedy Jegorow nie przychodzi do zony i zastałem u niej Jarosława R., studenta politechniki w Leningradzie, który został aresztowany w roku 1934 w związku z zabójstwem Kirowa, zwolniony przedterminowo w roku 1936, i aresztowany powtórnie w roku 1937. Siedzieli na małej kozetce, używanej zazwyczaj do badania chorych, patrząc na siebie w sposób, który wykluczał wszelkie wątpliwości. W jej głosie, tak zawsze opanowanym i stanowczym, brzmiała teraz nuta bezgranicznego oddania, płonące oczy wyrażały szczęście, jakiego nie spotyka się nigdy w twarzach więźniów. Widywałem ich potem w letnie wieczory w zonie — mówiło się, że Jarosław jest u Jewgienii Fiodorowny na „garnuszkach szpitalnych” — ale dla mnie to była miłość, najczystsza miłość, jaką dane mi było oglądać w obozie. Nie tylko dla mnie zresztą. Michał Stiepanowicz określił zmianę, jaka zaszła w zachowaniu się i wyglądzie naszej siostry szpitalnej, słowem „zmartwychwstanie”. Było w tym słowie na pewno sporo przesady, chociaż pod jednym względem utrafiło ono wyjątkowo celnie w sedno sprawy: bardziej niż powrót do życia w ciszy szpitala, na nazwę „zmartwychwstania” zasługiwał ten powrót do niezależności uczuciowej tak gwałtowny, że stawiał na jedną kartę samo życie. Gdyż nie ulegało dla nas żadnej wątpliwości, że wystarczyłoby jedno słowo Jegorowa, aby Jewgienia Fiodorowna stanęła któregoś dnia na apelu porannym w brygadzie leśnej. Jegorow jednak zdawał się nie widzieć, co dzieje się za jego plecami. Jak dawniej przychodził co drugi dzień rano do szpitala obozowego, jak dawniej również wracał wieczorem wolnym krokiem za zonę. I chociaż nic mnie z nim przecież nie łączyło, byłem w tym cichym dramacie — przez jakąś przewrotność lub intuicję uczuciową — po jego stronie. Wydawało mi się, że przeżywał nie tylko odejście kobiety, którą kochał, ale i odejście od obozu, do którego w dziwny sposób przyłgnął. Mówiono o nim, że w piątym roku pobytu w obozie wyrzekła go się żona. Teraz więc wszystko, co go jeszcze łączyło z życiem, skupiło się na drodze wiodącej z Jercewa-miasta poprzez druty do Jercewa--obozu. Czy mógł wrócić na prawdziwą wolność on, który zdawał się prawie zafascynowany niewolą, uwiązany jak pies do miejsca, gdzie spędził osiem najcięższych lat życia?

Pod koniec lata zupełnie nieoczekiwanie Jarosław R. został wezwany na etap do obozów peczorskich; znaczyło to, że Jegorow próbował walczyć. Ale w dzień potem Jewgienia Fiodorowna zgłosiła się również na etap do jakiegokolwiek obozu poza Kargopolem; znaczyło to, że nie zamierza się poddać. Jej zgłoszenie zostało wprawdzie odrzucone, lecz wkrótce potem Jegorow przestał przychodzić do zony. Podobno poprosił o zwolnienie i wyjechał do innego obozu, nikt jednak nie umiał na ten temat powiedzieć nic pewnego. W każdym razie nie ujrzeliśmy go już nigdy, a w styczniu 1942 roku Jewgienia Fiodorowna zmarła w czasie porodu, dając życie dziecku swej prawdziwej miłości i płacąc własnym życiem za swoje krótkie Zmartwychwstanie.

Głód

Z moich obserwacji obozowych wynika, że kobiety znacznie gorzej znoszą głód fizyczny i seksualny niż mężczyźni. Proste prawo życia obozowego głosiło tedy, że łamiąc opierającą się kobietę głodem fizycznym, zaspokajają się jej obie potrzeby naraz. Mówię o tym bez cienia cynizmu. Jeżeli wspomnianie tego wszystkiego, co działo się w Europie w czasie ostatniej wojny ma mieć w ogóle jakiś sens, to trzeba abyśmy zapomnieli na chwilę o zasadach zwykłej moralności, jaką żyli nasi dziadkowie i ojcowie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i w pierwszych dziesiętkach lat stulecia, które zdawało się urzeczywistniać na naszych oczach pozytywistyczny mit postępu (...)

Na obronę kobiet wypada jednak może dodać, że moralność obozowa — jak każda zresztą moralność — wytworzyła również swoją własną hipokryzję. I tak na przykład, nikomu by do głowy nie przyszło obwiniać o cokolwiek młodego chłopca, który dla polepszenia swej doli został kochankiem starej lekarki, ale ładna dziewczyna oddająca się z głodu odrażającemu starcowi z chlebozeczki była, rzecz prosta, bladzią. Nikt nie kwestionował jako „prostytuowania się” dobrego prawa niemal wszystkich brygadierów i techników do comiesięcznego wyplacania się donosami w Trzecim Oddziale, ale kobieta wychodząca za zonę do naczelnika była „ prostytutką” i to najgorszego typu, bo łamiącą solidarność więźniów wobec ludzi wolnych. Było rzeczą naturalną, że nowo przybyły więzień oddawał brygadierowi resztki swego ubrania z wolności, aby uzyskać pewne względy przy procentowym obliczaniu normy (od którego zależała wysokość racji obozowej) i podziale pracy, ale gorszyło niektórych, gdy uboga dziewczyna, uginająca się pod ciężarem toporu w lesie, oddawała mu pierwszego lub drugiego wieczoru wszystko co posiadała, czyli własne ciało. Ta hipokryzja zależała zresztą najczęściej od charakteru przedobozowych powiązań środowiska. Więzień kradnący chleb swemu towarzyszowi zginąłby prawdopodobnie pod razami urków, którzy byli na ogół najwyższymi prawodawcami i sędziami w zakresie etyki obozowej; ale wśród Polaków znany był pewien ksiądz, ukrywający swą godność duszpasterską w łachmanach więźnia, który za spowiedź i rozgrzeszenie brał 200 gramów chleba (czyli o 100 gramów mniej, niż stary Uzbek wróżący z ręki) i chodził po swojej parafii w aureoli świętości. Gdy się zastanawiam nad przyczynami tego złożonego i trudnego zjawiska, dochodzę do wniosku, że w każdym większym skupisku ludzkim istnieje podświadoma dążność do wleczenia pod pręgierz „opinii publicznej” przychwyconych na gorącym uczynku ofiar, aby się tym tanim kosztem nieco samemu wybielić. Kobiety nadawały się do tego znakomicie, bo rzadko miały szanse do kupczenia czym innym poza własnym ciałem, a poza tym przyniosły ze sobą do obozu obciążenie konwencjonalnej obłudy moralnej z wolności, w myśl której każdy mężczyzna biorący kobietę w czasie pierwszych paru godzin flirtu uważany jest zazwyczaj za zabójczego uwodziciela, a każda kobieta oddająca się świeżo poznanemu mężczyźnie uchodzi za ładacznicę. Dla Rosjan, nawykłych do „ślubów za pięć rubli” i kopulacji uprawianej na wzór potrzeb fizjologicznych w wychodkach publicznych, nie był to właściwie problem istotny i służył raczej za przedmiot drwin z równouprawnienia kobiet w nowym ustroju, ale więźniowie cudzoziemscy (nie wyłączając komunistów) nieraz załamywali ręce nad „ogólnym upadkiem obyczajów moralnych w Rosji”. Tak czy owak prawdą jest, że głód najczęściej łamał kobiety, kiedy je zaś złamał, nie było już zapory na równi pochyłej, po której staczały się na samo dno upodlenia seksualnego. Niektórym przyświecała w tym nie tylko nadzieja polepszenia swej doli lub znalezienia możliwego opiekuna, ale i nadzieja macierzyństwa. Nie należy tego rozumieć zbyt sentymentalnie. Cała rzecz polega na tym, że kobiety ciężarne zwolnione są w obozie od pracy na trzy miesiące przed rozwiązaniem i na sześć miesięcy po urodzeniu dziecka. Sześć miesięcy to był okres przewidziany na odkarmienie dziecka do stanu, w którym można je było odebrać matce i uwięzić w niewiadomym kierunku. Barak macierzyński w Jercewie pełny był zawsze ciężarnych kobiet, które z wzruszającą powagą popychały przed sobą niewidzialne wózki swych pękających brzuchów, spiesząc do kuchni po supkę. O uczuciach natomiast, o prawdziwych uczuciach trudno jest mówić, gdy się uprawia miłość na oczach współwięźniów, lub w najlepszym razie w składzie starych ubrań, na przepoconych i śmierdzących łachach obozowych. Po latach zostaje z tego wspomnienie wstrętu, podobne do grzebania się w szlamie opróżnionej sadzawki, głęboka niechęć do siebie i do kobiety, która zdawała się niegdyś tak bliska...

W parę tygodni po moim przyjeździe do obozu — o ile mnie pamięć nie myli, w styczniu 1941 roku — przyszła etapem z więzienia młodzieńca Polka, córka oficera z Mołodeczna. Była naprawdę śliczna:

smukła i wiotka, jak ktoś chwiejący się na wietrze, o dziewczęco świeżej twarzyczce i maleńkich piersiach, ledwie rysujących się za granatową bluzeczką mundurka gimnazjalnego. Jury złożone z urków oceniło młodą klaczkę bardzo wysoko i nazywało ją odtąd — prawdopodobnie dla zaostrenia swego proletariackiego apetytu — generalską doczką. Dziewczyna trzymała się jednak świetnie; wychodziła do pracy z podniesioną główką i błyskawicami gniewnych spojrzeń przesywała każdego mężczyznę, który ośmielił się do niej zbliżyć. Wracała wieczorem do zony trochę pokorniejsza, ale dalej nieprzystępna i skromnie wyniosła. Prosto z wartowni szła do kuchni po zupę i nie wychodziła już nigdy z baraku kobiecego po zmroku. Wyglądało więc na to, że nie wpadnie tak łatwo w sidła nocnych łowów," a możliwość złamania jej głodem przy pracy utrudniał fakt, że przydzielona została do mieszanej kobieco-inwalidzkiej brygady 56, która na bazie żywnościowej przebierała jarzyny lub łatała worki. (Więźniowie z 56 nie mieli wprawdzie dostępu do naszych źródeł kradzieży, ale praca ich była stosunkowo lekka). Nie znałem jeszcze wówczas na tyle obozu, aby móc przewidzieć, jak się ta cicha walka skończy, to też bez wahania przyjąłem zakład o pół pajki chleba z inżynierem Polenko, zawiadowcą składu jarzyn na bazie, że dziewczyna nie ulegnie. Cała ta gra podniecała mnie w sposób, że tak powiem, patriotyczny — zależało mi na tym, żeby barwy biało-czerwone załopotwały dumnie na maszcie zwycięskiej cnoty. Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu ani mi w głowie były jeszcze kobiety i naprawdę skłonny byłem uwierzyć pogrożkom sędziego śledczego, że „żyć będę, ale przespać się z kobietą nie zechcę". Wykorzystując swą pozycję tragarza zaprzyjaźnionego z urkami zagrałem więc nieuczciwie wobec Polenki i przedstawivszy się dziewczynie jako student z Warszawy (żeby uniknąć pozorów mezaliansu), zaproponowałem jej fikcyjne małżeństwo, które w ramach etyki obozowej uchroniłoby ją na pewien czas od łapanki przez osobliwe ius primae noctis. Nie pamiętam już teraz co odpowiedziała, ale musiało to być coś w rodzaju „jak Pan śmie", bo dałem za wygraną. Polenko dostał ją do składu jarzyn i pilnie doglądał, żeby nie kradła nadpsutych marchewek i solonych pomidorów z beczek. Mniej więcej w miesiąc po zakładzie przyszedł wieczorem do naszego baraku i bez słowa rzucił na moją pryczę podarte majtki kobiece. Odważyłem mu dokładnie, i również w milczeniu, pół pajki chleba.

Odtąd dziewczyna odmieniła się zupełnie. Nie spieszyła się jak przedtem po zupę do kuchni, ale wróciwszy z bazy goniła się po zonie do późnej nocy jak nieprzytomna kotka w okresie marcowego parzenia. Miał ją kto chciał, pod pryczą, na pryczy, w separatkach techników, w składzie ubrań. Ilekroć mnie spotykała, odwracała głowę, zaciskając konwulsyjnie usta. Raz tylko, gdy zaszedłszy przypadkowo do składu kartofli na bazie, przyłapałem ją na kartoflisku z brygadierem 56, garbatym pokurczem Lewkowiczem, wybuchnęła spazmatycznym płaczem i wracając wieczorem do zony tamowała łyż dwiema drobnymi piąstkami. Spotkałem ją w roku 1943 w Palestynie. Była już zupełnie starą kobietą. Zmęczony uśmiech na pomarszczonej twarzy odsłaniał szczyrby w spróchniałych zębach, a przepocona koszula drelichowa pękała od dwóch obwisłych piersi, wielkich jak u karmiącej matki.

(...)

Głód, głód... Potworne uczucie, zamieniające się w końcu w abstrakcyjną ideę, w majaki senne, podsycane coraz słabiej gorączką istnienia. Ciało przypomina przegrzaną maszynę pracującą na zwiększonych obrotach i zmniejszonym paliwie, zwłaszcza gdy w okresach przesilenia zwiotczałe ręce i nogi upodobniają się do starganych pasów transmisyjnych. Jaka jest granica jego działania, poza którą chyląca się do upadku godność ludzka odzyskuje na nowo swą zachwianą równowagę? Nie ma żadnej. Ileż to razy ja sam, rozpląszczywszy pałającą twarz na oblodzonej szybie kuchni, zebrałem

niemy spojrzeniem u złodzieja leningradzkiego Fiedźki o jeszcze jedną chochlę „rzadkiego”? A czyż najlepszy mój przyjaciel, stary komunista i towarzysz młodzieńczych lat Lenina inżynier Sadowski, nie wyrwał mi raz na opustoszałym pomoście obok kuchni blaszanki z zupą, aby nie dobiegłszy z nią nawet do wychodka, wychłęptać po drodze gorącą ciecz spragnionymi wargami? Jeżeli istnieje Bóg, niech karze bezlitośnie tych, którzy łamią ludzi głodem.

(...)

Pierwsze oznaki wielkiego głodu pojawiły się z końcem zimy 1941 roku, a na wiosnę już cały obóz zmartwiał i przyczał się w oczekiwaniu decydującego ciosu. Zupa w kuchni zrzedła, chleb był coraz częściej niedoważony, znikły zupełnie śledzie, które dodawano niekiedy na „trzeci kocioł” (stachanowski) ku nieopisanej radości starego Dimki. Skutki nie dały na siebie długo czekać. Brygady wracały z pracy powolniejszym krokiem, wieczorem ledwie się można było przepchnąć na ścieżkach w zonie przez grupki błędzących po omacku „kurzych ślepców”, w poczekalni lazaretu czekały — przygotowane już zawczasu na oględziny lekarskie — spuchnięte kłody obnażonych nóg pokryte ropiejącymi ranami szkorbutu, duże sanie przywoziły codziennie z lasu jednego lub dwóch lesorubów, zemdlonych z wycieńczenia. Głód nie kończy swego władania w nocy, przeciwnie, niewidzialnym swym orężem atakuje skryciej i celniej. Jeden jedyny Iganow, stary Rosjanin z brygady ciesielskiej, modlił się do późnej nocy, ukrywając twarz w dłoniach. Reszta spała w martwej ciszy baraku gorączkowym, snem agonii, łapiąc ze świstem półotwartymi ustami powietrze, przewracając się niespokojnie z boku na bok, majacząc i szlochając rozdzierającym szeptem przez sen. Mnie samemu śniły się wówczas sceny erotyczno-ludożercze; miłość i głód wróciły do swego wspólnego pnia biologicznego i wyzwoliły z najgłębszych zakamarków podświadomości kobiety ulepione z surowego ciasta, pokąsane w niesamowitych orgiach, ociekające krwią i mlekiem, oplątujące rozpaloną głowę ramionami pachnącymi jak świeże pędy. Budziłem się zły i zaczadzony zazwyczaj o tej porze, gdy w odległości dwóch kilometrów od zony mknął jak świetlista strzała dźwięku express z Moskwy do Archangielska. Iganow modlił się jeszcze, a Dimka — mimo że pop — przyglądał mu się z nienawistną pogardą, wystukując drewnianą łyżką swoje świeckie godzinki głodu na wyciągniętej sztywno protezie. Od paru dni Dimka zgodził się za dodatkowy talerz zupy pomagać trzem niedołączonym asenizatorom i wracał przed północą kusztykiem do baraku mokry i prześmierdły jak szczur klozetowy. Stary nałóg kazał mu jeszcze czasem zajrzeć do cebrzyka pomyj, ale na czystym dnie nie było już od dawna ani jednej główki od śledzia. Raz wrócił z niezmiernie tajemniczą i rozradowaną miną, i wyciągnąwszy zza pazuchy kawał krwistego mięsa, przypiekał go długo na wygasającym ognisku. „Niech on się tu modli — śmiał się szeptem, gdyśmy szarpali zębami tykowatą pieczeń — a my sobie tymczasem w czwórkę, haps, zabłąkanego pieska do latryny”. „Naturalnie — odpowiedziałem, śmiejąc się również — psy Panaboże pilnują na łańcuchach królestwa niebieskiego i nie zawieruszą się nigdy do obozu”. W baraku, niby w kostnicy, sen wyciskał z dwóch leżących nieruchomo szeregów żywych trupów coraz słabsze westchnienia, bulgocące jak bańki na powierzchni zatrutego bajorka cichym płaczem. (...)

„Zapiski z martwego domu"

Któregoś wieczoru, gdyśmy jak zwykle zaczęli przekraczać brygadami bramę zony, nasz wzrok zatrzymał się na dużym afiszu, przylepionym do „czerwonej tablicy stachanowców" u rozstajnych ścieżek obozowych. „Godzina ósma. Kino — wołał afisz. — Wielki walc. Barak chudożestwiennej samodejatelności".

Był to drugi w Jercewie pokaz filmowy, a pierwszy za mojej bytności w obozie. Rok temu wyświetlano sowiecki film historyczny, na którym Michaił Stiepanowicz W. oglądał samego siebie, jedzącego pieczeń z carskiego stołu, i wycierał co chwilę zaczerwienione oczy na honorowym miejscu, w pierwszym rzędzie zarezerwowanym dla wolnych urzędników obozowych. O nowym filmie chodziły już po obozie słuchy od paru miesięcy, ale nikt w nie nie wierzył.! Co tam kino — mówili więźniowie — daliby lepiej dolewkę zupy, albo sto gramów chleba więcej". W gruncie rzeczy jednak te słowa nie odpowiadały prawdzie. Kino było czymś więcej niż chleb, i jeśli więźniowie wyrażali się o nim pogardliwie, to tylko dlatego, że wierzyli w spełnienie się jedynie takich pragnień, do których na pozór nie przywiązuje się żadnej wagi.

(...)

Kawecze mieściło się w małej komórcie obok jednego z baraków, a wchodziło się doń z rzadko uczęszczanej ścieżki tuż koło drutów. Przy żelaznym piecyku siedział siwy jak gołąb Paweł Iljicz i podlepiał książki, wycinał ozdoby z kolorowego papieru lub pięknymi literami kaligrafował na stole nazwiska stachanowców na „czerwoną tablicę". „Paweł Iljicz — mówili więźniowie, przybierający odruchowo od progu ugrzecznioną pozę — kniżeczku by kakuju poczitat". „Jaką?" — pytał, nie podnosząc oczu znad roboty Iljicza. „Ero už my wam dowieraiem, czło budiet interesnaja. Naczalnika dieto" — drapał się z zakłopotaniem w głowę nasz bibliotekarz.

Kunin mieszkał za żoną, ale jadał w obozie. Wysoki, szczupły w czapce z zadartym do góry daszkiem, sukiennej kurtce i butach z cholewami, o twarzy wilka stepowego i nerwowych ruchach rąk — poruszał się po obozie z łatwością i zadomowieniem, typowym dla doświadczonych i bywałych więźniów. Mówiono o nim, że wyrok, który ukończył w Jercewie w roku 1939, był jego trzecim z kolei pobytem w obozie, ale on sam o tym nie wspominał. Chodził po zonie żywym krokiem, często wstępował do baraków, przesiadywał z więźniami po parę godzin, i chociaż ten styl życia należał w pewnym sensie do jego obowiązków, czuliśmy, że tęskni za czasami, kiedy w podartym buszłacie leżał obok swych współtowarzyszy na górnej pryczy, wypatrując myszkującymi oczami, co by tu jeszcze można wygrać-w karty lub komu zajrzeć do kuferka. Nada kulturno żif, zakliuczonnnyje — nowtarzał zawszfc, uśmiechając się z wyższością przy słowie zakliuczonnnyje, i wyglądało na to, że było to jedno ze zdań, których nauczył się na pamięć, gdy mu przed dwoma laty powierzono misję kształcenia i wychowywania więźniów. W pewien sposób wzruszający był jego stosunek do Pawła Iljicza, z którym dzielił niegdyś pryczę w baraku murarzy. Jadał z nim zupę z jednej miski, dzielił się z nim papierosami, przynosił mu czasem z za zony pół bochenka chleba lub trochę wódki. Paweł Iljicz odwzajemniał mu tę życzliwość postuszeństwem i przywiązaniem, i chociaż przypuszczaliśmy, że sam na sam mówią sobie jak dawniej po imieniu, przy nas nie ośmielił się nigdy zwrócić się do niego inaczej jak grażdanan naczalnik. Kunin lubił ten tytuł i było widoczne, że przywiązuje doń większą wagę niż do wszystkich swoich czynności kulturalnowychowawczych. Nie potrafiłby już żyć poza obozem, ale nie zamierzał rezygnować z godności, która po tylu latach poniewierki więziennej wywyższała go ponad pospólstwo i „wrogów ludu". Starsi więźniowie, pamiętający go z dawnych jeszcze czasów, twierdzili, że bierze

teraz odwet za niespełnione nigdy sny o brygadierstwie. Późnym wieczorem Kunin odprawiał Pawła Iljicza do baraku i przyjmował w swojej kulturno-wspitatelnej części kochanki obozowe. Zmieniał je również często jak dawniej i mówiono nawet żartobliwie, że nie pozbawiony jest pewnych talentów pedagogicznych, jeśli chodzi o nowo przybyłe etapami dziewczęta, lub że mógłby sobie założyć szkołę z samych tylko dzieci, które urodziły mu łagierne na pryzkach baraku macierzyńskiego.

(...)

Przedstawienia więc pozostały jedyną dziedziną, w której kawecze mogło liczyć na pełne poparcie więźniów. Wśród zwolnionych od pracy Kunin znajdował zawsze dostateczną ilość ochotników do wycinania ozdób z kolorowego papieru i rozlepiania ich na ścianach baraku chudożestwiennej samodejatelności. Więźniowie — zwłaszcza starsi — robili to z przyjemnością, jak gdyby brali udział w przystrajaniu kościoła. Wróciwszy wieczorem do baraku, opowiadali nam z przejęciem o wyglądzie „teatru”, prosili leSORUBÓW o przyniesienie z lasu świeżych gałązek jodłowych, a robotników tartacznych o trociny dla posypania podłogi. W dzień i przedstawienia barak teatralny przybierał prawdziwie odświętny wygląd. Wszystkie ściany oblepione były kolorowymi wycinkami, między wiązaniami stropów i belek zieleniły się gałęzie jedliny, a deski podłogi aż się świeciły od czystości. Więźniowie zdejmowali u progu czapki, otrząsali w sieni walonki ze śniegu i zajmowali kolejno miejsca w ławkach, pełni uroczystego skupienia i religijnej nieledwie czci. Potem widziało się już tylko długie szeregi ogolonych głów i szare węzły rąk zaplecione na kolanach. W baraku chodożestwiennej samodejatelności grzeczność była czymś obowiązującym, toteż spóźnionym kobietom ustępowano bez wahania miejsca w pierwszych rzędach ławek. W drzwiach i pod wszystkimi ścianami stały również gromady więźniów, ławki bowiem nie mogły nigdy pomieścić wszystkich widzów. Na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia milkły rozmowy i szepty, a z różnych stron baraku rozlegały się niecierpliwie głosy: „Cisza, cisza, zaraz się zacznie”. Wejście Samsonowa w otoczeniu sztabu obozowego stanowiło sygnał dla Kunina.

Wychodził na proscenium, witał ukłonem naczałstwo i dawał więźniom znak, aby się uciszyli. „Zakliuczonyje — rozpoczynał swoje tradycyjne przemówienie — władza sowiecka umie przebaczyć i ocenić uczciwą pracę. Plan produkcyjny powierzony obozowi został wypełniony. W nagrodę za to zobaczycie za chwilę ... Ten akt wyrozumiałości powinien was zachęcić do jeszcze bardziej wytężonej pracy dla dobra naszej sowieckiej ojczyzny, j której staniecie się kiedyś również pełnoprawnymi obywatelami”. Przez widownię przechodził pomruk zadowolenia. Teatr miał w sobie coś z przedsiönka wolności.

Na pierwszym za mojej bytności w obozie przedstawieniu dawali — jak już wspomniałem — film amerykański z życia Straussa Wielki walc. Poprzedził go krótkometrażowy film sowiecki, którego treścią był wyjazd grupy studentów — komsomolców z Moskwy na roboty rolne w czasie ferii letnich. Utrzymany w tonie propagandowym, pełen przemowień, deklaracji i pieśni o Stalinie, miał jednak kilka pięknych zdjęć i zabawny epizod, który rozśmieszył więźniów do łez. Jeden ze studentów — jak sądzić można było z wyglądu i akcentu rosyjskiego, Żyd — nie mógł sobie pierwszego dnia poradzić z łopata, i oparłszy ręce na stylisku j zadumał się: „Nie dla mnie łopata. U mienia baszka rabołajet, nie шкГ- Na sali rozległy się śmiechy. „Widzisz go — wołali więźniowie — kakoj chifrenkij Jewrej! Naczelnikować imi ochota! A kopać ziemię to kto będzie? Do łagru by go na roczek, dwa!” Kiedy filrn skończył się wreszcie Mriumfem dobra i niezdarny student zajął pierwsze miejsce w socjalistycznym wyścigu pracy, a potem z ogniem w oku wygłosił przemówienie o ustroju, w którym praca rąk

wyniesiona została na najwyższy piedestał, widownia siedziała niepokieszona i pogrążona w milczeniu. Milczenie było jedyną bronią na jaką stać było więźniów, gdy każde nieostrożne słowo mogło brzmieć jak buntownicze wyzwanie.

Ale dopiero Wielki walc wzruszył nas i przejął do głębi. Nigdy bym nie uwierzył, że może powstać sytuacja, w której przeciętny amerykański film muzyczny — pefen kobiet w tiurniurach, mężczyzn w obcistych żakietach i żabotach, rozjarzonych żyrandoli, sentymentalnych melodii, tańców i scen miłosnych — będzie w stanie odstąpić przede mną prawie raj utracony innej epoki. Tłumiłem łzy i czułem gorączkę, która przyspieszonym biciem serca dławiała mnie za gardło, dotykałem chłodnymi dłońmi rozpalonej twarzy. Więźniowie przyglądali się filmowi nieporuszeni: w ciemności widziałem tylko rozwarłe szeroko usta i oczy chłonnae nieprzytomnie wszystko, co działo się na ekranie. „Kakaja krasata — szeptały przejęte głosy — jak ludzie żyją na świecie...” W swym naiwnym zachwycie, odgradzeni od świata, zapominali, że akcja filmu toczy się pół wieku temu, i oglądali przeszłość jak zakazany owoc terażniejszości. „Czy i my kiedyś pożyjemy jak ludzie? Czy skończy się nasza ciemność grobowa, nasza śmierć za życia?” Słyszałem te pytania obok, wypowiedziane tak wyraźnie, jak gdyby mi je ktoś szepnął na ucho. I choć na tle żargonu obozowego mogła się wydawać niezwykła ta przesada językowa, nie drgnąłem ze zdziwienia. Barak chudożestwiennoej samodejatelności, postacie przesuwające się na ekranie, dźwięki orkiestry, skupione twarze widzów, westchnienia mające w sobie coś z wewnętrznego odtajania — wszystko to spychało nas w przeszłość i otwierało dawno zamarte źródła wzruszeń.

(...)

Minęły dwa miesiące, w czasie których przeczytałem dwukrotnie Zapiski z martwego domu, a Natalię Lwowną widywałem tylko z daleka w zonie i pozdrawiałem ją zawsze przyjaznym ruchem ręki. Przyglądała mi się z niepokojem w oczach, jak gdyby chciała wyczytać w mojej twarzy, czy lektura Dostojewskiego zrobiła na mnie oczekiwane wrażenie. Uciekałem jednak od rozmów, ale już w chwili potem żałowałem tego postanowienia, patrząc jak wolnym krokiem odchodzi od swojego baraku i wita po drodze wszystkich przechodzących uprzejmym skinieniem głowy.

Unikałem jej zaś dlatego, że od przeczytania pierwszych paru stron Dostojewskiego do chwili kiedy po raz drugi i ostateczny zamknąłem książkę, patrząc na końcowe słowa: „Tak, z Bogiem! Wolność, nowe życie, zmartwychwstanie...” żyłem w stanie asfiksji, podobnym do przebudzenia z długiego śmiertelnego snu. Nie to w Dostojewskim było wstrząsające, że potrafił opisać nieludzkie cierpienia tak, jak gdyby stanowiły tylko naturalną część ludzkiego losu, ale to co uderzyło również Natalię Lwowną: że nie było nigdy najkrótszej nawet przerwy pomiędzy jego i naszym losem. Czytałem Zapiski wieczorami, w nocy i w dzień, kradnąc sobie sen, oczyma przekrwionymi od zmęczenia, z sercem bijącym jak wahadło dzwonu, z szumem w głowie, który wzmagął się niby odpływające w nieskończoność echo kropel wody, gdy spadając w miarowych odstępach czasu w to samo miejsce czaszki, rozłupują ją za każdym razem potężnym uderzeniem młota. Był to w moim życiu więziennym jeden z najcięższych okresów. Kryłem się z tą książką, czytałem ją pod naciągniętym na głowę buszlatem, chowałem w najpewniejszym miejscu na pryczy, pod ruchomą deską u wezgłowia; nienawidziłem jej i kochałem ją zarazem, tak jak ofiara potrafi się w pewien szczególny sposób przywiązać do narzędzia tortur. Po powrocie z pracy sprawdzałem najpierw z niepokojem czy leży na swoim miejscu, a jednocześnie pragnąłem podświadomie, aby przepadła bezpowrotnie, wyzwalaając mnie raz na zawsze od tego koszmaru życia bez nadziei. Nie wiedziałem jeszcze, że jedyną rzeczą

przed którą należy się w więzieniu bronić bardziej uparczywie niż przed głodem i śmiercią fizyczną, jest stan pełnej świadomości. Żyłem dotąd jak inni więźniowie: uciekając instynktownie od konfrontacji z własnym życiem. Ale Dostojewski swoim skromnym i przewlekłym trochę opowiadaniem, w którym każdy dzień w katordze ciągnie się, jak gdyby trwał lata całe, porwał mnie i niósł na grzbiecie czarnej fali, torującej sobie w podziemnych chodnikach drogę w wieczną ciemność. Próbowałem płynąć pod prąd, ale na próżno. Wydawało mi się, że nigdy przedtem nie żyłem naprawdę, zapomniałem, jak wyglądały twarze moich najbliższych i krajobrazy mojej młodości. Na kamiennych, ociekających wodą i połyskujących w ciemnościach ścianach podziemnego labiryntu, przez który niosła mnie czarna fala Zapisków z martwego domu, widziałem natomiast w nieprzytomnej i rozgorączkowanej wyobraźni długie szeregi nazwisk tych, co tu byli przed nami i zdążyli wydrapać w skale ślad swego istnienia, zanim załat ich i pochłonął z ledwie dosłyszalnym bulgotem wieczny mrok. Domyślałem się, że na klęczkach czepiali się rozpaczliwie oślizgłych załamów kamienia, że upadali i podnosili się na krótko, że wzywali pomocy głosem, który wybuchał jak kamienny krzyk i ginął zaraz w martwej ciszy kanału, że zakrzywionymi palcami chwyтали się każdego występu w skale, aby jeszcze po raz ostatni spróbować wyszarpnąć się z prądu, znoszącego po drodze wszystko i wszystkich ku martwemu morzu przeznaczenia. A jednocześnie, gdy uległszy na koniec opadali na dno jak topielcy ciemności, czarna fala przynosiła na ich miejsce innych, coraz nowych, tak samo upadających pod ciężarem cierpienia, tak samo wyrrywających się daremnie z jej śmiertelnych wirów — nas, nas, nas...

Największą męczarnią tego pólśnu stanowił niepojęty fakt, że przestały w nim działać prawa czasu — pomiędzy zniknięciem naszych poprzedników a naszym pojawieniem się nie było najmniejszej przerwy. W ten sposób nabierał on charakteru czegoś nieodwracalnego — przeznaczenia, w którym dla patrzących z boku wieczność znaczy tyle co zmruczenie oka, a dla skazanych na swój los zmruczenie oka trwa wieczność. Nawet najdrobniejsze szczegóły powtarzały się z upiorną dokładnością. Czyż więźniowie „martwego domu” nie szeptali również z przerażeniem u schyłku dnia świątecznego „zawtra opiaf na rabotu”? Z takim uczuciem nie można w obozie żyć zbyt długo. I im zachłanniej piłem z zatrutego źródła Zapisków z martwego domu, tym większą — tajemną prawie — radość znajdowałem w myśli, która po raz pierwszy od roku błysnęła w głowie: myśli o samowyzwoleniu przez samobójstwo.

Na szczęście Natalia Lwowna okazała się bardziej ode mnie nałogową czytelniczką Dostojewskiego, bo po dwóch miesiącach zjawiła się w naszym baraku i wywoławszy mnie do zony, powiedziała cicho: „Chciałabym dostać od pana z powrotem Zapiski. Nie mogę bez nich żyć. Nie mam nikogo na świecie i ta książka zastępuje mi wszystko”. Po raz pierwszy i jedyny dowiedziałem się wówczas od niej samej czegoś o jej życiu, choć dawniej już mówiono mi, że jej ojca rozstrzelano natychmiast po powrocie z terenów sprzedanej Japończykom kolei wschodnio-chińskiej. Wróciłem do baraku i wyciągnąłem Dostojewskiego ze schowka pod ruchomą deską na pryczy. Oddawałem jej Zapiski z mieszanymi uczuciami; żał mi było tej książki, dzięki której żyłem w obozie krótko z otwartymi oczami, mimo że to co ujrzały, miało wszelkie pozory śmierci; a jednocześnie cieszyłem się skrycie na myśl o wyzwoleniu od dziwnego i niszczącego uroku, jaki rzuciła na mnie ta proza tak nasyciona beznadziejnością i rozpaczą, że życie stawało się w niej cieniem jedynie nie kończącej się agonii codziennego konania.

— Miała pani rację, Natalio Lwowna — powiedziałem, pomagając jej ukryć książkę pod buszłatem.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, a na jej brzydkiej twarzy pojawił się na okamgnienie cień radosnego prawie podniecenia.

— Wie pan, że od chwili kiedy zdobyłam tę książkę w obozie, moje życie nabrało świeżej treści? Czy pan potrafi w to uwierzyć? Szukać nadziei u Dostojewskiego! — zaśmiała się z przymusem.

Przyglądałem się jej ze zdumieniem. Gdzieś w kącikach jej wielkich, chorobliwie wypukłych i nieruchomych oczu czaił się ledwie dostrzegalny błysk szaleństwa. Na drżące z zimna wargi wystąpił zagadkowy grymas — ni to uśmiech, ni znak bólu. Odgarnęła z czoła rzadkie kosmyki włosów, pozlepiane śniegiem i lekko zamarznęte.

(...)

Ural 1942

19 stycznia 1942 r. wieczorem podoficer Trzeciego Oddziału z kartką w rękę przypomniał sobie nareszcie o moim istnieniu. Nazajutrz rano żegnało mnie obok wartowni tylko dwoje przyjaciół — Dimka i p. Olga — gdyż z moimi polskimi towarzyszami pożegnałem się wcześniej. Sadowski, którego obudziłem w „trupiarni”, aby mu powiedzieć „do widzenia”, spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem i zakławszy ordynarnie, nakrył z powrotem głowę śmierzącym buszłatem; od miesiąca gorączkował i wszystkie potrzeby fizjologiczne załatwiał, nie ruszając się z pryczy. Dimka zwlókł się z barłogu, przyodział czystą koszulę (w której koniecznie chciał być pochowany) i powłócząc drewnianą protezę, prowadził mnie pod rękę na wartownię. Synok — powtarzał trzęsącymi się wargami — synok, szczęśliwej ziźni. Nam użę gibiel, my użę bywszyje l'udi, no ty jeszczu mołodoj, ąynok, tiebia swaboda patagajetsia. Pani Olga, która wychudła i szcerniała od czasu kiedy ją posłano do ładowania drzewa na birży, nie mogła powstrzymać łez. Było mi strasznie. Dante nie wiedział, że nie ma na świecie cierpienia większego, niż doznawać szczęścia na oczach nieszczęśliwych, jeść w obecności głodnych. Ucałowałem ich w milczeniu. Z baraku wybiegł jeszcze stary Iganow (był to pierwszy w nowym roku wychodnoj dzień) i odciągnąwszy mnie na bok, poprosił, abym mu wrzucił na wolności kartkę pocztową do rodziny. Za zoną ruszyłem wolno — nareszcie po dwóch latach bez konwoju — do Drugiego Oddziału, gdzie przygotowano dla mnie dokumenty. Na zakręcie drogi odwróciłem się jeszcze raz, aby ogarnąć obóz ostatnim spojrzeniem. Dimka machał mi z daleka drewnianym kijem, a p. Olga wracała zmęczonym krokiem do baraku kobiecego.

W drugim Oddziale przedłożono mi spis miejscowości, do których mogłem dostać bilet i prawo pobytu. O wojsku polskim nie było mowy. Ugrzecznony oficer NKWD nie wiedział rzekomo, gdzie się ono znajduje, a gdyby nawet wiedział, to i tak na nic by się to nie zdało, bo najdalszy promień trasy zwolnieniowej z obozów kargopolskich sięgał tylko do Uralsu. Wybrałem na chybił-trafił Złotous pod Czelabińskiem, ale nigdy doń nie dojechałem. Duże miasta — takie jak Swierdłowsk lub Czelabińsk — były jako reżimnyje goroda zamknięte dla więźniów, zwolnionych z obozów pracy.

Na stacji w Jercewie dowiedziałem się, że najbliższy pociąg do Wołogdy odejdzie nazajutrz o świcie. Znalazłem więc sobie ciepłe legowisko w poczekalni pod piecem i dotykając ciągle szeleszczących dokumentów i kartki Iganowa na piersi, ruszyłem na zwiedzanie miejsc, które dawniej obserwowałem z daleka, przez druty. Wstyd powiedzieć, ale kartki Iganowa nie wrzuciłem nigdy i gdy piszę te słowa, leży ona przede mną na stole. W promieniu kilkuset kilometrów od obozu bałem się panicznie zbliżyć do każdej napotkanej skrzynki pocztowej, jak gdyby sparaliżowany myślą, że za współudział w tym

przestępstwie mogę wrócić do Jercewa, a za Uralem zapomniałem o niej na śmierć w nieprzytomnym pościgu za wojskiem. Biedny, zacny Iganow! Długo pewnie, modląc się nocą na pryczy, nie mógł zrozumieć jak się to stało, że ta kartka oddana w tak pewne, zdawałoby się, ręce, nie dotarła do adresata. Dziś czytam ją jak dokument wyciągnięty z butelki, którą na bezpieczny brzeg wyrzuciła burzliwa fala. Adresowana jest do żony w Kazachstanie, mimo że Iganow pochodził z Wołgi, z czego wnoszę, że po aresztowaniu starego cieśli jego rodzinę zesłano do Azji. W tekście, poza licznymi pozdrowieniami dla wszystkich bliższych i dalszych krewnych, których imiona opatrzone są nieodmiennie zwrotem mnogo uważamyj, znajduję tylko jedno zdanie, usprawiedliwiające próbę ominięcia cenzury obozowej: Ja poka żyw i zdarow". Szczerze wątpię, czy można je jeszcze uważać za aktualne po pięciu latach, jakie zostały Iganowowi do odsiedzenia.

(...)

W Wołogdzie nasz pociąg wjechał na ślepy tor, a konduktor oświadczył spokojnie, że na razie podróż skończona. Niedaleko więc ujechałem i mogłem mieć słabą nadzieję, że dotrę w tym tempie przed wiosną do najbliższego oddziału wojsk polskich. Przyjechałem jednak na dworzec wołogodzki dość wcześnie, aby na gołej ziemi w olbrzymiej poczekalni zarezerwować sobie miejsce do spania. Mieszkało tu już od miesiąca kilkuset amnestionowanych więźniów. Wśród których poza garstką Polaków większość stanowili małowyrokwowi przestępcy pospolici, zwolnieni przedterminowo z obozów pracy jako dobrowolcy. W dzień wyganiano ich do miasta na żer, a w nocy hala dworcowa służyła na mocy rozporządzenia NKWD za dom noclegowy.

(...)

O świcie wypędzono nas do miasta na żebry. Znalazłem sobie na przedmieściu małą uliczkę robotniczą, gdzie koło południa siwa staruszka wzywała mnie skinieniem głowy — upewniwszy się przedtem, że nikt nie podgląda — do kuchni i częstowała kubkiem niesłodzonego odwaru z liści i kromką czerstwego chleba. Nie zamieniliśmy ze sobą nigdy ani słowa, poza moim spasiba i jej id i s Bogom. Raz, błądząc bez celu po mieście, wyszedłem na maleńki placyk i odnalazłem w czerwonej kamienicy ekspozyturę Ludowego Komisariatu Wojny, coś w rodzaju biura werbunkowego dla ochotników. Tęgi kapitan przyjął mnie za biurkiem, na tle olbrzymiej mapy ściennej Związku Sowieckiego, poczęstował uprzejmie papierosem i na pytanie, gdzie tworzy się armia polska odpowiedział, że postąpiłbym znacznie rozsądniej, wstępując do Armii Czerwonej. Kiedy indziej znowu stanąłem przed sklepem w ogonku po chleb. Będę pamiętał przez całe życie scenę, jaka się tam rozegrała. Ranny żołnierz sowiecki, który stracił pod Leningradem prawą nogę, przytaszczył się na kulach do ogonka i zapytał grzecznie, czy by go nie wpuszczono do sklepu poza kolejką, bo wyszedł parę dni temu ze szpitala i nie potrafi jeszcze ustać zbyt długo na zdrowej nodze. Odpowiedział mu wrogi szmer i złośliwe uwagi, że nie ma się do czego spieszyć, skoro o jednej nodze i tak nie wróci już na front. W jego twarzy malowała się taka rozpacz, że oddałbym mu chętnie swój chleb, gdybym na dwóch chorych nogach miał najmniejszą choćby szansę doczekania się swojej kolejki. (...) Nie było więc na co czekać w Wołogdzie. Piątego dnia rano, zamiast iść jak zwykle do miasta, wyszedłem na tory i około południa uczepiłem się pociągu w nieznaną, który przystanął na minutę w odległości kilometra od dworca wołogodzkiego.

W ciepłym i wygodnym wagonie przywitani mnie z pewnym zdziwieniem, ale bez słowa protestu, drzemający oficerowie marynarki wojennej, którzy jechali służbowo z Archangielska nad Morze Czarne. Po raz pierwszy od wyjścia z obozu zetknąłem się, słuchając ich rozmów, z dyskretną falą

patriotyzmu rosyjskiego. Nie musiała ona jednak być zbyt spontaniczna, bo po każdym pobiedim, nieodłącznym od najświeższych rewelacji na temat nowych pagonów i orderów, rozmawiający pogrążali się na powrót w drzemce kryjąc oczy za obsuniętymi daszkami czapek. Po trzech godzinach jazdy konduktor wykrył mnie w przedziale i wysadził na maleńkiej stacyjce Buj.

(...)

Dzień był słoneczny i mroźny, ale bez wiatru, na śniegu sypkim jak piasek kroki miały dźwięk pewny siebie, prawie radosny. Wyszedłem za miasto w puste pole, pobłądziłem w małych uliczkach, wróciłem na rynek: wszędzie zamknięte okiennice i ani żywej duszy. W pobliżu drewnianej remizy strażackiej znalazłem na śmietniku duży kawał czarnego chleba. Oskrobałem go z brudu i pleśni kozikiem obozowym i rozmoczywszy w śniegu, zjadłem łapczywie. W poczekalni stacyjnej było jeszcze ciągle pusto, ale ten poranny spacer dał mi tyle radości, że na widok samotnego zawiadowcy w czerwonej czapce, wystukującego w ciszy poranka złożonym młoteczkim tajemnicze znaki na taśmie telegrafu, spod gruzów zrobaczywiałej pamięci wydobyła się po raz pierwszy od dwóch lat czepliwa fraza poetycka - pierwsza strofa Piotra Płaksina. Nie było więc ze mną tak źle, jeśli zaczynałem sobie przypominać wiersze

(-)

Zasnąłem szybko i w miarę jak tajałem w ciepłe wagonu, pogrążałem się w coraz przyjemniejszych marzeniach sennych. Obudziła mnie ręka wyciągnięta z ciemnego przedziału na korytarzu i zapraszająca do wnętrza. Niechętnie i z pewnym lękiem wszedłem do przedziału, w przyćmionym świetle niebieskiej lampki z trudem rozróżniłem sześć drzemiących na siedząco kobiet. Ta, która mnie zaprosiła, obudziła delikatnym poszturchiwaniem swoje towarzyszki i po paru minutach piłem już na wyścietanej poduszkami ławce przedziału ocukrzoną herbatę z termosu, przygryzając ją chlebem z omastą. Moje gościnne towarzyszki podróży okazały się robotnicami moskiewskiej fabryki metalurgicznej, która wraz z przyczepionymi na platformach maszynami ewakuowała się w całości na Ural. Były dla mnie bardzo dobre i nie zapomnę im nigdy nie tyle tego, że ukrywały mnie aż do Świerdłowska na górnej półce przedziału i dzieliły się ze mną całym swoim skąpym jedzeniem, ale tego że uszanowały we mnie człowieka, nie brzydząc się moimi zawszonymi łachami i znosząc mężnie fetor, jaki wydzielał się z mojego brudnego i gnijącego ciała. O pobycie w więzieniu i obozie wspominałem tylko raz, ale umilkłem natychmiast, stropiony wyrazem strachu i nieufności w ich oczach. (...)

30 stycznia przyjechałem do Świerdłowska. Tę datę podaję po raz pierwszy nie z pamięci, ale z notatnika. Był jeszcze jednym dowodem mojego szybkiego powrotu do zdrowia fakt, że natychmiast po przyjeździe do Świerdłowska przyszła mi ochota do pisania i za ostatnie kopiejki kupiłem sobie na stacji notes z ołówkiem. „Miasto — odcyfrowuję w nim po siedmiu i pół latach ledwie czytelne, wytarte pismo — wygląda jak mapa warstwicowa z Plasteliny. Stary Jekaterynburg jest przeważnie drewniany. Nawet w śródmieściu spotyka się parterowe domki ze śmiesznymi kopułkami i ciętymi w drzewie ornamentami — to architektura kupiectwa rosyjskiego. Dalej widać murowane gmachy fabryk z długimi kominami i murowane również cerkwie. Trzecia warstwa to Świerdłowsk nowoczesny — pospolite, ohydne domy, poobwieszane portretami Stalina i Lenina, malowidłami i łożungami. Miasto nie tyle żyje intensywnie, co przewala się z boku na bok jak ranne zwierzę, toczone przez ludzkie robactwo. Wojnę widać na każdym kroku. Tu żyje teraz przeszło dwa miliony tubylców, uciekinierów i ewakuowanych. Ogonki, ogonki. Twarze bardzo zmęczone. Na ulicy gdzie zgrupowano

instytucje oficjalne, wojewódzkie i wydziały narkomatów, chleba i zupy się nie wydaje — nie ma po co stać w ogonkach. Wojska niewiele, sporo natomiast nowobraców w cywilu (łapciach), z karabinami na ramieniu. Widać na każdym kroku wysiłek organizacyjny, ale bez większych skutków. Miasto żyje samowolnie — kto się sam czegoś nie dobije, nic nie dostanie. Wieczorem nieco przyjemniej — ożywia się w tramwajach, ludno na ulicach. Świerdłowsk nie podlega obowiązkowi zaciemnienia".

(...)

Pierwszego zaraz dnia po przyjeździe zamieszkałem na dworcu świerdłowskim wśród garstki Polaków, którzy uświadomili mi szybko, że najbliższy pociąg do Czelabińska podstawiają najwcześniej za dziesięć dni, że po zupę trzeba chodzić codziennie rano do unieruchomionego wagonu za torami, że z każdą samotną kobietą czekającą na pociąg można się przespać na rogu obok przechowalni, a o armii polskiej nikt w Świerdłowsku nie słyszał. Po południu wyszedłem do miasta szukać mieszkania Krugłowych. W wigilię zwolnienia z obozu w Jercewie jeden z więźniów w baraku pieresylnym poprosił mnie, żebym — jeśli zahaczę w wędrownce na wolności o Świerdłowsk — odwiedził żonę i dwoje dzieci generała Krugłowa, który żyje dotąd w łagpunkcie Ostro-woje i po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej otrzymał dodatkowy wyrok zaoczny, zaokrąglający siedem pozostałych mu jeszcze do odsiedzenia lat do lat piętnastu. Misja nie była zbyt przyjemna, ale uczepiłem się tego adresu, jak jedynego trwałego punktu oparcia na wolności. Na wąskiej uliczce, której nazwy już dziś nie pamiętam, odnalazłem brudną kamienicę czynszową, a w niej stara stróżka wskazała mi, prowadząc mnie przez podwórze i przyglądając mi się podejrzliwie, małe mieszkanie na parterze. Zastałem tylko 14-letnią Lidię Krugłową, śliczną dziewczynę o czarnych, zamyślonych oczach, która siedziała przy stole nad stertą książek i zeszytów. Przyjęła mnie uprzejmie, a nawet z pewną radością, gdy się dowiedziała, że przyjeżdżam z obozu, w którym siedzi jej ojciec. Ciemny pokój zavalony był po sufit wypłowiałymi antykami, z jednego okna zasłoniętego po części zamiast szyb arkuszami dykty i naoliwionego papieru sączyło się żółte światło przedwieczornej godziny. W mieszkaniu panował taki ziąb, że mała Krugłową odrabiała lekcje w futerku narzuconym na ramiona, w filcowych walonkach i w wełnianych rękawiczkach bez palców. Umyłem się porządnie w kuchni po raz pierwszy od dwóch miesięcy. Czekając potem na Krugłową matkę, odrabiałem długo z Lidką lekcje i zaprzyjaźniłem się z nią szybko nad mapami i zadaniami arytmetycznymi. Wieczorem wróciła matka. Była jeszcze bardzo piękna, mimo śladów zmęczenia i niedospania, i rogowych okularów, zza których spoglądały smoliste jak u Lidki oczy. Położyła na stole kilowy bochenek i rzuciła pytające spojrzenie na córkę. Na wieść o tym, że przynoszę pozdrowienia od męża, odwołała mnie natychmiast do kuchni.

— Czy pan powiedział Lidoczce — zapytała z niepokojem — że jej ojciec dostał nowy wyrok?

— Nie — odpowiedziałem — zupełnie zapomniałem. W obozie nie przywiązuje się zbyt dużej wagi do wyroków, bo przekroczyły już dawno granicę, poza którą mogłyby się jeszcze wydawać prawdopodobne do odsiedzenia.

— Ach, mój Boże, jak to dobrze — zawołała, nie zwracając uwagi na mój dwuznacznik — bo widzi pan, Lidoczce tak dokuczają nauczyciele i koledzy uwięzieniem ojca, że nie poszłaby już za nic do szkoły, gdyby się dowiedziała, że mój mąż dostał nowy wyrok.

Wróciliśmy do pokoju, gdy stara niania, która przyszła przed chwilą jak zwykle do swoich dawnych państwa na wspólną kolację, nakrywała już do stołu. Na białym obrusie pojawiła się waza gorącej

zupy i samowar. Byłem wzruszony, a zdaje się nawet że onieśmielony. Siwiuteńka jak gołąb niania ukroiła mi kromkę chleba ze swojej racji i podała mi ją przez stół zapewniając, że na starość chleb jej nie służy. Siedzieliśmy przy kolacji, grzejąc zziębnięte ręce na gorącej blasze samowaru. Krugłową nie zapytała ani razu o męża i uciniała natychmiast karcącym spojrzeniem swych smutnych, aksamitnych oczu wszystkie moje aluzje obozowe. Rozmawialiśmy więc o rzeczach obojętnych. Krugłową opowiadała, że pracuje jako maszynistka bardzo ciężko, a zarabia mało i że ledwie może wieczorami ustać na nogach, gdy wzywają całe biuro na politgramotę. Potem, że jej osiemnastoletni syn, który zawsze pragnął być oficerem, nie został przyjęty do wojska „za ojca” i kopie teraz fortyfikacje pod Leningradem w pomocniczej formacji dobrowolców. Lidka żaliła się prawie z płaczem, że nie chcą jej „za ojca” przyjąć do komsomołu i nie ma prawa uczęszczać po szkole na gry i zabawy sportowe, ale za dwa lata „kiedy wróci papieńka”, wszystko się odmieni. Stara niania kiwała się sennie na krześle jak sowa, szepcząc bezzębnyimi ustami swoje monotonne Hospody, pomyłuj. (...) Było mi tak dobrze, że rozmarzyłem się nagle i ze łzami w oczach pomyślałem: wiele bym dał za to, żeby choć jedną noc przespać pod ludzkim dachem — ot, w tej małej kuchence na podłodze. Krugłową nie zapraszała mnie jednak, przeciwnie, coraz częściej spoglądała na zegarek. W ciągu dwóch lat pobytu w więzieniach i obozach zatraciłem był prawie zupełnie poczucie wrażliwości i grzeczności, ale teraz w tej atmosferze arystokratycznego ubóstwa, czułem się tak onieśmielony, że z trudem przeszła mi przez gardło prośba o przenocowanie.

— Czy pana ktoś widział wchodzącego? — zapytała blednąc Krugłową.

— Tak — odpowiedziałem — przyprowadziła mnie tu stróżka.

— Nie mogę — zaniósła się histerycznym płaczem — na miłość boską, nie mogę. Mąż w więzieniu, dzieci jak parszywe owce, ledwie nam dają oddychać. Czy pan wie, co to jest być włączonym po nocach przez NKWD, prosić o pracę jak o jałmużnę? Na litość boską, niech pan nie sprowadza na ten dom nowego nieszczęścia! Niech pan idzie natychmiast i niech pan tu nie wraca!

Po północy wracałem przez opustoszałe już ulice miasta na dworzec świerdłowski.

(...)

Nazajutrz rano powitaliśmy na dworcu świerdłowskim z religijną prawie czcią pierwszego oficera polskiego, który jechał ze swojej jednostki macierzystej do Archangielska po rodzinę. Powiedział nam, że najbliższa misja wojska armii polskiej urzęduje w Czelabińsku, a ostatnia dywizja polska w Rosji tworzy się w Kazachstanie.

(...)

Mój dzienniczek urywa się w tym miejscu — byłem widocznie zbyt zajęty i podniecony transportem do wojska — toteż zamiast skrupulatnych jak dotąd zapisków i spostrzeżeń znajduję w nim tylko dokładną trasę podróży: Czelabińsk — Orsk — Orenburg — Aktiubińsk — Aralsk — Kyzyl Orda — Arys — Czimkent — Dżambuł — Ługowoje. Wyruszyliśmy w pierwszych dniach lutego z Czelabińska wagonem towarowym, zaopatrzonego w dwa piętra drewnianych prycz, dwa wiadra, worek mąki, worek kaszy i dwie dziury w podłodze na najpilniejsze potrzeby, a 9 marca byliśmy już w Ługowoje. Nie pamiętamy tej podróży prawie nic, bo nie ruszaliśmy się z miejsc w obawie, że nie odnajdziemy potem naszego wagonu, który doczepiano na każdej większej stacji do innego pociągu. Spędziliśmy ten miesiąc na pryczach, zajęci na przemian to załatwianiem najpilniejszych potrzeb, to iskaniem

wszy w szwach ubrań. Jedynie w Orsku, gdzie nasz wagon musiał czekać parę godzin na następny pociąg, utkwiał mi w pamięci wspaniały krajobraz zachodu słońca na zaśnieżonym stepie — z niebem mieniącym się od ciemnego błękitu do rdzawej czerwieni i rudawo-brunatnymi wielbłędami, które na swych kołyszących się garbach niosły przez step samotnych wędrowców na stację.

(...)

Dziesiąta dywizja, złożona prawie w całości z najpóźniej zwolnionych, a więc i najbardziej schorowanych i niedożywionych więźniów wyewakuowana została jako pierwsza z Rosji do Persji. 26 marca nasz pułk przewieziono pociągiem towarowym przez Dżambuł — Arys — Taszkient — Dżizak — Samarkandę — Bu-charę — Czardżau — Aszchabad do Krasnowodska nad Morzem Kaspijskim; 30 marca załadowano go na dwa statki „Agamali Ogły” i „Turkmenistan”; 2 kwietnia zaś spałem już na piaszczystej plaży w Pahlevi, poza granicami kraju, w którym — jak czytam w moim dzienniczku — „można zwątpić w człowieka i sens walki o to, aby mu było lepiej na ziemi”.

Anatol Krakowiecki

Książka o Kołymie

Londyn, 1950

ANATOL KRAKOWIECKI ur. 11 maja 1901 roku, zm. 7 kwietnia 1950 roku. Literat i dziennikarz, m.in. współpracownik Ilustrowanego Kuriera Codziennego, autor powieści, dramatów i piosenek. Aresztowany podczas przekraczania granicy rumuńskiej w październiku 1939 roku, przechodzi przez więzienia i obozy, trafia m.in. do Władywostoku, Magadanu i drogą wodną do Kraju Kołymskiego. Po amnestii w 1941 roku przedostaje się do Armii Polskiej, z którą udaje się do Persji. Książkę o Kołymie pisał w latach 1943-1945 na Bliskim Wschodzie. Zmarł na atak serca.

Podróże kształcą...

Wigilia i Boże Narodzenie w celi czterdziestej, Sylwester i Nowy Rok w cztertnastej.

Jest to cela skazańców. Każdy mieszkaniec celi ma jakiś wyrok. Najmniejsze mają złodzieje. Potem zaraz idziemy my, turyści, a następnie są wyroki po pięć, osiem i dziesięć lat. Zwłaszcza policjanci są obficie zaopatrzeni w te „lata”. Jeden z nich był skazany na śmierć. (...)

Nadchodzi dzień 2 stycznia i biorą nas „na etap”. Mamy zażyć przyjemności uczenia się musztry więziennej. Wyprowadzają nas na dziedziniec i formują piątki.

— Ustawić się w piątki!

Słyszę wezwanie, rozkaz, który potem będzie uderzał wrzaskiem w moje uszy — może kilka tysięcy razy.

— Ustawić się piątkami! Krok w lewo, krok w prawo, a będę strzelał bez uprzedzenia!

Pierwsza piątka rusza. Przy bramie stoi strażnik i odlicza:

— Pierwsza!

Pierwszych pięciu ludzi wychodzi za bramę.

— Druga, trzecia, czwarta, piąta...

I tak dalej, bez końca. Obstawieni jesteśmy dookoła strażnikami. Karabiny w rękach, nagany w dłoniach. Karabin maszynowy naprzeciw. I psy — obrzydliwe, wściekłe psy. Zajeżdża samochód i ceremoniał zaczyna się od nowa.

(...)

Kolumnę więźniów prowadzą na rampę, segregują w jakiś tajemniczy sposób i pakują do wagonów. Rozwarte drzwi wagonu i pomost. Nie można bluznąć pod pomost, nie można dać nura pod wagon. Ludzie, karabiny, psy. I znów odliczenie:

125

— Pierwsza, druga, trzecia...

Pakują do wagonu trzydziestu sześciu ludzi. Jednego, Więckowiaka, byłego komendanta posterunku policji musimy wnieść. Ma opuchnięte nogi — cały jest opuchnięty.

W wagonie stoi wmontowany piecyk. Na ten piecyk z nadzieją kierują się uradowane oczy (nie tylko dlatego, że będzie ciepło...).

W naszym wagonie jest tylko kilku skazanych. Reszta, to więźniowie „śledczy”. My już uważamy się za załatwionych, oni będą tułać się od więzienia do więzienia, od śledztwa do śledztwa w poszukiwaniu wyroku. W innych krajach przestępcę wiezie się na miejsce przestępstwa, ażeby łatwiej było przeprowadzić śledztwo. Tutaj „przestępcę” wywozi się z „miejsca przestępstwa” — też żeby było łatwiej przeprowadzić śledztwo. Bodaj czy nie jesteśmy od nich szczęśliwsi, my — skazani? Chyba — tak? Nasze oczy skazańców szukają luk, wypatrują szpar, rozglądają się gorączkowo dookoła.

— Uciekać!

Oto jest myśl, która przesywa większość umysłów. Tutaj jako sprzymierzeńcy dołączają się przestępcy kryminalni, których „świat” odnosił się do nas kilka godzin temu tak wrogo.

(...)

Nie wiem — skąd wzięto się to żelazo? Wiele takich tajemnic otaczać mnie będzie w przyszłości. Dość, że żelazo jest! Na podłodze, pod dolnymi narami, leży młody człowiek. Inny młody człowiek trzyma żelazo w piecyku. Żelazo jest wreszcie rozpalone, czerwone, sypie iskry, potem wędruje pod nary. Za

chwilę słysząc syk i dym unosi się w powietrze. Teraz trzeba czekać aż dym się rozptynie, dopiero wówczas żelazo można powtórnie zagłębić w podłogę wagonu.

A tu pociąg stuka na zwrotnicach i może zatrzymać się? Zaś foszty drewniane, stanowiące podłogę wagonu, są bardzo grube. Ciężka, mozolna i niebezpieczna praca! W wagonie nie ma chyba nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z tego, co się dzieje. Są jednak tacy, którzy nie chcą widzieć, nie chcą słyszeć. Zaczynają ostrożnie szemrać, że „dym gryzie w oczy” — i od tego momentu nabrzmiewa protest.

(...)

Pociąg jedzie dalej, ostrożna praca trwa. Tyle, że protesty, dotychczas bardzo ciche, zaczynają być głośniejsze. Rozwiały się różne optymistyczne marzenia. Pociąg wraca na wschód. Jedzie z powrotem do Stryja, a potem kieruje się na Lwów. Na dolnych narach w kącie trwają narady.

— Dym gryzie w oczy! Co wy robicie? To szaleństwo! Nas tutaj pozabijają!

Pociąg coraz bardziej zbliża się do Lwowa. Wreszcie na dworcu Łyczakowskim nie ma już mowy o dalszej robocie. Sama robota jest zresztą niepoważna. Rozbabrana. Jeszcze trzeba by godzinę popracować, ażeby otwór był gotów. Na dworcu pracować jednak nie można.

Przynoszą jakieś jedzenie. Mało i paskudne. Zaczynają się pierwsze awantury o jedzenie. I o wodę. Palić już nie ma co. Palimy wspólnie fajkę, ulepioną z chleba. Fajka pokoju. Chociaż „pokoju” to na pewno nie. W każdym razie fajka przyjaźni.

Udzieramy długi kawałek białego i wystarczająco czystego płótna. Trzeba pisać ołówkiem kopiowym, a wody nie ma ani kropli. Wobec tego każdy pluje na ten kawałek płótna, na którym mam napisać jego nazwisko. Spieszę się, trzeba zdążyć. Wszystkie nazwiska obecnych w naszym wagonie są wypisane, ale „organizuje się” drugi skrawek płótna, a na nim widnieją nazwiska tych, z którymi każdy z nas zetknął się w różnych celach. Nie ma jednak czasu dokończyć tego spisu. Przetoczono nas bowiem na inny dworzec.

Nasz pociąg staje niedaleko peronu. Między nami a peronem stoi jakiś pociąg towarowy. Okienko naszego wagonu zatrzymało się w ten sposób, że stoi właśnie w luce między dwoma wagonami tamtego pociągu. Okoliczność przychylna, że jeden z tamtych wagonów, to cysterna nafty, do której wysoko doczepiona budka hamulczego.

Po peronie chodzą ludzie, wolni ludzie. Jeszcze nie aresztowani.

Naprzeciwko naszego okienka zatrzymuje się jakaś pani i dwóch panów. Rozmawiają swobodnie. Boję się rzucić rulon, obawiam się, że nie rzucę celnie. Oddałem go młodemu człowiekowi. Ten rzuca. Widzimy jak rulon upada na platformę wagonu-cysterny, poniżej budki hamulczego — i toczy się. Stoczył się po schodach z tamtej strony i upadł na peron. Tuż u nóg pani. A pani opuszcza torebkę i podnosi ją, z wolna, od niechcenia Rulonu nie ma już na peronie. A potem — też z wolna I też od niechcenia — wszyscy troje odchodzą.

(-)

I znowu nas przetoczono — znowu jakaś rampa — znowu odczytywanie nazwisk — znowu ustawianie piątek. Tym razem marny sposobność zakosztowania rozkoszy wagonu pullmanowskiego: długiego, szerokiego, świetnie resorowanego.

Tylko, że jest to wagon więzienny! Małe, zakratowane okienka 2 jednej strony, żadnych okien z drugiej. Luksus więzienny. Co stary Pullman powiedziałby na taki wynalazek?

(...)

W wagonie znajduje się, w części odgródzonej kratą, również luksusowe urządzenie. Nawet jest taki interes do spuszczenia wody- Tylko, że wody nie ma, a cały ten interes jest zepsuty. Trzeba stać w długim ogonku, ażeby się tam dostać. Już po upływie pół godziny funkcjonowania tego pomieszczenia, brnie się w kale.

W każdym przedziale ludzie łączą się w grupy. Łączy ludzi narodowość, pochodzenie, sympatia. Znajdują się między nami więźniowie, którzy niedawno zostali aresztowani. Od nich dowiadujemy się, co dzieje się w świecie. Jest między innymi człowiek, który 14 grudnia opuścił Warszawę. Opowiada, jak Warszawa wygląda, a serca ściskają się z rozpacz. Mówi o spalonym Zamku, o zrujnowanym Placu Teatralnym, o gruzach ulicy Marszałkowskiej.

Rozdano żywność. Otrzymujemy po łyżce cukru. Oraz śledzie. A wody ciągle tak mało, że na wiadro z wodą ludzie rzucają się jak w szale. Ten śledź nie jest rozdawany umyślnie, aby wzniecić pragnienie. To tylko tak wynikało z posiadanych zapasów — P° prostu śledzie były pod ręką.

Wagon szumi, burczy, a Karpatorusini udają, że śpiewają. Co jakiś czas wybucha awantura o wodę!

_ Wody! Wody!

Ten ponury okrzyk trwa, jak nieustanny refren naszego wagonu. Słyszysz się go w ciągu całych dziewięciu dni. Tyle bowiem trwa nasza podróż ze Lwowa do Horodni, przez Homel.

Nie ma również papierosów. Robimy burzę i wrzask. Przychodzi starszy strażnik i nieodmiennym obyczajem obrzuca nas obelgami ale potem zgadza się na zakupienie dla nas papierosów.

— Dajcie pieniądze, poślę po papierosy.

Nikogo nie zdumiewa takie postawienie sprawy, ani nawet jego samego, starszego strażnika. Mianowicie to, że przecież pieniędzy nie powinno być w wagonie. Przecież zrewidowano każdego niezliczoną ilość razy i wszystkie pieniądze zabrano, złożono gdzieś tam w jakiejś kasie i wydano kwitki...

... Z pieniędzmi była komiczna sprawa. Pewnego dnia, nagle w ciągu kilku godzin, kazano wymienić polskie złote na ruble. Więźniowie nie mogli osobiście wymienić tych pieniędzy, ponieważ siedzieli w kryminale. I oto, czy myślicie, że:

- a) wymieniono pieniądze wszystkim więźniom?
- b) nie wymieniono pieniędzy nikomu?
- c) wymieniono pieniądze tylko częściowo?

Nie! Jednym — wymieniono wszystkie pieniądze, innym w ogóle nie wymieniono, a jeszcze innym — wymieniono część na ruble, część pozostawiono w złotych. Oczywiście złote przepadły, stały się nieważne...

Kiedy jednak starszy strażnik zażądał pieniędzy, okazało się, że forsa jest. Kilkanaście rąk wyciągnęło się z banknotami rublowymi. Starszy strażnik bynajmniej nie zdumiony takim stanem rzeczy, zabrał pieniądze i wkrótce mieliśmy co palić.

Zasadniczo służbę w wagonie pełnił jeden strażnik, chodzący po korytarzu. Drugi stał w korytarzu poprzecznym. Czasami jednak zbierało się przed kratą kilku strażników, najwidoczniej będących poza służbą i znudzonych bezczynnością. Wciągali więźniów w dyskusje. Przede wszystkim mówiono o sprawach politycznych. Ale były również i rozmówki na temat Boga. Dziwili się ogromnie, gdy prawie wszyscy więźniowie, zapytani czy wierzą w Boga, odpowiadali:

— Tak wierzę!

Wtedy wykrzykiwali bluźnierstwa. Bezsensowne, pięknie wyuczone, zawsze te same. Pozytywki, papugi.

Jechał z nami młody człowiek, chłopaczek. Nie miał ukończonych szesnastu lat. Pochodził z Hajnówki i był uczniem gimnazjalnym.

Pewnego razu, kiedy stał koło kraty, wysunął mu się zza koszuli medalik i szkaplerz. Strażnik sięgnął nagłym ruchem po-l przez kratę i starał się szkaplerz zerwać. Chłopiec błyskawicznie zorientował się, plunął w twarz strażnikowi i odsunął się. Cisza zapadła w wagonie. Drżeliśmy, jakie też represje spadną na chłopca. Tymczasem strażnik otarł twarz i rozpoczął dyskusję o Bogu. Mówi, że Boga nie ma. Mówi, że Boga nikt przecież nie widział.

— Czy ty widział Boga, duraku! — zapytuje chłopca.

I wówczas padła wspaniała odpowiedź. W wagonie paliła się lampka elektryczna.

— To ty jesteś głupcem — mówi chłopiec spokojnie. — Czy widzisz tę żarówkę?

— Widzę.

— Czy świeci się?

— Oczywiście świeci się.

— Widzisz więc żarówkę i widzisz, że się świeci?

— Widzę.

— A czy wiesz co sprawia, że świeci się ta żarówka?

— Elektryczność.

— Więc przetnij, idioto i zagłębij do środka! Czy potrafisz ujrzeć elektryczność? Czy potrafisz zobaczyć jak ona wygląda?

... W ciągu całych lat powtarzałem sobie tę rozmowę, co pewien czas. Tam na Kołymie, w tajdze, jeśli była okazja, krzyczałem na cały głos. W barakach powtarzałem sobie ją po cichu.

Ażeby nie zapomnieć. Ażeby ją kiedyś napisać.

Załatwione. Napisałem...

(...)

We Władywostoku

(...)

Jedynym pięknym szczegółem wśród wszystkiego, co nas otacza, jest chyba tylko słońce, które wisi nad ciemnogramatową, prawie czarną płachtą brudnej cieczy. Ta ciecz — to Ocean Spokojny. Ale i to słońce wygląda, jak oko wśród kataru spojówek, otoczone szarą mgłą i postrzępionymi chmurami koloru wody, leżącej poniżej o kilka tylko odcieni brudniejszymi jeszcze.

Patrzę na wschód. Za moimi plecami wzgórza: „sopki mandżurskie” — powiadają. Z prawej strony także same wzgórza, rosnące jednak szybko i zuchwale pod nieboskłon: „te najdalsze, sine góry, to Korea”. Więzień uznaje jedną tylko geografii: geografii wolności. Te dwa słowa: Mandżuria i Korea oznaczają wolność, ale w tej chwili nie oznaczają nic.

Z lewej — zatoka władywostocka i port. Wiem o ich istnieniu, ale ich nie widzę: zasłaniają wzgórza. Na wzgórzach setki, tysiące baraków. Tysiące baraków, a setki łagrów — to byłoby trafne określenie. W jednym z takich łagrów, w baraku nr 13, grzebiemy nasze nadzieje na wolność. Jak w bardzo złej powieści kryminalnej, barak musi nosić numer 13. Ale rzeczywistość, która nam towarzyszy, jest gorsza od najgorszego banału powieściowego.

Nasz łagier styka się z następnymi. Oddzielony kilku rzędami drutu kolczastego, połączony warowną bramą. Między szpalerami drutów kolczastych biegają psy, wyją, szczekają, wspinają się na ogrodzenie lub gryzą między sobą. Każde zbliżenie człowieka do drutów powoduje natychmiastowy rajd bestii w tym kierunku i wściekłe ujadanie — strażnik na wieżycze gwizdże. (...)

Przywykamy do wzbudzania sobą ogólnego zainteresowania, jak przywyka primadonna, obwieszona klejnotami. Nasze obuwie wzbudza podziw: jest całe ze skóry. Obmacywani jesteśmy, jak cadyk z Góry Kalwarii: nasze ubrania, płaszcze, bielizna, krawaty — wszystko to jest przedmiotem zachwyty. I handlu. Nasi sprzedają i kupują. Za spodnie chleb i machorka, za kapelusze góry chleba i stos machory. Chleb i machora, które mam, pochodzą z wymiany wiecznego pióra, przewiezonego przez wszystkie perypetie.

Ci, którzy mieli ochotę pracować za dodatkową strawę, pracują oto poniżej. Tam, dalej, kopią jakiś dół i rowy. Inni przemykają z nosidłami pełnymi obrzydliwego barachła — noszą wszy do dezynfekcji. — Popatrz, popatrz — drogą jedzie pogrzeb... Jestem krótkowidzem. Między naszym łagrem a pasmem pagórków, które oddzielają nas od łachy Oceanu, biegnie droga. Sunie nią rząd samochodów ciężarowych. Na nich sterczą cudaczne obeliski, posmarowane na czerwono, z olbrzymimi gwiazdami u wierzchołka. Jakiś liczniejszy pogrzeb — nikt nie odpowie na pytanie, czy to może nie skutek jakiejś katastrofy? Czerwonych pomników nagrobkowych jedzie kilkanaście, a potem wiozą czerwone trumny.

— Co za paskudztwo...!

... W kilka miesięcy później, ten sam głos mówić mi będzie:

— Miałem bardzo... męczący... sen. Czy pamiętasz ten groteskowy pogrzeb we Władystoku? Tych kilkanaście czerwonych obelisków z gwiazdami, wiezionych samochodami? Otóż śniłem, że przede mną jechał taki sam samochód, wiozący trzy krzyże wielkich rozmiarów i dwa takie paskudztwa z czerwonymi gwiazdami, jak wówczas...

— Czyżbyś wierzył w sny, Henryku? — nadałem słowom silny dźwięk ironii.

— Nie wiem nic nie wiem... Tylko dlaczego trzy krzyże?

W zaboju pracuje nas pięciu — ich dwóch i nas trzech... Czy tak nie jest?

Tak było. O bardzo jeszcze szarym świecie szliśmy pod górkę w stronę naszego zaboju. Był to dzień 7 października...

— A na jednym z krzyżów — kończy Henryk — widziałem swoje nazwisko, wyraźniej niż ciebie teraz widzę...

— Obrzydzenie bierze, patrząc na tę ohydę...

Słowa oddalają się, bo oddala się mówiący. Wstał i idzie w dół...

— Patrzy pan na ten dziwny pogrzeb? Nigdy pan takiego nie widział? Dziwi się pan? Mogę panu dodać, że na każdym takim obelisku widnieje napis: „Iwan Matwiejewicz Iwanow zakończył życie poświęcone chwale rewolucji i sowieckiej ojczyzny”. Koniec. Obeliski sklecono z desek i pomalowano lichą farbą. Kilka deszczów zmyje farbę i na cmentarzu będzie stał taki szkielet nagrobka, aż się rozleci zmurszały...

Ostatni samochód znikł za zakrętem i droga jest zupełnie pusta, jak zwykle. Głos, wypowiadający obok mnie słowa, zamilkł. Nie znam tego głosu. To mówi obcy człowiek. Obcy, kulturalny człowiek, kresowiak o akcencie śpiewnym, ale już stonowanym na skutek długiego przebywania na zachodzie Polski.

Nie patrzę w bok, nie oglądam się. Wiem, że usiadł obok mnie na nasypie podpierającym barak, jak na przyzbie.

— Czy to prawda, że pan jest dziennikarzem?

Myślę, że ustawiczne wrzaski Hansa Belaua: Redakteurchen i ciągłe naszych: „redaktorku”, sprowadzą na mnie wreszcie nową biedę, ale znajduję w tym pewien styl, a reszta jest dla mnie obojętna. Postanawiam właśnie, że trzeba ewentualnie posłać kogoś z „donosem”, że jestem właśnie ukrywającym się wojskowym, a udaję tylko dziennikarza. Pomysł, który w tej chwili przychodzi mi do głowy, uważam za zabawny. Odpowiadam niechętnie:

— Tak. Czy Pan chce zapytać o książkę Andre Gide'a?

— Choćby o nią, ale skąd pan wie?

— Odpowiadałem na to pytanie niezliczoną ilość razy. Opowiadam, jak pozytywka. Nie przerywa. Kończę, coraz bardziej się streszczając.

— Dziękuję. Kiedy czytałem „recenzję” w naszych pismach nie trudno było się domyślić, co Gide napisał. ... Czy Mona Lisa wisi na dawnym miejscu?

— Nie wiem — odrzekłem i dopiero wtedy popatrzyłem.

Twarz schudzona do ostatecznych granic schudzenia. Wystające policzki, oczy głęboko osadzone, szare, jasne, stanowcze. Ręka wyciągająca się ku mnie jest piszczelem, okrytym skórą. Na ciele łańchmany. Tak mniej więcej wyglądamy wszyscy? Zmobilizowany 24 sierpnia 1939 ważyłem 94 kg. Wczoraj ważono nas

— 59 kg.

— Nie wiem, proszę pana, nic o Monie Lisie. Ukradziono ją, odnaleziono, ale w Wersalu nigdy nie byłem...

Pewnie mówię jakieś niedorzeczności, ale nie peszę się tym. Zarzucony jestem pytaniami, na które w olbrzymiej większości odpowiedzieć nie umiem. Pytania są pospieszne, łańchące i zachłanne. Dotyczą jedyne go tematu: dzieł sztuki i nie znają przestrzeni: latają z Europy do Ameryki, z Ameryki do Afryki, nie znają też czasu: latają po różnych wiekach.

— Nigdy nie miałem złudzeń co do tego, że bardzo mało wiem o tym temacie, ale dopiero dzisiaj widzę jak kompletnym jestem ignorantem — tłumaczę się pokornie, bo człowiek, który pyta, coraz bardziej mnie interesuje i coraz dotkliwiej boli mnie, że nie mogę zaspokoić jego pośpiesznej zachłanności, jego łańchawczego głodu.

— I tak mi pan masę rzeczy powiedział...

Mówi to przez grzeczność — odczuwam wstyd. Żałuję, że ruchliwe życie oddaliło mnie tak bardzo od tych spraw.

— Bo widzi pan, byłem profesorem historii sztuki na polskim uniwersytecie w Kijowie, dopóki uniwersytet nie został zamknięty, a ja nie pojechałem kopać Białomorkanał... Dziękuję panu, masę rzeczy wiem już teraz...

— Proszę nie żartować sobie ze mnie — jestem zupełnym laikiem w tych sprawach. Pan wie masę rzeczy pięknych i bardzo potrzebnych, ja w zakresie swojego zawodu musiałem wiedzieć masę rzeczy niepotrzebnych i o wiele za dużo rzeczy bardzo brzydkich. Pan...

(...)

Uderzyło go jakby to słowo „pan” — dopiero w tej chwili. Mówi pomału:

— Jestem księdzem. Nazywam się: ks. Arkadiusz Rudenko Rudnicki. Dziwne — powiada uśmiechając się — imię Arkadiusz...

— Jestem wytrzymały na dziwne imiona — powiadam nierozsądnie chyba i po to, aby zasłonić zaskoczenie — sam mam cudaczne imię...

Stoimy naprzeciwko siebie, a słońce jest pod nami. Toż to już południe.

— Muszę iść. Wrócę wieczorem. Powiniennem z panem porozmawiać. Etapy za etapami odchodzą — za kilka godzin możemy się rozstać na zawsze...

Zniknął między barakami. Wszystko szło normalnym trybem. Rozdano „zupę”, a jeden z pracujących poszedł po dodatkową porcję dla ochotników: otrzymał pełne wiadro.

Słońce służyło ku mandżurskim wierzchołkom. Chociaż zbliżała się połowa maja, chłód obsuwał się na ziemię, nie obudzoną jeszcze. Drzewa zaledwie zaczęły puszczać pąki, ziemia szarzała wielkimi tysinami, gdzieś blado zieleńta się nowa trawa. Ale wiosna szła wyraźnie i gwałtownie.

— I pomyśleć, że teraz we Włoszech wiosna już dobiega ku końcowi, ku latu się zbliża...

— Ba, we Włoszech — powiada ktoś nieopatrznie... Wkrótce bowiem ukazuje się mapa. Kto by tam pytał o tłumaczenie, skąd się wzięła? Dość, że jest, chociaż w olbrzymiej skali. Mimo tej skali w środku Europy spostrzegamy zamalowany fioletowo skrawek z miniaturowym napisem rosyjskim: Obszar państwowych interesów Niemiec. Mapa jest nowiuteńka, wprost spod prasy, obsługa geograficzna szybka i rzetelna: Polski już nie ma w Europie, ani oczywiście nigdzie gdzie indziej na świecie — „państwowe interesy Germanii” pochłonęły ją, usłudni geografowie serdecznie zaprzyjaźnionych Sowietów, zamalowali ją na fioletowo...

A zarazem dla niektórych — rewelacyjne „odkrycie”. Władystok leży na linii równoleżnikowej, przebiegającej gdzieś między Neapolem a Rzymem. Więc rozmowa o Saharze, Golfstromie i Kuroszowie.

Równocześnie jednak mapa odsłania nam — teraz wszystkim już bez wyjątku — inną tajemnicę:

Henryk chowając przede mną mapę zapytuje:

— Odpowiedz: co to jest „Kołyma”?

— Wyspa chyba nie, bo o takiej słyszałbym. Pewnie półwysep? Ktoś inny jest jednak zdania, że musi to być malutka wysepka.

— Wysepka? Malutka? Przecież tam od kilku lat wywożą po kilkaset tysięcy ludzi. W tej chwili tutaj, na punkcie przesyłkowym we Władystoku, ma być do 70 tysięcy ludzi i to wszystko pojedzie na Kołymę...

Albowiem los nasz jest nam już omalże wiadomy. W każdym razie coraz mniej zostało nadziei, że ominą nas jeszcze może to najgorsze: Kołyma.

— A ilu jeszcze pojedzie do końca sezonu żeglarskiego?

Henryk objaśnia:

— Ani wyspa, ani półwysep, ani w ogóle ziemia! Kołyma, to jest rzeka, która wpada do Oceanu Lodowatego. — (pokazuje na mapie) Okolice rzeki i dorzecza Kołymy nazywają się Krajem Kołymskim, która to nazwa nawet na tej mapie nie jest oznaczona. „Kołyma” jako nazwa, to po prostu skrót...

(...)

W Kraju Jakutów. Skowronki

Leżę (..) pierwszy raz w kołymskim szpitalu. Jest mi dobrze tylko dlatego, że nikt mnie nie pędzi do roboty. Trochę za dużo pluskiew kapie z powały. Ale za to jedzenia jest za mało. Oprócz tego rozmowy, zapoznanie się ze środowiskiem i wyrabianie sobie „stosunków”, które przydadzą mi się w przyszłości, znajdę się bowiem jeszcze w tym samym szpitalu — w styczniu przyszłego roku.

Pomieszczenie narodowości i istna Wieża Babel. Najwięcej oczywiście Ukraińców, przecież co drugi człowiek na Kołymie, to Ukrainiec, a dopiero ta druga połowa składa się z kilkudziesięciu narodowości. Wychodzę na dwór i siadam na ławeczce. (...)

Nadchodzi bańszczyk, łaźiebny, ażeby zaprowadzić nas do kąpieli. Nie ma kończyn palców u rąk, a pozostałe resztki tych palców są czerwone, obrzydliwe. Amputowano mu palce, które odmroził. Takich odmrożonych palców, poobcinanych u rąk i nóg widzę w szpitalu b. dużo. Na dobrą sprawę „leczenie”, czyli odcinanie odmrożonych kończyn, to główna racja istnienia szpitala. Łaźiebny, którego zajęcie nie jest wcale synekurą, a przy poobcinanych palcach musi być nieraz męczarnią, ma również beztroskie oblicze. Ja zaś nie rozumiem jeszcze, dlaczego Węgier jest w świetnym humorze, a bańszczyk ma pogodną twarz? Bardzo słabo mówiłem wtedy po rosyjsku. Jeśli ktoś zwraca się do mnie w poprawnym literackim języku, rozumiem bardzo dużo. Trudno mi jeszcze się wyśłowić, a w akcentach jestem zabłąkany, jak w tajdze, ale rozumieć, rozumiem: dlatego wcale dobrze wiem, co mówi człowiek, który przysiadł się do mnie, człowiek o skośnych oczach i mongolskich policzkach.

„Skąd się tu wziął Japończyk?” — Zdumiewam się niepomierne.

— Chciałem się pana zapytać, czy Wacław Sieroszewski żyje jeszcze? Człowiek o skośnych oczach uśmiecha się do mnie bladą, szarą twarzą.

... Dziś, nabrawszy wprawy, potrafię odróżnić Buriat-Mongola od Chińczyka, Kazacha od Turkmena, Chińczyka od Japończyka. Lecz i dziś nie potrafiłbym odróżnić Japończyka od Jakuta, gdyby obydwaj stanęli przede mną — tak bardzo są podobni...

Mój rozmówca jest Jakutem, a nie Japończykiem. Dziwny to grymas biurokracji więziennej, że jego, Jakuta zawieziono akurat na peryferie Kraju Jakutów.

Staram się mówić jak najwyraźniej:

— Wacław Sieroszewski żył w 1939 roku, był prezesem Polskiej Akademii Literatury. Dlaczego o to pytaacie?

— Jestem Jakutem, a my Jakuci znamy nazwisko Sieroszewskiego. Jest to przecież człowiek, który pierwszy napisał i wydał pierwszą w świecie książkę o Jakutach.

I pada ambarasujące pytanie:

— Czy Sieroszewski wydał drugi tom swego dzieła? Pierwszą część czytałem w bibliotece w Leningradzie.

A ja nie wiem co powiedzieć. Wstydzę się tego (i wtedy się wstydziłem), ale nie wiem nawet tego, że miał być napisany drugi tom. Daję wymijające odpowiedzi i widzę przed sobą oczy rozczarowane. Drugi tom? Zasłaniam się pytaniem:

— Kim jesteście?

— Nazwisko moje Potapow: wszyscy Jakuci noszą rosyjskie nazwiska, a raczej nazwiska sztucznie na modłę rosyjską urobione. Pierwszą cywilizację jaką nam Rosjanie przywieźli stanowiły: cerkiew i spirytus. Potem całe wieki nic, aż wreszcie chleb i nazwiska rosyjskie.

— Ale ja się ciągle dziwię, że wiecie o Sieroszewskim.

— Jestem Jakutem, byłem członkiem — jakby to na wasze pojęcie określić — rządu republiki jakuckiej, mieszkałem kilkanaście lat w Moskwie, redagowałem tam czasopismo jakuckie. Znam całą literaturę, dotyczącą mojego narodu. Jest przecież tego niewiele. Jakże więc mógłbym nie znać książki Sieroszewskiego? Zresztą przebywał on na zesłaniu niedaleko stąd: jakieś 600 km na południowy zachód.

Zorientowałem się, że u tego źródła będzie można zaczerpnąć autorytatywnych informacji. Z ostrożności pytam jednak na razie o inne rzeczy.

— Czy Jakuci wiedzą coś o Polakach?

— Warstwa Jakutów oświeconych posiada dość dużo wiadomości i stara się rozszerzać ich zakres. Czujemy sympatię do waszego narodu. Wasi ludzie zsyłani tutaj nie oddawali się wyłącznie pijaństwu. Co drugi umiał leczyć choroby ludzkie i zwierzęce. Byli wśród nich ślusarze, cieśle, monterzy, rusznikarze, wyprawiacze skór. Wszyscy umieli czytać i pisać i było wśród nich wielu znakomitych myśliwych. Jakuci o tym wiedzą i pamiętają. Polacy są u nas do pewnego stopnia popularni. Przebywacie obecnie w łagrze nad Kadak-Czanem. Czy wiecie, że jeszcze dwa lata temu o 40 km od Kadak-Czanu znajdowała się jakucka jurta, w której żył Polak bardzo stary?

Potapow sili się widocznie, ażeby powtórzyć nazwisko i wymawia je zupełnie poprawnie:

— Jego nazwisko brzmi: Krzyżanowski. Przybył kilkadziesiąt lat temu w te strony, osiadł wśród Jakutów, ożenił się, ma dzieci i gromadę wnuków. Leczył, zamawiał jakuckie strzelby. Kiedy doprowadzono drogę do Kadak-Czanu, Jakuci opuścili osadę i przenieśli się w głąb tajgi — uciekają bowiem od cywilizacji, od takiej cywilizacji.

— A więc powiadacie, że Jakuci odnoszą się życzliwie do Polaków?

Spojrzał na mnie przenikliwie. Więźniowie wszystkich narodów, łączcie się! Więźniowie wszystkich narodów — rozumieją się. Potapow daje odpowiedź na pytanie, którego wcale nie zadałem:

— Niestety, widzicie, dzisiaj Jakuci tępią uciekinierów nielitościwie. Nie pytają ich o narodowość, ani o pochodzenie, ani o zamiary, ani o obyczaje. Będziecie słyszeć na ten temat straszne opowieści w łagrach. Ale nie wierzcie, że Jakuci tępią uciekinierów jedynie dla uzyskania nagrody, jak bowiem wiecie, władze wypłacają premie za każdego ukatrupionego uciekiniera...

— Nie, nie wiem.

— Dowiedzie się wkrótce. Obecnie nagroda wynosi 50 rubli od głowy. Ale pieniądze nie znaczą nic. Ważne jest to, że oprócz pieniędzy NKWD wydaje butelkę spirytusu i paczkę herbaty, co jest niezwykle łakome. Powiedzenie, że nagroda przewidziana jest „od głowy” należy rozumieć

dosłownie i bez żadnej przenośni. Mianowicie, aby zdobyć premię, trzeba przynieść do placówki NKWD odciętą głowę uciekiniera. Dawniej wystarczyło pra we ucho, teraz to jest już za mało...

Taka to, o niezwykle pogodnym nastroju rozmowa, odbyła się na ławeczce szpitalnej w osadzie zwanej Belik-Czan.

— Ucieczka w tych stronach bez pomocy ludności jest zu pełnie beznadziejna. Nie ma wypadku, ażeby się powiodła. Na południe do Morza Ochockiego w linii prostej, powietrznej, jest około 600 km. Do Oceanu Lodowatego jeszcze dalej. Do Alaski w linii powietrznej 1600, przypuśćmy 1800 km. Na południowy zachód do pierwszych większych osiedli ludzkich 800 km. Wszystko dookoła to jedna tajga. W tajdze nie można uciekać, zwłaszcza latem. Teoretycznie można by zaryzykować ucieczkę wyłącznie w zimie, kiedy rzeki są zamrożone, tajga również, a miliony rozpadlin zasypane śniegiem i wyrównane. Morze Beringa zamraża w styczniu, kiedy cieśnina Beringa stoi już pod lodem. Cieśnina Beringa ma w największym miejscu sto kilkadziesiąt km szerokości. Z jednej strony półwysep Czukocki, z drugiej Alaska, a na Alasce miasto Nome.

— Czy Jakuci używają psich zaprzęgów?

— Pan jeszcze nie widział? — (Jakut od dłuższej chwili używa słowa: gospodin). — Oczywiście używają i to w bardzo szerokim zakresie... Ale bogactwem Jakuta są renifery. Najuboższa rodzina — u nas panuje system patriarchalny — posiada po kilkaset reniferów. W 1938 roku do jednego z bogatszych Jakutów, którego jurta znajdowała się o kilkadziesiąt kilometrów od Arkadały, gdzie obecnie wydobywa się węgiel, dotarła wiadomość, że NKWD ma przysłać komisję dla rejestracji jego reniferów. Taka rejestracja oznacza, że po jakimś czasie posypią się podatki, rekwizycje i konfiskaty. Jakut zakrzętnął się żywo. Zabrał całą rodzinę, liczącą kilkadziesiąt osób, wpakował całą ludność osiedla na sanki i wśród polarnej nocy ruszył na wschód. Uciekł na Alaskę, prowadząc za sobą 6 tysięcy jeleni... Bagatela, myślę! Cała brygada jeleni! To ani 60, ani 600, ale 6 tysięcy!

— Jeleń (tak nazywają po rosyjsku Jakuci renifery) w zaprzęgu może zrobić 12 km na godzinę, a potrafi biec 10 godzin bez przerwy. Za miesiąc, półtora byli na Alasce.

Tak sobie rozmawiamy. Na niby. Niby niewyraźnie, niby półsłówkami. Czasami padają odpowiedzi na pytania, których nie zdążyłem zadać. Potem obrabiamy inne tematy.

— Opowiem wam pewien szczegół, który was, gospodin, prawdopodobnie zainteresuje. Cały kraj tutejszy, to kraina złota. Jakuci posiadają wiadomości o nieprzebranych pokładach złota. Wszystkie inwestycje rosyjskie robione są tutaj dla jednego celu: eksploatacji nieprzebranych odkrywek złotych. Ba, u Rosjan złoto jest w cenie, natomiast u Jakutów nie. Dla tubylców złoto nie przedstawia żadnej wartości. Jako metal jest ono zbyt miękkie, a jako ozdoba nie podoba się, bo jest zbyt pospolite, ale jak każdy człowiek ma Jakut instynktowne poczucie piękna, uznaje potrzebę ozdabiania stroju. Uprząż koni jakuckich, jakuckie siodła, kolby strzelb i pistoletów są bogato inkrustowane. Charakterystyczna rzecz — nie złotem, tylko srebrem. I co powiecie o tym gospodin, że taka inkrustacja, owo srebro nabite już na siodła, na uprząż, czy na kolby, nazywa się po jakucku... polskim srebrem?

— Jak to wytłumaczyć?

— Zastanawialiśmy się nieraz nad tym. Najstarsi ludzie mówią, że to już dawna nazwa. Może ktoś z waszych uczonych tym się zainteresuje? Zapamiętajcie to sobie. Może się wam gospodin, uda wyjść z tego piekła? Chociaż...

W głosie Potapowa nuta żałoby...

— Chociaż wy już nigdy nie zobaczycie Krakowa! Ach, ten refren?

— Więc znajdujemy się w kraju Jakutów? — indaguję dalej.

— Niezupełnie. Niedokładnie. Na południe od nas, nad rzeką o tej samej nazwie, leży miejscowość Biro-Loch. Jest to nazwa jakucka i oznacza: „Wilcza Woda”, „Wilcza Rzeka”. „Loch” po jakucku to rzeka, jezioro — w ogóle woda płynąca lub stojąca. Natomiast nasz szpital zbudowany jest nad rzeką Belik-Czan, pan zaś przebywa nad rzeką Kadak-Czan, a to są już nazwy tunguskie. Po tungusku „czan”, znaczy to samo, co po jakucku „loch” — woda, rzeka, jezioro. Tutaj, w Belik-Czanie jesteśmy właściwie na ziemi niczyjej. Z zachodu zapuszczają tu zagony koczownicy jakuccy, z północy i ze wschodu tunguscy. Do oficjalnych granic republiki jakuckiej mamy około 200 km.

Taka była moja pierwsza i jedyna rozmowa z Jakutem. Zdaję sobie sprawę, że gdybyśmy się spotkali w pół roku później, nie byłby on rozmawiał ze mną z taką szczerością. W pół roku później Polak, przywieziony bezpośrednio z Europy, przestał być rewelacją.

(...)

Ucieczka

(...)

Nikt mnie nie pilnuje, sam podążam drogą, a po obu jej stronach: tajga, wzgórza, kamienie i znów tajga. Tajga skuwa mnie bezlitośniej niż kajdany. Tajga, to również gwałt, przemoc i potęga. Tyle, że nie dźwięczy w moich uszach, nie ciąży na poranionych przegubach rąk.

Ale — żelazo jest symbolem przemocy, tajga zaś nie. Przeto nie jestem czysty w swoim sumieniu, które ode mnie żąda wolności dla mnie.

(...)

Niedaleko Kadak-Czanu, na czwartym kilometrze, znajduje się stary bunkier. Tutaj przed dwoma laty kopano gruz ze zbocza gór i rozwożono na drogę. Stąd usypano kilka kilometrów drogi... Dawny „bunkier” nie ma teraz już górnej podłogi, ani urządzeń do zsypanywania ziemi. Stoją nagie drągi, spięte jeszcze poprzeczkami. Drzewo jest czarne i oślizgłe. Bunkier wygląda, jak dwie razem połączone szubienice.

Kilka dni temu (...) znalazłem (...) kawał sznura. Schowałem go pod kamieniem. Albowiem tam, pod bunkrem (...) miałem chwilę słabości: co tu gadać — upadłem na duchu!

Resztką przytomności umysłu odłożyłem jednak decyzję na później — dość będzie czasu, gdy będę wracał.

Obecnie, w drodze powrotnej, wyzbyłem się uczucia słabości, już nie upadam na duchu. Wydobywam sznur z ukrycia. Opuszczam się po stromym zboczu, dochodzę do rzeki i wrzucam go w nurt... Nurt płynie bystro, sznur oddała się szybko, zwijając się i rozwijając, jak wąż. Pochylam się, czerpię wodę w dłonie i piję. Wspaniała, krystaliczna, orzeźwiająca woda.

(... W rok później, w tym samym miejscu, w pewien słoneczny piękny dzień, wypływę na dłoń cztery zęby. Awitaminoza. Cyn-ga, czyli skorbut. Za rok jednak bunkier nie będzie wywierał na mnie wrażenia połączonych szubienic. Straci swą siłę fatalną...)

(...)

(Modry — red.) posiada kociołek, przerobiony z jakiejś puszki, machorkę i jodoform (władywostocki prezent Turkieltauba).

Determinacja jego jest sprecyzowana:

Jeśli spotkam jednego strażnika, to nie on będzie polował na mnie, ale ja na niego. A kiedy go upoluję, poszukam dwóch strażników.

Modry był zawodowym przestępcą, kryminalistą, kasiarzem. Miał bezmiar pogardy dla tego, co widział w sowieckich więzieniach i tego, co przeżył w śledztwach — oraz dla kilofa, który mu wetknięto w ręce, dla łopaty, dla tajgi. Trzeba przyznać, że zachowuje się z najwyższą lojalnością i solidarnością.

Ten sam rodzaj pogardy, co dla urzędów sowieckich, posiada on także dla przedstawicieli tutejszego świata przestępczego. To dziwne towarzystwo zwąchuje się natychmiast i to bez względu na narodowość. Modry staje się „znakomitością tagru” — w ciągu kilku godzin. Przychodzą Rosjanie, Ukraińcy, Ormianie, Kazachy, meldują mu się i zaczynają szeptki. Traktuje ich jak plugastwo, oni to znoszą potulnie.

Modry wychodzi z namiotu, a rzeczy swe pozostawia na wierzchu. Nikt nie ośmieli się ich tknąć, podczas gdy my wszyscy jesteśmy już okradzeni, i to po kilka razy.

Co prawda nie zaniedbuje ostrożności. Nie rozstawia rzeczy, ale te najbardziej wartościowe, te istotne potrzebne, ma zawsze przy sobie. Oto wyjmuje jakieś zawiniątko, z niego papierosa i podaje mi. Oczom nie wierzę: polski „Sport” na kole podbiegunowym — w okolicach, gdzie mówi się o Alasce, jako o czymś, co leży konkretnie tuż za miedzą, tuż za groblą.

— Niech pan mnie posłucha — poucza mnie — a wyjdzie to panu na dobre. Niech pan nie stara się pracować, bo pan nie da rady. To nie dla nas. Niech pan nie zwraca uwagi na to, co pan jeszcze posiada, bo to nie ważne. A przede wszystkim niech się pan nie najada, nie obżera. Choćby jedzenia było w bród — jeść tylko do trzech czwartych!

To brzmi jak rozkaz.

— Bo jeśli pan raz rozepcha sobie żołądek, rozpoczną się pańskie cierpienia. Nawet tutaj, w tym przeklętym kraju może się zdarzyć, że w ciągu jakiegoś szczęśliwego tygodnia, będzie się pan mógł napychać bez miary. Niech pan nigdy tego nie robi!

(...)

Potem czekał na mnie wstrząs!

Henryk Sierosławski rzekł mi krótko:

— Modry, Izydor Winiak i Józef Piotrowski uciekli pozawczoraj, 14 czerwca. A nas pakują na noc do izolatora. Żądają ażebyśmy powiedzieli, w którą stronę uciekli.

I dalsze szczegóły:

— Modry cały czas sypiał w namiocie. Zaraz po twoim odejściu Piotrowski i Winiak przenieśli się do niego. Zwali zdaje się zaraz po zejściu z pracy. W namiocie myślano, że oni śpią w baraku, w baraku myślano, że w namiocie. Tyle że Winiak przyniósł mi swój kolejarski kożuch i podał mi mówiąc, że go nam pożycz, aby nam lepiej było spać. Wczoraj rano nie stanęli do pracy, wobec czego podniesiono alarm i gwałt. Mnie i Żelechowskiego zamknęli do izolatora, zdjęli z nas kurtki, kazali zdjąć spodnie i w samej bieliźnie tam wpędzili. Tam jest potwornie-zimno. Po kilku godzinach zabrali nas stamtąd, kazali się ubrać i wypędzili na robotę. Pracowaliśmy wczoraj do wieczora, potem dostaliśmy 200 gramów chleba i na całą noc znowu do kandieja. Ciągłe się pytają, dokąd oni uciekli.

Na tę rozmowę nadchodzi strażnik:

— Co to, zmawiacie się znowu, żeby uciec?

— Nikt się nie zmawia i nikt nie ma zamiaru uciekać.

— Uciekajcie, ja nie jestem tu po to, aby was pilnować. Was pilnuje tajga. Jeśli uciekniecie, to zginiecie z głodu. Ja tu jestem, aby was naganiać do pracy!

Potem udając, że mnie nagle spostrzegł:

— O ten stary Polak jeszcze nie zdechł? — i poszedł sobie. (...)

... Po miesiącu, idąc w etap, zabraliśmy kożuch z sobą. Kiedy znów po miesiącu rozdzielono nas, podzieliliśmy kożuch na dwie części. Rozciąliśmy go na połowę. Zamierzaliśmy zrobić z futra rękawiczki i czapki na zimę.

Pewnego wieczora w szwach części, która mnie przypadła w udziale zauważyłem coś twardego. Rozprułem: znajdował się tam zaszyty zręcznie brązowy krzyż zasługi. Przewiózł go Izydor Winiak przez wszystkie rewizje, uchronił w ciągu kilkudziesięciu rewizji i zostawił nam.

Henrykowi, na jego komandirówce ukradziono połowę futra. Mnie drugą połowę ukradziono także.

Natomiast brązowy krzyż zasługi jest zakopany na siódmym prorabstwie 20 km od Kadak-Czanu. Pieczołowicie i troskliwie owinąłem go w lniany ręcznik z pieczątką „Więzienie Łukiszki” (przewieziony ze Stanisławowa) i podsunąłem pod wielki kamień...

Nigdy nie mieliśmy o nim usłyszeć, zamknęła się nad nim tajga, jak grób. Na zawsze opuścił Izydor Winiak swoje żeremie, które budował pracowiciej niż bóbr.

Domu swego nie mógł przecież zabrać ze sobą, jak zabrał krzyż zasługi.

Et nihil humani...

Po śmierci Henryka mała grupka tak zwanych dochodiagów szła wśród mrozu, który rozszalał się na dobre. Dochodiaga, bardzo piękne miejscowe wyrażenie, określa człowieka, który „dochodzi” do kresu sił i gaśnie nie na skutek jakiejś zdecydowanej, złośliwej choroby, ale z braku witamin, z głodu, nędzy i wyczerpania.

Szliśmy półżywi obok kopalni złota, a popędzał nas strażnik, który całymi latami był dobrze odżywiony i całymi latami nic nie robił, któremu zaś śpieszyło się, bo marzył w swoim kożuchu...

Minęliśmy osadę Frończ i przechodzili obok najstraszniejszych ze strasznych obozów pracy, mianowicie obok kopalń złota.

Oparte o drogę olbrzymie zbiorowiska baraków, otoczonych drutami kolczastymi. Charakterystyczne wyżki, to jest wzniesione na kilkumetrowej wysokości słupach budki strażnicze. Dziesiątki bram zaczerwienionych od setek haseł i sloganów, które niewolników zachęcić mają do pracy.

RODINA TRIBUJET METAŁŁA!

— Ojczyzna potrzebuje metalu! Ojczyzna potrzebuje metalu! — ciągle co kilkadziesiąt, co kilkaset metrów.

(...)

Potem — ten sam zabój, w którym umarł Henryk. Nie pomagają protesty, śmierć człowieka w ogóle się nie liczy. Ciągłe pracuje nas trzech Polaków: Wiktor Piotrowski, Jan Kruszyński i ja. Jest oczywiście i Salomon Derksen i nowy nabytek, jakiś opryszek imieniem „Kola”.

Nie wiadomo, czemu to przypisać, ale pewnego dnia dziesiątnik Uzbek oświadcza mi, że mogę nie wyjść na robotę i otrzymać dodatkową porcję chleba, bodajże cały kilogram, jeśli obejmę funkcję „asenizatora”. Zawsze w łagrze znajdzie się taki zdechlak, który rąbie łajna kilofem, za co połucza większą porcję zupy i tę dodatkową porcję chleba.

Ponieważ na to mogę się nie zgodzić — nie godzę się.

... Kiedyś — za rok — pójdę sam na ochotnika do odciskania nieboszczykom palców. Nie dam się nigdy zapędzić do czyszczenia kloak.

Bez jakiegokolwiek wrazenia smarowałem umarłe palce, czarną mazią i odbijałem na odpowiednich formularzach. Nie nęciła mnie machorka, ani chleb: może chciałem zobaczyć, jak ja będę wyglądał po śmierci, leżący w izolatorze? Wtedy zazdrościłem tym dwom umarłym!

Napisałem te słowa. Czytam je, patrzę na nie, oglądam. Dziwię się im dzisiaj. Trudno mi w nie uwierzyć dziś...

Zimno szło coraz groźniejsze i wiatr. Z wieczora zaczynały się rozmowy.

— Mróz bierze jeszcze silniejszy niż wczoraj, może nas zdejmą z roboty?

Obowiązuje bowiem przepis, że więźniowie mają być zdjęci z roboty, jeśli mróz przekracza 53 stopnie Celsjusza. Któż atoli ma oznaczyć te stopnie? Pewnie termometr? Ba, ale termometr sam w sobie jest instrumentem dziwnym i bezdusznym. Przemysłność miejscowej administracji sprawia na

przykład, że na komandirówce istnieje wprawdzie termometr, ale skala kończy się na 50 stopniach C minus. Gdzieindziej termometr wisi w kotlinie, osłoniętej górami i w najbardziej zacisznym miejscu.

Sam termometr jest jednak instrumentem, któremu daleko do doskonałości.

Pewnego dnia — jedyny raz — widziałem na „uczciwym” termometrze 76 stopni C minus. Ku własnemu zdumieniu chodziłem tego dnia rześki, świeży, zupełnie nie obłąkany ani trochę nie przerażony. Czapkę, twarz, brwi i rzęsy, szmatę na ustach i na nosie mróz tak oblodził, że nie mogłem głową poruszać. Z ust wydobywał się oddech ze świstem lokomotywy. W ciągu dłuższego czasu przez kilka godzin, chciało mi się łać, ale wstrzymywałem się wszystkimi siłami. Wreszcie musiałem. Strumień, padając na drogę, dzwonił jakby marzył w powietrzu.

Główną wadą termometru jest, że nie notuje wiatru. Przy ściślejszych obserwacjach odnosi się wrażenie, że rejestruje w jakiś biurokratyczny sposób tylko wysokość mrozu, a nie jego — że tak powiem — „siłę” czy „natężenie”. Lekceważy wiatr, który jest potworniejszy od wszystkich mrozów. Ten wiatr, który ciągle chodzi za nami, ogarnia nas i obejmuje. Jest poza nami, jest obok nas, ale jest i na nas i w nas. Liryicznie można by powiedzieć: w duszy hula i w sercu. W imię prawdy należy dodać: hula po odwadze i załamuje ją, hula po nerwach i rwie je w strzępy...

Mróz więc rośnie, a my codziennie chodzimy do naszego za-boju. Mróz pogania wiatrem. Wiatr pogania mrozem. Nie wypracowujemy normy i jesteśmy na ostatnim kotle. Zresztą w tej chwili norma to tylko czarna magia: wszyscy są na jednym kotle, a cała różnica polega na tym, że otrzymują sto, czy dwieście gramów chleba więcej niż my. „Kocioł” zaś, to woda zacyzjoniona lekko mąką i łyżką krup.

(...)

Doświadczenie uczy. Ściana zaboju, zostawiona na noc, zamarzała na skałę. Trzeba ją było następnego dnia kuć kilofami, łopatami, trzeba było wbijać kliny i męczyć się. Wpadliśmy jednak na pomysł, ażeby nie wywozić wszystkiej ziemi z wieczora, ale przy samej skarpie zostawić osypisko. Na drugi dzień, po wywiezieniu osypiska, które zdążyło zamarznąć w olbrzymie bryły, docieraliśmy łatwiej do ziemi, która w ciągu nocy miała ochronę przed mrozem.

Wyrabialiśmy ciągle mniej niż 50 procent normy. Norma wynosząca 9,30 kubometra na człowieka wydawała się nam fantastyczna. Ażeby nasze zwieno zdołało w ciągu dwunastu godzin pracy wywieść 46 i pół kubometra ziemi, nawet marzyć nie mogliśmy (i nie zamierzaliśmy). Gorzka satysfakcja: obok nas z obu stron pracowali niedawni stachanowcy, rekordziści z Kadak-Cza-nu i z 7 prorabstwa. Jeszcze dwa miesiące temu, a może kilka tygodni, zbierali oni pochwały, zażerali naleśniki i dodatkowe porcje chleba, a nazwiska ich figurowały triumfalnie na tablicach, mających za zadanie podjudzanie do pracy. Dzisiaj i oni nie wyrabiają normy, dziś i na nich klnie dziesiętnik i naczelnik, dziś i oni ukradkiem wzdychają i litośnie spozierają w stronę jedynej nadziei: szpitala.

(...)

Wreszcie zniżono godziny pracy: z 12 na 10. Zapowiedziano, że co dziesięć dni będzie „wychodne”. Nadzieje, że owo wychodne będzie istotnie dniem odpoczynku, skończyły się szybko. Zaraz pierwszego świątecznego dnia, zabrano się do nas. Część pognano do lasu po drzewo dla piekarni i dla naczelnika, potem wszystkich po drzewo na własny użytek do wspólnego baraku. Większą grupę więźniów zapędzono do sprzątania śniegu w obrębie obozu, do obsypywania budynków śniegiem,

który chronić miał je przed mrozami itd. Pracowaliśmy tego dnia zamiast dziesięciu godzin, co najmniej osiem. Tyle, że można było wpaść do baraku i ogrzać się.

W jeden z takich łagodniejszych dni gruchnęła wiadomość, że „kaptior upił się i sprzedaje chleb każdemu, kto się zgłosi”. Była to wiadomość podwójnie sensacyjna — bo to i pijany, i sprzedaje! O czymś podobnym dotąd nie słyszałem, chociaż zakończyłem pół roku doświadczeń łagiernych. Kaptior, czyli jakby intendent prarabstwa — to przestępca kryminalny i największy dygnitarz na komandirówce. Miał bliższy dostęp do produktów i do machorki niż naczelnik, więc kradł częściej i więcej. Nieraz naczelnik pożyczał machorkę od strażników, a strażnicy palili niedopałki — podczas, gdy kaptior kręcił cygara długie, na kilkanaście centymetrów, grube jak palec u ręki, sypiąc bogato machorkę w gazetę.

Popędziłem i ja do pijanego kaptiora.

Stałem w ogonku czwarty, albo piąty. Poza mną pchało się jeszcze kilkunastu. Przedemną taką rozmowa:

— Czego chcesz?

— Opuście, Aleksander Pawłowicz, kilogram chleba...

(tam się nie „sprzedaje”, tam się „odpuszcza” czyli odstępuje).

— Różnij, Iwan!

Petent zapłacił rubla, złapał kilogram chleba i poszedł. Za nim następny. Wreszcie przyszła kolej na mnie.

— Czego chcecie?

— Opuście mi kilogram chleba.

Pada odpowiedź na dobrze znaną nutę.

— Ty Polak! Dwadzieścia lat żarliście i dobrze wam się powodziło, teraz możecie pogłodować!

I do następnego.

— A ty czego chcesz?

— Opuście mi kilogram chleba!

— Iwan różnij. (...)

Noc z 9 na 10 grudnia przyniosła odmianę. Przyjechała komisja i zostałem wyznaczony na lochkij trud, na „lekką pracę”. Utworzono wielki etap, zebrano kilkudziesięciu ludzi: przyjechał samochód i zabrał pierwszą część, a potem powrócił po drugą. Zawieziono nas do Kadak-Czanu, a stamtąd piechotą poszliśmy na komandirówkę, aż na sam koniec świata, tak mi się wówczas uzmysławiało i tak do tej chwili trwa we wspomnieniach.

Czciiele słońca i ognia

(...) Wiosna zresztą zacznie się od drogi. Najpierw droga wypłynie spod śniegu, a po jej stronach powstanie odtajający pas ziemi, który coraz bardziej będzie się rozszerzał, pełzał w górę, uciekał w tajgę. W tej chwili daleko jeszcze do wiosny. Wiosna, to dopiero czerwiec, lipiec i sierpień — to lato, do połowy września — jesień; około piętnastego września spadnie śnieg, który już nie staje, lecz zostanie i to będzie początek zimy. Katorżnicza, więzienna pieśń powiada:

Kołyma, Kołyma, cóżeś za planeta, jedenaście miesięcy zimy, jeden miesiąc lata.

Jest w tej pieśni katorżnicza przesada. Zima trwa tam „tylko” dziewięć miesięcy — pozostałe trzy dzielą się na wiosnę, lato i jesień.

W Kadak-Czanie wydano po cztery paczki machorki. Był to cud i tak to notuję. Pozwolono nam zakupić po 400 gramów cukierków. To drugi cud. Wydano po 400 gramów cukru — trzeci cud.

A do tego okazało się, że dziesiętnik z Gorełoje nie był taką świnią, za jaką go uważałem. Wypisał mi za miesiąc marzec ... ponad 100 procent normy! Co znaczy protekcja! Bo gdzie ja tam wypracowałem 100 procent? Najwyżej 40! Teraz jednak do Kadak--Czanu przyjechał kasjer i oto Piotrowski mówi, że są dla mnie pieniądze za marzec. Nie wierzę własnym uszom, nie wierzę własnym oczom nawet, kiedy podpisuję listę płatniczą. Otrzymuję 34 ruble — zawrotna suma! Dotychczas w ciągu jedenastu miesięcy obywać się musiałem bez pieniędzy, a jeśli na przykład potrzebne mi były na machorkę, sprzedawałem swoją porcję chleba.

Maj zastał nas w Kadak-Czanie. W godzinach południowych wezbrane rzeki zaczynały płynąć po drodze i tajdze. Naszym zadaniem było przekopywanie rowów koło dróg i spuszczenie wody. Ale już koło godziny drugiej po południu strumienie zamarały w lód.

(...)

Do Kadak-Czanu, naszej pokracznej „stolicy”, dochodzą nawet gazety. Miejscowy felczer pokazuje mi dziennik „Sowietskaja Kołyma” z wiadomością o ucieczce von Hessa do Anglii. Czytam, kiwam głową i nic nie mówię, bo i po co? Zdaję sobie sprawę, jak bardzo byłem szczęśliwy, że dowiedziałem się o upadku Francji dopiero w cztery miesiące po fakcie, a mianowicie w październiku, w szpitalu na 3 prorabstwie. Kiedy już się o tym dowiedziałem, wiadomo mi było także, że Anglia walczy jednak dalej i że wojna trwa.

Miałem wówczas nowego naparnika, czyli człowieka, z którym razem pracowaliśmy „na parę”, a więc we dwójkę. Był nim Gruzin — Szaliko Bajromaszwili, chłop przeszło dwumetrowy, chudy jak szkielet. Kiedy wróciłem tego dnia na Kedrową, odwołałem Gruzina i zakomunikowałem mu poważnie:

— Batoni* będzie wojna między Niemcami, a Sowietami! Opowiedziałem mu o desancie, skojarzyłem ją z ucieczką Hessa do Anglii i bez namysłu rąbnąłem:

— Szaliko, batoni, wojna wybuchnie 22 czerwca!

Była to zwykła bezczelność. Po prostu przypomniałem sobie i powtórzyłem datę wymarszu Napoleona na Moskwę...

Niemniej jednak w owej chwili najważniejszą sprawą był niewątpliwie dla mnie wniosek: będzie wojna! Wszystko inne, nawet termin wybuchu tej wojny — uważałem — za kwestie drugorzędne.

Ale Szaliko będzie opowiadał o mnie szeptem ludziom najbardziej zaufanym różne „cuda” — potem po fakcie...

Pocziwy Szaliko! Uczył mnie historii Gruzji, uwielbienia (pla-tonicznego) dla wina, czego za bardzo uczyć mnie nie musiał i opowiadał swoje dzieje, które wcale nie były zbyt osobliwe:

— W czwartek odbył się mój jubileusz dwudziestolecia pracy pedagogicznej. Byłem bowiem nauczycielem i dyrektorem szkoły.

— Nadesłano — gada — moc telegramów i wręczono mi patent na zasłużonego pedagoga ZSRR. To bardzo wysokie odznaczenie. Jak ci mówiłem, to było w czwartek. A w piątek w nocy przyszło NKWD i zabrano mnie do kryminału. Jeszcze tejże samej nocy zbito mnie do utraty przytomności. Po tygodniu śledztwa przyznałem się do wszystkiego, co mi zarzucano — nie mogłem znieść bicia. Podpisałem protokół, że brałem udział w spisku kontrrewolucyjnym i dostałem 15 lat. Nie ma o czym mówić... Chwalił Szaliko piękno swego kraju, dobroć i odwagę ludzi Kaukazu, potrawy gruzińskie i — wino wino!

*Batoni — po gruzińsku pan

(...)

Jak rok długi, czy to zima czy lato — praca zaczyna się od założenia ogniska kastro. Kastior — ognisko — płonie w każdym zaboju, w tajdze i na sopkach koło dróg i w zupełnym pustkowiu, wszędzie, gdzie jest człowiek. W zimie nie tylko ogrzewa, ale daje — co bodaj ważniejsze — opiekę nerwową i moralną. Nieszczęsny człowiek, sterroryzowany przez potężny mróz i jeszcze straszliwszy wiatr — garnie się do ogniska, świadomość że niedaleko, za zakrętem, za progiem — płonie ognisko, przynosi przerażonym душom ludzkim oddech nadziei, która pociesza, że może śmierć nie nastąpi natychmiast, w następnej minucie, że dzień dzisiejszy być może zostanie przeżyty, i staje się symbolem — zniczem ratunku.

W lecie ognisko odpędza komary i stanowi centralny punkt łagiernego „klubu” — jest synonimem odpoczynku. Dookoła zbiera się kilka lub kilkanaście postaci i rozpoczyna się rozmowa. Poczekalnia — salon — i uniwersytet wiedzy o niezakłamanej rzeczywistości sowieckiej.

Istnieje zawiła „etykieta ogniska”. Człowiek idący do szpitala spostrzega płonące ognisko, chce się ogrzać lub choćby tylko przysiąść, pogadać, machorkę — jeśli ma — zapalić. Musi podejść, pozdrowić siedzących i zapytać, czy wolno mu odpocząć? Z reguły prawie zawsze pada oczywiście odpowiedź zapraszająca, a potem zaczyna się indagacja:

— Skąd pochodzicie? Jaka statia (paragraf)? Ile lat wyroku?

Gdziekolwiek przyznają się do „trzech lat wychowawczych obozów pracy” i do „trzech lat porażenia” (zawieszenia w prawach), następuje ogólne zdziwienie i kiwanie głowami z zazdrością:

— Trzy lata? Tylko trzy lata? diabski srok, dziecinny wyrok!... Owe słowa, słyszane kilkaset razy, obrzydły mi. Mówią zaś te

słowa ludzie, którzy mają po osiem, niekiedy po pięć, a najczęściej po 10 lat — ci ostatni chwalą się, że mają czerwońca (banknot dziesięciorublowy) i od razu westchnienie współczucia:

— Tylko trzy lata! Ale za to przysłali was na Kołymę. A tutaj trzy lata nie są ważne, tu trudno jedną zimę przeżyć.

Odpowiedź, że jedną „zimę kołymską” mam już za sobą, wzbudza poszanowanie. Radziby zapytać, jak to ja zrobiłem, ale pytają o to dopiero później.

(...)

Czasem jednak na prośbę o pozwolenie podejścia do ogniska,

pada odpowiedź:

— Przynieś drzewo, to odpoczniesz!

Ludzie zaś, którzy lenią się z przyniesieniem drzewa są prześladowani i maltretowani, uważani za niesolidarnych w najwyższym stopniu. Niekiedy w czasie etapów, gdy człowiek znużony dwudziestokilkukilometrowym marszem wśród śnieżyca i mrozu zapuka do drzwi jakiegoś obcego baraku — usłyszysz:

— Dobrze, pogrzejesz się, ale musisz przynieść drzewo! Odpowiedź taka wita przechodnia na komandirowkach, gdzie

trudno jest o drzewo: dookoła zarośla wytrzebione i trzeba kilka kilometrów ganiać w las, ażeby znaleźć kawałek suchego patyka. O! to ustawiczne pragnienie ciepła! To nie kończące się nigdy pragnienie ogrzania się! Owe posiedzenia nad ogniskiem i wzdychania do słońca. Dziesiątnicy, naczelnicy, dozorczy, nienawidzą ognisk i słońca. One to odwracają ludzi od roboty, a przecież jedyna racja istnienia ludzi tłumaczy się pracą. Na porządku dziennym są wypadki, że dziesiątnik rozkopuje ognisko, a rozwścieczony strażnik zabrania je zakładać. Tysiące ofiar pęta się po różnych szpitalach z odmrożonymi lub zgoła już zoperowanymi członkami, a na pytania pada stereotypowa odpowiedź:

— Strielok zabronił nam rozpalić ognisko! — Strielok, dosłownie „strzelec” jest oficjalną zakamuflowaną jak wszystko nazwą strażnika, czyli dozorczy. Za moich czasów strielki zaawansowali do bojów, czyli „wojowników” i bardzo obrażali się o starą nazwę.

Wszelka swołocz łagierna nienawidzi więc ognisk i słońca. Cienie ludzkie, które chronią się pod opiekę słońca i płomieni, nazywane są obelżywie „czcicielami ognia i słońca” — to sabotażyści, którzy nie chcą pracować i myślą jedynie o „uprzyjemnianiu” sobie życia.

Praca słońca jest fantastyczna. Zima i „czarne dni” minęły. Słońce podniosło się wyżej i coraz dłużej ogrzewa ziemię: topi lód, a śnieg zamienia w jeziora i wzburzone rzeki. Walka trwa jednak długo. Jeszcze z końcem czerwca wzgórza są białe — w lipcu pada śnieg i leży kilka dni.

Słońce toczy zapasy z lodem i śniegiem. Ale choćby nie wiedzieć jak pracowało, choćby wiele tygodni wykazywało całą swoją gigantyczną zaciętość, ziemia nie odmarznie nigdy głębiej niż na 80 cm.

Poniżej — wieczne lodowisko, trzeba ziemię rozbijać łomem. W tajdze po wierzchu rosną kępy trawy i mchu otoczone wodą, a pod kępami, pod mchem i wodą ziemia jest zamrznięta i przy kopaniu wydobywa się żwir, pomieszany z kryształami lodu. Drzewa rosnące w tajdze, wysyłają korzenie tak płytko i szeroko, że właściwie pełzają po wierzchu. Na stokach wzgórz rośnie kosodrzewina, która w niewytłumaczalny sposób czepia się szczelin skalnych.

Słońce topi lód i śnieg. Strumienie wody wgryzają się w skałę, a odłamki unoszą w doliny, krusząc je na żwir, a żwir mieląc na pył. Pracuje słońce, pracuje woda, pracują: mech, trawa, korzenie krzewów i drzew, kosodrzewina, brusznice, czarne jagody, fioletowe szarotki i ... kwiaty, rozrzewniające bladeścią, rzadkością i zaskakującym, olśniewającym, nieśmiałym pięknem. Człowiek głodny, którego ciało żrą rany skorbutowe, tknięty nagłym zachwytem — zapomina o głodzie i o ranach: patrzy w kwiat, jak w fatamorganę.

(...)

27 maja znów etap z Kadak-Czanu. Tym razem Piotrowski pozostał, a towarzyszy mi Bajromaszwili. Niedaleki to etap, osiem zaledwie kilometrów. A że nasz odcinek drogi sięgał prawie po sam Kadak-Czan, niejednokrotnie musieliśmy chodzić na robotę w jedną stronę komandirówki 7 — 8 kilometrów, w drugą od 6 — 7. Z jednej strony był Kadak-Czan, z drugiej Belik-Czan.

(...)

W pobliżu kopalni nasza droga była najczęściej zrujnowana. Codziennie tutaj płynęła drogą rzeka, wymywając nasyp i burząc bardzo marną nawierzchnię. W jednym miejscu droga zapadała się ustawicznie po przejeździe kilku samochodów i trzeba ją było nasypywać i nasypywać. Było to „ciepłe” bagno. Znosiliśmy kamienie, możliwie duże, wrzucali w jamę, zasypywali żwirem starannie i równali nawierzchnię, a za dwa dni zabawa musiała się powtórzyć, bo nawierzchnia i kamienie już zdążyły się zapaść.

W tym miejscu muł rozpuszczony w wodzie nigdy nie zamarzał i to na olbrzymią głębokość.

W naszej przeklętej piekarni trudno było spać. Wszy było pełno, a pluskwy kapały z sufitu i ze ścian. Deszcz ściekał i wewnątrz tworzyły się duże kałuże wody. W takich warunkach deszcz sprawiał nieznośne udręczenia, za to słońce tym bardziej smakowało i cieszyło.

Starszy robotnik, również więzień, był porządnym człowiekiem. Dawał się we znaki „Czuma”. „Czuma” i miliony pluskiew.

Niedaleko drogi obok bunkra, poniżej stromej skarpy płynęła rzeczka. Woda w tej rzeczce była jakby mineralna. Tam to pewnego czerwcowego dnia siedząc na brzegu, wyplułem na dłoń jeden po drugim cztery zęby. Tam na brzegu przewijałem bandaże na nogach, na których potworzyły się rany cyngowe, skorbutowe. Ale jakby w rekompensacie — w tym tygodniu zagoiły się ostatecznie moje palce i z nurtem smacznej rzeczki popłynął ostatni bandaż.

Byliśmy tam z dala od oka władzy, pozostawieni samym sobie. Chleba nie brakowało i było co palić. Czasem udało się w ciągu dnia przespać w cieniu promieni słonecznych — był to ekwiwalent za nocę bezsenne z powodu pluskiew, dławiącego ich smrodu i obrzydzenia.

Na drodze między Kedrową a Kadak-Czanem — ja fanatyczny czciciel słońca i ognia — objąłem się miesiąc i w ciągu tego czasu nikt nawet nie groził mi izolatorem!

Po śmierć czy po wolność?

Niewysokiego wzrostu Żyd, przestępca kryminalny, nazwiskiem Nastaszewski, był dobrym, solidnym kolegą łągiernym.

Pracował do niedawna u wierzchołka przełęczy, ale od strony komand i rowski, czyli od strony ciszy i był dlatego przedmiotem powszechnej zazdrości. Stały jego posterunek był idealnie osłonięty od wiatru. Przed wydłubaną w stromym stoku obszerną jamą, rozkładał ognisko, które podsycił węglem, zrzucanym z samochodów, kilka razy „na dzień dobry” podsypywał trochę żwiru, ażeby samochody nie ślizgały się i przesiadywał na wzniesieniu przez cały czas przy swoim kastiorze, używając chętnie gościny.

Od kilku dni stał się dygnitarzem (dzięki protekcji dniewalnego) — w kantorze.

Wśród ciemnej nocy, jeszcze przed pobudką, Nastaszewski wszedł cicho do baraku, pochylił się nade mną i rzekł szeptem:

— Przyszło po ciebie wezwanie do Uprawienia Dorożnego Dalnego Siewiero-Wostoka (najwyższa władza, zawiadująca wszystkimi drogami na Kołymie) — razem z rzeczami i dokumentami. Jedziesz na uwolnienie. Nie mów nic nikomu i nie zdradzaj mnie. Słyszałem na własne uszy, jak czytano dokument!...

Tak urodził się dzień 12 kwietnia 1942 roku. (...)

— «Rakowiecki!... Wezwany do uprawienia. Jedzie po zwolnienie.

Wycofałem się, aby mnie nie zauważyli. Panował we mnie zupełny spokój. Nie potrafiłem myślą objąć faktu, że to przecież mówi się o mojej wolności; czy nie uwierzyłem w możliwość i w prawdę tej — czyjejs? — cudzej? — obcej? — tak bardzo mi obojętnej wolności.

Jakby nie w mojej świadomości, układały się wątle myśli:

— Teraz przyjdą po mnie do baraku i powiedzą, żebym się zabierał z rzeczami.

Nie, nie przyszli. Nikt nie dał żadnego znaku, a więc, może nieprawda? Wyprowadzono nas, jak zwykle, na zbiórkę. Stojąc wśród dochodzących z brygady, kątem mózgu obliczałem beznamiętnie:

— Dziś jest 12 kwietnia 1942 roku. Akuratnie osiem miesięcy temu, dnia 12 sierpnia Wierchowny Sowiet wydał „amnestię” dla Polaków!.

Dopiero obok tej myśli, jakby na marginesie zupełnego nieprawdopodobieństwa, układał się inny wątek:

— Teraz, powiedzą, żebym wystąpił, wrócił do baraku i zabierał się z rzeczami: — „Sobirajties s wieszczami”.

(...)

Brygadier wyznaczył mi robotę tę samą co wczoraj. Czekałem, czy może coś powie i uważnie patrzyłem na jego wargi. Nie, nie powiedział nic więcej.

(...)

Było już południe, kiedy wywołano mnie z bani. Starosta oświadczył, pokazując jakiegoś cywilnego typa, pewnie wolniagę.

154

— Ten obywatel odwiezie was na uczastek. Uczastek, czyli naczelnictwo okręgu, znajdowało się na sąsiednim 7 prorabstwie, o 12 kilometrów odległym.

(...)

W baraku moja osoba wywołuje sensację. Jestem znany na całym uczastku w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Olbrzymia ilość więźniów zna mnie osobiście, inni ze słyszenia. Mówi się o mnie: „Stary Polak, co odmroził rękę”.

Czasem też — jeśli nie słyszą obcy — mówi się jeszcze inaczej:

„Stary, chytry Polak, co umyślnie odmroził rękę, a palec wskazujący uchował, żeby mógł pisać!”

Nigdy mnie nie interesowało, co o mnie mówią więc i teraz mnie to nie obchodzi. Mam o czym myśleć, jestem pełen rozterki. Znajduję się na bardzo ryzykownej huśtawce nerwowej.

(...)

Dedykacja.

(...)

W ten sposób zakończyły się dzieje więzienne i łagierne pewnego Europejczyka, Adigałah — kropka — koniec!

Dookoła zielona Anglia. Lata minęły, wszystko jest tak bardzo inne, jak jawa i sen, jak życie i śmierć. Jak zima i wiosna. Teheran — Bagdad — Jerozolima. To także etapy, etapy powstawania tej książki. Rosły zapiski, z zapisków pomału powstawała książka.

Ileż to razy szumiał Teheran i isfahańskie drzewa? Potem gwiazdy pochylały się nade mną i nad Bagdadem, a księżyc topił się w Tygrysie. I oto znowu biała i różowa Jerozolima, oddalająca się w noc i w sen, i w gorączkę.

Książka jest gotowa: Zrzuciona z ramion, jak kołymski łachman. Odrzucona od siebie, jak strup, który oderwał się od duszy.

Przed oczyma wstaje Londyn szary i zielony.

Myśl wraca do dawnych wspomnień:

Adigałah, ów dzień zmierzający i słowa o „wolnych ludziach”.

Wspomnienie to posyłam nad wszystkie kołymskie groby! Niech spłynie nad pryiskami, drogami, fabrykami, nad złotem, ołowiem i węglem. Nad śniegami i nad potopem wzburzonego czerwcowego lub sierpniowego rozszaliska wód. Kiedy ktoś umrze, mówi się na Kołymie:

— Poszedł pod sopkę — został pod sopką — leży pod sopką... Są to synonimy na określenie człowieka, którego pożarła Kołyma, białe krematorium. Polskich grobów pod sopkami są tysiące, ludzkich grobów — wielokrotne setki tysięcy. Jak klątwa wisi nad tym krajem przeświadczenie, że nie można wydostać się żywym.

Legendarnymi stają się rzadkie wypadki, kiedy kogoś zabiorą na pieriesledstwiye (powtórne badanie) i odsyłają na kontynent, czyli jak się tam mówi: na matierik. O takich wypadkach głośno na całej Kołymie w ciągu długich miesięcy. Są to tam bardziej zdumiewające wypadki, niż w innych krajach i w innych społeczeństwach główne wygrane na loterii.

Złoto! Złoto kosztuje setki tysięcy istnień ludzkich. Nad tajgą huczy motor samolotu. Robotnicy pracujący tu i ówdzie podnoszą głowy i patrzą. Samolot nadlatuje, przelatuje i znika na horyzoncie.

„Powieźli złoto”.

Tak wszyscy myślą, nikt jednak nic nie mówi. Bo i po co? Wszak wszyscy wiedzą, że samoloty pojawiają się nad tajgą tylko w trzech wypadkach:

- dla transportu złota,
- aby śledzić zbiegów w wypadku zbiorowej ucieczki,
- w razie pożaru tajgi.

Czasem w pogodny dzień nad światem zawiśnie mgła. Jakże ta mgła z wyglądu podobna jest do irackiego czy egipskiego hamsinu.

(-)

Wszystko zaś jest lepsze niż kołymski łagier. Na przykład wojna! Wojna jest zabawką, wojna jest rozrywką. Śmierć na wojnie nie jest straszna, straszniejsza jest śmierć na Kołymie!

Zarzucam czarny całun na kołymskie groby!

Wepchnięty pewnego dnia do celi, podtrzymując rękami opadające bez guzików spodnie, autor niniejszych wspomnień pomyślał:

„Oto jestem na dnie”.

A potem okazało się, że to wcale nie było dno! Stanisławowski kryminał to była sielanka zaledwie sentymentalna.

Mijały dni, tygodnie, miesiące i — tysiące kilometrów. Okazało się, że bywają rzeczy jeszcze gorsze, że więc dno jest jeszcze niżej. Nawet i wtedy, kiedy zdawało się, że już nic nie może być poniżej, że

jednak już nastąpił kres niedoli ludzkiej, dno pochylało się jeszcze głębiej, dno zapadło się coraz bardziej!

Przychodziły chwile, że człowiek, — autor przeżyć niniejszych (jeszcze nie był autorem tej książki) — myślał:

„A może jestem po tamtej stronie dna”?

Ale to przecież nie było tak, albowiem po tamtej stronie dna jest już tylko śmierć, czyli wyzwolenie, wolność, spokój i szczęście. O czym można dowiedzieć się tylko na Kołymie. Albo w Oświęcimiu!

Tymczasem dno zapadało się coraz głębiej, coraz więcej ludzi wyzawało się na tamtą stronę, a człowiek, przyszły autor, „gruntował” niedolę ludzką coraz przepadniej.

(...)

— Już nic gorszego nie może być niż Kołyma

— A Oświęcim?

Miliony ludzi, nakrytych tymi oboma skrzydłami szatana — cierpiało i cierpią, krwawiło i krwawią, męczą się, gniją za życia, a śmierć jest dla nich — wolnością!!!

Czynię przerażające odkrycie:

NIE MA DNA W NIESZCZĘŚCIU LUDZKIM!

Jerozolima — Londyn, 1947

Marta Rudzka

(pseud. Beaty Obertyńskiej)

W domu niewoli

Rzym, 1946

BEATA OBERTYŃSKA ur. 10 lipca 1898 roku w Małopolsce Wschodniej, zm. 21 maja 1980 roku w Londynie. Poetka i aktorka teatrów lwowskich, córka znanej poetki Maryli Wolskiej. Aresztowana w lipcu 1940 roku przebywała w więzieniach i obozach, w 1941 roku pracowała w kołchozie pod Bucharą. ZSRR opuściła jako członkini Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet w 1942 roku. Po wojnie zamieszkała w Londynie, gdzie uprawiała twórczość poetycką i prozatorską. Powojenną prezentacją jej dorobku w kraju była edycja „Wierszy wybranych” z 1983 roku, które ukazały się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Brygidki

Nie chcę nazywać tego przecuciem, bo z reguły nie miewam żadnych, to pewne jednak, że na dobrych parę dni przed aresztowaniem, obsiadł mnie jakiś obcy mi niepokój i nie mogłam sobie miejsca znaleźć.

Nie bardzo wiedząc dlaczego, postanowiłam nagle pewnego dnia spalić wszystkie papiery, którym pragnęłam oszczędzić ewentualnego dostania się w niepowołane, wrogie ręce. Żelazny piecyk w moim pokoju rozhuczał się mimo lata jak za najlepszych zimowych dni. Bardzo to dziwne uczucie niszczyć tak za życia swoje „pośmiertne papiery”, patrzeć jak ogień oskrzydla i topi te — od lat gromadzone, strzeżone i kochane — listy, pamiątki, fotografie; wychwytać jeszcze ostatni raz wzrokiem na zwijających się, płomienistych kartkach, jakieś lepiej pamiętne zwroty, strzępki zdań, wreszcie samo niknące na zawsze, pismo. Mimo całej żałości i roztrzęsienia, w miarę jak to się wszystko węgliło i przestawało być, czułam coraz wyraźniej, że je zabezpieczyłam nareszcie, że nie mogłam znaleźć dla tych pamiątek pewniejszego schronienia nad czysty płomień i własną pamięć. Tam mi ich już nic — nawet NKWD — ani sprofanować, ani odebrać nie potrafi.

Samo aresztowanie nie zaskoczyło mnie zniecka. Dano mi znać w tajemnicy, na dobrych parę godzin naprzód, że NKWD zainteresowało się moją osobą.

(...)

Już to od tego, co komu pisane, nikt się jeszcze widocznie nie wykręcił! Dosłownie bowiem w chwili, kiedy wchodziłam w ogrodową furtkę, spotkałam się w niej nos w nos z dwoma bolszewikami w cywilu.

No a potem już bardzo prędko poszło. Krótka indagacja i rewizja w moim pokoju. Nie wiem jak sobie dziękować, że spaliłam moje papiery! Wszystko odbywa się grzecznie, dość pobieżnie i bardzo głupio. Ani jednej na przykład z pięciu szuflad mego biurka nie tknęli nawet. Zabierają natomiast rachunki za wodę i światło (!). Biorą mój paszport i każą mi się zbierać. Pozwalają mi wziąć z sobą, co bym chciała.

Prócz teczki z rzeczami do mycia, nie biorę jednak nic. Opada mnie prześmieszne uczucie najdoskonalszej obojętności wobec rzeczy, taka, jaką dla wszystkiego co materialne, odczuwać muszą, wyobrażam sobie — umierający. Nic i wszystko — ma nagle tę samą wywietrzałą, nieistotną wartość. Ktoś z domowych wtyka mi w teczkę trochę chleba i cukru. Nie wiem dlaczego nie biorę pieniędzy. Sprzedałam ostatnio znów dywan i pieniądze miałam. Pomyślałam natomiast o nożyczkach. Gdyby mi przyszło siedzieć, wolę mieć krótkie włosy. Ktoś próbuje jeszcze dowiedzieć się od nich, dokąd mnie biorą. Uśmiech. Wzruszenie ramion i coś w ten sens, że to może być tylko przestuchanie, że może dziś jeszcze wrócę, żeby się nie przejmować itd. Ja jednak wiem swoje i wcale się nie łudzę.

(...)

Pozwalają mi się pożegnać. W ogóle nie są tacy brutalni, jak ci którzy brali Kasię. Ponieważ mam na sobie tylko letni płaszcz, ktoś już w hallu wtyka mi w ręce, siłą prawie, koc. Wychodzę pierwsza. Oni za mną. Jest już ciemnowo i deszcz widocznie kropił, bo chodnik do bramy mokry.

(...)

Co miesiąc mamy tawoczkę, czyli więzienny sklepik. Kto ma pieniądze — nie w ręce oczywiście, bo przysłane więźniowi ruble zostają u nich, a on dostaje tylko kwit — może sobie kupić cebulę, śledzie, bielszy chleb, czosnek, cukier, zapałki i papierosy. Celi nie wierzy się nigdy! Powietrze zmienia się leniwie, wysysane szparami w deskach i to dopiero przy nocnym chłodzie. Pręgi słońca wdzierające się o zachodzie w naszą celę są błękitne i mętne od dymu tysiąca ohydnych, dzień noc kopconych papierosów. Kiedy zaś dodam jeszcze, że w ławoczce kupuje cebra przeciętnie 80 kg czosnku — c z o s n k u!! — i 100 kg cebuli — czy potrafi sobie kto wyobrazić, w jakim smrodzie się wędzimy?!

(...)

Przez cały czas, dniem i nocą — ale najczęściej nocą — wywołują od nas kogoś na śledztwo. Zjawia się korpuśny z kartką i zabiera wezwaną, która wraca czasem po paru godzinach, czasem po kilku dniach dopiero. Ze strachu przed „kapusiami”, których pełno na celi, zazwyczaj szczegóły śledztwa trzyma się w tajemnicy. O ile jednak można się zorientować, śledztwo na Brygidkach nie było tym czym na Zamarstynowie. Prócz zamykania w karczerze, prócz słownego ranienia w człowieku najświętszych uczuć religijnych i narodowych, czy godności własnej — nie słyszałam, aby kogo bito czy katowano — prócz ślepej Zośki oczywiście — ale ta już sama chciała. Mam też podejrzenia co do jednej Ukrainki. Wracała ze śledztwa po kilku dobach, zanosząc się od płaczu, ale nigdy — mnie przynajmniej — nie mówiła, co się z nią działo.

W karczerze nie byłam ani razu.

Ale byłam za to na bolnicy.

(...)

Obok mnie, z drugiej strony, leży Kalmuk, biedna, nieszczęśliwa Helena Kalmuk, odesłana tu z Zamarstynowa. Ma twarz tak obrzękłą, że jej oczu nie widać, ostatnie stadium gruźlicy i miazgę z nerek. Ledwie mówi. Kiedy musi wstać czepia się łóżka i ścian i ledwie sunie wpółzgięta z bólu. Młoda, znaną w świecie sportowym lekkoatletkę, długoletniego członka POWK — odesłali po

śledztwie z Zamarstynowa ludzką ruiną, strzępem, kaleką. O śledztwie jej opowiadano mi potem potworne, trudne wprost do powtórzenia rzeczy, ale od niej samej wiem tylko o tych uszkodzonych w czasie tortur nerkach, więc tylko to notuję. Umarła wkrótce potem.

Na drugim łóżku pani Nieduszyńska. Siwa, około pięćdziesięciu kilku lat kobieta. Nie знаła czy nie chciała podać adresu brata, który chcieli od niej wydobyć na śledztwie. Też na Zamarstynowie. Umarła w krótki czas potem.

Dalej Helena Żak, złapana na granicy. Wracała z bratem do rodziny. Śliczna, 18 letnia dziewczyna, o twarzy Brygidy Heim. Jest w ostatnim stadium suchot. Dostała zapalenia płuc w bani czy w karcerze — nie pamiętam. Nie przetrzymała zimy.

(...)

Na łóżku przy drzwiach majaczy młoda Ukrainka. Ma kompres na oczach i widać jej tylko spieczoną gorączką, dziecinne, naiwne usta. Nikt do niej godzinami nie podchodzi. Przynieśli ją na noszach i zrzucili w łóżko. Kompres dała jej któraś z nas.

Doktorów mamy różnych. Jeden to Żyd ze Lwowa, reszta „oni”. Naczelnik bolnicy jeden jedyny wygląda na człowieka i po ludzku traktuje chorych. (...)

Lekarek jest kilka. Jedna Żydówka ze Lwowa. Wszystkie pełnią swoje obowiązki z bezosobową obojętnością, żona naczelnika zwłaszcza. Ma się wrażenie, że nie słyszy niczego, co się do niej mówi, czy o co się ją prosi. Jest duża, ciężka, ciemna. (...)

Sprzątać i zmywać podłogę musimy tu co dzień same. Robią to te, które są zdrowsze. Parasze wnosimy też. Prócz grypy mam jeszcze coś z gruczołem tarczycowym i okropnie mnie teraz przy dźwiganiu boli szyja. Ponieważ jednak należę do zdrowszych — nie ma rady. Baseny chorym podkładamy także my, bo „siostra” zjawia się rzadko.

Wikt lepszy trochę niż na celi. Dają pszenny grysik, więcej cukru, trochę mleka, grudkę masła i — co ze wszystkiego najważniejsze — surowe jarzyny! Jeden cudowny, błyszczący pomidor udało mi się przemycić na celę, dla tamtych.

O sposobach leczenia trudno mi cokolwiek powiedzieć. Sama na ten mój gruczoł i bicia serca, dostawałam tylko brom. Co brały inne, nie wiem. To tylko pamiętam, że przed zapisaniem lekarstwa wracz pytał zawsze, jaki kto ma paragraf. Obawiam się, że nie bez szkodliwych dla siebie następstw, podawał człowiek uczciwie swój. Wrah naroda czyli § 54/XIII — nie ma przecie prawa do należytego leczenia. Lepiej być u nich złodziejem!

Na bolnicy byłam wtedy tylko tydzień.

W sowieckich tiurmach

(...)

W Kijowie jesteśmy nazajutrz, około południa.

Czarny woron przewozi nas na teren tiurmy. Pod murem, na przejmującym wicherze, trzymają nas bez jedzenia, do nocy. Sięść nie ma gdzie, bo stoimy rzędem w błocie. Chodzić dla rozgrzewki nie dają,

można więc tylko dreptać w miejscu. „Na stronę” puszczają dopiero wtedy, gdy zbierze się dwadzieścia osób. Dostajemy strielka, który nas pod bagnetem prowadzi do szopy w sadzie.

Ale za to nie ma siły ludzkiej, która by nam zabroniła gadać! po miesiącach przecie pierwszy raz stykamy się pod tym murem z więźniami z innych cel i tium. Zatem pytania: skąd i za co, i z kim kto siedział? i co słyszał o wojnie? Nastrój jak zawsze i mimo wszystko dobry. Każdy wie, że chodzi o to tylko, by przetrzymać.

Od czasu do czasu podjeżdża pod mur czarny woron i wysypuje dalsze partie więźniów. To jest prawdopodobnie powodem tego naszego czekania. Chcą w głąb tiumy puścić dopiero cały transport, który widocznie jest duży.

Pod noc dopiero ruszają nas spod muru.

Jestem tak zziębnięta, że rąk ani nóg nie czuję. A mam przecie płaszcz i koc. Inni i tego nie mają. Żelazna brama rozdziawia się przed nami i połyka nas więzienie.

To kolos, ta kijowska tiumal Podwórza, dziedzińce, korytarze, mury, bramy, sklepione sienie i znowu dziedzińce, korytarze, podwórza. Pędzą nas pod jakiś budynek i zatrzymują. Wiatru się tu już nie czuje, tylko zimno idzie od brukowanego kamieniami podwórza. Wywołują nas nazwiskami. Zatem strach, aby nie rozdzielano nas z tymi, z którymi jedziemy ze Lwowa. Nigdy się nie wie, co zdecyduje o doborze takiej grupy. Może istotnie tylko przypadek i kolejność byle jak złożonych kopert z aktami, które idą razem z nami transportem. Ale nie! Na szczęście nie rozdzielono nas, tylko wywołują razem z nami całą moc innych. Są Rosjanki, rosyjskie Żydówki, Ukrainki, a wszystko z różnymi paragrafami. Razem do dwudziestu samych kobiet, bo tu już nas oddzielono od mężczyzn. Prowadzą nas w korytarz tak wąski, jak korytarz w pociągu i pocięty tak samo małymi drzwiczkami, jak te do przedziałów. Żołnierz zatrzymuje się przed jednymi z nich, otwiera je w zupełną ciemność i zaczyna strasznie na coś wrzeszczeć. Nie wiemy o co chodzi. Po chwili z czarnych drzwiczek wychodzi jakiś łań ludzki, wyglądający na matołka, o dużej głowie i obłąkanej twarzy, cały w szmatach i dygoczący z zimna. Żołdak wrzeszczy, a to się trzęsie i skrzeczy. Do opróżnionej klatki każą teraz wchodzić nam. Wchodzimy jak do grobowca. Przestrzeni najwyżej 2 na 2 metry. Zamiast okna mały otworek pod samym sufitem, światła tyle, ile pada od słabej żarówki z korytarza póki drzwi otwarte. Uderza nas na wstępie smród niedwuznaczny wcale! Ten biedny matołek musiał nie wychodząc, siedzieć tu długo już — i działać! Podłoga jest betonowa i betonowe ściany. Wszystko ocieka wilgocią i cuchnie ludzkimi odchodami. I do tej to ohydnej, zimnej klatki wtłaczają siłą dwadzieścia zziębniętych, zmęczonych, głodnych kobiet! Podnosi się wrzask, prośby, płacz. Sołdat kolanem dociska drzwi, zamyka nas i odchodzi.

(...) Po godzinie całą zapaskudzoną podłogę zalega już stos obojętnych ze zmęczenia kobiet. Nie na wszystkie jednak jest w tej ciasnocie miejsce, a nawet nie ma go na obie nogi równocześnie. Ja na przykład muszę stać dosłownie raz na jednej, raz na drugiej nodze, trzymając w dodatku mój tobołek w rękach. Od ściany ciągnie zimno przenikliwe. Jestem głodna, zmęczona i zziębnięta do szpiku kości. Po trzech godzinach zaczynamy się buntować. Walenie w drzwi nie odnosi żadnego skutku. Cały zresztą korytarz o nieprzeliczonych celkach, wali już od dawna w drzwi, krzyczy, wyzywa, klnie. Korytarz jest długi i niski. Pogłos w nim niesie się dziwnie stłumiony i mylący. Na niewidziane ma się wrażenie, że korytarz ten nie ma dna i że najdalsze krzyki i dudnienia, dochodzą z jakiejś nierealnej

już odległości. (...) Ze zmęczenia szumi w uszach, a ciemność pływa i pulsuje przed niewidzącymi niczego oczyma.

(...)

Dopiero po pięciu może godzinach, a więc głęboko w noc, zgrzyta klucz, na progu staje szynel i pozwala, grupkami po pięć, iść pod strażą do klozetu.

Ktoś, kto nie widział takiej ubikacji, nie potrafi sobie nawet w przybliżeniu odtworzyć pojęcia o jej ohydzie. Nas to już nie przejmuje. Tuż obok betonowych dziur ciecze w brudną zbitą muszlę umywalni woda. Spieczone pragnieniem i głodem pijemy ją, jak która może, albo czerpiąc dłonią, albo podstawiając usta wprost pod zaśniedziały kran. Szyby są wybite i zimny przeciąg ze śniegiem hula tu na przestrzał. Żołdak wali w drzwi, popędza nas niecierpliwie i każe szybciej wracać do sobaczki. Tak bowiem nazywają w kijowskiej łurmie te przeklęte betonowe celki. Są one czymś w rodzaju szufladek, w których przetrzymuje się więźnia, nim jego papiery przejdą przez wszystkie biura i urzędy i nim go skierują na dłuższy pobyt do któregoś z bloków i do którejś z cel.

(...)

Kijowska bania była najlepszą ze wszystkich, jakie potem widziałam w Rosji. Ogromna, jasna sala. Podłoga i ściany z jasnokawowych kafli, mnóstwo tuszów, kurków, dobre ścieki, a nawet kabinki do rozbierania się! Kąpie się równocześnie co najmniej sto kobiet. Wody gorącej ile chcesz. Dają spory kawałek mydła, naftę i sabadyłę na wszy.

(...)

A potem czarny woron, zupełna ciemność, przekleństwa, smród i cudze robactwo. Powietrza w takiej hycłowskiej budzie ani krzty. Nie wiemy nigdy co to za miejscowość. Na ogół zresztą wszystko nam jedno, bo łurmy wszędzie do siebie podobne.

Tym razem to Charków.

(...)

Polek jest w tym transporcie tylko kilkanaście. Reszta rosyjskie śmiecie. Mnóstwo małych prostytutek. Jedną z nich zapamiętałam wyraźniej od innych. Chude, wyciągnięte, a blade, jak pęd piwnicznego kartofla. Płaszcz na tym kusy o za krótkich rękawach. Na głowie aż do potysku wytłuszczona — wojskowa pilotka, na nogach kalosze. Stworzenie to przygląda mi się uważnie i z bliska, obchodzi dookoła, dotyka koca, płaszcz. Zagląda jaka podszewka.

— Wy z Polski — pyta w końcu. Kiwam głową, że tak. — A to was oswobodzili! — wybucha ironicznym śmiechem, i taką nienawiść do tych „oswobodzicieli” słyszę w jej tonie, że aż mi lżej! A ona, rzuciwszy kilka szybkich spojrzeń dokoła siebie, dodaje nagle ciszej, już bez ironii, a z wyrzutem tylko: — A my tak czekali! My tak wierzyli, że wy nas przyjdziecie oswobodzić!

Wreszcie ogromny transport kobiet spod muru, rusza do bani. Proceder kąpania transportu jest w każdej łurmie taki sam. Zmieniają się tylko warunki, zależnie od wielkości więzienia. Rozkład budynku łaźni też zawsze jednakowy. Zasadniczo trzy ubikacje. Pierwsza i ostatnia mniejsze, sama łaźnia największa. W pierwszej — nieszczelnymi drzwiczkami tylko odgradzonej od dworu — kąpa się

nam rozbierać do naga. Każda z nas dostaje metalowe kółko, na które ma nawlec swoje rzeczy i oddać je do pieca. Prócz butów. Któż jednak ma tu buty? Chyba my, bo cała Rosja chodzi w kaloszach. Nikogo to nie przejmuje, że przy piecu, który często mieści się w tej samej ubikacji — a jest tylko wysoką ladą odgradzony od nas — zajęty jest z reguły mężczyzna. Stado gołych bab, ciągnących za sobą swój szubrawy przyodziewek, przygniata się do tej lady. Odchodzą żarty, umizgi, piski. Element jest przecie bardzo rozmaity z przewagą najgorszego. W małej sionce, dzielącej łaźnię od dezynfektora, stoi prześcieradłem nakryta ławka, a przy ławce sowiecka baba w fartuchu, z maszynką do golenia w ręce. Zaczyna się wrzask i pisk, i płacze, i awantury. Najzażarciej bronią się wstydlive, starsze, wiejskie kobiety i w żaden sposób nie chcą się kłaść i poddać przepisowi. Nie ma jednak rady. Baba goli cały transport pod rząd, tą samą maszynką i na tym samym prześcieradle. Potem dopiero puszczają nas do łaźni.

Kijowska była wyjątkiem. Wszystkie inne, przez które nas przewlekano, były tak straszne, niechlujne i prymitywne, że trudno to opisać, a jeszcze trudniej żądać, by ktoś dał wiarę!

Nie ma przeważnie szyb i z chwilą, gdy się wyjdzie spod tuszu, lodowaty strumień powietrza — jest przecie grudzień — owiewa człowieka mokrego, rozparzonego, o dymiącej jeszcze po umyciu głowie. Ścieki są popsute i tak zalepione odwiecznym mydłem, że woda nie schodzi i pod koniec każda z nas stoi po kostki w cudzych brudach, w które zresztą załatwiają się w czasie kąpieli, jawnie i bez żenady, różne półdiotki, nieletnie prostytutki i inne, pozornie tylko ludzkie stworzenia. Ponadto póki się wszystkie nie wykąpią i nie wypiorą łachów, reszta musi czekać, dzwoniąc zębami i owijając się rozpaczliwie w mokry ręcznik, o ile go która ma. Czasem bania jest tak mała, a transport tak liczny, że pod jeden tusz pcha się kilkanaście kobiet równocześnie. Jedna odtrąca drugą, zaczynają się kłótnie, wrzaski, przekleństwa. Te, które mają jakieś wrzody, wysypki, świerzb czy ropienie, są wtedy paniami sytuacji, bo każda zdrowa odsuwa się od nich ze wstrętem i robi jej miejsce dobrowolnie. Odsunąć się jednak w takim tłoku prawie niepodobna. Człowiek jest maglowany, gnieciony i popychany przez jakieś — mniej lub bardziej obrzydliwe — ciała, o mniej lub bardziej podejrzanych wyrzutach i ranach. Wszystko w pośpiechu, nienawiści jednych do drugich, w mydle, parze, oślizłości i zmęczeniu.

Dopiero gdy wszystkie tusze umilkną, otwierają się z klucza drugie drzwi, umieszczone naprzeciw tych, przez które nas wpędzono do łaźni. Wtłaczamy się do trzeciej, ostatniej ubikacji, mającej połączenie z dezynfektorem. Zazwyczaj jest to kompletna lodownia, gdyż drzwi prowadzą wprost na dwór, a pieca nie ma żadnego. Na środku, na ziemi — a w wyjątkowych wypadkach na deskach umyślnie na ten cel tam położonych — garbi się stos rozparzonych łachów. Metalowe kółka są tak gorące, że ich wprost tknąć nie można. I teraz następuje straszna chwila, kiedy na ten wzgórek rzuca się tłum gołych, rozpychających się kobiet i rozkopuje go, szukając swoich rzeczy. Oczywiście wszystkie szmaty wysuwają się przy tym z poszczególnych kótek i mieszają jak groch z kapustą. Najohydniej zapaskudzony, cudzy przyodziewek, leży skłębiony na ziemi, razem z jedynym, co posiadasz, przy czym wyciąganie swego płaszcza, czy bluzki komuś spod mokrych, a już zabrudzonych nóg jest rzeczą prostą i zwyczajną. Czasem drugą pończochę znajdujesz dopiero wtedy, gdy się już wszystkie ubrały, o ile jej któraś z Sowietek nie zabrała jako szalika na szyję, bo i to bywało. Najwięcej kradzieży zdarza się w czasie tego ubierania się właśnie. Komuś — pamiętam — zginęła jedyna spódnica, czym zarząd bani wcale się nie przejął mówiąc, że na to nikt nie poradzi. Na palenie i niszczenie w piecu naszych ostatnich rzeczy też widać rady nie było. Któraś dostała raz ataku serca na widok spalonego na brązowo, jedyne ciepłego swetra, jaki posiadała.

Tym, co na tych dezynfekcjach nie ucierpiało nigdy naprawdę, to były właśnie gnidy i wszy! Po chwilowym ogłupieniu od gorąca przychodziły szybko do siebie i zaczynały na nowo. Kto zatem — dzięki systematycznemu biciu robactwa, wytępił je w swoich rzeczach — o ile to w tiumie, a zwłaszcza w transporcie jest w ogóle możliwe — ten w dezynfektorze nabierał obcego tuzinami. Do pieca szło zatem z reguły wszystko tylko po nowe wszy. Twierdzenie to nie jest ani żartem ani przesadą.

Po kąpieli, jak zwykle — dłużąca się w nieskończoność — rewizja. Stoimy w długim szeregu na korytarzu, a kilku żołnierzy przetrząsa nasze rzeczy. Wysypują wszystko z worków na zapluta, zdeptaną podłogę, łożą buciskami po wypranej z takim trudem bieliźnie. Nie zabierają już nic, bo wszystko co można było wziąć, wzięli nam dawno, więc po co to wszystko? Trzymam się resztką sił. Czuję gorączkę, głowa boli mnie nieprzytomnie, wrzód w nosie narywa. Mam tylko jedno pragnienie: położyć się byle jak, byle gdzie i zamknąć łzawiące się od bólu oczy...

(...)

Starobielsk

Czekanie jest jednym z podstawowych zajęć więźnia. Czy w celi, czy w transporcie, gdziekolwiek go losy rzucą — czeka. Czeką najczęściej stojąc albo siedząc na własnym tobołku. Godzinami. Nikt mu nigdy nie powie, na co czeka, ani jak długo czekanie to potrwa. Jest to jakiś chroniczny, nieuleczalny jego stan, pozornie nieszkodliwy, a przecie męczący nad wyraz.

Czekamy więc na stacji. Noc jest daleka, ciemna. Wiatr dmie zza węgła i druty jęczą nad głowami. Ale zimno nie jest. Czuję się już wyraźnie w powietrzu smak kwietnia. Czeką nas kilkanaście. Wszystkie te, które ruszono razem z Chersonia. Ktoś mówi, że pewnie czekamy na woron. Może być. Równie dobrze jednak mogą nas tu tak potrzymać parę godzin, czy do rana choćby, a potem pognać piechotą.

Wiemy, że Starobielsk nie jest już, w ścisłym tego słowa znaczeniu, tiumą, tylko zamkniętym łagrem i że mieści się na obszarze dawnego klasztoru prawosławnych monaszek.

W rozległej ciemności jawią się wreszcie niskie, białe rogi macających drogę reflektorów. Zatem jadą po nas. Nie pójdziemy piechotą. Oczywiście Hinda zachwyca się świetną organizacją. Lora jest duża, rozklekotana. Włazimy na nią skwapliwie, gotowe nawet dla świętego spokoju przyznać Hindzie rację.

Jedziemy — od niepamiętnych czasów pierwszy raz — nie w zamkniętej budzie czy wagonie, tylko otwartym autem. Noc jest wiosenna i powietrze jest wiosenne, ale obce w smaku i zapachu. Mijamy jakieś martwe, trwożnie obok drogi przycupnięte domki.

(...)

Wreszcie baniata cerkiew na wzgórzu. Gościniec wije się tak, że raz mamy ją z lewej, raz z prawej strony. Czasem znika na długie chwile. Za każdym tylko wynurzeniem się jest większa i większa. Rośnie, garbi się, rozbija na mniejsze kłębki bań. Teraz widać już okrągło wybałuszone okna. Czarne oczywiście. W miarę jak podjeżdżamy cerkiew olbrzymieje, aż staje nad nami ogromna, cienista i martwa.

Starobielski łągier to zatrzęsienie domków i domeczków rozsypanych w sadzie. Dno sadu jarzy się elektrycznymi gruszkami, które rosną na niskich słupkach. Dziwne wrażenie robi ten od spodu podświetlony sad, o bielejących, koślawych pniach. Jakieś opaczne, wiosenne „zaduszki”.

Po formalnościach, tych samych co zawsze, puszczają nas do pustej kancelarii, gdzie mamy czekać do rana. Śpimy, a raczej męczymy się zwinęte na naszych wieszaczach. Rano widzę, że mysz wygryzła mi dziurę w worku na chleb. Zły znak! Myszy głodne, więc pewnie ludzie też.

Istotnie. Głód był zasadniczą cechą naszego pobytu w Starobielsku. Ze wszystkich dotychczasowych postojów tu dawał się nam najdotkliwiej we znaki.

Cela, do której — po dwunastu dniach kolejnego przepędzania nas po różnych „blokach” — puszczają nas nareszcie, jest duża i robi wrażenie podzielonego tylko przepierzeniami na trzy części klasztornej refektarza. Może trochę na refektarz za niska, ale czymś takim musiała być za dawnych czasów. Dziś jest tu ciasno i ciemnawo od „dwupiętrowych” nar, biegnących wzdłuż ścian i okien.

(...)

Kiedy tak stoję bezradnie, szukając oczyma jakiejś znajomej twarzy, jakiegoś życzliwego spojrzenia, czuję, że mnie ktoś od tyłu trąca w ramię. Oglądam się i widzę na górnym piętrze nar — ruchem owych chimerek z paryskiego Notre-Dame oparte o brzeg kojki łokciami — dwie młode, nieznajome mi osoby.

— Niech pani do nas przyjdzie. U nas jest miejsce — mówi jedna z nich, o żbiczym, jak mech zielonym spojrzeniu, podczas gdy druga nie mówi nic, tylko patrzy na mnie z wyżyn swojej kojki błękitnymi oczyma. — Prędko! Niech pani włązi na górę, żeby kto inny nie zajął. My chcemy mieć tutaj panią — przynagla energicznie pierwsza i ciągnie już moje worki. — To bardzo dobra kojka. Blisko okna, jasna. I nie ma u nas wszy...

Jestem im niezmiernie wdzięczna za okazaną gościnność, ale jeszcze się waham. Chciałabym mieć bliżej małą Władzię. Cóż, kiedy i ona jedno tylko miejsce zdobyła i to w drugim kącie celi, na parterze pod oknem. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak przyjęcie gościnę tych obcych, uprzejmych pań...

Bardzo mi śmiesznie dziś tak o nich pisać! Trudno mi uwierzyć. Po prostu, że był w moim życiu kiedykolwiek okres, gdy Helena z Marysią były mi obce i nieznajome! Zabawnie, jak to człowiek niczego naprzód nie odczuje i nie przewidzi... Nie wiedziałam, że włączając wtedy na tę kojkę, wspinam się naprzeciw mocnej, oddanej, prawdziwej przyjaźni, którą miałyśmy znaleźć wszystkie trzy na tym wspólnym więziennym sienniku w Starobielsku.

(...)

Jak we wszystkich sowieckich więzieniach, mieszanina tu, jak na dolinie Jozafata. W trzech połączonych ze sobą celach siedzi nas chyba ze dwieście! I kogo tu nie ma? Polki, Rosjanki, Rumunki, Węgierki, Ukrainki z Polski i te z Zakarpacia, Żydówki — wszystko! Wszystko też gada równocześnie, wszystko się kłóci, śpiewa, a jak dobrze pójdzie — bije i wyzywa od ostatnich. Taka jest zwłaszcza pierwsza kamera, gdzie z kilkoma wyjątkami zgrupował się najgorszy, najwzraskliwszy element. Celę środkową, najmniejszą, zajęły Żydówki. Na pryczach dmą się piernaty złapanych na granicy bogatych uchodźczyń z Węgier, Rumunii, Austrii, obok takich samych jak Szwarz, zawiedzionych, ubogich,

wyłapanych przez Sowiety na granicy stworzeń, które się spodziewały znaleźć tu schronienie. No i można powiedzieć, że je znalazły! W tej też celi, między „rudą panterą” i durną Salcią, rozłożyła się nasza ideowa Hinda i jest zachwycona intelektualnym poziomem celi.

Trzecią, ostatnią kamerę, a zwłaszcza jej górne piętra zajęły przeważnie Polki.

(...)

Późnym wieczorem, w niedzielę, w połowie czerwca, staje w drzwiach celi naczalnica, dziwnie jakoś zdenerwowana i zaśpieszona i pada niespodzianie: „Dawaj wsie s wieszczami”.

Co dzieje się w celi po takich słowach — trudno sobie wprost wyobrazić! Urwanie głowy! Kij w mrowisku! Muchy w ukropie! Pośpiech, zdenerwowanie, płacz, szukanie rzeczy, zrywanie ze sznurów suszącej się bielizny, pakowanie worków, przypuszczenia, domysły. Dokąd? Po co? Dlaczego? Czy wszystkie razem, czy znowu nas porozdzielają? Zaśpieszone latamy po celach w pogoni za pożyczonymi drutami, nożyczkami, igłą. Nary kłębią się od trącających się w tej ciasnocie kobiet — a naczalnica stoi w tym oszalałym mrowisku i krzyczy, i pogania, i popędza. Wreszcie nary chłodne nagle i chude po zniknięciu worków i sznury, ogołoczone z rzeczy — zostają same, a stłoczony, zakalec kobiet, tłumoków, worków i powiązanych sznurkami walizek przegniata się ku wejściu.

(...)

Nie wywieziono nas jeszcze tej samej nocy, przeniesiono tylko do innego bloku, bliżej cerkwi. W dwu okropnych, ciasnych celach, w brudzie i smrodzie przemęczyliśmy się do brzasku.

Cały następny dzień trwa mi w pamięci obrazem oślepiającej, duszącej od upału patelni, na której smażyliśmy się od godziny 5 rano do 7 wieczorem. Spędzono nas w ciasną przestrzeń bocznego dziedzińca i stałyśmy tam stłoczone, znajdując ledwie obok własnych nóg miejsce na własny tobołek, oślepione blaskiem, osłabłe z upału i głodu. O trzeciej rano dostałyśmy chochlę lury — to wszystko na cały dzień. Nigdzie ani skrawka cienia, nigdzie niczego, na czym by przysięść można. To ostatnie mnie osobiście dotyka, bo siedzieć nie mogę i tak. Mój świerzb zupełnie szaleje w tym upale. Stoję cały dzień, trzymając na wyprężonych nad głową rękach ciągle zwilżone prześcieradło. Wydaje mi się, że mi lżej oddychać w takiej wilgotnej budzie.

(...)

Jak okiem sięgnąć — wszystkie podwórza, drogi, trawniki, ganki i schody zawałone już są więźniami. Trochę dalej, pod cerkwią, tłoczą się mężczyźni. Widocznie ich też wywożą. Szare mrowie tych nędzarzy pokrajano na oddziały, z których każdy pilnowany jest przez kilku żołnierzy. U nich zawsze ostrzejsza dyscyplina. Bo nas nie pilnuje pozornie nikt. Chyba upał i słońce.

Około południa na jednym z ganeczków pojawia się niespodziewanie ktoś, kogo w myślach nazywałam odtąd zawsze „ten starobielski szatan”. Był to mężczyzna wysoki, lat najwyżej trzydzieści, smagły, o kruczych, bujnych, w tył odrzuconych włosach. Rubaszka na nim czarna, lśniąca i czarne, wysokie buty. Gdyby siedem grzechów głównych mogło mieć jedną twarz, twarz ta nie byłaby inna od tej, która zawisała tam, wysoko nad nami, w rażącej, nieruchomej ciszy południa. Głęboko osadzone oczy — oczy jaskiniowca i pomyleńca — w połączeniu z bruzdami wyrafinowanego okrucieństwem uśmiechu, robiły z tej martwej maski jakiś złowrogi symbol tych sił, których bestialskiej przemocy

doświadczyliśmy niestety wszyscy. Nerwowy tik przemykający lewym jego policzkiem, narzucał wrażenie, że sama materia otrząsa się w nim kon-wulsyjnie, pod naporem nagromadzonego w tym człowieku zła... W asyście kilku dygnitarzy, sam przez nich traktowany jak dygnitarz, zszedł z ganku i zbliżał się ku nam powoli, wgniatając w piasek koniec czarnej laski. Paraliżem widocznie tkniętą nogę wyrzucał przed drugą z trudem i złością, jak coś obcego, nienawistnego, z czego się jednak otrząpać niepodobna. Ogromny, zgarbiony, robił wrażenie kogoś, w kim wyjątkowe siły żywotne walczą z jakąś podgryzającą je, nieuleczalną chorobą. Nade wszystkim jednak górowało w nim zło. Uczułam to niezbitcie, kiedy zobaczyłam z bliska te jego oczy, oczy maniaka i zboczeńca. Spojrzenie ich zmroziło nas zresztą wszystkie mimo upału. Wrzawa ucichła, a on kulał między nami, jak doświadczony gospodarz, oceniający „na oko” snopy przed młóceniem. Ile potu, ile krwi, ile męki wydusić da się z tej stłoczonej czeredy pojmanych niewolników? Miało się wrażenie, że ten jego sadystyczny uśmiech czuje już na wargach słodki posmak śmiertelnego cierpieniem miodu, po jaki wyprawiał oto nas — roboczy ludzki owad, wyrojony dziś tak licznie z więziennych uli starobielskiej pasieki.

(...)

Pierwsi spod cerkwi ruszyli mężczyźni. Szli czwórkami, w oddziałach, po kilkudziesięciu. Idąc ku bramie musieli nas mijać z bliska. Słońce było już nisko, kurz spod nóg wstawał tumanami. Szli w mętnym blasku, wprost pod słońce. Starzy i młodzi, chorzy i kaleki. Cywile w miejskich, wymiętych płaszczach, żołnierze w wystrzępionych, rozchełstanych, odartych z guzików mundurach. Dźwigając na ramieniu toboły z powiązanych sznurkami kilimów — szli rumuńscy chłopcy, ci z Zakarpacia, w krótkich serdakach, haftowanych koszulach i rzemykami pookręcanych nogach; „ruscy” w dziurawych fufajkach, w rurach watawych spodni, w wyniały futrzanych pilotkach, nasi chłopcy w kozuchach, półgołe dziady, studenci, księża. W niektórych czwórkach wleczono kogoś pod rękę. W innych po dwóch spoconych więźniów taszczyło jeden ciężki toboł biegnąc zdyszonym truchtem, nieporęcznie, bokiem... Tu i tam przekuśtykał ktoś o kulach, indziej ktoś macał laską piasek przed sobą, ekstatycznie zapatrzony w niewidziane słońce... A wszystko w pośpiechu, w przepłoszeniu, w lęku, nadążające zdyszonym kłusem za innymi, gnane, popędzane, dławione kurzem i gorącem.

(...)

A potem ruszyły kobiety.

Powietrze było już tak mętne od wzbitego tysiącem tamtych stóp kurzu, że szło się jak w gorącej, niskim słońcem prześwietlonej mgle. I teraz dopiero, kiedy mi przyszło po całym dniu stania w upale, bez chwili odpoczynku i bez jedzenia, gnać naprzód w tym kurzu po kostki, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mnie pobyt w Starobielsku wyczerpał i osłabił. Worek ugniata mi świerzbowa-ty grzbiet, w płytkie trzewiki nasypywany piasek żre stopy i ociera pięty, a wyschnięte usta łykają tumany krztuszącego pyłu. Oczywiście gnają nas, jakby się paliło.

Po pewnym czasie zaczynam ustawać. Nie mogę. No już nie mogę. Konwojent z psem i bagnetem idzie tuż za mną, złości się, przygaduje coś z furją o „paniach w kurorcie”, o spacerach po Warszawie i o tym, że w łagrze nabiorę sił. Pocziwa pani Stefania, ta ze Specy i mała Władzia przyzostają umyślnie ze mną w tyle, abym nie ja sama była narażona na jego krzyki i uważki. Jestem już jednak tak zmęczona, że mi naprawdę wszystko jedno. Po prostu czarno mi w oczach.

To zawsze tak. Kiedy jest już tak ciężko, że chyba nie może być gorzej, kiedy człowiekowi się zdaje, że padnie z wyczerpania, przychodzi nagle ulga.

Po godzinnym może gnaniu nas gościńcem wpędzili nas nagle — pewnie dla skrócenia drogi — na łąki. (...)

Wreszcie — a mógł to być jakiś ósmy czy dziewiąty dzień naszej jazdy — nagle — w szczerym polu, wywołują kilka nas z wagonu. Z Polek idzie tylko szykowna pani Ada, Kazia z Kulikowa i ja. Reszta — Żydówki i Marzenka z krzywą twarzą, mała Władzia, ku mojej i jej żalości, zostaje. Nie wiemy, jak zwykle, dokąd nas biorą i, jak zwykle, zdumiewa nas potem bezsens ich poczynañ. Z niedocieczonych do dziś powodów przenoszą nas tylko o kilkadziesiąt kroków dalej, z bydlęcego wagonu za ową reszotkę. Jest to, jak wiadomo, zwykły wagon trzeciej klasy, tyle że okratowany i mający trzy piętra półek do leżenia. Po co to robią? Dlaczego? Nie wiem. Nikt nie wie. Oni sami pewnie też.

Pcham się więc korytarzem, mijając poszczególne, pełne kobiet klatki. Niczyjej twarzy nie mogę rozeznąć, bo za skośną, grubą kratą mrok prawie zupełny, jako że szyby w przedziałach zabite są deskami. Nagle — w jednym z nich zakotłowało się niespodziewanie, ktoś woła mnie po imieniu i widzę — Helenę! Roześmiana, ucieszona, zdążyła krzyknąć — nim mnie kolba pchnęła dalej — że ona i Marysia jadą w tym samym transporcie. Cóż to za pomyślność radosna! Nie miałam przecie pojęcia, w którą stronę ruszyły ze Starobielska. A tu raptem — znów razem! Cudownie! Ku wielkiej uciesze pakują mnie w przedział tuż obok tego, w którym jedzie Helena, tak że możemy do siebie krzyczeć. Okazuje się, że jest tam także „długa Krystyna” i ta miła popadła z warkoczami i kilka innych jeszcze, tak że cały korytarz ku furii striełków aż szumi od rozmów.

Dowiaduję się, że wiele wagonów z naszego eszelonu zostało po drodze odczepionych i poszło gdzie indziej, bardziej na wschód. Moc jednak z pierwszej kamery zostało i jedzie razem. Helena opowiada mi także ze śmiechem, że ją z bydlęcego wagonu przenieśli tu, niby jako do karceru. Wycięła taką awanturę którejś z Żydówek za obrazę Polski, że ją postanowiono ukarać. I ukarali ją tym, że ją z potwornych warunków przenieśli w o tyle znośniejsze! Idioty! To przykre tylko, że Marysia została teraz sama. Ale to chyba na krótko. Już pewnie niedługo będziemy u celu.

Mam miejsce na półce, pod samym sufitem. Zamiast przeklętej tuby — lampa bez palnika i klosza jest moim najbliższym sąsiedztwem. Mam wyblaganą na którejś ze stacji gałąź obcego krzaka i opędzam się od komarów, aż mi ręce więdną. Okna na korytarzu są pootwierane i widzę z wyżyn mojej półki pocięty w kratę świat. Zmora nie świat. Kilometrami, milami tajga — i nic. Przestrzeń opuszczona przez Boga i ludzi. Młaki, bajora, oparzeliska, torfy, karłowate laski, a wszystko utopione w bagnach i w białych, nijakich nocach i w białych, nijakich dniach. Czasem jakiś potępieńczy obóz pracujących skazańców. Komary muszą ich tu jeść żywcem. Wszędzie widać owe ratownicze, kudłące się dymem ogniska i wszyscy mają głowy omotane czarną siatką. Czasem na dnie płytkiego lasku migną, z brzozowych pniaków poukładane sagi, lub na świeżych jeszcze trzaskach bielejące baraki. A potem znowu godzinami nic, tylko bagna i mokradła. Naprawdę zmora — nie kraj! Już lepiej zamknąć oczy albo patrzeć na mętny odbłask zieleni, sunący do góry nogami tuż nade mną, po brunatnym lakierze sufitu.

Po dwóch dniach, od ciągłego leżenia na deskach — usieść tu u mnie na górze nie sposób! — zaczynają mnie bardzo boleć kości. Tym sobie przynajmniej tłumaczę zmęczenie i uczucie coraz większego rozklejenia.

Ot — i nie było rady! Trzeba sobie było uciąć na tej półce pod sufitem grypę jak się patrzy, z oślepiającym bólem głowy i łamaniem wszystkich stawów. Długa Krystyna w przedziale obok ma zresztą grypę też. Już taka jakaś passa przyszła na nasz wagon.

(...)

Wreszcie, w dwa pełne tygodnie po wyjeździe ze Starobielska, każą się nam wyładowywać. Jest mi tak słabo, że ledwie z półki się zwlekam.

... Jesteśmy w lesie. Buda zamiast stacji, parę szałasów, jakaś szopa... Wszystko razem nazywa się Koźwa. Pod lasem czeka lora na nasze wieszaki. My same mamy iść kilkanaście kilometrów piechotą. Wagony wyrzucają kolejno swoją żywą, zaśpieszoną nadziankę. Ruch, gwar, zamieszanie. Jedne się już znalazły, inne się jeszcze szukają. Helena poleciała po Marysię. Krystyna leży jak długa na tobołkach, ja kulę się na swoim — jak półtora nieszczęścia i ani ręką, ani nogą. Jedna tylko pani Ada — która chronicznie niedomaga — domaga się za to bardzo energicznie u jednego z konwojentów, aby nam, chorym, pozwolił wleźć na lorę. Po długich targach wdrapujemy się wszystkie trzy na stos rozlatujących się tobołków — i jazda! Zdrowe mają nadążyć piechotą.

Dzień jest wyjątkowo pogodny i ciepły. A może to noc? Nie można wiedzieć. Nie czuje się jednak czerwca w powietrzu. Nachylenie światła też jakieś jesienne. Tylko obłoki podobne do naszych. Białe, twardo ubite, ciągnące leniwie Bóg wie dokąd.

Lora gramoli się najpierw leśną drogą, burczy, furczy, ale jakoś lezie. Potem wydostajemy się na coś, co by się u nas nazywało haniebnym zrębem. Mizerne, rzadko rozrzucone świerczki o paru wypierzonych, wyrwijających się w jedną stronę gałęziach, krzaki jałowca czy czegoś bardzo do jałowca podobnego, koślawe, rachityczne brzoźki — a dołem wrzos i wysokie, łykowate kępy borówek. Gdzieniedzie dygocze liśćmi jaskrawa zieleń „wilków" wokół srebrzącego się w słońcu, starego kikuta po wyłamanej osice. To wszystko.

(...)

Brzeg jest obstawiony strażą i nikomu nie wolno wysiadać. Z każdej barży wyznacza się tylko kilku mężczyzn i ci pod strażą idą do najbliższego żywnościowego punktu po prowiant. Ów najbliższy punkt jest czasem tak daleko, że czekając ich powrotu stoimy przy brzegu wiekami. Wracając ledwie się wloką, biedacy. Mam w oczach taki sunący po wysokim brzegu pochód zgarbionych sylwetek, gnących się pod ciężarem olbrzymich worów. Drobną kłus zgiętych w kolanach nóg i napięcie grzbietu świadczą wyraźnie, że gonią resztkami sił. Za nimi ciężkie postacie w długich po kostki szynelach i cienkie żądła bagnetów na tle żelazistego nieba.

Życie towarzyskie kwitnie i tu, jak w Starobielsku.

Chodzi się „po chałupach" z wizytami. Marysia z Heleną mieszkają wysoko, na najwyższym piętrze. Są tam i obie „długie" Krystyny i Danusia. Tyle, że karkołomne wdrapanie się na górę jest połączone z nieodzownym upapramieniem się w żywicy, zalepiającej słupy nar. Prócz tego gwoździe i kanty nieheblowanych desek czyhają tam podstępnie na resztki mojej spódnicy.

(...)

O niewiadomej godzinie — bo dzień jest ciągle — pognali nas ku wąskotorowej kolejce i załadowali na otwarte wagoniki. Mała jak samowar, niepoważna lokomotywa fuczy i pluje parą przed długim szeregiem lor, wyładowanych kobietami, węglem i deskami. Co parę wagonów jedna błękitna czapka i bagnet.

I tak ruszyliśmy w tundrę. Kołatały pod nami wagoniki, sapał blaszany samowarek i pociąg sunął po kolana w twardej, nieznajomej gęstwie północnej roślinności. Dziwna jest ta tutejsza roślinność. Jakby w niej wcale nie było pędu ku górze i światłu. Dochodzi do pewnej, bardzo przyziemnej wysokości — i staje. Jakaś taka milcząca, nie gwałcona przez żadną roślinę konwencja ograniczająca wzrost. I może dlatego tundra robi z daleka wrażenie futra. Jest gęsta, zbita, jednolita.

(...)

Dzień jest ponury, zawleczony niskimi chmurami. Na lorach pochłódniało. Dotąd był tylko pęd pociągu, teraz wziął się nie wiadomo skąd przenikliwy, nagły wiatr. Nasz samowarek zaczyna kurzyć drobnym, zjadliwym miałem, tak że już patrzeć trudno. Zbijamy się więc w jeden kąt jak owce, naciągamy koce na głowy i jedziemy na oślepie, zmęczone, śpiące i głodne — ze trzy opętane godziny.

Wreszcie Czuma. Dwa drewniane baraki, mały, tętniący telefonem stacyjny budyneczek, stosy na drodze i w rowy zwalonych desek, tundra i my: 350, czterotygodniową podróżą do upadłego zmęczonych kobiet. Na małym jak ren koniku uwija się wokół nas jakiś człowiek w fufajce i czarnej siatce od komarów. Jest też kilku Konwojentów w szynelach, którzy wyszli naprzeciw nas z Loch--Workuty.

I nagle, ku obezwładniającemu przerażeniu dowiadujemy się, że nas popędzą dalej piechotą! Ludzie na świecie! Przecie to najodleglejszy łagier „Workut-stroju"! W dodatku nie dają żadnej podwoły na rzeczy, choć niektóre z nas są chore naprawdę, a inne mają tobołki tak ciężkie, że je ledwie z miejsca na miejsce mogą przetaszczyć! Na zrozpaczone perswazje i błagania Cesi władze znajdują jedną tylko, złośliwe uśmiechniętą odpowiedź:

— A kto wam każe nieść? Jak za ciężko — można rzucić.

I pognali nas tak tundrą na przełaj, w ostrej, pętającej nogi gęstwie borówczanych krzaków, przez moczary, bagna, wertepy i wrzosowiska, gdzie — miejscami tylko przetarte koleiny świadczyły, że nie my przedzieramy się tędy pierwsze.

Drogi tej nie zapomnę póki tchu. Dwa razy w życiu sądzono mi ją było odbywać tam i z powrotem — dwa razy — i sama nie wiem, kiedy była straszniejsza? Nie mam pojęcia, ile to dokładnie kilometrów. Nie więcej chyba nad piętnaście, ale jakość tych piętnastu starczy za pięćdziesiąt innych! Osłabłe z głodu, gnące się pod ciężarem worków, które z każdym krokiem stawały się cięższe, podarte do krwi na krzakach, upaprane po kolana w bagnach i strumieniach, wleczone tak, jak gromada potępieńców, ostatkiem sił i tchu.

(...)

Łagier pod biegunem

Pierwszym „budynkiem”, który nas wita w obrębie łagru, jest kretowina „izolatki”. Bo w łagrze karcer nazywa się już inaczej. Wygląda to trochę tak, jak u nas na wsi wkopana w zbocze drogi piwniczka na kartofle. Tyle, że mocno okute drzwi i okienko całe w kratkach.

Łagier Loch-Workuta ciągnie się wzdłuż nadrzecznego urwiska mnóstwem bezplanowo rozrzuconych, drewnianych szop, baraków, darnią pokrytych ziemianek i płóciennych pałatek (namiotów). Widać, że wszystko to nowe. Niektóre budynki świecą jeszcze świeżymi deskami. Te nie zaznały dotąd ani długich deszczów ani długich zim. Na innych — złoto desek zgasało już wprawdzie w popielate srebro, ale spód budynku tkwi jeszcze dotąd w przegniłych kupach trzasek i wiórów z czasu własnej budowy.

Zatrzymują nas przed małym domkiem o drewnianym ganeczku i małych, merłą od wewnątrz zasłoniętych okienkach. W jednej połowie tego domku mieszka naczelnik łagru z liczną rodziną, w drugiej mieści się kancelaria obozu.

(...)

Opętane dwie godziny wytrzymali nas tak przed tym urzędem. W mglistym „kapuśniaczk”, wymęczone, głodne, ledwo żywe. A potem na spanie pognali nas jak stado krów — do obory. Dosłownie! Tyle, że w oborze tej my byliśmy pierwszym bydłem.

Nic innego tylko być krową w Rosji! Wątpię, czy wielu ludzi na wolności miało kiedy w tym kraju tyle przestrzeni do spania, co my tej pierwszej nocy. Wykończona właśnie stajnia jest olbrzymia, a długa tak, że się wprost gubi w perspektywie. W nowych żłobach leżą jeszcze sosnowe wióry i całe mroczne wnętrze stajni pachnie kwaskowato lekko przewiędłą już zieleniną, którą zamiast ściółki zwalono tu dla nas wzdłuż żłobów. Jest to ta tutejsza ni to wierzba, ni wiklina zarastająca brzegi i urwiska nadbrzeżne — soczysty, siwozielony chwast, który zamiast słomy ściela się pod bydło. Mniejsza z tym, że to łukowate i twarde i że idzie od tego zielna wilgoć zwalonych w grubej warstwie, świeżych witek. Po betonie cel, który znają dobrze nasze kości, nie przestraszy nas chłód liści! Najważniejsze jest to, że za oknami, których tu pełno wzdłuż żłobów, świat ciągle jeszcze udaje, że będzie noc, że w olbrzymiej oborze ginie wrzask i śmiech — podnieconych poblížem dozorców — Cyl i Zinek, że będzie można na mokrym materacu rozprostować zmęczone stawy i że nareszcie dostaniemy jeść!

Komuś, kto nie był nigdy naprawdę głodny, może się to, co powiem, wyda śmieszne. Kiedy w godzinę później trzymam w obu rękach mój bezcenny, własny, obity z emalii garnuszek z kilkoma łykami gorącego mleka czuję, że mi do oczu napływają łzy. To śmieszne — prawda? Dziś, kiedy sobie tę chwilę przypomnę, wydaje mi się, że nie sam głód nawet był powodem tego wzruszenia. Zapach słodkiego, prażonego mleka — to przecie dzieciństwo, to bezpieczeństwo, sytość, dom... Czy możliwe, aby tamto najszcześliwsze dziecko świata, tuczące ufnie w znajomy garnuszek z obrazkiem i ta świerzbowata łachmaniarka pod biegunem — to była jedna i ta sama osoba? Nigdy sobie rozmyślnie na żadne rozczulanie się nad sobą nie pozwalałam dotąd... To idiotyzm w naszych warunkach... Ale wtedy słodka para gorącego mleka zaskoczyła mnie tak zniecka, że nie zdążyłam sobie niczego zakazać. Trzymam w brudnych rękach brudny po tiuremnych Czajach darowany mi na celi garnuszek i aż mnie gardło boli od wstrzymywanego płaczu.

Prócz paru łyków mleka i sporej pajki mokrego chleba dostaliśmy wtedy jeszcze — słoninę! Jak to obiecująco brzmi — prawda? Był to skrawek na dwa palce długi oślizłej, szczecinowatej skóry, którą

zarastało coś żółtawego, śmierdzącego starym łojem, stęchlizną i myszą. Mimo całego głodu i wyposzczenia, mimo chorobliwego pociągu do tłuszczów, na który cierpimy wszystkie, niepodobna było się przemóc, by tej słoniny tknąć.

Słyszemy właśnie, że jutro mamy wolne... Tak! Zapowiadają nam to uroczyście przed spaniem. Jutro nie będzie podjomu i możemy wstać, kiedy się nam podoba.

Ale jutro podjom zrobił się sam z siebie wczesnej, niżby kto przypuszczał. Parę z nas zachorowało. Cesia najciężej. Gorączka od niej aż bucha, ma silne kłucia w płucach i ledwie wie, co do niej mówią. Pewnie! Do czasu tylko dzban wodę nosi...

(...)

Wezwany do stajni obozowy wracz powiedział, że to prawdopodobnie zapalenie płuc i że ją natychmiast odeśle do san-grodka. Usłyszawszy to pani Ada, osoba umiejąca łapać okazję nie w lot — bo to było za późno — ale wtedy, kiedy okazja sama jeszcze nie wie, że się zdarzy, zgłasza się też ze swoją chroniczną chorobą. A ponieważ ma na szczęście i lekką gorączkę z przemęczenia, lekarz godzi się, by jechała razem. Gdyby wraczem nie był wtedy na Loch-Workucie ten właśnie, opatrnościowy człowiek, przypuszczam, że nie byłiby ani Cesi, ani tych kilku innych chorych kobiet odesłali do szpitala. Jestem też pewna, że gdyby nie on, w niespełna trzy tygodnie później, zgarbiłby się mną niechybnie świeży kopczyk w tundrze, za zoną... Ale widocznie nie był to jeszcze czas na mnie i Opatrzność postawiła na mojej drodze tego niepozornego, rudego człowieczka, którego dobroci nie zapomnę nigdy ani ja, ani tamte wszystkie, które ratował wtedy jak umiał i jak mógł, sam narażając się władzom.

W godzinę później, półprzytomna, pod ręce prowadzona Cesia opuszczała oborę. Za nią, w swych granatowych spodniach 2 kocyka, drobiła szykowna pani Ada, potem tych kilka innych, wreszcie ogromna Raciszewska, niosąca i swój tobołek i toboły pani Ady. Cóż to za grzmot z tej Raciszewskiej! Jest przecie chora. Biorą ją do szpitala. A tu — jak gdyby nigdy nic — tobół na plecy i jazda! W drzwiach obory robi się ciemno, gdy przestępuje próg

(...)

Wreszcie jesteśmy w przystani.

Na wodzie pełnej trzasek i śmiecia leży znajomy kształt korabia. Brzegi aż szare od naszych. Zwieziono ich tu widać z całego „Workut-stroja”, takie ich mnóstwo. Trudno sobie zdać sprawę, czy są wśród nich i młodzi, w każdym razie nikt tu młodo nie wygląda. Nie podobna też rozeznąć, czy są wśród nich inteligenci. Fufajki, watowe bruki, czapki z wiszącymi uchami i szmaty na nogach zmieniły ich wszystkich w jedną miazgę, podobną do tej, którą zalane są wszystkie łagry. Na szczęście tylko nie słychać już rosyjskiego języka! Akcenty ze wszystkich dzielnic Polski, od góralskiego po wileński, jest też wielu Ukraińców i Żydów. Razem około 350 mężczyzn i my dwie.

Wnętrze barży nie ma tym razem nar. Pusta wilgotna głąb, wysokie belkowanie i mdły zapach rozestanego miejscami na podłodze, przegniłego siana. Światła tyle, ile się wciśnie przez niskie, szerokie drzwi nad pochyłą deską, po której schodzi się w dół, na dno barży. Dno to jest niżej od poziomu wody, której chlupot słyszy się wyraźnie przez deski.

Szara, dudniąca masa, w jednym okamgnieniu zalewa szczelnie całą podłogę. Szczęśliwy, kto dopadł garstki siana. Inni moszczą się na gołych deskach. Stoimy z Raciszewską w tym rozsyczanym mrowiu mężczyzn, upatrując jakiegoś możliwego kąta. Wreszcie wzrok nasz zatrzymuje się na wysokim gzymsie w najciemniejszym końcu barży. Prowadzi do niego wąska drabina schodków, łączących tylny dziób korabia z jego wnętrzem. Zagnieżdżamy się więc na tym wąskim gzymsie rade, że udało się nam znaleźć taki osobny, własny kąt, z dala od reszty. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że czeka nas długa droga, a ciągłe, bezpośrednie poblize, mogłoby być krępujące dla obu stron. W dodatku nie mamy jeszcze pojęcia, co to za element. Miejsca na naszej półce jest tyle, że możemy się obie wygodnie położyć zostawiając jeszcze wolne przejście do drzwiczek obok nas.

Drzwiczki te są w ciągłym ruchu, bo na tym tylnym dziobie mieści się kłitka, w której mieszka skiper z rodziną.

Dzisiejsza barża jest trochę inna od poprzednich. Nie ma żadnego pomostu, którym by ją można obejść dookoła. Na oba dzioby wydostać się można z mrocznego jej wnętrza tylko po tych stromych schodach, zakończonych nieszczelnymi, wiodącymi na pokładzik dzioba, drzwiczkami. Pod jednymi z nich właśnie mieści się nasz jaskółczy gzyms. Na drugim dziobie stoi okrągły piecyk do gotowania kapiatku i zwisa przez burtę płytka kłitka, jedynej na całą barżę uborniej.

Taki rozkład miał ów jacht luksusowy, który odbił z nami od brzegu późnym zmrokiem, dnia osiemnastego września 1941 roku.

W zupełnie mrocznym jego wnętrzu stoimy wszyscy na baczność, a wilgotne ściany drżą od Rory, śpiewanej ściśniętym ze wzruszenia gardłem.

Choć jest zimno, mokro i ciemno człowiek jest tak bezgranicznie szczęśliwy! Jedzie do Buzułuku, do naszego wojska, jest nareszcie wolny — i nie wie jeszcze, co znaczy wolność w tym sowieckim „raju”!

(...)

Na tak zwanej wolności

(...)

Pewnego wieczoru, po jakimś dłuższym postoju przy brzegu, postoju, który miał być ostatni przed końcem naszej wodnej drogi — przyszła do mnie skiperka, prosząc na pożegnalny poczęstunek. Niepodobna było odmówić.

Zastaję kajutkę pełną dymu i gorąca. Dzieci śpią na rozestłanym łóżku. Jest Raciszewska, jest krajan, oni dwoje i ja. Prócz nas, nasze ogromne cienie na ścianach i suficie. Na stole leży świeżo z brzegu przywieziony chleb i papierosy, a obok naftowej lampki trzy filiżanki i dwa blaszane kubki. Nad wszystkim zaś góruje wysmukła flaszka z winem. Skiper ma twarz czerwoną i lśniącą od potu. Widać, że obaj są już dobrze pod gazem. Ta flaszka na stole to zdaje się ostatnia z przywiezionych dziś z brzegu. Nawet skiperka ma wiśniowe wypieki i czarne jej, głęboko zapadłe oczy skrzą się nieswoim podnieceniem. Jedna tylko Raciszewska jest taka sama, jak zawsze.

(...)

Pod koniec września w południe jesteśmy wreszcie u kresu naszej wolnej drogi. Znam już ten brzeg i to rozmlaskane deskami bagno, i te gliniaste wąwozy, którymi szara ława wlecze się oto ku obozowi. Mijamy łączkę, na której trzy miesiące temu paliło nas tak bezkarnie czerwcowe słońce. Tym razem obóz otwiera przed nami kolczaste ramiona bramy. Nie ma już żadnego sprawdzania, ani liczenia nas przy wejściu.

Dają nam kilka dużych, osobnych namiotów, w których zajmujemy z Raciszewską kawałek dolnych nar tuż pod płócienną ścianą. Nad nami i koło nas gniotą się mężczyźni.

Dostajemy tu pierwszy raz po dziesięciu dniach gorącą strawę. Chochłę wody z krupami i łyżkę grysiku. Pieniądze i prowiant na dalszą drogę mamy pobierać w biurze, zaraz po kąpieli. Bania jest tylko jedna, więc najpierw idziemy my dwie. Cóż to za komfort! Tylko dwie! Gospodaruje tu siwe jak gołąb, bose dziadziśko, o rozwianej na płóciennej koszuli srebrzystej brodzie, dziad jak z bajki, uśmiechnięty pocziwie przeraźliwie błękitnymi oczami. Oczywiście zakluczony. Wie skądęś, że idziemy na wolu. Jest tym wyraźnie wzruszony. Coś fafrze w brodę, coś opowiada i tłumaczy — ale wszystko bezzębnie i bełkotliwie. Niewiele rozumiem, oprócz tego, że nam rad. W dowód zaufania nie wydziela nam, jak zwykle w bani mydła, tylko zostawia całą paczkę, pełną lepkich, przyciętych na przepisową miarę, kostek. Mamy sobie wziąć, ile nam trzeba. Raciszewską bierze rzecz dostownie i robi zapas do końca życia.

(-)

W nocy budzi mnie przejmujące zimno i wicher oddymający płócienną klapę okienka. Przeskok temperatury jest tak nagły, że musi mieć jakąś głębszą przyczynę. Dźwigam się na łokciu. Oczywiście! Z otworu namiotu kurzy mi w twarz mokry, ciężki śnieg, którego już na mnie pełno. Wesół! Ciemność nocy za namiotem jest sypka i ziarnista od falami nadchodzącego szelestu, bijących z wiatrem o płótna, płatków. Słyszę, że i Raciszewską nie śpi.

— Śnieg... — powiadam.

— Szlag by go trafił. Śnieg — oddzwania mi zębami spod płaszcza.

Ma rację! Szlag by go trafił! Ten śnieg, to istna klęska! Jakże to, wszystko pójdzie jutro do kolei? W tych szmatach, dziurach, półbose? Ten głupi chudziak bez fufajki i całe mrowie bezbronnych wobec zimna łachmaniarzy?

(...)

Nie wiem o której nad ranem budzi nas nagły gwar i światło w namiocie. Co tam takiego znowu? Podrywamy się obie i nie chcemy wierzyć oczom. Marysia, Helena, długa Krystyna, Danusia, pani Stefania, pani Ada — i cała moc innych. To druga partia zwolnionych z Sangrodka i Workuty! Przyjechały wszystkie razem z dużym transportem mężczyzn. Wszystko to runęło do naszego namiotu zziębnięte, zmęczone i głodne. Pokazuje się, że jest jeszcze moc miejsca na narach, choć wczoraj się zdawało, że szpilki nie wetkną. Marysię, Helenę i Krystynę lokujemy przy sobie. Niechby się choć zagrzały po tej drodze.

(...)

I tak dnia trzeciego października, około godz. 9 wieczorem, wyruszamy z niezapomnianego Kotłasu. Wagony kołaczą, koła huczą, dzieci z przeciwka popłakują na wszystkie tony, ale to nic. Wierzę naiwnie, że jest to ostatni etap przed dostaniem się do wojska i że na pewno droga nie potrwa długo.

Trwała trzy tygodnie. Dokładnie: trzy, bez jednego dnia. Dwadzieścia dni gniecienia się w tej ciasnocie pod sufitem, dwadzieścia dni niemycia się, nierozbierania, wszy, głodu, zimna, zmęczenia, poniewierki.

Vis-a-vis nasze, to przeważnie rodziny osadników kresowych i leśników. Pierwszy raz stykam się więc z przedstawicielami tej milionowej rzeszy, która w zimie 1940 r. została siłą wywieziona w głąb Rosji. Włosy dęba stają na głowie, kiedy się słucha, co ci biedacy przeżyli. Każda prawie rodzina przeszła inne koleje, toteż słuchając ich teraz, łatwo sobie odtworzyć całość ich gehenny.

Siedzieli sobie — Bogu ducha winni — spokojnie po gajówkach czy małych gospodarstwach rolnych, kiedy weszli Sowieci. Nie należąc wcale do zamożnej warstwy społeczeństwa, nie mając za sobą żadnej działalności politycznej, pewni byli, że im od tych nieproszonych „przyjaciół” nie grozi nic. Poddali się wszystkim nakazom okupacyjnych władz, uczęszczali na meetingi, płacili podatki. Co sobie myśleli, co czuli, czego pragnęli — tego oczywiście nie było poznać na zewnątrz. Jedyna rzecz, której nie ukrywali to było przywiązanie do religii. Konstytucja, z którą siłą zaznajomić się musieli na meetingach, głosiła zresztą wolność wyznaniową. Nie przeculi, że Sowieci zdają sobie jednak dobrze sprawę z wrogiego ich nastawienia i nieprzejednanej nienawiści do najeźdźcy. Wiedzieli, że jedynym sposobem „odpolszczenia Polski będzie pozbawienie jej Polaków. Z diabelską perfidią umysłu więc nie ludziom odebrać kraj, ale krajowi - ludzi

Plan swój przeprowadzili nagle, podstępnie, jednej nocy na całym okupowanym terenie. Była to noc właśnie, którą odchorował prawie Habicha. Dziś słucham opowiadań o tej zbrodni widzianej od tamtej, dotkniętej tym nieszczęściem strony.

Wieziono ich tygodniami i miesiącami, w zaplombowanych wagonach. Wody nie dostawali prawie wcale, jedzenia również Żyli tym, co przygodnym towarzyszom niedoli pozwolono zabrać z sobą. W niektórych wagonach stały wprawdzie piecyki - była przecie zima - ale opału zabrakło już po kilku dniach. Paliło się więc wszystko, co z posiadanych w wagonie rzeczy dało się spalić: skrzynie, paki, stołki... Ale potem i to się skończyło. O piekle tej drogi trudno dać pojęcie. Dzieci zamarzały po kilkoro jednej nocy. Sine, zeszywniałe trupki wypychało się przez zakratowane okienka i wyrzucało w śnieg. Zdarzały się i porody - w mrozie na gołej podłodze. Byle sznurek, byle scyzoryk musiały przy tym wystarczyć. Nie było wody, aby te dzieci chrzczyć.

I szły te upiorne pociągi, jeden za drugim, aż poczerniały od nich wszystkie linie kolejowe, wszystkie arterie łączące cywilizowany świat z tym złowrogim, azjatyckim kolosem. Potem rozpełzły się po niezliczonych obłasciach, od Archangielska po Kołymę by rozsiać zrabowanych ludzi małymi grupkami po lasach, tajgach i stepach. I wtedy, kiedy już mieli ich w rękę, gdy wszystko było zdane na ich łaskę i niełaskę, zaczęto z nich pompować siły i życie. Starzy i młodzi, chorzy i małe dzieci zmuszone tam były pracować. Kto nie pracował, ten nie miał prawa korzystania nawet z tych - pozał się Boże - jak, zaopatrzonych posiołkowych sklepów i kantorów. Póki były jeszcze rzeczy z domu, ludzie ratowali się sprzedawaniem ich. Każde prześcieradło, ręcznik, poduszka, para butów, pończochy, ubranie czy suknia, to tam - majątek! Od miejscowej ludności można było za to kupować mleko, jaja, grzyby, czy

miód. Ale potem i to się skończyło. Ratowały ich jeszcze żywnościowe paczki, które nadchodziły z kraju. Znikoma jednak ilość tych masowych wysiedleńców, zostawiła kogokolwiek w Polsce.

(...)

Dwudziestego trzeciego października dobijamy wreszcie do Faraby, rzecznej portu Amu-Darii. Pierwsze wrażenie — straszne! Drugie jeszcze gorsze. Ogromna, zawałona ludźmi słoneczna płaszczyna, rażąca blaskiem i upałem. Uchodźcy z Ukrainy, amnestionowani Polacy, Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, na półdechłe konie, parszywe osły, drób w kojcach — co kto chce. Obozowisko rozściela się na piasku, daleko od rzeki. W zamglonym powietrzu rysuje się tylko ogromny szkielet żelaznego mostu, który spina ze sobą oba brzegi niewidzianej stąd wcale Amu-Darii. Właściwie to nie widziałoby się jej znikąd tutaj, bo nie podobna otworzyć oczu. Tak wściekłego wichru, jak ten, który dał bez przerwy cały dzień w Farabie, nie pamiętam po prostu. I głupstwo jeszcze, gdyby sam wiatr. Skośna, boleśnie siekająca chmura piasku, śmiecia i papierów rzuca się z furią na człowieka i nie pozwala mu tchu złapać. Nie wiadomo w którą stronę się obrócić, aby się od niego uchronić. Wszyscy są wściekli, zirytowani, nikt niczego nie wie, nikt nikogo na wietrze tym nie słyszy, choć każde drze się, jak za rzekę. Tysiące ludzi biwakuje tu pod gołym niebem od tygodni. Meble, pościel, kufry, kołyski, maszyny do szycia, prymusy, drób, chorzy, zdrowi.

W takie to, piaskiem nieustannie zasypywane mrowisko, wyrzucił nas pociąg i odjechał. Wagon nasz rozpełzł się na różne strony. Na nasypie został tylko ciężko chory pan Stefan, pan Szczepan, ja i wicher. To nie do opisania wprost, co za wicher! Na płacz się zbiera z bezsilnej złości i irytacji. Ogólne rozdrażnienie obozujących tu od tygodni tłumów jest wobec tego aż nadto zrozumiałe. Wszyscy się kłóca, wrzeszczą, rozpychają, jeden drugiego zdeptać by gotów. Ale jakże się dziwić? My przyjechaliśmy w tej chwili dopiero, a już skóra na nas skacze z podrażnienia i złości. To przekłete wicherzysko, ta niemożność otwarcia oczu, ten piach w zębach i brudne papiery bijące o ciebie, jak ptaki. Oszaleć można!

Pchając się „rakiem” pod brudny tuman, mrużąc oczy i zaciskając szczelnie usta, znajdujemy wreszcie skrawek miejsca w kotlinie pod nasypem.

(...)

Z południa znów na północ

Nazajutrz wcześniej rano każą się nam ładować.

Na kładkę szerokości pół metra rusza ława zdeterminowanych, obładowanych, złych, bezwzględnych ludzi. Pchają się kufry, kołyski, tłumoki z pościelą, rozkrzyczane wniebogłosy dzieci, starzy, chorzy, kaleki. Od razu dwoje spada w wodę. Nic to nikogo nie obchodzi. Na szczęście woda przy brzegu płytka.

Kiedy dopycham się wreszcie ja, moje worki i mój siennik, baria jest już szczelnie wysłana ludźmi. Dopiero z bliska widać, ile się nas tu mieści. Sarża jest duża, o czterech otwartych, oddzielnych lukach. Do każdej z nich schodzi się po drabinie stromych stopni. Schodzi się — o ile naturalnie można zejść! Dno luków jest tak zapchane, że nie ma gdzie nogi postawić, nie mówiąc już o dwóch! Każdy patrzy na ciebie, jak na ciężkiego wroga — i może trudno się dziwić. Kto by lubił, aby po nim deptały czyjeś szmatławe, obce nogi? Dzikie warunki, w jakie nas pchnięto, stanowczo psują charakter.

(...)

Noce są zimne i coraz zimniejsze. Płyniemy przecież wprost na północ. Czarny zarys wieży nad nami pruje się przez gwiazdy ogromne, mleczno-białe, które, choć jedziemy z prądem szybko i nieustannie, są nieustannie w tym samym miejscu nad nami. Ranki bywają mgliste i mokre. Koc i rzeczy w których śpimy robią się do rana ciężkie od wilgoci i tylko w załamaniach mają swój normalny kolor. Grzbiety fałdów są siwe od rosy. Za to w dzień upał i takie słońce, że aż wszy oczy mrużą!

Z chlebem krucho. Wydano go nam w Farabie na całą drogę cały zapas zamknięto w luku pod kuchenką. Nie wiem czemu połowa tego chleba tam zamokła. Ludzie się burzą i awanturują. Chudy, wąsaty pan w cywilnej czapeczce, do którego się mówi „kapitanie” — jest komendantem całego transportu. Jedni uważają go za niedojdę, drudzy — za nieuczciwego niedojdę w dodatku. Krzyczą, że sam je suchy chleb, a ludziom daje mokry. Nie mam pojęcia, jaki chleb w istocie jada, to tylko wiem, że my dostajemy taki, który stał się rozmiękłą, zardzewiałą gąbką. Luk, w którym go przechowywano, musiał mieć widocznie żelazne dno. Na szczęście mamy jeszcze trochę tego chleba, który pan Szczepan zdobył w Farabie i parę cebul. Kipiatku nie dostajemy żadnego.

2 kuchenki korzysta tylko obsługa barży i sprzedaje nam po 20 kop- garnuszek lekko podgrzanej wody. Ostrzegają nas, że to na żołądek najgorsze i że lepiej — jeśli kto musi — pić surową.

(...)

Jest pierwszy listopad.

I przeleżałam tak wtedy trzy dni i trzy noce we mgle, nałóżącej tu do nas od rzeki, w wilgoci, w rosie, pod gołym niebem na piasku.

Pokazało się, że nas umyślnie unieszkodliwiono na tej wyspie, żebyśmy, jak zgłodniała szarańcza, nie runęli na okoliczne kołchozy i osiedla.

Raz na dzień dowożą nam z Hadżilli chleb stateczkiem. Ileś tam gramów na osobę. Tyle może co po tiurmach, a może jeszcze mniej. Ognia nie ma jak rozłożyć, bo nawet trzcina tu nie rośnie. Piasek jest tak mokry, że leżąc przy nim tuż twarzą, widzę dokładnie, jak bieleje wokół przecłapujących mimo mnie stóp. Tak samo umie bieleć pod naciskiem kroków piasek, zaraz po odpływie. Ma się wrażenie, że stopa rzuca wokół siebie białawe światło. Obserwuję to z bliska całymi godzinami... i staram się nie myśleć o tych, którzy muszą spać wprost na tej mokrej ziemi. Osobiście mogę mówić o szczęściu, bo prócz grypy mam jeszcze siennik! Inni — jeśli chcą się nakryć płaszczem przed rosą ' mgłą, muszą od spodu namakać wilgocią. Mało kto ma co podścielić pod siebie. Toteż ludzie są coraz bardziej zrozpaczeni, zdeterminowani — i co za tym idzie, mają coraz mniej względów na drugiego. Ponieważ leżą bez ruchu, z głową nakrytą kocem, biorą mnie czasem za bezpański tobół, trącają, kopią, przełazą przeze mnie jak przez rzecz. Najgorzej jednak w nocy, kiedy nikt na krok niczego przed sobą nie widzi. Parę razy zbudziło mnie niedwuznaczne bełkotanie piasku, tuż przy głowie. Ktoś się po nocy załatwiał bądź gdzie, przed siebie, jak popadło. Walczę więc z sennością i gorączką, ostrzegam zbliżające się kroki, że tu ktoś leży, żeby słyły dalej i boję się zasnąć głębiej... Nie można wiedzieć, co człowieka zbudzić gotowe! Zaczyna mi się z tego męczącego czuwania we łbie mącić. Nie wiem czy myślę, czy śpię. Wydaje mi się, że cały świat roi się od chodzących na dwóch nogach, zbyt pełno nalanych czajników, że nacierają na mnie z wszystkich stron, że muszę uciekać, bronić się... chować. Nad ranem dopiero usypiam.

Trzy doby takie. Przyjechaliśmy tu na Wszystkich Świętych, a teraz jest już czwarty. Datę tę dobrze pamiętam. Niespodzianie poznaję bowiem, wśród rozsypanych na łasze grup, idącą przed siebie jak we śnie — Marysię! Skądże Marysia?! Przecie zostawiłam je obie z Heleną w Koźwie! Zwiduje mi się chyba... Wygląda istotnie jak stwór. Zostały z niej tylko oczy.

Trudno mówić o radości powitania w tych warunkach. Przyklęka przy moim sienniku, bo z głodu nie ma siły stać. Dowiaduję się, że przyjechały tu teraz po nas, następnym transportem i że je wysypano tak samo jak nas, tyle że po drugiej stronie łąchy, naprzeciw Nukusa. Są tak wygłodniałe, że ledwo żyją. Od dziewięciu dni dostawały tylko po kawałku chleba, po kromeczce grubości małego palca i nic ponadto! Helena została przy rzeczach, a Marysia wybrała się szukać znajomych, usłyszawszy, że po drugiej stronie wyspy są nasi. Może uda jej się dostać od kogoś kawałek chleba. Niestety nie mogę jej poratować. Mój chleb wymańczyła ode mnie przed chwilą Staszka, przemytnica z Katowic, która pierwsza z tamtej nowej grupy ruszyła na poszukiwania. Nie wiedziałam, że przyjdzie po niej Marysia i dałam co było w worku. Trudno... Musi iść dalej. Może ktoś inny ma i da... Strasznie mi przykro, ale wiem, że musi iść. Tam Helena czeka jej powrotu, nie może się ruszyć od rzeczy i pewnie jej także słabo z głodu.

I poszła... Wyglądałam jej potem daremnie do wieczora. Może nie mogła mnie odszukać wśród rozłożonych tu, mrowiących się grup, a może zdobywszy chleb śpieszyła do Heleny.

(...)

W połowie listopada, o pochmurnym, wietrznym zmroku ładują nas na otwartą lorę. Kołchoz, na który jedziemy, nazywa się „Nowyj Mir” i jest pono najlepszym, najbogatszym w okolicy. Uprawiają tam cukrowe buraki, bawełnę, a przede wszystkim ryż. Kołchoz jest pod zarządem Koreańczyków, którzy z tych czy innych powodów, przesiedleni ze swej ryżowej ojczyzny, zaczepili się tu. Ponieważ jest to właśnie pora młócenia ryżu, rąk im potrzeba gwałtownie i obiecują dobry wikt i dobre locum, byle zdobyć robotnika. „Nowyj Mir” oddalony jest od Hadżilli o 25 km. Pognano tam już piechotą wiele partii naszych mężczyzn, między innymi p. Szczepana i Wasylenkę. Teraz jedziemy tam my. Nas pięć, p. Janek i starsza, siwa pani Żytowa z dwoma siostrzeńcami. Na aucie moc pak i worków, a między nimi my, powtykani na siłę jak kto siadł i czego się uczeplił.

(...)

Jak to się krótko da napisać! Całodzienna robota w polu... Wytrzymać jednak taki dzień nawet mężczyznom nie było łatwo! W nieustannym, lodowatym a jak płomień palącym wicherze — w wicherze zapierającym dech i miotającym plewy w oczy, usta, w rękawy i za kołnierz — taszczyli od maszyny wory tak pełne, że ciężar wpół ich dosłownie łamał. I nic — tylko tak cały dzień te wory, wory, wory... Wracali o zupełnej nocy, zziębnięci, zakurzeni, obsypani plewą, znów do stołówki na kapuścianą wodę i taką samą kromkę chleba. Jeżeli ktoś nie odrobił swego, brygadier nie mówił mu nic, tylko nie dawał kartki na śniadanie. Mają nas w ręce i wiedzą o tym. O tym tylko zdają się nie wiedzieć, że głód i rozpacz na niejedno znajduje sposoby!

(...)

Na grupę naszą, złożoną z dziewięciu osób — w tym sześć kobiet i trzech mężczyzn — dostaliśmy w jednym z tych domków wspólną izbę.

(...)

Opał zdobywać musimy sobie wszyscy sami. Po robocie brygady rozpełzają się po polach, łamią trzciny, bodiaki i kukurydziane badyle. Innego opału ani na lekarstwo! Sionki ani komórki nie ma przy tych domkach żadnej, toteż całe nazbierane śmiecie wali się w kąty przy piecu i zużywa w miarę potrzeby. Na dobrą sprawę palić należałoby tu bez przerwy, bo zimno dogryza nam zjadliwie. W oknach brak kilku szyb i szpara pod drzwiami na dwa palce. Wiatr wymiata nią z izby całe ciepło. Cóż — kiedy rzecz jest skomplikowana nie tylko ze względu na brak opału. Ów czarny na stałe w palenisko wmurowany satil musi być oczywiście pełny wody, kiedy się pod nim rozkłada ogień. Póki woda nie kipi — wszystko jeszcze w porządku. Gdy tylko zaczyna wrzeć, zwały mokrej pary buchają bezkarnie w powietrze i cała izba zmienia się w jedną parnię. Popielaty, lepki obłok zasłania wszystko i wszystkich. Na krok przed sobą nie dojrzysz nikogo. Mętnie rozpylone światło przeciera się ledwie od strony okna, ściany zaczynają płynąć, szyby płakać, ubranie na nas wilgnie, głosy stają się głuche i matowe jak w pralni. Czujesz po prostu, że ci kości rdzewieją! Przypiecek nasz za to rozgrzewa się tak, że kiedy podgiąć róg maty — ręki do gliny przyłożyć niepodobna. Raz o mały włos nie było z tego pożaru. Pościel pani Żytowej zaczęła się ukradkiem tlić pod nią. Dopiero niewątpliwy smród palonego pierza ostrzegł nas, co się święci... Gnieździemy się wszyscy na przypiecku, na którym ja rozestałam mój siennik, a pani Żytowa — swoje cudem z zesłania dowieszone tu pierzyny. Od góry dławieni parą, od spodu zaś przypiekani żywcem, ciśniemy się tak pokotem na tej macie.

Ani Marysia ani ja nie chodzimy do roboty. Zresztą i tak żadna z nas nie podołałaby normie, więc kapuściana lura i tak by nas minęła. Marysia nabawiła się na barty jakiejś biedy w nodze. Póki siedzi na ciepłym przypiecku, jeszcze jej znośnie, w nocy jednak, gdy po wystygłej izbie hulać zaczyna wiatr, a nawilgłe ubranie i koc stają się na nas zimnym okładem — biedactwo aż wiję się z bólu. Szarpący, przenikliwy ból drze jej nogę od biodra po stopę. Czasem do rana nie może zmrużyć oka. Ja, dla odmiany, mam coś z nerkami...

(...)

Barze śmierci

Nasza malutka izba chorych od razu zapełnia się tak szczelnie, że zostaje tylko wąskie przejście środkiem, od drzwi z dworu do naszego ambulatorium. Prycza jest tu tylko jedna i na tej pryczy kładziemy w poprzek kilkoro chorych dzieci. Doktor wydebił ze składu parę ryżowych mat i polecił zasłać nimi kajutkę. Maty te są jedynym pościeleniem leżących tu pokotem na podłodze ludzi.

Izba chorych jest również poczekalnią. Od wczesnego rana do późnej nocy, tymi wprost z dworu wiodącymi do niej drzwiami, napływają tłumy potrzebujących pomocy i ratunku ludzi. Czekaają stojąc w ciasnym ogonku, tuż nad tymi, którzy leżą na ziemi. Przeważnie matki z dziećmi. Doktor ordynuje w naszym maleńkim ambulatorium odgrodzonym od izby moim prześcieradłem. Bada chorych na czymś w rodzaju pryczy, którą tu kazał wstawić, by mieć na czym w dzień położyć i opatrywać ludzi, a w nocy spać.

Pierwszy raz mam sposobność z tak bliska przypatrzeć się całej tej rozdzierającej nędzy ludzkiej. Po prostu w gardle dławi. Te owrzodzone, białe jak wosk, nie mające siły nawet jęczeć dzieci, których wychudłe ciała wyłaniają się z przesiękniętych ropą, zawszonych łachmanów, ta materia lejąca się z uszu i ran, te rwane, ostrożne oddechy, rozdymające szkielety klatki piersiowej, te pełne zepsutych

zębów, szeroko rozdziawione usta, pokazujące nalotami anginy wybielone gardła o rozpuchłych gruczołach — wreszcie świadomość, że tylko nieliczna garstka tych ginących piskląt będzie mogła być zatrzymana na izbie chorych, a że reszta musi wrócić pod mokry brezent na dno luku — to było coś, od czego samemu można się było rozchorować.

Lekarstw mamy tyle, co nic. Wprawdzie doktor ma jakieś własne zapasy, narzędzia i zastrzyki, ale to kropla w morzu. Na dobrą sprawę wszystko prawie co tu jedzie z nami — zwłaszcza dzieci — w normalnych warunkach byłoby już dawno w szpitalu. Cała barta choruje na rozstrój żołądka. Cała baria kaszle i gorączkuje, cała baria cierpi na zjadliwe owrzodzenia. Każde najmniejsze zadrażnienie rozpucha, ropi i nie chce się goić. Gdyby tak policzyć wszystkie brudne, zeszywniałe bandaże, które przyszło rozwijać i nawijać z powrotem — nowych jest tak mało, że nie możemy przy opatrunkach zawsze dawać czystych — zebrałyby się chyba kilometr dziennie. Co dzień wieczór obie z Heleną wylewamy do Amu-Darii kubeł pełen cuchnących wat i gazy. Aż trudno wierzyć, ile się tego dziennie zbiera. Doktor nic, tylko przecina i przecina wrzody i ropienie, oczyszcza wyżarte kanały, wycina strzępy wygniętej skóry, a łopatko nic tylko bandażuje i bandażuje te biedne piszczele, szyje, palce i głowy.

(...)

Ów brak opału i ognia nie był niestety szczytem wszystkich dopustów tego upiornego transportu. Zaczynają się deszcze. Drobne, przemieszane z tumanem wędrującej razem z rzeką mgły. Rzeka znika w mętnym oparze i widać już tylko jej żelaziste, kotłujące się wściekle tuż pod nami, piany. Brezenty, obciążone zbierającą się w ich zagłębieniach wodą rwą sznury i razem z jeziorami zebranej w nich wody obsuwają się ludziom na głowy- Wy-dźwignięcie na górę i umocowanie na nowo takiej olbrzymiej, ciężkiej płachty, jest robotą na pół dnia. W dodatku nie obeszło się bez tego, by sparciała i łamana, nie popękała przy tym w kilku nowych miejscach. Ze szpar tych cieknie więc teraz stale spływająca po brezencie deszczówka. Ludzie żyją jak pod tuszem, przemokli, nie mający ani gdzie, ani przy czym szmat wysuszyć.

W izbie chorych ścisk coraz większy. Czekaający w kolejce na badanie mdleją czasem, waląc się na tamtych, na podłodze. Dzieci płaczą dzień i noc, chorzy jęczą w gorączce i kaszlą. Powietrze tu straszne, mimo że przeciąg dmący spod drzwi wymiata smród razem z ciepłem. Mamy tu tylko poważnie chorych, takich, którzy muszą załatwiać się w izbie. Jedno dziecko ma koklusz i wymiotuje na inne, leżące z anginą obok.

(...)

W Bucharze jesteście nazajutrz. Jesteście — to znaczy stoimy na szynach daleko za dworcem, przetoczeni na jakiś ślepy tor. Nikt nie ma pojęcia co dalej? Chorzy ostatkiem sił wypatrują, czy przyjdzie kto po nich, czy się kto nimi zajmie, proszą, płaczą, chcą do szpitala.

Ktoś poszedł szukać naszej placówki, bo jest tu pono taka. Po paru godzinach dostajemy, nie wiem przez kogo wydębiony, chleb. Pierwszy po trzech dniach. Zdaje mi się, że nocujemy w wagonie. Nie pamiętam dokładnie... Wiem tylko, że mnie budzi czyjś znajomy głos, pytający o mnie na oślep w głąb zapchanego wagonu. — Dozia! — Patrzcie ludzie! Dozia! Nie widziałam jej od Brygidek! Przywieźli ją tu innym transportem, aż z Kołomy. Dosłownie! Była w obozach pracy na tamtym krańcu Azji, naprzeciw Kamczatki. Przyjechała już tydzień temu. Dowiedziała się o nowym transporcie i przyszła

na chybił trafił pytać o znajomych. Znalazszy mnie stoi oto na nasypie, w swoim aksamitnym kapturku i zniszczonych karakułach, namawiając mnie na wypad do miasta. Idzie właśnie do naszej placówki. Zna osobiście Delegata. Polecił się jej zgłosić. Może dostanie zajęcie. To dobrze się składa! Będzie można powiedzieć mu o konieczności przysłania noszy czy sanitarki, a w każdym razie lekarza. W ogóle wymóc na kimś zajęcie się tymi niedobitkami barz śmierci.

(...)

Buchary prawie z tej włości nie pamiętam. Jasnokawowa glinka pod nogami, jakiś strumyk czy rzeczułka, wijąca się kręto pod wymulonym nasypem, gromady pstro odzianych, wianuszkciem w kurzu przycupniętych dzieci i pochyłe nad wodą drzewka.

Delegata spotkałyśmy przypadkiem na małym placyku z gipsowym Leninem. Obiecuje przysłać natychmiast lekarza i żywność. Nie powiadomiono go wcale o tym nowym, wczoraj jeszcze przybyłym transporcie! Zapytany o nasze dalsze losy odpowiada, że musimy być rozesłane po kołchozach do pracy. Na razie wojsko przyjmuje tylko mężczyzn.

Po południu każą nam istotnie opuścić wagony i przenieść się na poźótkłą, wydeptaną łączkę koło dworca. Tu bowiem odbywa się taki sam targ niewolnikami, jak ten, który znam z Hadzilli. Tyle, że znikły już czarne słoneczniki czap, znikły arby o rysujących się na tle nieba kołach. Są za to wielbłądy. Całe karawany płowych, wzdardliwych wielbłądów. Ludzie odziani kolorowo, ale inaczej niż Karakałpaki. Noszą długie wolne, lekko podwatowane szarafany — dzouma się to nazywa — i krągłe, nieduże, futrem obrzeżone, podobne do podpienek czapki. Twarze łagodniejsze od tamtych. Nie ma już skośnych oczu ani wystających kości policzkowych. Przeważnie Uzbeki i Tadżyki. Gdyby nie strój i złotawa cera, anibyś poznał, że to Azjaci. Ludzie ci tylko nie umieją stać. Póki chodzą, wszystko w porządku. Ale zatrzymawszy się na moment choćby, spadają natychmiast z wysoka w niski przysiad, zupełnie jakby zawiasy ich kolan w bezruchu same się tak załamywały. Dziwnie nietwarzowa pozycja! Trwać w niej umieją godzinami, siedzeniem wcale nie tykając ziemi, oba stulone łokcie wetknąwszy między szeroko rozstawione kolana. Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy tak samo. Arby ich mają też po dwa tylko koła, ale nie tak już olbrzymie, jak tamte, pod Nukusem.

(...)

Długim kołyszającym się szeregiem związane ze sobą wielbłądy suną jeden za drugim przez ulice Buchary. Prócz nas trzech jedzie też wielu mężczyzn, po dwóch na jednym siodle. Winszuję! Dojedzie z nich chyba marmolada! wszystko to ma na sobie łagierne jeszcze fufajki i kłapciate czapy z uchemi. Zalepione błotem łupy czegoś, co zastępuje im buty, kołczą się desperacko na tle mszystych, kawowych, sprężystych pochlapujących wielbłądzich boków. Tu i tam podskakuje jakiś worek, tu i tam pobrząkuje czyjś zasmolony kociołek. Nie! Choć jedziemy na wielbłądach, nie jesteśmy na pewno podobni do orszaku Trzech Króli! Może jeszcze ja w moim białym turbanie z ręcznika, cała okręcona kocem, mam w sylwetce pewne motywy wschodnie. Widzę to zresztą sama, we własnym, nadmiernie wydłużonym cieniu. Mam w tej chwili strasznie długie, cztery, obco pętające się wielbłądzie nogi i małą, gładką od turbana, głowę. Każdy z Trzech Mędrców mógł rzucać podobny cień na piasek.

Nie mamy pojęcia dokąd nas wiozą, ale już dawno wyzbyłyśmy się zuchwałego mniemania, że człowiekowi przysługuje prawo stanowienia o własnym losie. Ot — nie spaść teraz z kulbaki, nie

pogubić worków, dobrze zagarnąć się kocem i z dobrą wolą wyłapywać oczyma okruchy dawnego piękna Buchary, którego mimo wszystko, nie zdołano tu wytępić doszczętnie

(...)

Nasz dzień w Stalininie zaczynał się też przed świtem.

Budziły nas zawsze rozczłapane kroki starego Karapczyka, idącego otwierać bramę. Zawsze w tym samym miejscu, tuż pod naszymi drzwiami, zaczynał kaszlać. Potem słyszało się chrobotanie łańcucha, brzęk ogniw puszczonej ciężko po deskach i długi, drewniany miauk obu skrzydeł bramy, odchodzących wolno na boki.

Helena zrywała się pierwsza. Po ciemku owijała nogi niezliczoną ilością szmat, wtykała je w olbrzymie, podarte buciory i przywiązywała sznurkami do kostek. Kiedy obie z Marysię wytykałyśmy głowy spod okrycia, Helena zazwyczaj już się czesała, zaś mętny, morelowy medalion wstającego słońca snuł się na glinie nad pryczą. Kosa szybka okienka była w nocy zapocona na matowo, a powietrze w kubitce tak lodowate, że para oddechu białała, jak na silnym mrozie. Budziłyśmy się skostniałe. Wnętrze moich trzewików było wprost piekąco zimne i zawsze osobno bałam się chwili wetknięcia w nie zlodowaciałych nóg. Toteż każdorazowe wstanie w tych warunkach było przezwyciężeniem, jeśli nie bohaterstwem! Zwlekałam też, jak długo mogłam z odwiązaniem owej bawełnianej tiumiury, bo dziwnie żałośnie i samotnie robiło się mojemu grzbietowi po zdjęciu tego ciepłego worka. Czasem więc, ku radości otoczenia, łąziłam jeszcze dobrą chwilę z tym postiszem na siedzeniu.

Potem następowało mycie. Rzecz robiona raczej z nawyku i dla spokoju sumienia, niż dla skutku, który musiał w tych warunkach być znikomy. W czasie trzymiesięcznego pobytu w Stalininie raz tylko jeden umyłyśmy się naprawdę

(...)

W Stalininie dopiero rozumiiałam słowo — głód!

W zasadzie głodne byłyśmy prawie zawsze od wyjazdu z domu, ale to nie było jeszcze to! Owa wilgotna pajka otrzymywanego co dzień chleba, umiała przecie jakoś zapchać żołądek i kiszki.

W Stalininie chleb zniknął bez śladu i prócz owych kilku lepioszków upieczonych przez babusię, nie widziałyśmy go przez trzy miesiące. Jedyńm naszym pożywieniem, była mąka rozbełtana w wodzie.

Trudno komuś opowiedzieć głód. Trudno odtworzyć słowami tę zimną, ssącą, dotkliwą pustkę, którą się nosi w sobie'. W sobie? Nie. Źle mówię. Siebie wtedy nie ma. Jest tylko głód, a dokoła niego jakies zziębnięte, bezsilne, śpiące coś, które strasznie trudno zmusić do jakiegokolwiek wysiłku słowa, myśli. Człowiek zwinąłby się w kłębek i spał. A kiedy naprawdę zaśnie, śni mu się jedzenie. Samo jedzenie. Nieodmiennie jedzenie. I żebyż choć śnił, że je. Gdzie tam! Widzi tylko całe stosy przeróżnych pyszności, lady sklepowe zawałone pieczywem i słodyczami, filizanki pełne dymiącej kawy czy czekolady, owoce, cukierki, ciastka. I tyle tego, że ma potem o czym mówić rano. Zatem znowu mówimy o jedzeniu. Łapiemy się wreszcie na tym, że każda z nas tylko o jedzeniu myśli! Wszystko dokoła nas wydaje się nam podobne do czegoś, co by można zjeść. Kostka mydła przypomina nam mięksiz chleba. Badyle płachty mają kolor czekolady.

(...)

Czyż można się dziwić, że w tych warunkach czekamy rano powrotu Heleny z niecierpliwością, która nas we własnych oczach wprost poniża? Nic na to nie poradzę, ale na odgłos jej szybkich kroków za drzwiami coś ma ochotę kwiczeć we mnie tak samo, jak kwiczeć umieją prosięta na odgłos chlustu pomyj, wlewanych w koryto sąsiedniej kuczy. To się nie da opowiedzieć, to się nie da wystawić, jak jesteśmy głodne i jak bardzo upragniona jest nam zawsze ta ranna, gorąca „siorba”.

Bp nazwałyśmy to siorbą. Od siorbania oczywiście. Łyżkę mamy tylko jedną, a raczej jeden żałosny kikut po drewnianej łyżce, więc chłepczemy tę paciara wprost z naczynia.

(...)

Nie jesteśmy wcale syte po takim śniadaniu, tyle, że się nam robi na chwilę cieplej. Zwykle też o tej porze, ku rozpacz otoczenia, sięgam po woreczek z machorką i zaczynam kręcić papierosa. Zapalek nie możemy kupić, bo ich i na lekarstwo nie dostaniesz w naszym sklepiku, więc aby ich oszczędzać wygrzebuję z popiołu ostatni tlejący jeszcze węgielek i od niego rozżarzam śmiecie w tutce. Ohyda, jakich mało, od której krztuszę się ja i one obie, ale nałóg jest nałogiem, a przy tym wydaje mi się zawsze, że to w jakiś sposób przytępia głód. Słońce zsunęło się już przez ten czas na małe, rzeźbione drzwi, wiemy, że za chwilę brzękną w bramie wiadra Muslimy i że ona sama z kitmanem na ramieniu, wsunie się do kibitki i zapyta śpiewnie od progu:

— Apa! Jobon merom — czyli w tłumaczeniu: „Siostro! Czy idziesz pracować?”

Owo apa choć znaczy: siostro, jest tu używane jako zawołanie, jako coś w rodzaju francuskiego madame, przy zwracaniu się do kogoś starszego, komu się chce okazać szacunek.

— Haj, haj, Muslimka — odpowiada jej Helena — Merom, ale nie zaraz. Nie czekaj na nas.

(...)

Pewnego razu, Purpurowy Skorpion, Hosjata, podjudzona pewnie przez szwagierkę-kasjerzychę, zakwestionowała naszą normę. Czepiła się tego, że kopce są małe i że wyniosłyśmy wobec tego ziemi o połowę mniej, niż należało. Nawykła widać do tego, że się tu nikt za sobą nie śmiał nigdy ująć, dufna w powagę swojego urzędu, przysiadła w kucki na grobli i łypiąc kaprawymi oczyma w brudny zeszyt oświadczyła, że nam normy nie zapisze, bośmy nie wyrobiły swego. Nie wiedziała kogo zaczepiła. Helena, to nie to, co tutejsze potulne, zastraszone baby. Może nawet bardziej udając gniew, niż rozgniewana naprawdę, przypadła do nasypu i wpiąwszy się w Hosjatę żbiczymi oczyma, zaczęła bronić naszych kopców i jak umiała wymyślać jej i całemu kantorowi. Tak ją widocznie własna swada i oniemiałe ze zdumienia audytorium podniecało, że wreszcie — do dziś nie wiem, co ją wtedy podleciało, ale u Heleny takich pomysłów nie kupić — zagroziła nagle Hosjacie, że jeśli nas będzie dalej prześladować, to ją zabije — tak — tym kitmanem — wszystko jedno gdzie i kiedy — ale ją zabije.

— Hil-Hila kuszjet Hosjata! Panimajesz? Kuszjet! Pójdę za to do tiumry — to pójdę. Mnie tam wasza tiumra nie pierwszyna! Ale, że ty będziesz miała za swoje — to pewne!

W dodatku krwawe swe obietnice popierała tak wymowną gestykulacją, tak niedwuznacznie jeździła palcem po gardle, że wszyscy nie tylko zrozumieli, ale — co dziwniejsze — uwierzyli w dodatku!

Nazajutrz cały kochłoz już wiedział, że Hil-Hila obiecała zabić Hosjatę! Nasz Purpurowy Skorpion dwa dni w polu się nie pokazał, ale za to trzeciego, wieczorem wśliznęła się do naszej kibitki jakaś obca, stara Uzbekka i po dość niejasnych klu-czeniach dokoła sprawy zaczęła Helenie tłumaczyć, że Hosjata mimo wszystko jakszi i że lepiej jej nie zabijać. Pokazało się, że to matka pięknej kasjerzycy, którą rodzina wydelegowała, jako mediatora w tej drażliwej kwestii. A nasza Hil-Hila, z rękami wbitymi w kieszenie kożuszka, siedziała na skraju pryczy i dzwoniąc olbrzymimi buciarami z nonszalancją i cynizmem zawodowego mordercy, z całą powagą dała jej sklamrzyć, prosić i tłumaczyć.

— Trzymajcie mnie... bo skonam... syczała do nas po polsku, nie zmieniając wyrazu twarzy... Zlitujcie się! Oni uwierzyli!

(...)

Zaczyna się przednówek.

Na „bazarze”, na który gania czasem Helena, nie można już dostać niczego. Ceny zawrotne, a towaru brak. Chyba te owce i barany, których ludzie próbują się wyzbyć pod wiosnę. O nabywcę jednak równie trudno, jak o paszę... Wałęsanie się między pstrymi kłębkami siedzących w kucki Uzbeków jest tu jednak uważane za przyjemność i rozrywkę. Nasz stary Karapczyk na przykład, za nic bazaru nie opuści. Stroi się też wtedy jak na święto. Pamiętam go raz w rdzawym chałacie. Nad dostojną twarzą mędrca bąblił mu się turban ogromny, na staroświecką modłę widać namotany, z cudownie rezedowego tyftyka. Wszedł, kucnął pod ścianą i siedział bez słowa, a my wiedziałyśmy, że wedle tutejszego savoir vivre'u oznacza to gotowość towarzyszenia Helenie na bazar. Wiedziałyśmy jednak także, że ten czcigodny, wyniośle obojętny starzec, myszkuje oczyma po kątach i że zwłaszcza wiśniowy worek Heleny na ścianie, pociąga jego złodziejską uwagę. Pozornie jednak — prorok, myśliciel, dostojnik.

(...)

Epilog

... A potem już tylko okruchy. Krótkie, wyraźne, te i takie, które same chciały mi się przylepić do pamięci.

Noc. Gościniec. Gwiazdy. Skrzyp arby i konik, który ustaje. Od połowy drogi idziemy piechotą. Idziemy jak w transie, nie czując wcale, że nas nogi niosą...

Zimno. Wiatr... Mała Staszka pożycz mi ciepłe, wojskowe rękawice. Po obu stronach drogi, w pustce niewidzianej i obcej, kaszłą szakale...

Bardzo mi niewygodnie w tych grubych, nieznanym rękawicach odmawiać na palcach różaniec.

Mimo zimna powietrze pachnie wiosną i radością...

Buchara.

Czekamy do świtu w jakimś zaułku, pchając się nad sam rozłożony w załamaniu muru ogieniek. Przytupując z zimna wałęsamy się od węgła do węgła... Wąski pas nieba nad uliczką jest pełen gwiazd i nocy. Wracamy do ognia i dymu. Siadamy na workach. Ściany zaułka czuć zmarzłą gliną i zwietrzałymi ludzkimi odchodami.

A potem dzień. Wietrzny, pochmurny, bezdomny.

W Bucharze szaleje tyfus

(...)

Po pewnej cieplej, nawilgłej nocy wstają z dna doliny opary kwitnących, morelotyich sadów. Różowe obłoki jaśnieją na tle gładkiej zieleni, jak nierozpływające się przed oczyma zjawy w niskim locie zastygłych — Aniołów.

W ciszy strumyk bełkocze po kamieniach:

Jest druga połowa marca.

Aż pewnej niezapomnianej nocy budzi nas przyciszony głos Komendantki. Z wieczora została wezwana nagle do sztabu po jakieś rozkazy. Nie doczekawszy się jej powrotu, poszliśmy spać.

Teraz jawi się nam na tle gwieździstego nieba, jej szczupła, wpół zgięta sylwetka, wpychająca się pod uniesioną klapę namiotu. Siedzimy już wszystkie trzy „słupka” na siennikach.

— Pojutrze wyjeździemy do Persji! Bóg łaskaw! Był rozkaz gen. Andersa. Jutro dostajemy kobiece mundury. Nie mogłam! Musiałam wam to dziś jeszcze powiedzieć!

(...)

Jan Kazimierz Umiastowski

Przez kraj niewoli

Wspomnienia z Litwy i Rosji z lat 1939-1942 Londyn, 1947

JAN KAZIMIERZ UMIASTOWSKI — podchorąży, uczestnik wojny obronnej 1939 roku, po zakończeniu działań wojennych internowany wraz z innymi oficerami i podchorążymi na Litwie. Po przejęciu obozu przez władze radzieckie odbył drogę internowanego przez obozy w Ko-zielsku, Juchnowie i Murmańsku. Po ogłoszeniu amnestii został wcielony do Armii Polskiej, przeszedł szlak z północy na południe, przez Turkiestan do Persji.

Ostatnie dni w kraju

Cóż to była za dziwna, romantyczna Pani. Wszyscy się w niej kochali, umierali dla niej. Wszyscy cierpieli za nią najdotkliwsze krzywdy. Nawet ci, co jej oczu nie widzieli nigdy.

Stanisław Baliński

17 września mimo niedzieli zarządzono zbiórkę całej kompanii i rozdano nam amunicję. Wiedzieliśmy już, że idziemy do Lidy, gdzie zbiera się „cały pułk”. Z tym pułkiem co prawda to była lekka przesada,

bo w podmiejskich wsiach Grodna, Hożej i Ostrowli, w których stały bataliony, działo się to samo, co i u nas. Kompanie mające broń wyruszały, reszta na razie pozostała i, jak później się okazało, żołnierzy, dla których broni brakło, zwolniono do domów.

(...)

Wkrótce wyszliśmy na tę samą szosę wileńską, którą przed kilkoma dniami przyszedł nasz 85 pułk do Lidy. Wracaliśmy na stary szlak nie wiedząc, jaki będzie kres naszej wędrówki. Na szosie ruch był niezwykle, mijaliśmy grupki ludzi z tobołkami, a nas znów mijają rzędy samochodów wypchanych pasażerami, z bagażem na dachach. Podczas chwilowej przerwy w marszu przeszła obok nas kolumna samochodowa z nieznanym nam sprzętem i działami przeciwlotniczymi — to opróżniano lotnisko lidzkie. Coś jest nie w porządku — to było jasne. Teraz już wszyscy opuścili głowy i wlekli się z gromadami koni, wozów, ludzi i samochodów w kierunku Wilna. Wiedzieliśmy już o katastrofie i różne myśli plątały się po głowie. Nie wiem, jak i kiedy doszliśmy do Bastun, tu skręciliśmy w stronę Ejszyszek i zatrzymaliśmy się biwakiem w najbliższym lesie. Wystawiono ubezpieczenia i umówiono sygnały na wypadek ukazania się czołgów. Było już widno, kiedy położyliśmy się spać.

(...)

Wielu ludzi usłyszawszy, że wojna się skończyła i że Niemcy odchodzą, próbowało wrócić do domu, oczywiście spory procent z nich bolszewicy później aresztowali i wywieźli. Wielu urzędników państwowych zatrzymano, zanim dotarli do swoich domów.

Spotkani koledzy z Wilna opowiadali o wypadkach w mieście. Czołgi sowieckie stanęły na skrzyżowaniach ulic i strzelały do każdego, kto się pokazał. Rozpędzili jeden batalion KOP i ranili wielu żołnierzy. Ponieważ pancerniacy nie mogli brać jeńców, więc po rozbrojeniu pozwalali im iść do domów. Nie wiedzieli też co robić z zabraną bronią i jakiś oficer sowiecki wygłosił okolicznościową mowę do rozbrojonych, kończąc ją słowami: „Nie potrzeba nam waszych karabinów, mamy dosyć swoich” — po czym czołg przejechał się kilkakrotnie po nich. Był to jednak zdaje się wyjątkowy wypadek, bo na ogół starannie zbierali uzbrojenie.

(...)

Kiedy nasz batalion wyładował się z pociągu w Grodnie, nadleciały dwa samoloty sowieckie i rzuciły ulotki. Były pisane po białorusku i w dodatku rosyjskim alfabetem, więc nie mogliśmy nawet ich przeczytać. Wreszcie znalazł się ktoś, kto z biedą odcyfrował litery, lecz ze zrozumieniem znów było gorzej, bo oficjalny sowiecki białoruski język, którym piszą mińskie gazety różni się bardzo od mowy naszych Białorusinów. Ulotka, jak się wreszcie pokazało, zawierała mowę Mołotowa oraz wiadomości, że Rząd Polski opuścił Rzplite i że wojska sowieckie przychodzą, żeby uchronić narody mieszkające na tych ziemiach od okropności wojny i bronić przed Niemcami. Nikt z nas nie wierzył w te bzdury.

Następnego dnia, to jest 21 września, bolszewicy nacierali na miasto. Była to piechota bardzo słabo wyszkolona i uzbrojona — walczyli miękko. Nasi podchorążowie, którzy tydzień temu włożyli mundury, rozpędzili duży oddział. Nasza kompania nacierająca na sad „Druck” zdobyła karabiny maszynowe. Ci bolszewicy mieli stare powycierane mundury bez guzików. Z naszej strony nie było ani jednego dział przeciwpancernego; oni mieli dużo samochodów, którymi dowozili oddziały nie okazujące wiele ochoty do walki.

Dziwny nam się wydawał ten kontrast między obdartym żołnierzem sowieckiej piechoty, który często nosił karabin na sznurku, a oficerami z czołgów, którzy bili się zupełnie inaczej.

Opuściliśmy miasto po południu. Nikt nas nie gonił i mało co strzelali za nami. Przed wieczorem doszliśmy do naszej wsi Hoża, gdzie saperzy zrobili na rzece coś, czego nikt nie mógł nazwać mostem. Były to tratwy powiązane ze sobą, po których w nocy przeszli ludzie, wozy, a nawet samochody. Przeprawę oświetlał płomień stosów opon polewanych naftą, które paliły się długo po naszym przejściu.

(...)

Jedna z kompanii spała na wsi po wschodniej stronie Niemna. W nocy czołgi bolszewickie wjechały w środek wsi, zanim czujki zdołały ostrzec. Strzały wywołały alarm, żołnierze wybiegli na podwórza, a widząc co się dzieje, próbowali opłótkami wydostać się na pola. Kiedy Moskale spostrzegli, że wieś opustoszała, rzucili się w pogoń za nimi. Oświetlali pola rakietami i strzelając z karabinów maszynowych jechali pełnym gazem w kierunku najbliższej dostrzeżonej grupki naszych żołnierzy. Naszym było ciężko uciekać po roli, a z czołgu w nocy znów niewiele widać; taka zabawa trwała aż do rana, kiedy resztki kompanii, ledwie żywe ze zmęczenia, dobrnęły do jakiegoś lasu.

Lecz nie wszystkie oddziały motorowe sowieckie były nastawione tak bojowo. Kiedy rosyjskie samochody pancerne najechały na kolumnę, w której była bateria przeciwlotnicza i ta oddała kilka strzałów, rozbijając wieżę czołowego wozu, pozostałe zawróciły bez walki.

Wojsko sowieckie zachowało się rozmaicie w stosunku do ludności; na ogół zgodnie z otrzymanymi rozkazami starali się zaskarbić sobie jej przychylność. Rabujących rozstrzeliwano, wygłaszając przy tym okolicznościowe mowy o sprawiedliwości. W Mołodecznie, jak opowiadała żona jednego z policjantów, oficerowie sowieccy mówili: „Nas się nie bójcie. My nie straszni. Za nami idą lepsi i oni dopiero wam pokażą”. Mówili o NKWD.

Dowódca okręgu Grodno, generał Olszyna Wilczyński, odłączył się od wojska i jechał w stronę granicy litewskiej. W Sopoćkiniach spotkały ich czołgi bolszewickie. Ostatni z samochodów Skoda próbował uciekać, lecz czołg dogonił go i zrzucił z szosy. Generała Moskale rozstrzelali pod najbliższą stodołą, a żonie pozwolili dalej jechać. Płakaliśmy przechodząc granicę.

Na Litwie

Przez Lejpuny i Serie szliśmy do Olity. Początkowo Litwini przyjęli nas gościnnie i szydercze wypominanie naszego niedosłzłego zeszlórocznego marszu na Kowno było dość rzadkie. Denerwował ich natomiast stan broni, jaką od nas odbierali, dział i karabinów maszynowych bez zamków. Początkowo żołnierze przed przejściem granicy zakopywali broń, lecz tu się Litwini wzięli na sposób i nie puszczali nie uzbrojonych, traktując ich jako cywili, dla których wstęp na Litwę był zamknięty.

Przez pierwsze miesiące pobytu w tym kraju byliśmy wszyscy zbyt przygnębieni katastrofą, aby próbować ucieczki. Propaganda niemiecka grzmiała na cały świat o zrównaniu z ziemią Warszawy i nowym podziale Polski. Nasi przełożeni zapewniali nas (przeszliśmy zwartym oddziałem) o planowym przewożeniu wojska do Francji, co początkowo wydawało się możliwe. Więc siedzieliśmy spokojnie.

(...)

Zycie w obozie kawaleryjskim biegło dość szybko. Zorganizowano stałe ogłaszanie komunikatów, na pierwszym piętrze czytał je zwykle porucznik Leszczyński, późniejszy oficer oświatowy 14 pułku. Umarł on w Działu Abadzie na tyfus, którego się nabawił w jakimś kotłochocie, dokąd jeździł z ramienia pułku, aby wyszukać polskie rodziny.

11 listopada, rocznica niepodległości, przebiegł u nas spokojnie, choć Litwini trochę się denerwowali. Natomiast w Wiłkomierzu harcerze, którzy byli wśród żołnierzy, wywiesili biało-czerwone chorągiewki na budynku i Litwini kazali je zdjąć, a kiedy nikt się nie kwapił, rozpoczęli strzelać do okien i zranili trzech ludzi, którzy grali w karty i o niczym w ogóle nie wiedzieli.

30 listopada zaczęła się wojna fińsko-rosyjska. Śmieszne, jak ludzie wierzą w przepowiednie. IKC ogłosił jeszcze przed wojną jakieś wierszowane brednie i teraz cokolwiek się zdarzy, ludzie z uporem lepszej sprawy naginają słowa przepowiedni do wydarzeń. Obecnie wszyscy powtarzali zwrotkę przepowiadającą wojnę na północy, niby w Finlandii, i jak się zmieni w „poczworną jedność”.

Staraliśmy się, jak się da, urozmaicić nudne życie Kalwariata. Ta nazwa utarła się, gdy mówimy o sobie, raz ze względu na sąsiedztwo wariatów, a po wtóre, że naprawdę trzeba było być wariatem, żeby się dać zamknąć Litwinom w takiej ciupie.

Zorganizowano kursy językowe wszystkich bodaj ludzkich języków, oprócz litewskiego, na który nie znalazło się amatorów. Dwa razy w tygodniu odbywały się odczyty w jednej z dwóch wielkich sal. Porucznik Ostrowski, słynny alpinista, mówił o swoich wyprawach w Andy i na Kaukaz, gdzie uratowali sowiecką ekspedycję, za co im przyznano order Lenina. Generał Przeździecki, komendant obozu, opowiadał o Gruzji z okresu ubiegłej wojny i o jej krótkiej niepodległości, zakończonej nagłym zajęciem Tyfilisu przez Sowiety, łamiące swoją umowę z Gruzynami. Dobrze znany czytelnikom gazet wileńskich, Charkiewicz, próbował wyjaśnić genezę klęski wrześniowej i, powołując się na mesjanizm i trzech wieszczów, usiłował przekonać słuchaczy, że upadek państwa polskiego był nie tylko nieuchronny lecz i potrzebny dla ocalenia innych narodów czy też w ogóle demokracji. Tak to sobie zawile tłumaczył rzeczy proste. Denerwowało mnie jego gadanie i nie tylko mnie, bo wierzyliśmy, że w końcu Niemcy pobiją się z Rosją i wojna będzie rozstrzygnięta, gdy Rzesza ulegnie z kolei Francji i Anglii.

(...)

Nasze władze oficjalnie zabraniały ucieczki, a zresztą nie bardzo było i dokąd. Litwini nie dawali pracy, a studentów, jeżeli się taki nawinął, zamykali do obozu w Żagarach. Z Warszawy pisano, żebyśmy nie wracali. Pod zabór rosyjski, a raczej na Syberię, niewielu się śpieszyło. I tak tkwiliśmy w obozie. Można było wprawdzie siedzieć u któregoś z miejscowych Polaków na łaskawym chlebie, lecz niezbyt to wdzięczna rola. Kto miał punkt zaczepienia, uciekał, nie chcąc siedzieć w charakterze wariata. Przeszło nas na Litwę około 20 000, do Rosji wywieziono około 6 000. Polityka tych, co zostali, okazała się słuszna, wszyscy oni w końcu trafili do armii, a z tych, co uciekli, niewielu można się było doliczyć — prawie wszystkich bolszewicy wyłapali i wywieźli.

Było tysiące sposobów na zorganizowanie ucieczki. Komendantem obozu był major Jaksztas, bardzo nieprzychylny dla Polaków. Zdarzyło się też kilka wypadków, że posiadający ubranie cywilne przebierał się, brał do ręki walizkę i szedł prosto do kancelarii Jaksztasa prosząc go o pozwolenie widzenia się z bratem — tu wymieniał swoje nazwisko. Ten pytał o przepustkę na wejście do obozu,

którą wydawano w Kownie. Gość nie miał tego papierka, lecz upierał się, że musi się zobaczyć z bratem. Major wpadał w gniew i kazał służbowemu kapralowi wyprowadzić pasażera za druty.

(...)

Kiedy na Zachodzie zaczęła się wojna i 9 kwietnia Niemcy zaatakowali Danię, a potem Norwegię, myśleliśmy, że niedługo skończy się nasze internowanie. W początku maja radio doniosło o walce naszych oddziałów pod Narwikiem. 10 maja Niemcy uderzyli na Holandię i Belgię. Z zapartym tchem słuchaliśmy komunikatów, znacząc na własnoręcznie zrobionej mapie pochód wojsk niemieckich. 19 maja Niemcy złamali front francuski i Weygand został naczelnym wodzem. Kapitulacja króla Belgów pod koniec miesiąca zbiegła się wprawdzie ze zdobyciem Narwiku, lecz Anglikom pozostała tylko Dunkierka.

Radio sowieckie podawało komunikaty obu stron, wykazując jednak wyraźnie swe proniemieckie sympatie. Zaczynało się i u nas coś psuć w państwie litewskim i niepokój osiadł na twarzach Litwinów, a cóż mówić o nas.

Czerwiec upłynął prędko w roku 1940. Niemcy zaczęli piątego nową ofensywę na Sommę i, kiedy już przegrana Francji była wyraźnie widoczna, Włosi wystąpili po stronie Niemców. W cztery dni później padł Paryż, a następnego dnia, to jest 15 czerwca, wojsko sowieckie wkroczyło na Litwę, popierając bagnetami mało przekonującą notę zarzucającą Litwinom, że nie potrafią utrzymać bezpieczeństwa w kraju. 16 czerwca weszli bolszewicy w granice Łotwy i Estonii, marsz ten miał charakter ćwiczeń. Szeroko zastosowano na Łotwie użycie wojsk spadochronowych.

Wojsko sowieckie wchodząc do krajów bałtyckich zachowało się inaczej niż jesienią ubiegłego roku, kiedy obejmowało bazy w tych krajach. W wielu wypadkach używano broni. W Dźwińsku miejscowi komuniści napadli na policjanta, żołnierz sowiecki krzyczał coś z czołgu pragnąc rozpędzić tłum, a kiedy to nie pomogło, pociągnął serię z karabinów maszynowych. W Rydze doszło do rozruchów antyrządowych i Łotysze sami strzelali do swych policjantów.

Żydzi w Kownie urządzili uroczyste powitanie Czerwonej Armii, lecz oficer sowiecki nie przyjął ofiarowanych mu kwiatów, a kiedy przedstawiciel miasta rozpoczął do niego mówić 'tytułując go towarzyszem, ten tylko splunął i odparł: Kajok ja tiebie towariszcz. Nie po kwiaty przyszła Czerwona Armia.

(...)

Początkowo Moskale zdawali się nie interesować naszym obozem, pewnego dnia jednak pod koniec czerwca zajechał do nas wspaniały samochód i wyszło z niego kilku czerwonych oficerów. Siedzieli czas dłuższy u komendanta obozu, majora Misiewiczza. Był on żonaty z Polką i na wiele rzeczy patrzył przez palce, przyszedł do nas z obozu w Połędzie. Rosjanie wezwali na rozmowę aspiranta Baumana, który był, o ile pamiętam, w wydziale śledczym powiatu głębockiego. Proponowano mu współpracę. Musieli mieć w rękę dość wiadomości o nim, bo chłop wyszedł z tej pogawędki błady i nie chciał nic mówić. Później koledzy Baumana z obozu w Kozielsku wyrażali się o nim niezbyt pochlebnie. Zapomniałem nazwisko drugiego oficera, któremu bolszewicy z kolei proponowali powrót do rodziny, oddanie z powrotem części majątku itd. Dziwili się bardzo, kiedy odmówił.

Od tego dnia począwszy często było u nas widać samochody sowieckie, które przyjeżdżały po prowiant. Wielu wymknęło się przy tej okazji z obozu, bo żołnierz litewski nie śmiał protestować albo też udawał ślepego, gdy ktoś chyłkiem pakował się na sowiecką ciężarówkę. Moskalom zaś było wszystko jedno, pozwalali na to i wywozili ludzi, aby robić przykrość Litwinom. Rozmawialiśmy często z rosyjskimi szoferami. Opowiadali, jak im kazano, niestworzone rzeczy o tym, jak dobrze jest w Rosji i skarżyli się na oszustów sprzedających im popsute zegarki.

W początku lipca znowu przyjechali Rosjanie i po krótkim pobycie zniknęli. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy wkrótce przybyło kilka ciężarówek z żołnierzami sowieckimi, którzy stanęli naokoło budynku tuż poza wartownikami litewskimi. Był to zupełnie inny oddział niż te, które dotąd widzieliśmy; mieli porządne ubrania i dobre uzbrojenie, dużo karabinów maszynowych. Z dala wyróżniali się swymi niebieskimi okrągłymi czapkami. Tak poznaliśmy się z oddziałami Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, zwanego w skrócie NKWD. Służbę wartowniczą ci żołnierze pełnili z dużą gorliwością, wartownik stał bez ruchu na jednym miejscu, trzymając często karabin na „gotuj broń”. Zmiany chodziły gęsiego, szybkim, drobnym krokiem. Zatrzymywali bardzo głośno, a gdy ktoś zbliżał się do drutów, podnosili broń do ramienia grożąc strzelaniem. Teraz naprawdę nie można było uciekać. Śmieszne było, jak Litwini poczęli naśladować sowiecką musztrę i usiłowali pokazać swoje wojskowe wyszkolenie. Niewiele to pomagało, każdy wiedział, jakie są z nich dziady. Jeden czytał gazetę, a drugi golił się na posterunku, a trzeci odłożywszy karabin strzelał z floweru do wróbli.

Wiedzieliśmy już o rychłym wyjeździe. Rozsprzedano sklep i rozdano bibliotekę. Ci, co mieli lity, martwili się, co z nimi począć. Robiono zapasy żywności, co szło z trudem, bo komunikacja z miastem urwała się i kupcy kalwaryjscy, przeważnie Żydzi, nie chcieli przyjmować litów. 12 lipca Litwini odebrali rzeczy, które od nich otrzymaliśmy, jak prześcieradła, miski, sienniki. Sprawdzali przy tym wszystko, czy zgadza się ze spisem, co zajęło całą noc i w rezultacie wielu nie zdążyło oddać tych gratów i zostawiło je na salach.

Major Misiewicz żegnając się z nami kilkoma, których złapał w sklepie, życzył nam szczęśliwego powrotu do ojczyzny. Zakończył słowami, że nasz los jest teraz jednakowy „dziś was wywożą, jutro mogą się do nas zabrać”. Nie mylił się, wielu oficerów litewskich poszło tym samym szlakiem i w niewielkim nawet odstępie czasu po nas, jego samego podobno w rok później widziano w którymś z obozów koncentracyjnych w Archangielsku.

W drodze do Rosji

18 lipca 1940 roku wywieziono nas z Kalwarii. O godzinie wpół do szóstej zarządono zbiórkę na boisku i odbył się apel. Litwini często urządzali sprawdzanie stanu, lecz pożyczaliśmy sobie ludzi z kompanii do kompanii, więc nigdy nie wiedzieli, ilu nas jest i kogo brak. Tym razem zrobiono to szczegółowo, według list przez nas samych sporządzonych. Wielu podchorążych podało przy tym swe prawdziwe nazwiska, my z Jurkiem Czarneckim nie zdążyliśmy. Wyszedł na jaw brak około czterdziestu oficerów, część z nich uciekła już dawno, a część w przededniu objęcia straży przez bolszewików. Działo się to za cichą zgodą Misiewicza, który miał powiedzieć: „Wszystkich wypuścić nie mogę, ale jeśli ktoś był zaangażowany w pracy mogącej szkodzić Sowietom, będzie mógł wyjść”. Sporo oficerów policji znikło więc z początku lipca, między nimi aspirant Cichocki, kierownik wydziału śledczego w Mołodecznie, znany ze spraw antykomunistycznych i wspominany przez radio mińskie.

Odbyła się pobieżna rewizja poprzedzona przemową oficera grożącego surowymi konsekwencjami, jeśli ktoś zatrzyma nóż, brzytwę czy inne jakieś ostre narzędzie. Rzeczy spisano, spakowano, zdaje się, że dowódcy kompanii dostali kwity, co na wiele się nie zdało, bo nie ujrzelśmy ich więcej. Myśmy z Jurkiem nie oddali swych szczyryków, na wyrzucenie jest zawsze czas, a jak krajać chleb w drodze?

Dość długo marudzono przy przekazywaniu nas bolszewikom. Ustawiono nas grupami po 48 i poszliśmy w stronę miasta. Ta sama procedura z małymi urozmaicheniami odbyła się we wszystkich obozach na Litwie w czasie od 13 do 15 lipca, jak na przykład w Wyłkowyszkach, gdzie żołnierz litewski korzystając z zamieszania chciał zabrać jakiemuś policjantowi harmonię, z czego wynikała awantura i bijatyka. Wmieszali się w to bolszewicy i instrument pozostał przy właścicielu.

Przed przejściem bramy obozu rosyjski dowódca eskorty wygłosił sakramentalne ostrzeżenie, którego potem nauczyliśmy się na pamięć, a które tak wielu ludzi w Rosji również umie na pamięć. Szag w prawo, szag w lewo, konwój budiet primieniat oru-żje bez predupreżdjenja. Panialil (Jeżeli ktoś wyjdzie krok w prawo albo w lewo, konwój użyje broni bez ostrzeżenia. Zrozumieliście?). Ponieważ rzeczywiście wielu nie zrozumiało, wyciągnęli tłumacza, który powtórzył ostrzeżenie po polsku. Później w Rosji na pytanie Paniatnol zawsze odpowiadaliśmy zgodnym chórem „Nie”, choć każdy obudzony w nocy potrafiłby powtórzyć tę formułę bez zająknięcia. Zawsze jednak bolszewicy cierpliwie czekali, aż tłumacz skończył swoje i wtedy dopiero kolumna ruszała. Było to pierwsze zdanie rosyjskie, jakiego się nauczyłem.

(...)

W małych towarowych wagonach obliczonych na 40 było nas 48. Rzeczy i tych ośmiu dodatkowych ludzi wydaje się być niewiele, jednak było ciasno i duszno, drzwi były pozamykane, a okna w tych wagonach są niewielkie. Jechaliśmy powoli, w Kownie dołączono do naszego transportu internowanych z tamtejszych fortów, gdzie byli oni bardziej izolowani niż my.

Po drodze było widać sporo żołnierzy sowieckich — obsadzili Litwę mocno. Na postojach było szczególnie gorąco, nie pozwalano wyglądać przez okienka i jeżeli ktoś wychylił głowę, zaraz mu wartownik podsuwał pod nas długi szpikulec bagnetu z odpowiednim wrzaskiem jako objaśnienie.

Była głucha noc, kiedy podjeżdżaliśmy do Wilna. Mieliśmy uciekać, lecz na szczęście Jurka Czarneckiego tak rozboleł brzuch, że nie mógł się wprost ruszyć i musiałem czekać aż mu przejdzie.

W Wilnie staliśmy na moście kolejowym naprzeciw bramy, na stacji mimo nocy było wiele ludzi. Spostrzegli transport i poczęli się zbliżać, lecz Moskale nie dopuszczali blisko. Ktoś z wagonu krzyknął jedno słowo „Kalwaria” i już wiadano potem w całym mieście o naszym przyjeździe. Tu na stacji kobiety płakały, mężczyźni patrzyli ponurym, tępym wzrokiem w poczuciu bezsilności. Robiło się szaro, gdy mijaliśmy Kolonię Wileńską. Mój Jurek miał się całkiem dobrze, więc wybieraliśmy się do Wilna. Ja wysunąłem się pierwszy przez wąskie okno. Podano mi worek z rzeczami. Długo nie mogłem znaleźć oparcia dla nóg, aż wreszcie zaczepiłem o jakiś pręt z boku wagonu. Jechałem tak jakiś czas trzymając się lewą ręką okna, w prawej miałem rzeczy. Nikt z konwoju na szczęście nie dostrzegł mnie dotąd. Skoczyłem w prawo przewracając się do rowu biegnącego wzdłuż toru. Przywarłem do ziemi bez ruchu. Pociąg mnie mijał. Spojrzałem na oddalający się wagon, z którego powinien teraz skakać Jurek.

Któryś z kolegów rzucił w ślad za mną płaszcz zostawiony w pośpiechu, ale zamiast go zsunąć wzdłuż ściany wagonu, cisnął zwinięty w tobołek daleko w stronę drutów telegraficznych. Płaszcz rozwinął się, zafurkotał i opadł powoli na trawę. Któryś z żołnierzy sowieckich spostrzegł tę operację i wystrzelił.

Teraz dopiero zaczęła się zabawa. Żołnierze konwoju, a na każdym siedział jeden, poczęli strzelać w powietrze na wyścigi. Pociąg stanął. Niektórzy z bolszewików, a raczej większość, nie czekała na to, lecz skakali w biegu na obie strony. Jeden o mało nie wpadł na mnie — nie było na co dłużej czekać. Uskoczyłem w bok. Nie ubiegłem jednak kilkunastu kroków, kiedy zorientowałem się w beznadziejności sytuacji. Przede mną było otwarte pole a na nim już byli Moskale, ci co skakali w biegu. Z tyłu pociągu puszczono psy i trzeba było kapitulować. Długo potem zastanawiałem się, jakim sposobem konwojenci zdolali zabiec mi drogę i znalazłem tylko jedno rozwiązanie — mnie droga wypadła pod górkę, oni zaś pobiegli przez mostek przejazdu i od razu znaleźli się na polu. Całość ich akcji miała charakter dobrze wyreżyserowanego i wielokrotnie powtarzanego przedstawienia.

Historia nie przedstawiała się wesoło, kiedy zawróciłem. Dopiero teraz spostrzegłem, że strzelają do mnie. Najbliżej, bo o kilkanaście kroków, zatrzymał się podoficer i walił z nagana. Położyłem się na ziemi. Leżąc widziałem, jak jeden z bojców, tak się nazywają, celował do mnie z dachu. Zrobiło mi się nieswojo, tak głupio chyba się czuje tonący.

Kiedy strzelanina umilkła, wstałem i słuchając rozkazów podniosłem ręce do góry. Chciałem wziąć swoje rzeczy, grozili jednak użyciem broni. Nie podchodzili do mnie, dopóki nie zebrała się ich gromada, a wtedy skoczyli razem i zaczęli bić kolbami. Kazali mi się położyć na ziemi. Nie chciałem. Podstawiono mi więc nogę i trzepnięto kolbą rewolweru po głowie. Upadłem. Na szczęście nadbiegł oficer i zabronił bicia. Prowadzono mnie do wagonu. Gdy tylko oficer odwrócił się, znów dostałem kolbą. Tym razem podniosłem krzyk, a że reklama zwykle pomaga skończyło się na kilku przykładach, krzyczałem oczywiście więcej niż to było warte.

Był już jasny dzień. Przyjrzałem się dobrze tym enkawudzistom. Boże, co za twarze! Mogliby ludzi straszyć samym tylko wyglądem. Byli wściekli na mnie i kłęli ile wlaźło. Wyróżniał się feldfelbel, który dowodził tą częścią konwoju, gdzie był nasz wagon. Małe zamieszanie powstało przy pakowaniu mnie do wagonu. Twierdziłem, że jestem spod numeru 38, żołnierz, który podniósł mój płaszcz, patrzył złym wzrokiem i dowodził że z 39. Zamieszanie powiększyli towarzysze mego wagonu, bo siedzący przy drzwiach nie wiedzieli o mojej ucieczce i zaparli się mnie. Stopniowo sprawa się wyjaśniła i znalazłem się ponownie między kolegami, z tą różnicą że bez rzeczy. Co do Jurka, to wyłąził przez okno, kiedy zaczęła się strzelanina, musiał więc wrócić. Podchorąży Kózko, student medycyny, pierwszy zauważył krew na moim ramieniu. Kula porwała mi ubranie rozcinając lekko skórę, na głowie miałem sporego guza od kolby rewolwerowej, czapkę przestrzeloną i to był mój cały zysk.

Gdy pociąg się zatrzymał, wezwano mnie przed oblicze komendanta transportu. Pytali o nazwisko. Podałem według litewskiej listy — Beck. „Kto pomagał w ucieczce?” Mówię, że nikt. Uwierzono mi łatwo, była to częściowo prawda. „Dokąd uciekałem?” „Do Wilna”. „Czy mam tam znajomych?” „Nie”. „Gdzie rodzina?”. Tego pytania nie zrozumiałem. Musieli powtarzać. Powiedziałem prawdę, że w Warszawie. Na zakończenie major sowiecki chciał wiedzieć, dlaczego uciekałem. Było to głupie pytanie. „Nie chciałem jechać daleko do Rosji”. „A to”, wtrącił adiutant, wskazując na obandażowaną głowę „uderzone o szynę”. Zgodziłem się z tym.

Pogadali coś między sobą i zakonkludowali. „Drań, żeby to był strzelec, to by nie uciekał, ale że oficer to swołocz próbował. Mogli cię przecież zastrzelić”. Wzruszyłem ramionami.

Na następnym postoju otworzono gwałtownie wagon i podoficer sowiecki wskoczył z rewolwerem do środka. Dwóch żołnierzy z karabinami stało przy drzwiach. Wywołano mnie na środek i kazano przejść wszystkim na lewą stronę wagonu. Ja miałem iść na prawo. Nie bardzo się śpieszyłem, bo ich zachowanie nie wróżyło nic dobrego. Popchnęli mnie w róg wagonu, potem drugiego, trzeciego... Po prostu liczyli, czy wszyscy są.

Porucznik Sawicki, który obudził się w tym momencie i zobaczył przed sobą rewolwer przy akompaniamencie liczenia, dostał jakiegoś histerycznego ataku. Rzucił się z krzykiem w przeciwległą stronę wagonu. Zdawało mu się, że co dziesiątego będą rozstrzeliwać. Człowiekowi nagle zbudzonemu różnie się troi w oczach.

Takie sprawdzanie połączone z bieganiem wartowników po dachu i opukiwanie ścian kolbami odbywało się cztery razy na dobę, zdaje się przy każdej zmianie warty.

Był jeszcze dzień, kiedy przyjechaliśmy do Mołodeczna. W wagonach nie było ustępów i tu po raz pierwszy wypuszczono nas dla załatwienia się. Nie pozwolono daleko odejść, lecz zmuszono sprawę załatwić na ścieżce wzdłuż toru. Żołnierze sowieccy stali z karabinami na „gotuj broń” nad długim szeregiem ukucniętych postaci. Na stacji było pełno ludzi.

Następnego dnia uciekło z transportu pięciu. Kilku podobno raniono. Pociąg zatrzymywał się kilka razy i strzelaniny trwały długo. Porucznik Jentys, będący w tym czasie w Wilnie, opowiadał później, że Moskale zarządzili alarm całego batalionu i szukali tych pięciu zbiegów z psami. Niektórych z nich zastrzelono.

(...)

Po przejechaniu granicy rosyjskiej widziało się wszędzie biwakujące wojsko, jakby koncentracja, lecz na takiej przestrzeni aż do Smoleńska? Nie mogliśmy tego zrozumieć. Dniem było teraz piekielnie gorąco i w dodatku męczyło nas pragnienie. Wody nie było. Wreszcie zaczęły padać deszcze i ku naszej radości ochłodziło się trochę. Najbardziej spragnieni próbowali złapać wodę spływającą z dachu do dekli, lecz niezbyt to się udawało, bo Moskale nie dawali kłując menażki bagnietami.

(...)

16 lipca przed wieczorem przybyliśmy do Kozielska.

Wśród politruków

(...)

Koło południa zjawił się kapitan politruk, starszy człowiek o bardzo pocziwej twarzy i niezwykle głupi, nie orientował się zupełnie, kiedy z niego kpiono. Zachęcił nas do słuchania swoim wstępem, obiecując powtórzyć komunikat radiowy. Mówił o upadku Francji i o tym, że Francuzi idą na ugodę z Niemcami do tego stopnia, że wspólnie bombardują Gibraltar. Ile w tym było prawdy, trudno było dociec. Po objaśnieniu znaków szarż politruk ów począł mówić o rozbudowie przemysłu po rewolucji w Rosji, klepiąc się przy tym po brzuchu.

W tym obozie, który okazał się przejściowym, byliśmy dzień i 18 lipca rano przy zwykłych środkach ostrożności przerzucono nas setkami do innego dużego obozu. Konwojenci krzyčili poganiając nas tak jak i ich poprzednicy, lecz nie klęli.

W zachodnim rogu obozu stał duży murowany dom. Zatrzymano nas przed bramą i wpuszczano po kilkunastu do podłużnej ciemnej sali, gdzie odbywała się rewizja. Rewidenci ubrani w fartuchy przetrząsali nasze tobołki, zabierając w depozyt złote pierścionki i zegarki, nie trzeba dodawać w depozyt bezpowrotny.

Rozbierano nas do naga, konfiskując noże, brzytwy, żyletki, gwoździe, a nawet igły. Nie wiedzieli jednak o istnieniu w naszych mundurach kieszonki na opatrunki osobiste, która mieściła się u spodu prawej klapy od wewnątrz, dzięki czemu uratowaliśmy sporo cennych rzeczy. Zły byłem wtedy na podchorążego Poskrobkę, który obawiając się rewizji w Mołodecznie wyrzucił po drodze ^ój nóż z wagonu, bo nóż w obozie to skarb. Szczęśliwie Jurek Czarnecki uratował swoje małe nożyczki, więc było czym obcinać paznokcie.

Zdziwiła nas konfiskata kart. Okazało się, że w Rosji nie wolno grać w karty. Ludzie oszukują się przy grze, kłóćą, z czego wynikają bójk i awantury, tłumaczył nam politruk. Spotkałem raz tylko sowieckiego oficera, który chwalił się, że umie grać w brydża. Więźniowie w sowieckich obozach znają tylko „21”.

Gorliwość rewidentów była posunięta tak daleko, że darli nawet talie kart i cała sala była pokryta strzępami.

Początkowo mieszkaliśmy w drewnianym bloku 9, obfitującym w niesłychaną ilość pluskiew. Prycze miały trzy piętra, a że przejście między nimi było wąskie, na najniższym było zawsze ciemno. My, najmłodsi, mieszkaliśmy najwyżej. Obok nas spał kapitan Łabanowski z synem, naszym rówieśnikiem, znaliśmy go jeszcze z Kalwarii.

Dostaliśmy miski do jedzenia, chyba ze 25 cm w średnicy i z 10 cm głębokości, można w nich było myć nogi. Wydano też łyżki. Co jak na Rosję jest wydarzeniem wyjątkowym.

W krótkim czasie po przybyciu poszliśmy do łaźni. Nie było tam Prysniców, a tylko krany z gorącą i zimną wodą, zawsze obleżone przez namydlonych golasów i trzeba było czekać, aby nabrać wody do blaszanej miednicy — rzecz wcale nie zabawna w zimie.

Nasi fryzjerzy na rozkaz bolszewików ostrzygli wszystkich na Pałę. Lekarz major Aleksandrowicz chodził między nami, kiedy się ta operacja odbywała na trawie przed łaźnią i pocieszał nas, że to higienicznie.

Przed łaźnią stały dwa zielone blaszane piece dezynfekcyjne. Obsługujący derkamerę wieszał ubranie, które należało mu oddać przed kąpielą, na prętach i pilnował, aby temperatura pary doszła do kilku stopni. Trwało to dość długo i trzeba było po wykąpaniu czekać na otwarcie dezynfektora, aby dostać z powrotem pożółkłą i gorącą odzież. Kilku nieostrożnych poparzyło się metalowymi kółkami przy zdejmowaniu z nich mundurów.

Kąpaliśmy się przeciętnie co dziesięć dni i zawsze zabierano ubranie do dezynfekcji, to też po niecałym roku najmocniejsze koszule się darły, a mundury zmieniały w strzępy. Trzeba przyznać, że

wszy w większości wytępiono. Bardzo się bolszewicy dziwili, kiedy słyszeli, że w Polsce dezynfektor jest rzadkością.

Karmiono nas gorzej niż na Litwie. Wszystko gotowano na roślinnym oleju, jaki u nas się używa do nasycania materiałów. Rzadka zupa z suszonych kartofli, jedno wiadro, i miska kaszy na dziesięciu — to był obiad. Na śniadanie też zupa, na kolację herbata. Chleba wilgotnego i źle wypieczonego dawano 800 gramów i dość często śledzie, czasami dobre, czasami zgniłe. Raz wybuchła z tego powodu awantura. Dyżurny nie chciał wziąć zepsutych śledzi. Zawołano lekarza. Zanim ten przyszedł, zjawił się zastępca komendanta obozu i dowiedziawszy się o co chodzi, sam postanowił sprawdzić. Jakież było nasze zdumienie, kiedy zjadł jednego śledzia nie obierając go zupełnie, a potem wziął drugiego i oświadczył, że są wyśmienite. Tymczasem z otwartej beczki śmierdziało niezachęcająco. Zdziwił się też Moskał, gdy nikt nie chciał go naśladować.

Raz na miesiąc wydawano cukier, mydło i machorkę. Oficerowie otrzymali 900 gramów cukru i okrągłe kolorowe podłe mydło, szeregowi 600 gramów cukru i miękkie szare mydło pełne piasku. Wszystkim dawano pięć paczek machorki i dwa pudełka zapalek.

Ciekawa była gradacja, jaką bolszewicy wprowadzili wśród nas. Majorów na przykład umieszczono razem z księżmi w małym budynku, gdzie mieli małe pokoiki i łóżka. Policję trzymano osobno. Po naszym wyjeździe z Kozielska zorganizowano dla oficerów oddzielną kuchnię. Opowiadali mi później żołnierze ze Zwiahła, przez który to obóz przeszli nasi żołnierze więzieni na Ukrainie, jak tam traktowano naszych oficerów, jak któregoś dnia kazano im nocować w chlewie i nie szczczędzono przy tym drwin.

Nas wszystkich podchorążych — było nas około dwustu — zgrupowano w jednym budynku w południowej stronie obozu. W tym nowym lokalu pokoje były niskie i prycze posiadały tylko jedno piętro. Moja dziesiątka miała szczęście, mieszkaliśmy w holu naprzeciw schodów, gdzie był głośnik, zwany przez Rosjan „punktem radiowym”, i słyszało się zawsze tę samą jedną lokalną stację. Słuchaliśmy codziennie komunikatu, podawano wiadomości z Berlina, jak i z Londynu, co pozwalało na zorientowanie się w sytuacji. Tak zacząłem się uczyć rosyjskiego. Początkowo pomagał mi inżynier Smoleński, dawniejszy sąsiad z 9 bloku, który chodził z moim ojcem do gimnazjum Rychłowskiego to Warszawie. Pułkownika Gaładyka, również kolegę mego ojca Wywieziono z obozu do więzienia i nie miałem sposobności pogadać z nim. 6 sierpnia wywieziono też pułkownika Dąbrowskiego, który prowadził jakiś czas partyzantkę na Wileńszczyźnie. Spodziewał się tego, lecz zwykle mawiał: „Najwyżej mogą mnie zabić. Wyprawiłem ich wielu na tamten świat, teraz przyszła i na mnie kolej”.

Spotkaliśmy w obozie wiele śladów po naszych poprzednikach. Jeszcze na wiosnę tego roku była tu spora grupa naszych oficerów. Wyjeżdżali partiami po dwustu w kilkudniowych odstępach. Jak pisali na ścianach „w niewiadomym kierunku po sześciomiesięcznym pobycie”)...

(...)

Wyjechaliśmy z Kozielska po sześciu tygodniach. 17 sierpnia Przyszedł politruk i odczytał długą listę nazwisk, ponad sto. Czym się kierowało przy wyborze, nie udało się nam dociec. Brano ludzi w różnym wieku, z obu zaborów, nie podług dziesiątek, ani też z listy, zdaje się po prostu na chybił trafił.

W następnej turze 21 sierpnia wyjechała reszta podchorążych, cywili pozostawiono w obozie. Rozłączyłem się z Jurkiem Czarneckim, który został razem z inżynierem Wigurą i Jankiem Łabanowskim.

Procedura opuszczenia obozu była jak normalnie w Sowietach. Najpierw nas izolowano od reszty zamknąwszy w kinie, obstawionym wartownikami. Dostaliśmy trochę prowiantu, cukru, chleba i nieodłącznych śledzi — wyglądało więc na niedługą podróż. Następnie zaprowadzono nas do murowanego domku na rewizję, gdzie oficer sprawdzał identyczność osoby z fotografią naklejoną na arkuszu ewidencyjnym. Rewizja odbywała się w dużej ciemnej izbie. Odbierano, jak zawsze, noże, brzytwy i wszelkie metalowe przedmioty, jak również ołówki. Zabrali mi paczkę igieł, których nie zdążyłem schować. Kruszewski przemycił swe obciążki ukryte w fałdach prześcieradła.

Po raz ostatni spojrzeliśmy poza siebie na mury i stare baszty Kozielska, żegnał nas z dala tłum pozostających machając rękami. Jechaliśmy w nieznaną małymi partiami, tak jak przed pół rokiem jechali stąd nasi oficerowie będący w niewoli.

Obóz w Juchnowie

(...)

Czekaliśmy dość długo zanim doczepiono nas do pociągu. Na suficie wagonu znaleźliśmy rosyjskie nazwisko z informacją, że „wieziono nas do więzienia w Moskwie”. Teraz było zrozumiałe, dlaczego zabrano nam ołówki. Podczas jazdy zabroniono nam mówić. Przed drzwiami każdego przedziału siedział żołnierz i krzychał, ile razy ktoś usiłował coś powiedzieć. Do ustępu wyprowadzano pojedynczo, pilnując cały czas. Żołnierze NKWD nie wdawali się w rozmowy, a nazwy stacji nic nam nie mówiły

— nie wiadomo więc było dokąd nas wiozą. Wobec braku wody, nie jedliśmy śledzi, oddaliśmy bojcowi całą paczkę, aby wyrzucił

— początkowo nie chciał, wreszcie zabrał je w tę stronę wagonu, gdzie jechała eskorta. Dla żołnierzy NKWD wagon był stałym domem, zmieniali się tylko pasażerowie za kratami.

Jechaliśmy tak dwa dni stając na każdej stacji, wiele razy przyczepiani do innych pociągów; po tych dwóch dniach ujechaliśmy 70 kilometrów. Było to bodaj normalne tempo dla podobnych wagonów, przekonaliśmy się później, że nasza trzydniowa podróż z Litwy do Kozielska była swego rodzaju sowieckim rekordem szybkości.

Wreszcie zorientowaliśmy się w kierunku, wracaliśmy tą samą drogą, którą przybyliśmy, i dopiero na stacji Suchiniczy skręciliśmy w stronę Moskwy. 23 sierpnia zatrzymano nas na małej stacyjce Babinin. Tu powtórzyła się procedura ładowania na maszyny — tak się oficjalnie nazywa samochód w Rosji. Kobiety prowadzące wozy jechały szybko i nieostrożnie, nie zważając na wyboje. Nasz wóz przejeżdżając mostek, trzymający się chyba na słowo honoru, zrzucił dwie belki, lecz nikt się nie zatrzymał dla naprawienia szkody.

Nowe miejsce pobytu nazywało się Juchnow, była to nowa nazwa. Bolszewicy dokładali starań, aby ukryć przed nami fakt, że dawniej to miejsce nazywało się Pawliszczew Bor, co dowiedzieliśmy się

później od poprzedniego turnusu tu przebywającego, naszych żołnierzy-jeńców wywiezionych stąd na Ukrainę.

Wprowadzono nas w wąską uliczkę, po obu stronach były mury, a tam gdzie w Europie są chodniki stały podwójne rzędy drutów kolczastych. Na prawo i na lewo wznosiły się budki wartownicze narożne, jednym słowem więzienny komfort.

Weszliśmy do parku, w którym stał ładny pałacyk, a na schodach grupa enkawudzystów. Siedzieliśmy dość długo między pięknymi, starymi drzewami, podczas gdy w obozie gotowano się do naszego przyjęcia. Wróciliśmy przez główną bramę, aby przejść na drugą stronę ulicy w rejon właściwego obozu. Mile zaskoczył nas na wstępie widok małego stolika, na którym leżały drobiazgi zabrane przy wyjeździe z Kozielska. Każdy podchodził i zabierał swoją własność.

Rewidowano nas w małym domku po kilku. Tym razem dla odmiany zabierano nam pieniądze: lity, polski bilon i banknoty; jeżeli napotkali większą sumę, wydawali pokwitowanie. Udało mi się przemyścić zbiór monet litewskich, choć miałem kupę tego srebra. Rewidujący mnie żołnierz, znalazłszy pieniądze, odłożył je na bok i po przetrząśnięciu kieszeni oddał wskazując stół, gdzie powinienem je złożyć. Udałem naiwnego i podszedłszy do stolika zapytałem, czy będą spisywać ewidencję. Sądziли, że robię to z nadmiaru gorliwości i kazali mi wyjść. Kolegom konfiskowali fotografie pytając kogo przedstawiają, mnie nie mieli co — wszystkie rzeczy zostały pod Wilnem.

(...)

Spotkaliśmy w obozie kolegów z Litwy, internowanych żołnierzy z Wiłkomierza, Wyłkowyszek i fortów kowieńskich.

24 sierpnia mieliśmy łaźnię, jedną jaką widziałem w Rosji z prysznicami, i to jak się okazało wykonanymi przez naszych żołnierzy, którzy tu byli przed nami. 25 sierpnia uszeregowano nas podług województw, nie wiadomo po co i w nowych dziesiątkach wróciliśmy do baraków.

1 września 1940 roku, niedziela. To już rok. Pokazują nam film, znów o kotłochozach, wszyscy są dzisiaj tym zdenerwowani. Później piękne zdjęcia z Kaukazu — czy tam strzegą granicy równie pilnie jak w Polsce? Tam, gdzie na prusko-polskiej granicy rok temu na posterunku było siedmiu ludzi straży granicznej, mówi Kalinka właśnie z tej straży, dzisiaj stoi pluton piechoty, pluton kawalerii i czołgi.

2-go w poniedziałek był występ chóru, orkiestry i solistów. Jakoś tu się prędzej zorganizowano niż w Kozielsku.

5 września, czwartek. Pokazano film amerykański Wielki walc. Nasza kompania na nr 22, podchorążych spod zaboru sowieckiego nr 23. Moskale się denerwują słysząc wyrażenie „zabór niemiecki” i „zabór sowiecki”. „Nie myślcie o powrocie do domu” mówią, „chyba, że się wojna skończy i Polska Republika zrzuci jarzmo panów”. Myślą o siedemnastej republice sowieckiej. Z czasem zmieniają ton i będą mówili o powrocie do domu „ich” obywateli i wymianie tych spod zaboru niemieckiego.

7 września wyjechało coś ze 120 Łotyszy, to znaczy tych naszych, których Moskale znaleźli na Łotwie i uwięzili. Są to w porównaniu z nami bogaci ludzie, mają porządne walizki, ubrania i konserwy. Pracowali na Łotwie na wolnej stopie, chociaż pod pewną kontrolą. Zarabiali dużo pieniędzy, a waluta

jest tam droga. Przeważnie młodzi chłopcy, sporo lotników. Razem pracowali, razem się bawili, dużo w nich było życia i więcej zgrania niż u nas.

21 września. Czytam książkę Foerstera Niemcy a Europa. Niektórzy już zdobyli łotewskie konserwy.

24-go pracowaliśmy przy niwelacji w rogu obozu, gdzie jest radio. Dużo było śmiechu a mało roboty. Karmią nas zupą na peklowanym mięsie, najwyraźniej cuchnącym. Znaczący, jakich wszędzie wielu, kłóć się między sobą, jedna partia stwierdza, że to specjalny zapach konserw, inni zatykają nosy i nie chcą jeść; robi się to wszystko tylko dla formy.

25 września Pierwszy szron.

26 września Poczuli wyświetlać film, ale się popsło światło. Takich instalacji jak w Rosji nie ma na całym świecie, kable w wielu miejscach zwisają zupełnie nie zabezpieczone, izolacja marna, spięcia częste. Ale lampy oświetlające druty wokół obozu są zasilane z innego dynamo i mają mocne światło.

Niedziela. Przechodzimy do innego bloku, ongiś stajni. Budynek jest niski i wąski, lecz bardzo długi, z północną ścianą drewnianą, a południową murowaną. Prawa strona budynku jest o dwa stopnie niżej. Mamy teraz daleko do stołów, padał deszcz i niewygodnie nosić jedzenie. Na kolację była kasza i słodka herbata, dwa wiadra na dziesiątek. Chochelkę zrobiliśmy z pudełka od konserwy, jedna trzecia litra — każdy dostaje po dwa i pół czerpaka zupy. Kaszy wypada po trzy łyżki na osobę. Znowu wywieziono sześciu.

1 października. Przymrozek.

2 października. Mamy zbiórkę harcerzy.

4-go wielkie poruszenie w obozie z powodu otwarcia sklepu. Nikt z nas nie ma rubli. Sprzedają proszek do zębów i cukierki, na ogół skąpo z towarami w tym sklepiku.

8-go we wtorek pokazują film z życia Czajkowskiego. Z zagranicznych był niedawno znany nam obraz z Deanną Durbin Ich stu, ona jedna. Film ten przedstawia wielkie bezrobocie w Ameryce i dlatego przeszedł przez cenzurę sowiecką. Moskale chwalą się brakiem bezrobocia i że każdy pracuje dla państwa, a nie dla siebie.

9-go radio podało wiadomość o przybyciu niemieckiej i włoskiej misji do Rumunii.

15 października. Niemcy weszli do Rumunii już pięć dni temu. Co dwa tygodnie dostajemy po dwie paczki machorki i trzysta gramów cukru, jest to nasz środek płatniczy. Za pół porcji cukru można dostać dwie i pół paczki machorki. Stach Drzemczewski kupił książkę Wiosna grecka Waliszewskiej za pół paczki.

20 października, niedziela. Koncert. Bolszewicy cenzurują teksty piosenek, a nawet każą śpiewać rosyjskie, na razie bez skutku.

22-go spadł pierwszy śnieg.

24-go mróz, 4-10°. Pracujemy przy mieszaniu cementu. Mamy zbudować umywalnię. Każdy się niby zgadza, że to rzecz pożyteczna i robota idzie prędko, lecz naprawdę to się pracuje, bo nikt nie chce marznąć.

(...)

1 listopada 1940. Wszystkich Świętych. Mimo silnego mrozu myjemy się na dworze, lecz jemy już w dusznym budynku. Co dziesięć metrów stoją tam olbrzymie piece z cegły i chłopaki palą jak szatany. Dom nasz nazywa się już oficjalnie w języku obozowym stajnią.

3-go wzmocnili nam strażę. Dziś wartownicy stoją we wszystkich sześciu narożnych budkach, a dookoła krążą patrole z psami. Wzbudza to liczne domysły.

(...)

Rzucam niemiecki, którym się zajmowałem w zeszłym miesiącu i biorę się za rosyjski. Pozwolono nam dziś pisać listy. Nasz adres brzmi: „Moskwa. Skrzynka pocztowa II P 43”. Dziwić się będą w domu zobaczywszy, że mamy Pocztyj jaszczik do dyspozycji i to w Moskwie. Zarazem zapowiedziano, że listy przejdą przez cenzurę i że nie wolno pisać o miejscu pobytu.

Wracam do starej nazwy obozu. Dlaczego im zależało na jej ukryciu? Nawet na książkach powycierali z czołowych stronic pieczętki, cóż, kiedy ktoś, kto te pieczętki stawiał, poprzybijał je w środku na wielu stronicach. O to już nie dbał wycierający i stempel „Tubsanatorja Pawliszczew Bor” pozostał.

7-go wypada sowieckie święto. Błoto jak nigdy, pewnie nie uda się defilada w Moskwie. U nas uczczono uroczystość dając nam galaretkę na mięsie na kolację. Na bramie wiszą z obu stron flagi, a pośrodku sterczy duża gwiazda. Staliśmy właśnie przed bramą, kiedy trzech żołnierzy NKWD niosło flagę. Ktoś rzucił „Te, Franek, trzej królowie idą”. Szli naprawdę jak kołędnicy. Wszyscy ryknęli śmiechem, a ci stanęli nie rozumiejąc, co się stało. Mieli takie miny, że wywołało to ogólną radość i wszyscy ryczeli ze śmiechu jak opętani. Później politrucy robili dochodzenie, lecz do żadnego rezultatu nie doszli. 9-go posyłam pierwszy list do Mamy do Warszawy. W nocy był silny mróz, a później padał śnieg. Myjemy się nadal na dworze, nie takie to straszne, zawsze się zdąży uciec zanim mróz da się we znaki. (...)

6-go (stycznia - red.) wzywali kilku z nas do pierwszego bloku i wypytywali to samo co w Kozielsku, sprawdzając z poprzednimi zeznaniami. Liczyli na naszą krótką pamięć, jeżeli ktoś zmyślał. Komiczną przygodę miał podchorąży Poczobut z 23 kompanii. Odpowiadał po rosyjsku i doczepił do któregoś z wyrazów niepotrzebny dźwięk, co kiedyś było oznaką szyku w Rosji. Moskale to spostrzegli i zarzucili mu oszustwo twierdząc, że musi być oficerem. Poczobut, próżny człowiek, przeczył, ale był zadowolony, bo lubi się chwalić. Wzywano go też z tego powodu na badanie wielokrotnie. (...)

Na północ

6 czerwca o godzinie 4.30 zbudzono kompanie od 13 do 22. Według zwyczaju izolowano nas od reszty obozu i dziesiątkami szliśmy wymieniać bieliznę. Dano nam koszule z czarnego miękkiego materiału i onuce. Bardzo niewielu dostało również trzewiki. O godzinie 18 mieliśmy łaźnię i zarazem rewizję. Pozwolili zebrać noże do worka, żeby je zawieźć osobno. Fryzjer przemycił kilka brzytw w podwójnym dniu kuferka własnej roboty. Mnie żołnierz rewident wylał herbatę z manierki, żeby zobaczyć, czy czegoś w niej nie schowałem.

Okolo godziny 21.30, robiło się już ciemno, kiedy wychodziliśmy z obozu. Nasi Łotysze zebrali się przy klubie i poczęli śpiewać, co myśmy podchwycili. Politrucy musieli biegać dookoła „korpusu”, aby

dostać się do nich, bo ze strony bramy zagradzały druty kolczaste. Słysząc tam było jakieś krzyki, widać awantura. Śpiew w lesie zrobił duże wrażenie nawet na naszej eskorcie, słuchali w milczeniu nie przerywając.

(...)

7 czerwca. O godzinie 6.30 rano wchodzimy do wagonów. Po raz pierwszy odkąd podróżujemy pod rosyjską opieką jest dosyć miejsca, w małym wagonie jedzie trzydziestu pięciu, a w dużym siedemdziesięciu pięciu ludzi. Mam wspólną półkę z Jurkiem Szydłowskim, opowiada mi o Lublinie. Zwykłą rzecz koleją odczekaliśmy s*eść godzin „za bilet” zanim pociąg ruszył.

(...)

9-go wieczorem przejeżdżamy Bołogoje pod Leningradem. Tu widzieliśmy kilka kobiet ubranych we wspaniałe futra, jakich nie powstydzono by się w żadnej ze stolic europejskich. Był to ogromny kontrast w stosunku do tego, co się dotąd widziało. Są więc ludzie w Rosji żyjący na wysokiej stopie.

(...)

72-go w Boże Ciało minęliśmy tor do Kandałakszy. O godzinie 3 dostaliśmy się na zelektryfikowany odcinek linii i zmieniliśmy lokomotywę. Pociąg pędzi teraz z szybkością chyba 70 km na godzinę. Wjeżdżamy w góry, tor kręci i krajobraz zmienia się szybko jak na ekranie, mijamy coraz to inne zalesione grzbieity, to znów piękny wodospad i wielką elektrownię. Na jakimś dużym jeziorze stoi jeszcze lód i tylko przy brzegach odtajało, chociaż dzisiaj to już prawie połowa czerwca. W pobliżu Murmańska widać na szczycie ściętej góry małe lotnisko. Jak trudne musi być lądowanie na tak małej przestrzeni — a może to nam się tylko tak wydaje z pociągu.

O godzinie 17 przyjechaliśmy do Murmańska. Po drodze spotkaliśmy sporo białych wagonów-chłodni, przy nich leżały stopy drewnianych ramek, w jakich przewozi się duże pociski artyleryjskie, lecz pewnie te są na ryby mrożone.

Wyładowano nas na rampie węglowej. Kobiety z dużymi szuflami pracują przy węglu. Maszerujemy przez miasto — wygląda ono na jakieś dziesięć tysięcy, eskorta mówi o trzydziestu, a statystyka sowiecka podaje sto tysięcy. Drewniane domki są beładnie porzucane, baraki pokryte papą. Miasto zajmuje duży obszar, lecz nie widać tu żadnego planu, niewielka ilość olbrzymich budynków jest rozproszona i stoją one częstokroć skośnie do ulicy. Brak jest chodników i ulice są brukowane kocimi łbami, albo też i nie brukowane wcale. Błoto ogromne i miejscami kałuże tarasują ulice. Na niektórych murowanych gmachach widać pęknięcia ściągnięte klamrami, budowano je na pewno pośpiesznie w zimie, w czasie mrozów. Wiele domów robi wrażenie nie wykończonych, wnęki balkonów są pozabijane dyktą, w oknach deski zamiast szyb i blaszane kominy wychodzą przez nie. Weszliśmy w dzielnicę długich niskich baraków, między nimi stoją rzędy pootwieranych ustępów, wiele z nich w ogóle nie ma drzwi. Nie ma tu kanalizacji i woda z nieczystościami płynie wzdłuż ulic, zaduch okropny, zwłaszcza obok szpitala, który mijamy. Murmańsk jest dużą bazą na północy, lecz nigdzie nie widzieliśmy w Rosji tak nędznego miasta.

Przechodnie niewiele się nami interesowali z wyjątkiem dzieci. Jakiś człowiek zaczął nam co prawda wymyślać, lecz nagle zamilkł, gdy się dowiedział, że nie jesteśmy Niemcami. Szliśmy wzdłuż toru kolejowego, który biegnie poza miastem na wysokim nasypie. Trzeba było schodzić w dół i znowu

drapać się pod stromą górę. Dręczyło nas pragnienie i niektórzy pili wodę z błotnistego strumyka. Mijaliśmy druty dużego obozu, poza którymi było widać mężczyzn i kobiety, niektóre z dziećmi na rękach, mali chłopcy czepiali się drutów wołając coś do nas. Były to wsie ukraińskie wywiezione do przymusowej pracy, tu ich używano zdaje się do sypania nasypów kolejowych.

(...)

Nie ma gdzie spać, część idzie grać w karty, a my łazimy szukając, gdzieby się przytulić, wreszcie lokujemy się na jakimś strychu. Rano na nasze miejsce przychodzi ci, co grali, a my grzejemy się na słońcu. Dzień różni się tu od nocy tym, że jest trochę cieplej, słońce zachodząc dotyka tylko horyzontu, chowa się na chwilę, przez godzinę jest szarawo i znów słońce się wynurza.

13 czerwca. Dają nam jeść dwa razy dziennie. O 5 rano na śniadanie pół litra zupy, o 12 gorącą wodę i o godzinie 5 po południu znów pół litra zupy, a czasem trochę kaszy. Raz dziennie fasują porcję chleba i dwie kostki cukru. Jesteśmy głodni, lecz gorsze jest czekanie na posiłek, kiedy zbliża się piąta, przed kuchnią zbierają się tłumy i trzeba czekać dwie godziny w ogonku, aby oddać kartkę w okienku i dostać rację.

14 czerwca Otworzyli dziś sklepik, ceny pięć razy wyższe niż w Juchnowie. Nie chcieliśmy dziś pracować z racji niedzieli, zjawili się Moskale z karabinami i zaczęli ładować broń. Grozili strzelaniem, była wielka awantura, w końcu poszliśmy zasypywać błoto ziemią i niwelować obóz. To nasi „inżynierowie” jak ich nazywamy, żeby się przypodobać bolszewikom, pobiegli do nich z planem niezbędnych robót...

Obóz nasz nazywa się „punktem przejściowym”. Zastaliśmy tu jeszcze kilkunastu więźniów Rosjan, należących do stałej obsady obozu. Dzielą się oni wyraźnie na dwie grupy, pierwsza licząca zaledwie kilku ludzi ma nowe watowane ubrania i przy każdej okazji pod niebiosa wychwala Staliniowską konstytucję i ustrój sowiecki. Trudno uwierzyć jednak w ich szczerość, jeden z nich posiada rewolwer, co dowodzi że jest tylko przebrany enkawudzistą.

(...)

Każdy z Rosjan zapytany dlaczego tu jest, odpowiadał, że go wtrącono chyba przez pomyłkę, bo jest niewinny. Ale powoli rozgadali się. Mały chłopak mający może czternaście lat był tu już po raz drugi za kradzież zegarka. Stary wieśniak, który opowiadał o życiu w kołchozie, dostał się za „przeciwpaństwową agitację”, ponieważ wyraził swe niezadowolenie z powodu organizacji kołchozu.

(...)

Zaraz po przybyciu do obozu zdarzyło się kilka kradzieży. W jednym wypadku bolszewicy zdołali odszukać i odebrać od więźniów długie buty, dziwili się przy tym naszej lekkomyślności, jak to wieszaniu zegarka na gwoździu, czy też pozostawianiu rzeczy bez opieki.

Drogą ponad obozem idą ciągle transporty wojskowe. Patrole myśliwskie po dwa samoloty krążą stale nad Murmańskiem i zatoką. Są to samoloty typu Curtis zwane przez Moskale Katuszą. Latają dwadzieścia cztery godziny na dobę, zmieniając się jak wartownicy. W dzień widać również wodnopłatawce nad morzem.

Przyjechała następna grupa z Kozielska — straż graniczna i policjanci. Jakoś zaplątał się z nimi Jurek Czarnecki i znów jesteśmy razem.

Podobno stosunki rosyjsko-niemieckie uległy zaostrzeniu. Szczegóły są nieznane, nie ma tu radia ani gazet, listów też pisać nie wolno — jesteśmy zupełnie odcięci od świata. Urządziliśmy owacyjne przyjęcie za śpiewem naszym Łotyszom, kiedy ich wprowadzono do obozu.

Żołnierze, którzy nas pilnują, nie mają czerwonych czapek NKWD, to jakiś inny rodzaj, przeważnie byli więźniowie, którym dano do wyboru albo posadę strażnika, albo... dalszy pobyt w obozie. Wielu z nich przysłano tu za karę z pułków w głębi kraju. Ci strielki są z kolei pilnowani przez enkawudzystów, którzy tu się czują daleko bardziej panami i są o wiele bardziej skłonni do rozmów niż ich koledzy w Rosji. Kiedy mówiliśmy o wielkiej ilości obozów na północy, ktoś wspomniał, że wywiezione z Polski rodziny pewnie są w takich obozach, na co podoficer NKWD śmiejąc się zaprzeczył i powiedział, że rodziny są na wolności „Zresztą” dodał „czy ich tak dużo wywieziono”. Na naszą odpowiedź, że trudno by zliczyć, lecz w każdym razie były to masy, zapytał ile tam było ludności na tym obszarze Polski. Dowiedziawszy się że trzynaście milionów, wzruszył ramionami i powiedział: „ U nas więcej ludzi siedzi w więzieniach, niż ich tam macie w całym kraju. Kilka tysięcy mniej czy więcej nie ma znaczenia”. Nie wiem, czy trzynaście milionów ludzi siedzi w sowieckich obozach koncentracyjnych, ale przy samym torze kolejowym od Leningradu do Murmańska widziałem tych obozów kilkadziesiąt... (...)

Przez Murmańsk na Półwysep Kola

20 czerwca. Wczoraj słońce wcale nie zaszło. O godzinie 20 wychodzimy z obozu. Wielu Polaków przeszło już tym szlakiem od 1939 roku, zapewniali nas rosyjscy więźniowie. Mówili też o polskich oficerach, ale ich zdania były sprzeczne i nie bardzo się zgadzały z naszymi wiadomościami.

Najpierw nas liczą znacząc pałeczki na papierze, potem obejmuje nas nowa eskorta. Znowu NKWD. Oprócz zwykłego konwoju z boków idą grupki z ręcznymi karabinami maszynowymi, przechodząc z pagórka na pagórek, stale w pewnej odległości od kolumny. Oficer, dowódca eskorty, jedzie na chudym koniu. Tu przypomina się śmieszna historia z ostatniego obozu. Byliśmy zdziwieni widząc w pobliżu naszych drutów pracujące piękne, tłuste konie, jakich się nie widzi w Rosji. Wkrótce mogliśmy się im przypatrzeć z bliska — miały w grzywach albo w ogonach sznurki z plombami, na których był wyciśnięty litewski napis Szaulai, to jest Szawle. Nawet konie były zsyłane do pracy na północ z podbitych krajów! Tego samego dnia przypadkiem od szofera dowiedzieliśmy się o mobilizacji starszych roczników i zastrzeliliśmy politruka tą wiadomością. Koniecznie chciał dociec, skąd to wiemy. Ktoś się roześmiał i powiedział „to takie proste, u was wszystko można wiedzieć, na przykład” — tu wskazał na konie — „te konie przywieziono z Litwy”. Moskał patrzył z niemym zdumieniem, a gdy mu powiedziano, aby obejrzał plomby, jeżeli nie wierzy, kłął pod nosem. Śmiano się z jego głupiej miny.

Spotkany przez nas szofer Polak, po przyjeździe bolszewików do Polski, okazał wiele entuzjazmu dla nich i pracował na „do-9 brej posadzie”. Po jakimś czasie zwrócił się do swych przełożonych z prośbą o należyty mu urlop, a kiedy mu odmówiono począł narzekać, na porządki sprzeczne z umową zbiorową i przepisami tak święcie gwarantowanymi. Przysłali go więc do Murmańska aby ochłoniął.

(...)

Idąc cały czas szosą weszliśmy do Murmańska i około godziny 12 w nocy do portu. Mimo tak późnej pory było na ulicach dużo ludzi i dzieci biegających. Nie rozumiem nic, bo chociaż widno jest, ale przecież trzeba kiedyś spać. Nie spotykało się w Polsce, aby brzdące bawiły się o północy na chodnikach i ogonki stały przed sklepami jak tu.

Idziemy wzdłuż portu. Po prawej stronie otoczony drutem skład artyleryjski i stopy skrzyń z pociskami do dział, po lewej stronie olbrzymi aparat podłuchowy obraca się wolno w stronę północną i zachodnią. Patrole myśliwskie składają się teraz z trzech samolotów, oto jeden z nich zniża się i niknie za górą, lecz na jego miejsce inny pnie się do góry, i tak bez przerwy całą dobę. Sporo benzyny wylatują. Obok małego domku leży olbrzymi głąz wielkości domu, a w nim wyrąbane są schodki i na szczycie miejsce do siedzenia jak w fotelu.

Zatoka Murmańska jest długa i kręta, morza stąd nie widać, do przeciwległego brzegu będzie ze dwa kilometry. Wchodzimy na drewniane molo, na którym leżą stopy bomb lotniczych. Każda z nich waży chyba ze 200 kilogramów, a może mniej, mają po półtora metra długości. Nikt ich nie pilnuje. Jeden pocisk albo bomba z góry, a kilka ładnych ton trotylu poszłoby w powietrze.

„Bilet”, czyli pozwolenie na załadowanie kosztował nas pięć godzin czekania. Przy płynął statek około 12000 ton i wcisnął się między małe okrężniki obrony wybrzeża. Nazywa się „Klara Cetkin”. Czy też ta pani Cetkin domyślała się, że na statku jej imienia będą przewozić więźniów? O godzinie 5 rano wchodzimy na pokład, aby wnet zejść na samo dno. W wielkim towarowym luku jest miejsce na 700 ludzi. Przygotowano się na 1000, wepchnięto nas tam 3000. Nie ma nawet mowy, żeby wszyscy leżeli, taki ścisk, że nawet trudno jest usieść. W górze luku jest duży właz, teraz do połowy otwarty, przez który opuszczają towary, a gdzie obecnie umieszczono schody. Na dnie stoją dwupiętrowe prycze i na dolnym piętrze jest zupełnie ciemno. Kilku pasażerów wdrapało się wysoko na spojenia żeber okrętu (jest tam dość szeroki parapet) i tam rozkładają swoje rzeczy.

22 czerwca.- Wydano nam cukier na trzy dni, 800 gramów chleba i półkilogramową konserwę grochową na dwóch. Przynieśliśmy sobie do tego wiadro zimnej wody. Ogromny kłopot jest z ustępem. Moskale puszczają tylko po czterech na pokład i na schodach stoi kolejka na wszystkich stopniach ku niezadowoleniu mieszkających pod spodem, bo schody zbite były jak z nieheblowanych, cienkich desek, trzeszczą niepokojąco.

Czasem trzeba czekać cztery godziny zanim człowiek wydobędzie się na pokład z lekka kołyszącego się statku...

24 czerwca. Dzisiaj są moje imieniny, a tu jesteśmy głodni. Niektórzy dostają biegunki od zimnej wody. Na pokładzie na przodzie stoi dwóch żołnierzy, a przy każdym wejściu jeden i na mostku karabin maszynowy z obsługą. Po co? Morze jest spokojne, płyną białe kry. W pewnej chwili Moskale narobili krzyku, podobno zobaczyli misia na płycie lodowej.

Statek zatrzymał się na chwilę, więc ktoś od razu puścił plotkę, że w pobliżu jest fińska łódź podwodna — ktoś już widział na własne oczy fińską flagę. Jestem pewny, że nikt by nie odróżnił fińskiej od norweskiej czy też brazylijskiej.

26 czerwca. Zmniejszono nam o połowę rację żywnościową. Jest naprawdę głodno, a w dodatku zaczyna huścić.

28 czerwca. Stoimy długo na miejscu. Wczoraj nie dali nam jeść tłumacząc, że wyładowali żywność, a przyszła burza i nie mogą nas teraz wyładować. Sidelnik, jeden z dyrektorów robót w Juchnowie, który trochę Ignął do bolszewików, przyniósł z góry wiadomość o wojnie. Na statku radość. Poczynamy śpiewać, pierwsi zaczęli ci, co mieszkają na parapecie. Nigdy dotąd nie słyszałem tej ładnej piosenki o Pomorzu, powstałej tuż przed wojną. Będziemy bić się o Pomorze...

(...)

Nowa podróż

12 lipca. Na przystani stoją małe kutry motorowe — czy można na takiej łupince uciec i przebyć 500 kilometrów? Zresztą w osadzie jest radiostacja, na pewno złapią w drodze. Wywożą nas podobno na południe, może do Archangielska, może spotkamy tych z Ziemi Franciszka Józefa i tych z Nowej Ziemi, o których nie ma już tak dawno wiadomości.

O godzinie 3 załadowano nas na barki, a o 5 zaokrętowano na „Ałdan”, statek jakieś 5000 ton. Co to może znaczyć? Ałdan? — podobno jest to nazwa dużej rzeki na Syberii, dopływu Leny.

„Bilet” na wyruszenie w podróż statkiem oznacza dłuższe czekanie niż zazwyczaj na kolei, czekamy też do godziny 21, na szczęście jest nie bardzo ciasno.

13-go o godzinie 3 po południu przyjechaliśmy do Archangielska, prędzej niż przypuszczaliśmy. Wyszedłem na pokład. Widać las, miasto, ludzie się kąpią w Dźwinie. Jest ciepło. Cieszymy się, że wracamy z odciętego od świata półwyspu Kola.

14-go jeszcze siedzimy na statku. Nie dali jeść, karmienie ludzi podczas transportu morzem to burżuazyjny przesąd, mówią z pogardą.

15-tego znów nic nie ma do jedzenia. Robimy awanturę, lecz to wcale nie pomaga. Zaczynamy więc śpiewać, czego Moskale dziwnie nie mogą znieść, wkrótce też dają nam trochę kwaśnej kapusty, ryb i chleba. Pragnienie dręczy, lecz boimy się pić, surowa woda z tą kapustą i rybami to trochę niebezpieczna mieszanina.

16-go po południu wyszliśmy na ląd, na zachodni brzeg Dźwiny. Widać na drugim brzegu miasto, tramwaje. Tu tylko drewniane baraki i uliczki wyłożone deskami, a w oddali wieżyczki strażnicze kilkunastu obozów. Wpychają nas do małej klatki otoczonej parkanem i na wierzchu drutem kolczastym. W gołębnikach, to jest wieżach strażniczych, stoją żołnierze NKWD, a nie strielki jak w Ponoje czy Murmańsku.

Pakują trzystu ludzi do baraku, co zmusza nas do spania na trzy zmiany. Niektórzy próbują dosypiać na dworze, na wilgotnej trawie. Obóz ma wszystkiego 50 na 50 metrów i po przybyciu reszty transportu jest tu nas około 2500.

Dali trochę gorącej herbaty i to jest całe dzisiejsze pożywienie.

17 lipca. O 3 rano dali herbatę i pierwszą gorącą strawę. Urządzamy awanturę, a gdy to nie pomaga, śpiewamy wydzierając się co sił w płucach. Krzyki i śpiewy odzywają się również w sąsiednich

obozach. Zaczął się ruch. Moskale biegają jak opętani. Otworzyli gwałtownie bramę i porwali kilku najbliższych stojących.

18-go poczęto nas karmić, 700 gramów chleba i dwa razy dziennie po ćwierć litra zupy. Śmiesznie to mało, lecz smakuje nam niezwykle, bo gotują ją na szynce, w wiadrze na dwudziestu znajduje się kilkanaście kawałeczków mięsa. Wyjmujemy je uroczyście na miskę, najpierw dzielimy zupę, a potem te kawałeczki jako drugie danie.

W nocy ci, co nie mają miejsca do spania, ziębną. Wyrrywamy deski z ustępów i z płotu dzielącego nas od sąsiedniego obozu i palimy ognisko. W dwie noce ku rozpaczycy bolszewików cały płot zniknął.

Wyły syreny na alarm lotniczy, lecz nie było widać żadnych samolotów.

Poszliśmy do portu nosić worki z chlebem i nareszcie, choć raz, się najedliśmy. W Archangielsku widać duże murowane budynki i drzewa. Po tej stronie rzeki są tylko drewniane magazyny i wszędzie napisy „nie wolno palić”. Idzie się ulicami z drzewa i do każdego domku prowadzi drewniany chodnik-kładka, między ulicą i domkami stoi cuchnąca, zielona woda. Widzieliśmy małą budkę, w której sprzedawano małe kromki chleba z plasterkiem jajka po dwa ruble. Moskale zrewidowali nas, żeby wypadkiem ktoś nie wziął chleba do obozu. Zamieniliśmy kilka słów przez druty z więźniami jednego z obozów, mówią że w Archangielsku jest bardzo dużo zesłanych Polaków.

20 lipca. Moskale zwolnili z aresztu tych naszych kolegów porwanych kilka dni temu. Ci aresztanci na czysto wygrali na tej pace, mieli gdzie spać, a jeść dostali tak jak i my. O godzinie 7 wychodzimy poza płot w rejon kuchni, tu dzielą nas na kompanie po stu i rewidują. Idziemy do pociągu — do wagonu wsadzają po 45 ludzi. Przez cały czas pobytu w Rosji tylko raz jechałem osobowym pociągiem.

21 lipca o godzinie 3.45 rano wyjechaliśmy mając po 15 kostek cukru, kilogramie chleba i półtora kilograma sucharów na trzy dni. Widać wiele barek płynących Dźwiną. Na stacjach spotykamy pociągi z więźniami, którzy jadą jak i my na południe. Mówią o ewakuacji wszystkich obozów z Murmańska. Ci, których spotkaliśmy, wszyscy mieli krótkie wyroki do trzech lat i spodziewali się, że ich wezmą do wojska. Byli to więc zwykli przestępcy, bo polityczni dostają o wiele więcej i każdy rozumie, że ich prędko nie puszczą. Co to tej ewakuacji to może prawda a może i nie, bo przecież na nasze miejsce w Ponoje zjawili się i są tam teraz nowi więźniowie.

22-go dojechaliśmy do Wołogdy, przebyliśmy więc pewnie ze 400 kilometrów. Wywierciliśmy nożem dziurę w ścianie wagonu i teraz możemy podczas jazdy patrzeć i widzieć, co się dzieje na świecie. Dali po dużej beczce śledzi na wagon, wypadło po jedenaście sztuk na każdego.

232

23-go tkwimy cały dzień na bocznym torze w okolicy Jarosławia. Pozwolono nam przynieść cztery wiadra-wody, przynieśliśmy sześć, ale i to mało. Dokuczają pragnienie. Niektóre wagony dostały jeszcze mniej wody i awanturują się.

(...)

10000 Polaków

28 lipca. To miejsce nazywa się Talica i znajduje się 350 kilometrów na wschód od Moskwy. Moskale jednak nazywają je Jużskij Obóz od powiatowego miasta Juza. W tym obozie się nie pracuje, przeto w myśl sowieckiej zasady „kto nie pracuje, ten nie je”, karmią nas bardzo marnie. Jest tu nas Polaków około 10 000. Odrutowany obóz podzielony jest na dwie części przedzielone kuchnią. Rano przepędzają wszystkich na naszą stronę, a później wpuszczają dziesiątkami w rejon kuchni, gdzie każda dziesiątka dostaje zupę, a jeśli obiad to i kaszę. Kiedy wpuszczą setkę, zamykają bramę wejściową i wyganiają tych, co zjedli, na pustą stronę obozu. Trwa to godzinami i jak tylko ostatni skończą śniadanie, już zbiera się pierwsza setka na obiad. To chodzenie z jednej strony obozu na drugą trwa cały dzień. Dziesiątki dobierają się na chybił trafił i zdarzały się wypadki, że ktoś, wzięwszy kaszę na dziesięciu, zniknął. Jedzenie jest bardzo rzadkie i mało pożywne i jesteśmy cały dzień głodni. Mam jeszcze kurzą ślepotę, co zauważyłem dopiero wieczorem, nie mogę wyjść w nocy, nie znam obozu i mógłbym długo chodzić zanim wróciłbym do swego baraku. Na północy byliśmy w okresie białych nocy i tam ślepotą nie przeszkadzała nam wcale, tyle że w baraku było trochę ciemnawo, tutaj to zakrawa na katastrofę.

29 lipca. Moskale wezwali dziś starszych podoficerów i polecieli im sformować kompanie i bataliony. Powstał przy tej okazji wielki ruch w naszej części obozu, bo każdy stara sobie dobrać paczkę według swego gustu. Razem z nami jest około 7000 jeńców, których wzięto przeważnie na południu Polski. Pierwszy rok siedzieli na Ukrainie i pracowali w kopalniach. Wywieziono ich dalej dopiero na wiosnę następnego roku. Widocznie taki jest system, to samo było z obozami oficerów w Starobielsku i Kozielsku, tak samo było i z nami. Różnica polegała jedynie na wielkości wywożonych grup: oficerów jeńców wysyłano po dwustu, a nas okrągłymi tysiącami. Pytaliśmy się o Polaków z Nowej Ziemi. Nikt tu o nich nie słyszał. Ci, którzy tu byli, byli wywożeni do republiki Kornia kolejną i pracowali na szlaku kolejowym. Byli podzieleni na odcinki kolejowe, a potem z kolei na kolumny i brygady. Nie wszyscy wrócili, część jeszcze została zatrzymana na trasie. W niektórych kolumnach wymarło do dwudziestu procent, większość chorowała na różne choroby i wszyscy oni wyglądają okropnie, wielu ma całe nogi w ranach, albo też sinych plamach szkorbutowych, gdy nacisnąć palcem łydkę, wgłębienie pozostaje. Kurza ślepotą jest tak powszechna, że Moskale obiecują dać tran.

(...)

Co jakiś czas chodzimy do lasu zbierać drzewo na opał, a właściwie przyciągamy długie cienkie sosenki. W okolicy jest pełno zrąbanego drzewa, specjalne partie chodzą ciąć las. Byliśmy raz na takiej robocie i kupiliśmy sobie trochę jagód od dzieci i bab z kołchozu. Ci, którzy stale chodzą za druty, handlują tam. Wobec dużego popytu ceny rosną, początkowo szklanka jagód kosztowała rubla, dziś za stoik trzeba płacić pół albo i porcję chleba, a za menażkę 20 rubli. To samo dzieje się z ogórkami, które z rubla skoczyły na trzy. Bardzo poszukiwane ze względu na witaminy są pomidory i cebula. Jeżeli uda się nam zdobyć trochę jagód, mieszamy je z cukrem i robimy marmoladę do chleba. Dostaliśmy po trzy łyżki tranu i kurza ślepotą przeszła, a było naprawdę kiepsko — wielu ludzi przeziębilo sobie pęcherze na północy w mrozach i biegają po kilka razy w nocy. Dużo też choruje i w obozie są aż dwa szpitale, nazwa trochę za szumna dla dwóch marnych baraczków.

Rąbałem drzewo na opał dla dezynfektora i znalazłem łyżkę, z czego się bardzo ucieszyłem, bo mogłem wyrzucić starą złamaną. Ci, którzy byli w Korniu, mówią, że łyżka była tam skarbem, bo jeśli ktoś zgubił swoją, musiał zupę pić z kociołka. A jeżeli jakiś męczennik zgubił misę, musiał dołączyć do partii sobie podobnych i jeść z pożyczonej, co rzadko było wygodne.

Głównik obozowy podał, że „5 sierpnia przybył do Moskwy polski ambasador i misja wojskowa z generałem Szyszko-Bo-huszem". Chociaż Moskale zmniejszyli straż i obiecali w ogóle nas nie pilnować, bo przecież już jesteśmy wolni, nasi jeńcy jeszcze nie wierzą.

15 sierpnia. Po raz pierwszy od czternastu miesięcy, a jeńcy od dwóch lat, zebraliśmy się na wspólną modlitwę. Na zakończenie śpiewaliśmy Jeszcze Polska nie zginęła... . Moskale nic nie mówili. Postanowiliśmy zmienić ustrój kuchenny.¹ Internowani mają mieć kuchnię razem z jeńcami. Zdaje się, że bolszewicy są zamieszani w kradzieże prowiantu, dlatego to tak tępo idzie. Wiemy teraz dokładnie, jak wygląda nasza porcja. Oprócz chleba mamy trzy razy dziennie zupę. Do kotła 150-200 litrów wrzucają 4-6 kg jaglanki, 10 kg ryby konserwowej lub solonej, 10 kg ziemniaków, 2 kg makaronu, 200 gramów mąki i ostatnio dla zagęszczenia dodają liści buraczanych lub kapuścianych. Takiego specjału wypada trzy ćwierci litra na głowę, chodzimy więc głodni jak psy.

(...)

Rozpoczęto wypłacać po pięćset rubli jako odszkodowanie za siedzenie w więzieniach. Pierwsi dostali jednorubłówki, następni trzy i pięciorubłówki, a ja dostałem 30 rublowe banknoty — pierwszy raz widziałem tak dużo sowieckich pieniędzy. Ruch na naszym kercelaku przy bramie wejściowej, gdzie zwykle łapie się powracających z lasu, wzmógł się niezwykle i ceny poczęły wariacko skakać do góry. Za 700-gramowy słoik miodu, który kosztował 50 rubli, żądano 120 rubli, za masło brano po 50-60 rubli, za pół kilograma baraniny 30 rubli.

Moskale puszczali teraz każdego, kto chciał wyjść z obozu, zaczęło się tedy odżywianie. Na wszystkie strony świata ruszyły wyprawy kupując, co tylko było do zjedzenia. Przynoszono, ba nawet przywożono do obozu żywność, przyprowadzano barany, czasem wieprzki i nawet krowy. Zwykle tłum czekał na mięso. Moskale patrzyli zdumieni i nic na razie nie mówili. Jeszcze niedawno zarzucali nam kłam, gdyśmy mówili jaka była porcja żołnierska w polskim wojsku, bo „gdzie to możliwe, aby człowiek zjadł na raz 250 gramów mięsa", a było to w czasie, kiedy dawali nam po 25 gramów na osobę.

(...)

Rezultatem otwarcia obozu były liczne zaburzenia żołądkowe z zatruciami i przejedzeniami. Jeżeli ktoś od roku chodził głodny, a teraz wcisnął w siebie kilogram baraniny, jakiś skutek musiał być — lekarze mieli sporo kłopotów.

Jednak to prawda, że sowiecka kuchnia wyleczyła wielu ludzi. W Polsce pacjent chory na niezżyt żołądek pościł przez sześć dni, a siódmego odbijał sobie za cały tydzień i pogarszał swój stan. Tu bolszewicy dawali przeważnie kaszę i rzadkie zupy na tłuszczu roślinnym, a ponieważ na ogół to mogło przypominać wzorową dietę odtłuszczającą, więc mogli osiągnąć świetne wyniki leczenia.

(...)

Przyjechał pułkownik Sulik Sarnowski i gdyśmy się zebrali, odczytał rozkaz organizacyjny armii polskiej na Wschodzie. Żołnierze myśleli, że kryje się w tym jakiś podstęp, lecz znaleźli się podoficerowie, którzy znali go z Polski, więc na ogół uwierzono, chociaż jego cywilne ubranie nie podobało się mocno. Pod koniec swego przemówienia pułkownik zażądał, aby wystąpili oficerowie. Moskale byli pewni, że wyłowili wszystkich, lecz ku ich zdumieniu wystąpiło szesnastu, między nimi pułkownik

Seybal. Bolszewicy nie wierzyli swoim oczom, i jedna z ich urzędniczek rzekła z przekąsem a wot i wasze NKWD.

29 sierpnia. Komendantem obozu został pułkownik Seybal, ubrany jak wszyscy jeńcy w nędzne wytarte ubranie. Żołnierze przypatrywali mu się ciekawie, pracował długi czas między nimi i codziennie wydawał im herbatę. Między żołnierzami był również porucznik Stefan Orzechowski i porucznik Świącicki. W niektórych wypadkach żołnierze wiedzieli o nich dobrze, lecz uważali ich przebywanie między nimi za rzecz normalną.

Dziś zaczęła urzędować komisja poborowa i spisywać dane. Jako dzień wstąpienia do armii zaliczono 24 sierpień. Spodziewamy się wyjazdu. Rosjanie mówią o tworzeniu armii czeskiej, lecz z kogo? Ostatnio był zjazd słowiański w Moskwie, widać w Rosji wraca moda na panslawizm, bo radio dużo o tym opowiada. Z Polski byli na zjeździe Januszajtis i Wasilewska, i ani rusz nie umiemy odgadnąć, co to ma znaczyć. Nie wiadomo czy generał Januszajtis przyjechał z Anglii, czy też był tutaj? Co do Wasilewskiej to wszyscy wiedzą, że po przyjsciu bolszewików do Polski zmieniła Polską Partię Socjalistyczną na Partię Komunistyczną. (...)

Oficerów z grupy internowanych wieziono, tak jak i nas, na północ, ale wybuchła wojna, więc ich zatrzymano po drodze w obozie w Griazowcu, skąd ich zwolniono. Ze Starobielska i Ostaszkowa nie ma nikogo.

28 września, niedziela. Mróz pięć stopni, idziemy na nabożeństwo luźnymi grupami. Mamy nowego dowódcę kompanii, porucznika Janickiego. Kapitan Michulka odszedł do referatu kulturalno-oświatowego, który ma organizować przedstawienia i wydawać gazetę ścienną. Ogłoszono konkurs na jej tytuł.

1 października. Spadł pierwszy śnieg. Ludność mówi o srogiej zimie w tej okolicy, a nam brak ubrań i butów. Namioty są bez piecyków i jest zimno.

4 października. Wystarałem się o przepustkę do Saratowa, aby kupić nowe okulary i obejrzeć miasto. Na stacji kasa była zamknięta i nie można było znaleźć pociągu. Wsiedliśmy do pierwszego z brzegu wagonu na stacji, który na szczęście pojechał w dobrą stronę. Przyszedł jakiś kolejarz, powiedzieliśmy mu, że nie można było kupić biletów. Wziął od nas po osiem rubli i poszedł sobie nie dawszy żadnego kwitu. Na pewno nie miał nic wspólnego ani z pociągiem, ani z biletami, a po prostu skorzystał z okazji.

Pociąg jechał niezbyt szybko, a przed Saratowem stanął i stał tak długo, że zdecydowaliśmy się iść na piechotę. Stacja była zapchana zbiegami z Ukrainy, opowiadali o bombardowaniu Charkowa przez Niemców. Dużo pociągów idzie na północ z maszynami. Rosjanie wywożą wszystkie fabryki, a czego nie mogą zabrać, niszczą. Podobnie postępują z żywnością, co przychodzi im łatwo, bo wszystkie produkty są w magazynach kołchozów i tylko drobne ilości w rękach prywatnych. Jeżeli tak jest naprawdę, to głód ponownie nawiedzi Ukrainę. Władze i NKWD uciekają najpierwsze, widać nie bardzo im się śpieszy do pozostania między Ukraińcami, kiedy będą nadchodzili Niemcy.

Kupiłem w księgarni kilka nowelek angielskich. Nie można tu nabyć żadnej książki w obcym języku, oprócz wybranych krótkich tekstów do użytku szkolnego, i to zawsze zaopatrzonych w komentarz i słownik. Szukaliśmy Gogola i Szołochowa, lecz nie znaleźliśmy ani jednej książki z literatury pięknej, wiele natomiast propagandowych broszur i sporo książek fachowych. Wyjątek stanowiły książki

niemieckie, pięknie ilustrowane stare dzieła. Napotkałem między nimi ślicznie wydany opis wyprawy Nansena, ale jak tu zabrać trzy wielkie tomy? Książki te leżały na półkach nie kupowane. Po oprowach domyślam się ich pochodzenia z bibliotek prywatnych. Księgarz powiedział nam, że przywieziono je z miasta Engels, spoza Wołgi, stolicy republiki Niemców Powołża. Republika ta liczyła około dwóch milionów mieszkańców i posiadała najlepsze grunty w Rosji. Mieszkańcy jej przybyli tu dość dawno za czasów carskich, dzisiaj nie ma już tej republiki — gdy wojna wybuchła bolszewicy wywieźli jej ludność na Syberię.

Ci Niemcy powołżscy gospodarzyli dobrze i ich kolonie były najładniej zabudowane, jakie w ogóle widzieliśmy w Rosji. Podobno umieli sobie dać radę nawet z ustrojem sowieckim i prześlizgiwali się przez gąszcz przepisów sowieckich. Mieli kotchozy, jak wszędzie w Rosji, ale powodziło im się dobrze, zarząd republiki, władze, policja, a nawet NKWD były złożone z Niemców. Pewnego jednak pięknego poranka Moskale aresztowali miejscowe NKWD, później rząd autonomicznej republiki, zlikwidowali urzędy i instytucje komunistyczne, a później wywozili całymi miastami i okręgami. Dziś w Engelsie słychać tylko mowę rosyjską, a często i ukraińską uchodźców z terenów objętych wojną. Są jednak nadal bezludne ulice o oknach pozabijanych deskami. Tych Niemców musiano jednak wywieźć gdzieś bardzo daleko, bo podczas naszego pobytu w Rosji nie spotkaliśmy nigdzie ani jednego Niemca.

Wieczorem kupiliśmy sobie kilka kanapek po 3 ruble sztuka i jedziemy na dworzec. Czas miejski różni się o godzinę od stacyjnego; na kolejach jest wszędzie czas moskiewski, w miastach czas odpowiedniej strefy. Wyobrażam sobie, jak to wygląda we Władywostoku.

(...)

6 października. Wypłacono nam żołd. Kapral, to niby ja, dostaje 100 rubli, starszy strzelec 28, strzelec 25, a rekrut 8 rubli. W obozie kwitnie handel, są już specjaliści od wypraw po żywność, lecz największy popyt jest na machorkę.

12 października. Zaczęły padać deszcze i jest zupełnie chłodno, błota do pół łydki. Stan butów jest rozpaczliwy, w naszym namiocie mamy dwie pary jakie takie, reszta niemiłosiernie cieknie. Siedzę i szcękam zębami — nie ma co, trzeba robić piecyk.

Idę ze strzelcem Pankowskim, wyłamujemy kawał blachy ze starego dziurawego zbiornika i przez kilka godzin bijemy blachę raz koło razu żelaznym łomem, aby jej nadać pożądany kształt. Kilka cegieł i piec jest gotowy. Robię znów wyprawę ze strzelcem Groberem do dowództwa dywizji, gdzie stoi dużo domków z pourywanymi rynnami, sztuka polega na tym, żeby znaleźć kawał nisko wiszącej. Wreszcie się taki znalazł, mamy więc komin i teraz w namiocie jest ciepło i miło.

Mrozy saratowskie

Błoto to największa nasza plaga w tym miesiącu. Deszcz pada, a nie ma gdzie suszyć ubrania. Podobno dziesięć tysięcy butów płynie dla nas Wołgą z Kazania, lecz kto uwierzy w tę opowiastkę? Moskale dali nam trochę mundurów zabranych w państwach bałtyckich, niektóre z tych mundurów nadają się tylko do operetki. Na razie nasze wojsko ubrane jest najdziwaczniej, jedni w ubraniach cywilnych, drudzy w watowanych Majkach i basztykach przywiezionych z północy, poza tym mundury polskie, sowieckie, litewskie, estońskie i łotewskie. Butów właściwie nie mamy.

13 października. Zaczął się mróz i zawieje śnieżne. Ludność opowiada o burzach w zimie zwanych buranami, które trwają po kilka dni. Śniegu na razie około 20 cm i w namiotach ciepło. Niedawno nadszedł „Dziennik Żołnierza” z Londynu.

(...)

Czasami przyjeżdża do obozowego szpitala lekarz. Podchodzi do starszych więźniów i wita się z nimi wołając każdego po imieniu, są przecież kolegami w obozie z roku 1937, roku wielkiej czystki. Zaczyna się przypominanie dawnych znacznie gorszych lat. Do Polaków wtedy mówią objaśniając.

„Wy, żółtodzioby, Polacy, wy nie wiecie co to znaczy Korn, jak powstała ta republika, państwo w państwie. Trzeba było być wtedy tu z nami”. Ludzie wspominają Lenina jak świętego, za jego czasów był drobny przemysł, wolny handel i własność prywatna. Dopiero po jego śmierci doszli do władzy bandyci, którzy prędko załątwili się z partią. Pierwsi pod ścianę poszli starzy komuniści, mniej groźni komunistycznie nastroszeni idealisci na północ. Pusta dotąd ta ziemia zaludniła się tysiącami obozów po procesach. Pierwsi przyszli oficerowie, profesorowie — członkowie partii, po nich niezadowoleni z nowego porządku rzeczy kupcy, rolnicy i robotnicy. Wyrzucano trzystu ludzi w głuchy las. Ot, rebiąta, wam łagier, strojties! Rąbali drzewa, budowali baraki i marli z głodu, bo żywność nosili na plecach koledzy. Droga tego transportu żywych szkieletów-kulisów trwała tydzień — odległość 50 kilometrów. Ile zdoła przynieść na plecach słaby człowiek trawiony pragnieniem, idąc przez błoto i oszalały od pokąsań komarów? Czy starczy jeszcze żywności dla towarzyszy w tajdze? Czy niewolnik nie zje sam wszystkiego, po drodze? Jeżeli coś donieśli oprócz worka kaszy i bochenka chleba, w obozie było święto, lecz często partie z żywnością ginęły w bagnach. Obozy pustoszały. Na ich miejsce przychodzili nowi ludzie, nowi i ciągle jeszcze nowi. Tak z wolna powstał szlak Koflas — Uchta. Szlak północny na kościach.

„Dziś żółtodziobi Polacy codziennie macie chleb, choć 300 gramów dziennie i codziennie zupeł. Umiera was najwyżej 20 procent, z nas pozostało kilku. Tak, tak, po 37 roku stworzono tę republikę więźniów, zbudowaną, obsadzoną i pilnowaną przez ludzi niewolników. Było ich miliony”.

(...)

19 stycznia. Wyjeżdża dowództwo pułku i 1 batalion. Niewesoła to będzie jazda przy 35° mrozu. Byłem z wizytą u Witka Bernatowicza i Stacha Kruszewskiego. Stach został na Nowy Rok oficerem. Mówimy rozumie się o wyjeździe.

O godzinie 20.30 idziemy na stację, część rzeczy jedzie wozami. Jakaż to szalona różnica między dawnymi obdartusami a dzisiejszymi żołnierzami. Bardzo porządnie wyglądają te angielskie mundury, kłopot tylko z czapkami, przysłali nam furażerki a tu mróz, aż drzewo pęka.

(...)

28-go stoimy cztery godziny w mieście Turkiestan. Spotykamy polskie dzieci, po chwili znajdują się i rodziny. Jadą na południe. Dzieci są straszliwie chude, niektóre spuchnięte z głodu. Dwoje dzieci pochowało tu ojca, który im oddawał swe pożywienie przez czternaście dni. Jeszcze w Saratowie zobaczyłem, że pracownik fizyczny dostawał 800 gramów chleba, umysłowy 600, a dziecko 400...

29-go o godzinie 7 jesteśmy pod Taszkientem, znikł zaśnieżony step, jest tu o wiele cieplej i zaczęły się Sady, winnice i pola pokryte badyłami bawełny. W Taszkencie na stacji leżą i mokną na deszczu stopy bawełny większe od piętrowego domu.

30-go przejechaliśmy Syr Darię pod Czikaz i wjeżdżamy w dolinę Fergany. Dlaczego tu miał być raj, tego nie rozumiemy.

31-go mijamy Kokand-Andiżan i jesteśmy na miejscu w Dżalał Abad — wszystkie te nazwy były wspomniane przez mojego dziada. Przemierzyliśmy całą dolinę Fergańską, w środku pustynną, lecz na skrajach jest sporo osiedli. Kiedy wysiadamy z pociągu, pada deszcz, część plutonu pozostaje na stacji pilnować składów. Dżalał Abad wygląda na kilkunastotysięczne miasteczko. Maszerujemy pełną drogą i samochód płoszy wielbłąda, który ucieka co sił, gubiąc po drodze worki, a właściciel biegnie za nim z krzykiem.

Już było ciemno, kiedy przyszlismy do wsi Błagowieszczanka, osiem kilometrów od miasteczka za rzeką. Tu znów śnieg i Ukraińcy wywiezieni przed kilkoma laty. Nie byłem na Ukrainie, ale sobie wyobrażam, jaki był skutek kilkunastoletnich rządów bolszewickich, skoro, u nas przez niecałe dwa lata wywieźli coś około półtora miliona ludzi. Wsie ukraińskie można spotkać w każdym zakątku Rosji. Na mapie etnograficznej Sowietów widziałem żółte plamy z literą U nad Amurem, na Syberii, w Kazachstanie. Na dole było objaśnienie: U — Ukraińcy. To są wszystko ludzie wolni, a cóż mówić o więźniach. Twarda jest ręka rosyjska i pod jej rządem narody nie wzrastają, lecz szybko maleją.

Przed wyjazdem

(...)

Czerwiec 1942. Upały dają się nam we znaki i słońce jest przekleństwem. Nie można chodzić boso, rozpalone kamienie parzą nogi. Wszyscy podchorążowie chodzą na kurs samochodowy, który odbywa się przy dowództwie pułku pod drzewami — jest to jedyne miejsce, gdzie jeszcze można usiedzieć. Obok obozu powstał mały targ — mieszkańcy przynoszą mleko, owoce i machorkę; jajko albo kilka pomidorów kosztuje pięć rubli.

To jest bardzo drogo, lecz jak powiedział któryś z żołnierzy, któremu inny przyganiał, że za drogo zapłacił: „Głupi, a spróbuj zjeść pięć rubli”. Może to i prawda, w każdym razie nie zbierałem w Rosji majątku z żołdu i nie miałem stu rubli, aby kupić na odjeźdźnym kolorową uzbecką czapkę w Dżalał Abadzie.

26 czerwca. Zdaliśmy egzamin dziś z teorii kursu. Praktyka skończyła się na dwurazowej jeździe, w całej dywizji jest chyba z pięć samochodów, które przyjeżdżają do pułku raz na tydzień.

28-go odbyło się uroczyste otwarcie basenu — zrobiliśmy małą tamę na kanale wodnym, zwanym przez Uzbeków aryk. Wykopano duży prostokątny dół i podsypano ściany. Woda ma około metra głębokości i na upartego można pływać, pławimy się też jak kaczki w każdej wolnej chwili. Opłaciło się włożyć w to pracę.

Nowy oficer naszej kompanii nazywał się Kazimierz Rubin. Był jakiś czas we Lwowie — pracował w organizacji akademickiej, która była biurem podróży ułatwiającym przejście na Węgry i do Rumunii. Wszystko działało jako tako dopóki Moskale nie wzmocnili straży na granicy. To wzmocnienie

nastąpiło po wielkiej strzelaninie, kiedy duża partia zbiegów siłą przeszła kordon. Najpierw szło stu narciarzy, za nimi ze dwa razy tyle na piechotę, mieli broń włącznie do rkm. Po strzałach straż rosyjska zwiąta i grupa przedostała się. W krótkim czasie zrobiło się we Lwowie ciasno i Rubin musiał uciekać. Między zbiegami znalazł się prowokator i w górach odbyło się polowanie na ludzi. Więziono ich najpierw w Polsce, a potem na Ukrainie, w więzieniu charkowskim. Najciekawszym z towarzyszy Rubina tam był profesor rosyjskiego uniwersytetu, historyk, który wykładał współwzajemną historię Rosji, lecz był bardzo ostrożny i mówił tylko o dawnych czasach, o rozwoju i potędze państwa. Siedział tam za sabotaż również stary inżynier, były kierownik fabryki. Przystano mu dwóch komunistów, inżynierów sowieckiej produkcji i ci oświadczyli, że w przeciągu trzech miesięcy ma im wyjaśnić wszystkie tajemnice. Kiedy im tłumaczył, że jest rzeczą niemożliwą, żeby mógł im przekazać wiedzę i doświadczenie długiego życia w tak krótkim czasie, po dłuższym wahaniu zgodzili się na pół roku, lecz po pięciu miesiącach — widząc, że wciąż nie są mądrzejsi od swego starszego kolegi — oskarżyli go o sabotaż polegający na ukrywaniu przed nimi... wiedzy.

6 lipca. Przyjechał ksiądz biskup Gawlina. Żołnierze zebrali się wokół niego, a on opowiadał o swej podróży i pocieszał nas szybkim wyjazdem. Kiedy biskup mówił, mały żółw wylazł niezdarnie na środek koła słuchaczy, jakby i on chciał się przypatrzeć rzadkiemu gościowi.

Ćwiczymy przeprawę przez rzekę, prąd jest silny i trzeba się mocno trzymać, aby nie upaść, chociaż woda nie sięga do pasa.

(...)

11 sierpnia. Słońce pięknie wschodziło na morzu, o 5 rano byliśmy na redzie w Pahlevi. Zaczęła się ceremonia wyładowania. Wieziono nas małymi statkami przybrzeżnymi, bo port był za płytki dla „Kaganowicza”, który musiał stanąć daleko na morzu. Trwało to spory kawał czasu.

Na przystani oczekiwało nas wiele ludzi, pełno kobiet w mundurach z kolorowymi opaskami na rękawach, które rozdawały nam papierosy. Na dużym placu między szpitalem i składami stał cały tabun samochodów ciężarowych, ślicznych granatowych Dodge'y. Chorych z miejsca zabrano do szpitala. Włożyliśmy rzeczy nasze na samochody, a sami poszliśmy wzdłuż plaży.

Tydzień pobytu w Pahlevi wydawał nam się snem, karmiono nas wspornikami, a oprócz tego kupowaliśmy owoce, słodczyce, jaja i wszystko cokolwiek się chciało. Objadaliśmy się ile weszło, kilka razy dziennie kąpałem się w morzu. Odpoczywaliśmy. Wydano nam nowe ubrania, stare mieli Anglicy spalić - patrzyliśmy ze zdumieniem na stosy zupełnie dobrych ubrań przeznaczonych na zniszczenie.

W dalszą drogę pojechaliśmy samochodami, często na drodze spotykaliśmy żołnierzy sowieckich ubranych tak porządnie, jak nigdzie chyba w Rosji. W sklepach można było kupić tanio rosyjską czekoladę i rozmaite przedmioty sowieckiej produkcji. A tam w Rosji jest głód i ludzie godzinami czekają na porcję chleba.

(...)

Isfahan miasto polskich dzieci

Londyn 1988, wyd. 2

Koło Wychowanków Szkół Polskich Isfahan i Liban

opracowań i?™*to polskich dzieci, zostały wybrane fragmenty z różnych pamiętników dzieci polskich, które były deportowane z różnych miejsc w Związku Radzieckim i trafiły do placówek opiekuńczych organizowanych staraniem ambasady polskiej w Kujbyszewie i dowództwa Armii Polskiej

Wstęp

(...)

Tematem tej książki jest historia małej, bo najwyżej trzytysięcznej grupy Polaków na przestrzeni dziesięciu lat od początku drugiej wojny światowej aż do 1950 roku. Jest ona jeszcze jednym rozdziałem martyrologii Polaków w ZSRR i naszego cudownego ocalenia, bo tylko tak nazwać można wyprowadzenie tysięcy obywateli polskich z Rosji na Środkowy Wschód.

Jednakże główną jej treścią są dzieje dzieci i młodzieży polskiej, przeważnie sierot i pól sierot, ugrupowanych w kilkunastu szkołach w Isfahanie. Są to dzieje nie jednej szkoły, ale całego ośrodka, którego stan w okresie największego nasilenia wynosił około 3000 osób; ogromną większość stanowiły dzieci i młodzież, od tych najmłodszych dwu-, trzyletnich do osiemnasto-, dziewiętnastoletnich uczennic gimnazjum. Młodzież ta, dziwnymi kolejami losu, znalazła schronienie w egzotycznym perskim mieście Isfahanie, który stał się dla nich oazą po przeżyciach w tajgach rosyjskich, w stepach Kazachstanu i pustyniach Turkmenii.

(...)

Ze znanych statystyk, w Rosji sowieckiej było prawie milion obywateli polskich wywiezionych w latach 1940 i 1941. W 1942 roku około 116000 zdołało wyjechać do Iranu, w tym 45000 cywilów, a więc przez Isfahan przeszło zaledwie dwa i pół procenta ocalonych z ZSRR. W porównaniu z milionami, które wtedy cierpiały nie tylko na zsyłce, w łagrach i więzieniach sowieckich, ale również w niemieckich obozach śmierci, grupa trzytysięczna wydawać się może znikoma.

Ludzkie nieszczęście nie mierzy się jednak na skali liczb lub statystyk. W naszej książce bierzemy z oceanu ludzkiej niedoli tę kroplę pod mikroskop i chcemy ją zbadać, przeanalizować, a nade wszystko odtworzyć życie, które w niej było zawarte i wydobyć treść i wagę tego odcinka naszej historii.

(...)

Drogi do Isfahanu

(...)

Od chwili wkroczenia Rosjan w granice Polski 17 września jasne było, że celem ich jest wcielenie naszych ziem wschodnich do ZSRR. Z tego powodu konieczne było wyeliminowanie wrogiego dla nich elementu, którym byli Polacy oraz lojalne Polsce mniejszości narodowe.

Jedną z metod do osiągnięcia tego celu było masowe wywożenie ludności do wschodnich i północnych części Związku Sowieckiego i zastępowanie ich obywatelami sowieckimi. Pierwsza deportacja, może najstraszniejsza, bo niespodziewana i w środku ostrej zimy, nastąpiła 10 lutego 1940 roku. W ciągu jednej nocy zabrano wówczas 220000 ludzi. Tego samego roku, 13 kwietnia, wywieziono 320000, w czerwcu 240000. Deportacja w czerwcu 1941 roku objęła ponad 200000 osób. Wszystkie zsyłki odbywały się mniej więcej według tego samego planu. Grupa uzbrojonych enkawudzistów, wspólnie z miejscową milicją dobijała się nocą do drzwi, budziła swe ofiary, dając im krótki czas na spakowanie się, i odwoziła na stację kolejową, gdzie czekały już szeregi towarowych pociągów. Wtłaczano 40 do 70 osób w ciemne czeluści wagonu, który zamykano i plombowano od zewnątrz. Mały, zakratowany otwór w ścianie zastępował okno, dziura w podłodze całe sanitarne urządzenie, a cztery ogromne prycze służyły jako legowisko dla ludzi. Środek wagonu był wypełniony tobołkami, które stanowiły cały dobytek zesańców. Wyrwani z domów bez względu na wiek, powiązania rodzinne i stan zdrowia — skazani na zatracenie! Dokuczyły wszystkim pragnienie i głód oraz, zależnie od pory roku, straszliwy mróz lub nieludzkie gorąco. Wagonami wstrząsały łkania i płacz przestraszonych dzieci. Tu i ówdzie słyhać było słowa modlitwy. Pociągi ruszały i jak w widzeniu księdza Piotra w Dziadach, następowała gehenna wielotygodniowej podróży na Wschód. W podróżach tych marły niemowlęta, starzy i chorzy. Zdarzało się, że ciała umarłych przebywały po kilka dni wśród żywych, zanim zabrali je strażnicy. Podróż ta była tylko wstępem do dalszych cierpień. U końca jej czekały zesańców nędza, choroby i niewolnicza praca. Zsyłki były dla tysięcy wyrokiem śmierci.

Rosjanie przeznaczili dla wysiedleńców cztery zasadnicze rejony: okolice Morza Białego, obszary przed Uralem nad Worku-tą, Uchtą i Peczorą, tereny zachodniej Syberii za Uralem oraz stepy Kazachstanu w Centralnej Azji. Dokładna liczba wywiezionych do ZSRR nie jest znana. Władze sowieckie, rzecz jasna nigdy nie udostępniły ich rządowi polskiemu.

Warunki bytu zesańców różniły się w zależności od rodzaju pracy i warunków klimatycznych, w których przebywali, niemniej pewne czynniki były wspólne dla wszystkich. Za pracę otrzymywano minimalną rację żywnościową. Pracować musieli wszyscy bez względu na wiek i zdrowie. Wyjątkiem były dzieci poniżej lat szesnastu, które musiały chodzić do szkół rosyjskich. Jeżeli szkoła była na miejscu, nie groziła dzieciom rozłąka z rodzicami. W niektórych wypadkach dzieci, zabrane przemocą poza miejsce zsyłki, traciły kontakt z rodzicami, często na zawsze. Do obowiązków dzieci należało dźwiganie wody, zbieranie opału, wystawanie godzinami w kolejkach po chleb czy zupę, latem zbieranie dodatkowego pożywienia w lesie.

Istniały jednak bardzo zasadnicze różnice w warunkach egzystencji zesańców na poszczególnych obszarach. W rejonie Morza Białego i za Uralem Polacy znajdowali się w kraju, który Solżenicyn nazywa „Archipelag Gułag”. Olbrzymie te połacie, przeważnie porośnięte tajgą, gęsto usiane są obozami przymusowej pracy zwanymi łagrami, stworzonymi przez władze sowieckie dla własnych kryminalistów, a przede wszystkim dla ludzi politycznie niebezpiecznych dla reżymu komunistycznego. W obozach tych znalazło się też bardzo wielu Polaków, aresztowanych po wkroczeniu wojsk sowieckich na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Ludność polską wywiezioną na te

tereny umieszczono na posiołkach. Były to wioski przeważnie pobudowane przez takich samych skazańców jak my (była to ludność z Ukrainy oraz Kozacy dońscy i kubańscy), a obecnie opustoszałe. Położone były na wyrębach leśnych, nad brzegami rzek: posiołki te dawały nam schronienie w barakach i chatach zbudowanych z belek i pracę w lesie przy wyrębie drzewa. W takich warunkach znalazły się rodziny osadników wojskowych wywiezionych w lutym 1940 oraz transporty z czerwca 1940, które w dużej mierze składały się z ludzi starających się o powrót za Bug, a nazywanych przez władze sowieckie bieżęciami. Warunki pracy i życia były tu podobne do tych, jakie istniały w łagrach. Ścisła kontrola władz, przymus pracy, konieczność wyrabiania „normy”, od której zależała ilość przydziału chleba, zakaz wydalania się poza obręb posiołka i zakaz kontaktów z miejscową ludnością. W po-siołkach tych ludzie byli całkowicie zależni od władz: komendanta, sowchoza (oficer gospodarczy), magazyniera, wracza (felczer), piekarza, nauczyciela, kulturnika (coś w rodzaju oświatowego) i strielków (uzbrojeni strażnicy).

Rygor panujący na posiołku i obostrzenia stosowane wobec polskich wysiedleńców zależały w dużej mierze od charakteru komendanta. Na przykład na posiołku Zimnij (świerdłowska obłast) komendant był nieludzki, gnębił Polaków jak mógł. Za odmowę pracy w sobotę polski rabin i jego czterej synowie byli bici, wsadzeni do więzienia-izolatki i ostatecznie osadzeni w więzieniu w Świerdłowsku z oskarżenia komentanta. Tam też stary rabin bardzo szybko zmarł. Jeśli ktoś ośmielił się pójść do pobliskiej wioski, aby kupić ryby od ludzi, którzy przywozili je łódkami, czy nawet kąpać się w rzece, był wsadzany do tejże izolatki, która była cuchnącą, ciasną norą, w zimie nie opalaną. Natomiast na posiołku Witiunino, w wilegockim rejonie archangielskiej obłasti komendant był względnie ludzki. Był sprawiedliwym przełożonym, wymagającym od wszystkich codziennej pracy, ale spóźnienia i nieobecności krane były tylko grzywnami. Nigdy nie stosował fizycznej przemocy. Był wyrozumiały dla młodzieży: pozwalał na potańcówki i sport na terenie posiołka, od którego nie wolno było się oddalać, a dla rodzin z małymi dziećmi sprowadzał kozy, aby miały mleko.

Sytuacja w Kazachstanie różniła się zasadniczo od warunków w rejonach północnej Rosji i Syberii. Zostały tu wywiezione rodziny oficerów i policjantów, a więc były to przeważnie kobiety z dziećmi. Po przyjeździe do wyznaczonego im miejsca rodziny te rozsyłano po okolicznych kołchozach, które z reguły były bardzo biedne, a ludność w nich zamieszkała żyła w nędzy. Większość plonów zabierało państwo, a resztę dzielono między sobą w zależności od wkładu pracy. Przymusu pracy tu nie było, jednakże w myśl sowieckiej zasady kto nie rabotajet tot nie kuszajet (kto nie pracuje, ten nie je), ludzie musieli pracować ponad siły, aby jakoś wyżyć. Tylko ci, którzy dostawali paczki z Polski albo mieli dużo rzeczy do sprzedania lub zamiany, pracować nie musieli. Mieszkając w wioskach mieli kontakty z miejscową ludnością, a także większą swobodę poruszania się w terenie, a nawet możliwość zmiany miejsca zamieszkania i pracy. Na posiołkach na północy prośby o przeniesienie gdziekolwiek były bezcelowe. Kilka osób z posiołka Zimnij w świerdłowskim rejonie zgłosiło się do pracy w Leikinie (najbliższa miejscowość), gdzie zarobki ponoć były większe. Leikino okazało się łagrem za drutami i warunki były tam o wiele gorsze niż na posiołku. Natomiast dla wielu rodzin polskich osiedlonych w Kazachstanie miało sens pisanie podań o przeniesienie z kołchozów do pobliskich miast, gdzie były lepsze warunki mieszkaniowe i gdzie korzystniej i łatwiej można było sprzedać lub wymienić rzeczy na produkty, aniżeli wśród ubogich kołchoźników.

Życie na wygnaniu wlokło się z dnia na dzień wśród beznadziejnej szarzyzny, często przeplatane tragediami osobistymi. Tęsknota za krajem zżerała ludzi psychicznie. Warunki klimatyczne i praca ponad siły oraz niedożywienie, zbierały hojne żniwo. Cmentarzyska rosły.

Wbrew tym wszelkim przeciwnościom, gnębieni mrozem syberyjskim, owiani smutkiem tajgi, spieczeni słońcem azjatyckim, męczeni złym traktowaniem, brakiem żywności i ogólną nędzą bytowania w łagrach, posiołkach i kołchozach, zesłańcy modlili się i nie tracili nadziei. Wierzyli mocno, że musi przyjść jakaś zmiana, jakieś wybawienie.

Obrazki z życia młodych zesłańców

Jeden dzień na posiołku

I znowu zaczyna się dzień. W baraku panuje zupełna cisza. Wszyscy już wyszli do roboty, a ja ustawicznie ziewając zaczynam się leniwie krzątać. Dopiero rześkie powietrze i olśniewający blask słońca otrzeźwiają mnie zupełnie. Brnę po kostki w przejmująco zimnej rosie idąc po wodę i przecinając niewielką łączkę dzielącą nasz barak od rzeki. Jeszcze na ścieżce wiodącej do lasu widać korowód ciemnych sylwetek z piłami i siekierami na ramionach. Między trzema rzędami drewnianych baraków zapanowała zwykła o tej porze cisza. Czasami tylko jakaś stara osoba poczłapie pod magazyn zając zawczasu kolejkę „za chlebem”, który, nawiasem mówiąc, na pewno się jeszcze nie upiekł.

Tymczasem w naszym baraku czeka na mnie wyczekujący ze wszystkich kątów bałagan. Prycza zbita z prostych desek, stół, duży piec ze stojącym na płycie jednym garnkiem — to całe moje gospodarstwo. Słońce stało już dosyć wysoko, gdy skończywszy rąbać drzewo, ułożyłam pod piecem stos cieniutkich trzasek, gdyż tylko na takich można coś ugotować w naszym stawianym „nową modą” piecu.

Nareszcie mogę pójść na poziomki. W lesie ogarnia mnie przejmujący chłód wiejący od ziemi nie tkniętej jeszcze promieniem słonecznym. Czasem nieostroźnie potrącona gałąź świerkowa sprawia niepożądany, zimny prysznic. Mokra do pasa od rosy przedzieram się przez płataninę łodyg i liści, każdym krokiem płosząc roje komarów i jeszcze przykrzejszych muszek, które obsiadają mnie całymi rojami, włączają do oczu, nosa, ust, wświdrowują się w mózg swoim przejmującym brzękiem. Zła jestem na cały świat, a szczególnie na poziomki. Z rozpaczą badam zawartość puszek. To zbieranie chyba się nigdy nie skończy.

Słońce stoi już wysoko nad prostokątną porębą, ciągnącą się jasnozielonym pasmem na przeciwległym zboczcu, co na pewno oznacza czwartą godzinę. Rozprostowuję zdrętwiałe od ciągłego schylania się grzbiet, przysiadam z rozkoszą na pieńku, aby odpocząć. W mojej powolnej wędrówce oddaliłam się jednak dość znacznie od wsi, która wygląda

teraz jak trzy szeregi szarych prostokątów, poustawianych równo na polanie, odcinających się jasną plamą od otaczających zboczy. Wokół panuje cisza, w której drga powtarzający się monotonicznie stuk siekier.

Wracając do wsi zauważyłam już z dala przed kantorem znajomą dobrze gniadą szkapę. Na pewno Gołonzapow przywiózł listy. Na ten widok zawsze jakoś żywiej serce bije — a nuż przyszedł „stamtąd” list! Czytając go będzie można przeżyć choć małą chwilę „tamnym” życiem, za którym tak bardzo tęsknimy.

Spław z pamiętnika Syli Gimzewskiej-Wachnianin, wspomnienie pisane w Isfahanie w 1944.

Dzisiejsza pora wiosenna przypomina mi tę chwilę, kiedy posłano mnie pierwszy raz na spław. Nie miałam wprawdzie jeszcze ukończonych 16 lat, ale zaliczałam się już do roboczych i, co najważniejsze, dostawałam 400 gramów chleba. Na spław posłano nas autobusem. Było wśród nas kilku ludzi starszych, a reszta to wszystko młodzież. Nie pamiętam już podróży, wiem tylko, że otoczeni byliśmy tumanami kurzu i nie wiedzieliśmy właściwie dokąd nas wiozą. Jazda trwała półtora dnia i wreszcie znaleźliśmy się u celu. Autobus zatrzymał się przed bardzo rozległym budynkiem, z którego wysypało się mnóstwo ludzi. Można tam było ujrzeć Polaków, Rusinów, Ukraińców, Białorusinów, Żydów i jeszcze wielu innych. Spław nie dawał mi spokoju, ciągle myślałam o tym, że ta rzeka musi być bardzo głęboka. Przypadkowo dowiedziałam się, że nazywa się ona Waga i że ta miejscowość nazywa się Ważskaja Zapoń. Nie dano nam długo odpoczywać, bo tylko kilka godzin. W nocy musieliśmy wyruszyć do pracy. Uzbrojono nas w bosaki, które kojarzyły mi się raczej z walką z ogniem niż z wodą.

Z daleka dolatywał już szum wody i trzeszczenie, które, jak się później okazało, powstawało na skutek łamania się grubych kłoców drzewnych. Rzeka na całej swojej szerokości, około 500 metrów, była pokryta gęsto drzewem. Wszystko to było zwalone beładnie w kupy tworzące naturalną zapórę. Napływająca coraz to większa ilość kłód powstrzymywała bieg wody i tworzyła coraz większe zatory. Masa ich była tak wielka, że sięgała aż bardzo wysokich brzegów Wagi. Teraz dopiero okazało się, że my mamy te zwały drzewa rozrywać. Nie powiem, żeby mi się chciało wierzyć, że to się da zrobić i że w ogóle można będzie wyjść na środek rzeki, a jednak tak było. Trzeba było odrzucić na bok wszelki strach i zabrać się do pracy.

Kolejno wbijaliśmy bosaki w kłody, które utwierdzone mocno nie drgały nawet i nie ruszały się z posad. Z trudem udało nam się wyrwać pierwszy, potem dalsze i tak rozruszaliśmy cały kawałek zapory. Nagle uczułem, że coś mi się pod nogami kręci. Nie zdążyłam zastanowić się nad tym co się dzieje, bo za chwilę uczułam straszne zimno, i że woda zalewa mi usta, oczy i nos. Na szczęście płynęła obok mnie gruba kłoda, za którą zdołałam się złapać. Siedząc na niej pomyślałam: co za kąpiel!".

Jak się okazało, była to pierwsza z wielu.

(...)

W czerwcu 1941 roku Hitler uderzył niespodziewanie na Rosję. To spowodowało, że we wszystkich miejscach zesłania Polaków nastąpiły jeszcze gorsze czasy. Zniesiono wolną niedzielę, wszyscy byli u kresu wytrzymałości i sił, przestały przychodzić paczki do rodzin i przyjaciół, a były one głównym źródłem utrzymania dla wielu zesłańców.

Wojna między Niemcami a Związkiem Sowieckim zmieniła całkowicie sytuację Polaków w Rosji. Niepowodzenia na froncie zmusiły władze ZSRR do zawarcia sojuszu z aliantami. Dla nas najważniejszym wynikiem tych zmian politycznych była umowa Sikorski-Majski. Pod koniec sierpnia 1941 dotarła do większości ośrodków, w których przebywali Polacy, wiadomość, że premier Rządu

Rzeczypospolitej w Londynie, generał Władysław Sikorski, 30 lipca 1941 zawarł układ z rządem ZSRR w Moskwie, na mocy którego Wierchowny Sowiet udzielił nam „amnestii”.

Uwolnieni Polacy, pijani radością, ledwie śmiać wierzyć własnym uszom, śpiewali głośno swój hymn narodowy. Następnego dnia nikt nie poszedł do pracy. Był to moment triumfu, odwet za wszystkie znęcania się i upokorzenia zaznane od wroga. Równocześnie podano do ogólnej wiadomości, że będzie się tworzyć na terenie Rosji armia polska pod dowództwem zwolnionego z Łubianki generała Andersa. Zesłańcy zaopatrzeni, w tak zwane udostowierienja, czyli dowody, że są ludźmi wolnymi, zaczęli pospiesznie opuszczać miejsca zesłania w poszukiwaniu tworzącego się wojska polskiego.

Orientujący się w sytuacji generał Anders przeniósł wojskowe punkty rekrutacyjne z centralnej Rosji do Uzbekistanu. Uważał już wtedy, że jedynym sposobem ocalenia przynajmniej części Polaków będzie ewakuacja ich na Środkowy Wschód. Zostaną nam na zawsze w pamięci miejscowości, w których tworzyły się bazy wojskowe: Buzułuk — pierwsza siedziba sztabu, Kujbyszew — siedziba polskiej ambasady, Tockoje, Narpaj, Wrewojskoje, Łu-gowaja, Czok-Pak, Kitab, Karkin-Batasz, Dżałał-Abad, Guzar, Ta-tiszczewo, Czkałow, Kołtubianka, Szachryzjabs, Kermine, Marge-lan i Fergana oraz siedziba sztabu — Jangi-Jul. Wędrowni Polaków z rozległych krańców Rosji, trwające tygodniami a czasem miesiącami, można by porównać do niepowstrzymanej rwącej na południe rzeki. Delegatury polskie były dopiero w stanie organizowania się, nie były po prostu zdolne do kierowania tymi wielotysięcznymi rzeszami. Polaków spotykało się na wszystkich węzłowych stacjach w kierunku na południe. Stacje i przejeżdżające przez nie pociągi były głównym źródłem wiadomości o rodakach i o nowo tworzącej się armii.

W obozach pracy, na posiołkach i w kołchozach mieliśmy zapewnione minimum egzystencji. Po opuszczeniu miejsc zsyłki byliśmy zdani na własne siły. W sytuacji tej poratować mogło tylko posiadanie cennych, jak na rosyjskie warunki, rzeczy: coś z ubrania, cudem zachowany zegarek, pierścionek lub obrączka ślubna. Przedmioty te można było zamienić na żywność. Niestety, po dwóch latach w „raju” sowieckim prawie nikt nie miał już niczego do wymiany. Choroby i głód dziesiątkowały ludzi, którzy ginęli z wycieńczenia w tej „wędrownicy ludów” po bezkresach Rosji.

Ci, którzy zdołali dotrzeć do ośrodków wojskowych, znajdowali się w stanie ostatecznego wyczerpania, często śmiertelnie chorzy. Tworząca się armia miała poważne problemy z aprowizacją. Władze sowieckie przydzieliły jej tylko jedną czwartą racji żywnościowej na osobę. Napływ ludności cywilnej i dzieci zbiegł się z napływem ochotników do wojska, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Żołnierz polski okazał w tym czasie prawdziwie samarytańską miłość bliźniego, dzieląc skąpą rację ze spieszącymi pod jego opiekę nędzarzami.

Ilość dzieci przy wojsku była duża. Zdarzały się wypadki, że najstarsze, samo jeszcze dziecko, przyprowadzało ze sobą kilkoro młodszych. Dzieci te, czasami na wpół już zruszczone, uciekały z przytułków i sierocińców rosyjskich. Ojciec Nasz, odmówiony po polsku, był często ich legitymacją, że są Polakami. Dzieci te w wielu wypadkach nie znały nawet swego nazwiska. Żal i litość niezmierną chwytały za serce na widok tych szkieletów okrytych szmatami rojącymi się od robactwa, ich zapadłych oczu starych ludzi, z których wycierała tragedia nie do opisanego. Setki tych dzieci nie dożyły lepszego jutra. Przyszły pod opiekę wojska po to, aby umrzeć wśród swoich. Wiele tysięcy nie zdołało dotrzeć do placówek.

Troskę o losy dzieci dzieliło całe wojsko polskie. Wśród żołnierzy było wielu ochotników, którzy wyruszyli na pomoc ludności cywilnej. Jeździli od kołchozu do kołchozu, szukając specjalnie sierot zagubionych wśród rosyjskich sierocińców. Jednym z nich był Władysław Rubin, obecny kardynał. Dzięki inicjatywie polskiej ambasady w Kujbyszewie i gen. Andersa, powstały przy każdej placówce wojskowej przedszkola, sierocińce i szkoły. Rozmieszczano dzieci gdzie się dało: pod namiotami, w szopach, w nędznych uzbeckich lepiankach. Kwatery te, z braku pomieszczeń na kwarantannę, zamieniały się często na szpitale. Najbardziej notorycznym miejscem, gdzie procentowo wymarło najwięcej dzieci był Karkin-Batasz, w języku miejscowym Dolina Śmierci. Nieszczęsne to miejsce przydzielone Polskiej Opiece Społecznej przez naszych nowych sprzymierzeńców, okazało się klimatycznie zabójcze. Już w kwietniu temperatura przekraczała 35° C, a cała okolica zamieniała się w pustynię bez wody. Obóz składający się z glinianek uzbeckich, których całym „umeblowaniem” było trochę słomy na ziemi, zaczął swoją działalność 1 marca 1942. Umieszczono w nim 200 sierot w wieku od 5-12 lat pod opieką Krystyny Skwarko. Do nauki, która miała się rozpocząć 15 marca nie doszło, bo 24 marca sierociniec w pełnym składzie opuścił Karkin-Batasz, wyjeżdżając do Persji, Grupa ta, po dwudniowym postoju w Teheranie, 9 kwietnia 1942 roku wyjechała do Isfahanu.

Karkin-Batasz odziedziczyła po sierotach Szkoła Junaczek, zatwierdzona rozkazem dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w Jangi--Jul w połowie maja 1942. Jednakże już od 30 marca zaczęły zjeżdżać do obozu liczne transporty dziewcząt z poszczególnych placówek nowo tworzącej się armii. Niektóre przybywały z własnej inicjatywy wprost z kołchozów. 23 maja było już w szkole 691 junaczek. Stan liczebny powiększał się bardzo szybko i w lipcu doszedł do 1 036 osób. Komendantka szkoły, Teodora Sychowska, podzieliła szkołę na powszechną i gimnazjum.

Prymitywne warunki bytu, opłakany stan sanitarny, brak wody i niemożliwe upały doprowadziły do wybuchu epidemii tyfusu i krwawej dyzenterii. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, a śmierć zbierała przerażające żniwo, zwłaszcza że dziewczęta przybywały do Karkin-Batasz przeważnie zagłodzone i wycieńczone, co obniżało ich odporność na choroby. Wobec tej sytuacji zaszła natychmiastowa potrzeba przeniesienia szkoły. Dzięki staraniom komendantki Sychowskiej połowa szkoły, najbardziej potrzebująca pomocy, przeniosła się do Guzaru, drugą zaś połowę zabral generał Tokarzewski, dowódca 6 dywizji w Szachry-zjabsie, umieszczając ją w pobliskim kołchozie Mołotow. Obóz w Karkin-Batasz przestał istnieć jako szkoła, ale kontynuował swoje istnienie jako ośrodek dla uzdrowieńców (sic! — przyp. red.), aż do sierpnia 1942.

W kołchozie Mołotow, położonym nad rzeką Kaszka-Darią, klimat i warunki były znośniejsze, ale tu czekały na nas przykre niespodzianki — piękna okolica roiła się od komarów malarycznych. Pomimo ogromnych trudności naukę kontynuowano. Celem personelu wychowawczego było doprowadzenie dzieci do zdrowia i równowagi psychicznej. Nauczanie i wychowywanie odbywało się w warunkach bardzo prymitywnych. Brak podręczników i sprzętu szkolnego utrudniał pracę, niemniej był to początek; nikomu też nie brakowało entuzjazmu.

Pod groźbą narastającej wciąż ofensywy niemieckiej oraz trudności w wyżywieniu, rząd ZSRR zgodził się na ewakuację wojsk polskich i ludności cywilnej do Persji. Transporty miały odchodzić z Krasnowodsk do portu perskiego Pahlevi. Ilość statków i czas na ewakuację były ograniczone. Władzom polskim chodziło o to, aby jak największa ilość ludzi mogła opuścić Rosję, każdy więc statek wypełniony był po brzegi. Generał Anders wydał specjalny rozkaz, aby do transportów włączyć wszystkie dzieci, nawet gdyby trzeba było wnosić je na rękach. Największą grupą dzieci opuszczającą

Rosję była szkoła Junaczek i Junaków, która wyjechała z ZSRR 25 sierpnia 1942. Z ogolonymi głowami, w mundurach i żołnierskich butach, dziewczęta nie różniły się wyglądem od chłopców.

W Pahlevi uratowani schodzili ze statków w gorączkowym pośpiechu, jak gdyby chcąc zerwać ostatnie więzy łączące ich jeszcze z nieludzkim łądem. Na ziemi perskiej ogarniała wszystkich bezmierna radość — uczucia tego nie da się naprawdę opisać. Było to uniesienie ludzi, którzy wracali jak gdyby zza grobu, zostawiając poza sobą zmorę straszego zesłania.

(...)

Helena Szydłowska-Miętkowska

Przez tajgę

Z pamiętnika Inki (15 lat)

(...)

17 września (1939)

Ostatni wysiłek naszej załogi wojskowej w twierdzy nie uratował Brześcia. Dziś wieczorem twierdza płonęła, na niebie gorzała luna.

Pierwszy raz zobaczyłam wojsko niemieckie. Po szosie jechały samochody i motocykle. Wszystko nowe, błyszczące, elegancko ubrani, wszyscy zmotoryzowani. Jechali dwie godziny wraz z bronią pancerną, wciąż nowi i nowi. I tu zobaczyłam potęgę niemiecką. Jedna pani ze Śląska, znając język niemiecki, rozmawiała z żołnierzem, który przyjechał na motocyklu napić się mleka. Powiedział jej, że Niemcy są nad-ludzie i powinni zapanować nad światem, tak twierdzi ich wódz i tak będzie. Mimo wszystko ja wierzę, że sprawiedliwość zwycięży moc wroga.

18 września

Na razie bombardowania ustały i powoli, przychodzimy do normalnego stanu. Tylko Mamusia płacze całymi dniami, a w nocy wcale nie sypia i mizernieje w oczach.

20 września

Koniec ucieczki, wracamy do domu wynajętym wozem. Po drodze widzimy spalone wsie, świeże groby z hełmami zawieszonymi na krzyżach, wszędzie ślady niedawnych walk. Niemcy wbili się klinem i zamknęli odwrót Polakom. Poddają się kolejno, okrążone morzem Niemców, polskie armie. Doszła do nas wiadomość, że od wschodu wkracza wojsko sowieckie. Podobno rząd polski przedostał się na teren pań-stawa rumuńskiego.

22 września 1939

Wojska sowieckie wkroczyły do Brześcia. Żołnierze idą pieszo, mają postrzępione płaszcze i wloką nogę za nogą. Nie robią wrażenia silnej armii, tak bardzo się różnią wyglądem od Niemców, ale zadali

nam równie bolesny cios, przekraczając granice polskie na wschodzie, gdzie wojsko polskie miało się bronić.

5 października 1939

Mama zapakowała walizki i pojechaliliśmy na dworzec z zamiarem wyjazdu do Lwowa, do Babci. Razem z nami jadą państwo Maleczek z dwoma synami, Władkiem i Gienkiem i córką Lucią. Na stacji tłum ludzi czekał na bilety, które było już trudno dostać. Dobrze że Stach kupił je wcześniej rano. Przyjechał pociąg wypełniony po brzegi ludźmi. Stach jakoś się wcisnął do środka, a Mama podawała mu przez okno walizki i małego Jędrka. Potem sama ze mną ledwo dostała się na korytarz wagonu. Tak dobrnęliśmy do Kowla, gdzie mieliśmy przesiadkę na inny pociąg idący do Lwowa.

Dowiedzieliśmy się później od znajomej, że tej nocy przyszli żołnierze sowieccy do naszego mieszkania w Brześciu aresztować mamę jako żonę polskiego oficera. Nie wiem jakby się potoczyły nasze losy. Zaczął się nowy etap naszego życia jako „uciekinierów” we Lwowie.

Lwów, 28 czerwca 1940

Przyszedł dzisiaj do nas pan Roliński, zarządca biura przeprowadzki pani Zawadzkiej i powiedział, że z tej ulicy, gdzie on mieszka, wywieźli wczoraj rodzinę „uciekinierów” z Katowic, tych którzy się rejestrowali na ulicy Orzeszkowej. Nie chcieliśmy wierzyć, ale on przysięgał i powiedział w wielkiej tajemnicy, że na jutrzejszą noc zamówiono u nich platformy z końmi. Prawdopodobnie będą wywozić, ale kogo i kto się uratuje?

29 czerwca

Święto Piotra i Pawła. Byłam w kościele i modliłam się szczerze i gorąco, by Bóg miłościwy ulitował się nad nami i uchronił nas przed wywiezieniem.

W domu zdenerwowanie straszne. Mamusia po raz drugi pakuje nasze rzeczy i pościel. Ma, jak zwykle, złe przecucie. Ja latam po mieście i kupuję bułki i chleb na drogę. Zygmunt (mój wujek) złożył się, ale lepiej się rozpakować niż w popłochu zostawić rzeczy. Cały wieczór byliśmy jak podminowani. Gdy zbliżała się godzina dziesiąta, ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Nie pozwolono świecić w oknach i kazali je pozastać. (Był on fikcyjny, chodziło o to, żeby ludzie nie widzieli jak wywożą innych do Rosji). O jedenastej w nocy położyliśmy się spać w ubraniach. Gdy pierwsza minęła, uspokoiłam się trochę i uwierzyłam, że Bóg nas uratuje. Obudził nas dzwonek przy bramie. Brama była otwarta. Po chwili usłyszeliśmy stukot kilku paru nóg na schodach. Struchleliśmy i nagle słyszymy, że ktoś wali nogami do drzwi. Zygmunt wyszedł otworzyć drzwi. Weszło czterech enkawudzistów. Wyczytali nasze nazwiska — 13 osób. My, Babcia i Zygmunt, którzy się tego nie spodziewali i przyjaciele z Brześcia, państwo Maleczek oraz generałowa Wróblewska, którzy się tu schronili z nami. Enkawudzista powiedział nam, że jedziemy do Warszawy, do swoich domów, tak jak zarejestrowaliśmy się w Komisji niemieckiej na fikcyjnych papierach. Dopiero gdy on wyszedł, milicjant ukraiński poradził nam, żebyśmy się spakowali i brali wszystko, bo jedziemy do Rosji. Żołnierze stali z karabinami w korytarzu i pilnowali nawet tych, którzy szli do ubikacji. Zygmuntowi udało się jednak wrzucić do ubikacji książeczkę wojskową.

Strasznie przykre było pożegnanie z Babulą (matka ojca) i wujostwem. Babula zalewała się łzami i błogosławiła nas. Załadowano nas na otwartą ciężarówkę, a nam kazano usiąść na wierzchu. Po raz

ostatni żegnaliśmy ulice Lwowa, które w promieniu słonecznym wczesnego ranka wyglądały jeszcze piękniej niż zawsze. Przechodnie przystawali i pobladli patrzyli na nas z żalem. Korowody ciężarówek spotkały się na dworcu kolejowym. Gdy przyszlismy na peron, wszystkie wagonu pociągu towarowego wypełnione były ludźmi. Czekaliśmy na stacji, aż podstawią na tory drugi pociąg. Żołnierze z karabinami towarzyszyli nam. Przed naszymi oczami przesuwali się ludzie przelękli, z tobołkami i z płaczącymi dziećmi na rękach. Wreszcie załadowali nas do wagonu. Był pusty, więc rozlokowaliśmy się jak najwygodniej na drewnianych pryzkach, układając rzeczy na stos. Milicjant, Ukrainiec, który po nas przyszedł do domu i był z nami na dworcu, dobrze mówił po polsku. Kupił dzieciom czekoladki i pocieszał nas, że naprzód my wyjeżdżamy, a oni za nami. Na stacji staliśmy cały dzień. Podeszły do wagonu Zosia, Dziuśka, Wisia i Hala. Naznosiły nam kawy, kompotu, kiełbasy, cukru i pieniędzy. Nazbierało się u Mamusi 500 rubli. Przyszedł do nas Maryś, Jurek, Zdzisiek. Pan Cieślak też był i żegnał się ze łzami w oczach. Żegnajcie przyjaciele!

W nocy ruszyliśmy. Przed nami ruszył transport ten, w którym jechał Józef. Gdy pociąg nas mijał zobaczyłam w małym okienku Józka, machał do nas i wołał: „Do nie-rychłego zobaczenia, bracie”. Wujcio Edzio też się ukazał w okienku na sekundę, chorował i chorego wywieźli. Oby tylko miał siłę przetrwać.

Do naszego wagonu wpakowali 28 osób. Jest trochę ciasno, ale trudno. Znalezione w wagonie wesz. Zobaczyłam pierwszą wesz w moim życiu. W wagonie jest ciemno, a pośrodku dziura w podłodze służąca za ubikację.

Jakimś cudem zabraliśmy ze sobą gitarę. Krysia Illukie-wicz zaczęła brzdąkać na niej i nucić, dołączyliśmy się do tej smętnej piosenki. Krysia ładnie śpiewa: Gdy wrócisz po tylu długich latach, zastaniesz pokój w kwiatkach, jak gdyby nigdy nic. Być może, że wrócimy po długich latach, ale zastaniemy pokój w kwiatkach i kogo zastaniemy?

30 czerwca

Jedziemy w kierunku Sarn. Na każdej stacji żołnierze sowieccy pędzą do wagonów. Nie pozwalają wyjść i grożą zamknięciem drzwi i okien. Groźbę wprowadzali w czyn. Potem Stach wysadzał rękę przez okno i laską Babci podważał skobel i otwierał drzwi, tak że uduszenie nam nie groziło. Gdy dojeżdżaliśmy do Sarn, przyszedł rozkaz, aby nas zawrócić znowu w kierunku Lwowa, a może naprawdę pojedziemy na niemiecką stronę?

31 czerwca (data tak napisana w oryginale)

Niestety przyjechaliśmy do Zdołbunowa na granicy polsko-rosyjskiej. Szepietówka jest po drugiej stronie, w Rosji. Tu przeladowujemy się do wagonów towarowych, rosyjskich, na szerokie tory. Władowali nas do wagonu na 70 osób, jest on dwa razy większy od polskich wagonów. Nasi z poprzedniego wagonu zajęli połowę, a drugą zajęli Żydzi. Krzyk, gwałt i zgiełk. Straszne uczucie miałam jak mijaliśmy polską granicę. Zdawało mi się, że drzwi się ze mną zamknęły i jestem w pułapce.

1 lipca 1940 — Rosja

Mijamy wieś i miasteczka. Pola tu leżą odłogiem, a zboże i kartofle są mizerne. Widać na każdym kroku, że nie ma tu ręki gospodarza. Bo któż będzie chciał pracować dla kogoś bez wynagrodzenia. Niestety tu głośzą hasło: „kto nie pracuje, ten nie je” i dlatego wszyscy pracują tylko dla „oka”.

Przez cały czas, mijając tyle kołchozów nie widziałam świń. Pierwsze świnię powitaliśmy okrzykiem zdziwienia, bo te szkielety nie były podobne do naszych tłustych świń.

2 lipca

Jedziemy w kierunku Moskwy, minęliśmy Korosten. Dokąd nas wiozą? Do tej pory nie wiemy. Karmią nas po drodze nieźle, a może to, że mamy uczucie sytości robi upał i zdenerwowanie.

3 lipca

Dzisiaj zatrzymano pociąg w polu. Pozwolono nam wyjść z wagonów, nie było to łatwe. Babcia nie mogła zejść, bo było bardzo wysoko. Każdy skorzystał z osłony żyta.

4 lipca

Minęliśmy Mozyr. Jedno co jest dobre w Rosji to kąpiatok, czyli wrząca woda, którą można dostać na każdej stacji za darmo. Człowiek w podróży weźmie gorącą wodę, zaparzy herbatę czy rosyjską „kawę” i już ma coś ciepłego.

5 lipca

Jedziemy na północny wschód. Mijamy Homel, dążymy w kierunku Moskwy.

6 lipca

Mijamy Nowozybków, Unechę, Poczep. Na jednej ze stacji wybiegliśmy po kąpiatok. Władek miał na sobie tylko marynarkę, bez koszuli i na szyi jego widoczny był medalik z Matką Boską. Zaczepiła go jedna Rosjanka, która była w towarzystwie drugiej i zapytała go, co on ma takiego na szyi. Objął ją, że to jest Matka Boska i że on jest wierzący. Zaczęła się śmiać i mówiła, że ona sobie przyczepi kopiejkę i też powie, że to bóg. Gdy jej towarzyszka odeszła, baba się zmieniła i szepnęła, że Boh jest i budiet (Bóg jest i będzie). Tacy oni tu są. Wierzą, ale boją się przyznać, bo na każdym kroku szpieg, brat brata zdradza, syn ojca, sąsiad sąsiada.

7 lipca

Mijamy Briańsk, wciąż jesteśmy na linii Moskwy. Panna Małgosia była w Rosji będąc małą dziewczynką i opowiada jak strasznie jest w Archangielsku, na północy, a my wciąż tam zmierzamy. Panie, chroń nas przed kopalniami w Archangielsku!

8 lipca 1940

W dzień minęliśmy Mały Jarosławiec, a w nocy przejeżdżaliśmy przez Wołgę. Moskwę okrążyliśmy, widać było z daleka światła. Perfidni „przyjaciele” nie chcieli pokazać swojej stolicy, co robią z niewinnymi ludźmi, biorąc ich wbrew woli na przesiedlenie.

9 lipca

Minęliśmy Jarosław i jedziemy na północ. Przejeżdżamy wieczorem duże miasto Buj. Jedziemy dalej. Zaczyna się teren liściasty i bagnisty. O czwartej wjechaliśmy w okolice strasznie bagniste, pokazała się masa komarów, tak że musieliśmy pozamykać małe okienka w wagonie. O 10 w nocy zatrzymaliśmy się. Obudziliśmy się i rozglądamy, gdzie jesteśmy. Przyszedł enkawudzista i kazał się nam wyładować. Okazało się, że odłączyli nasz wagon po drodze i wjechaliśmy w boczną linię. Mała najbliższa stacja Sidorowo. Przybyliśmy na miejsce. Z przerażeniem patrzymy na pustkowie, gdzie czernią się konary i pnie popalonych drzew. Pośród tego prześwieca to tu to tam bagno i trzęsawisko. Szczytem wszystkiego jest chmara komarów, która nie daje ustać człowiekowi na miejscu. Jedno jest ciekawe; że noc jest biała jak pochmurny dzień. Białe noce na północy! Zdawało nam się, że to nasz grób i że tu niechybnie zginiemy jak nie z głodu, bo co tu może być na tym bagnie i pniach, to od komarów, które niemiłosiernie gryzą. Ile one krwi z nas wypijają.

Kazano nam rzeczy zostawić przy torach kolejowych i iść do pobliskich baraków. Jeden długi był świeżo wykończony, reszta nie, i do tego nas skierowano. Babcia nic nie mówiła, ale widziałam, że jest przerażona. W dużej sali położyliśmy płaszcze na podłodze i usiedliśmy. Tu mamy dostać jedzenie, a potem mają nas załadować na sanie ciągnięte przez traktory i zawieźć na miejsce, gdzie mamy być na stałe. Nie wyobrażam sobie jazdy saniami, w lecie. Dzieci, nie rozumiejąc grozy sytuacji, biegały bawiąc się w żołnierzy zapędzających ludzi do wagonów.

10 lipca

O trzeciej po południu mają nas wieźć dalej.

Po posiłku załadowali nas z rzeczami na ogromne sanie, ale mimo tego za małe na 70 osób z bagażem. Toteż siedzę na krawędzi na sznurach, a nogi mam spuszczone w dół.

Każde silniejsze przechylenie sań groziło mi upadkiem w bagno. Mamusia, Babcia i Jędrus siedzą w środku, jest im strasznie ciasno. Jakieś małe, rozkapryszone dziecko wciąż kopie Babcie i nie pomaga prośba i groźba. Mężczyźni poszli pieszo przez bagno skacząc z kępy na kępę, które się mieściły w pobliżu korzeni drzew, straszna była ta jazda. Póki żyję nie zapomnę tego. Taki strach, żeby traktor nie zatonął w tej mazi. Przy każdym poruszeniu wiatru drzewa kiwały się złowrogo grożąc nam przywaleniem. Las dziki i nieprzystępny. Drzewa nie mogąc zapuścić korzeni w głąb rozprzestrzeniły je jak parasole na powierzchni bagna. Gdzieniedzie więcej podgniłe drzewa padały z trzaskiem. Przy tym komary niemiłosiernie gryzły i włożyły w nos, usta i oczy. Oprócz nich były małe, czarne muszki, jeszcze bardziej dokuczliwe. Gdzie były po drodze większe trzęsawiska, to Rosjanie ścinali brzozy i rzucali je pod koła traktom. Nic to nie pomagało, bo pod ciężarem traktora i sań drzewo szło pod spód a my zanurzaliśmy się do połowy i rzeczy zalewała brunatna maź. Mnie się wciąż zdawało, że lada moment wpadnę do bagna, bo sznur, który trzymał sanie był nadwerężony ciężarem kilku osób.

Wszystkie traktory nas wymijały, a nasz wciąż się psuł, i wreszcie w połowie drogi stanął na dobre i ugrzązł w bagnie. Zbliżała się noc. Traktorzyści widząc, że go nie naprawią zabrali się skacząc po kępach; poszli do domu, a nas zostawili na łasce losu. Las cichy, ani jeden głos się nie odezwie i tylko drzewa złowrogo trzeszczą. Komarów coraz więcej. Nastąpiła zimna, przenikliwa noc. Wszyscy głodni i spragnieni. Zeszłam z innymi z traktora i uważając, żeby nie wpaść w bagno nazbieraliśmy patyków i rozpalili ognisko, aby się nieco ogrzać. Byliśmy tak spragnieni, że piliśmy wodę z bagna, która się trochę ostała przy korzeniach, pachniała żywicą i była koloru żółtego. Babcia nie mogła zejść z sań.

Nie byliśmy w stanie jej pomóc, bo po pod jej ciężarem mogliśmy razem zatonać. Tak przeczekaliśmy do rana.

Rano wrócili nasi traktorzyści i przynieśli nam chleb. Ugotowaliśmy na gałązkach herbatę rosyjską z suszonych owoców. Traktor naprawili dopiero o 12 w południe. Przeładowaliśmy się na dwa traktory. Babcia pojechała pierwszym, a my z Mamą i Jędrkiem miałyśmy się dostać na drugi. Tymczasem przyjechał on pełny ludzi, którzy nocowali po drodze w namiotach. Mama z Jędrkiem znalazła miejsce stojące na saniach, a dla mnie nie było już miejsca. Uczepiliśmy się z jednym panem sań z tyłu i tak, wisząc na jednej desce, jechaliśmy wciąż się obawiając, by nie wpaść do bagna. Wreszcie po kilkugodzinnej, diabelskiej jeździe wylądowaliśmy nad brzegiem rzeki, na skraju lasu. Aż krzyknęliśmy z zachwytu, gdyż przed naszymi oczami rozciągała się śliczna duża polana otoczona lasem, a z jednej strony czysta rzeka. Ta polana wydała się nam po naszych tarapatach cichą przystanią.

Umieszczono nas tu w namiotach po 27 osób. Namiot jest duży i ma drewnianą podłogę. Jesteśmy wszyscy razem z przyjaciółmi ze Lwowa. Dali nam dzisiaj chleb po pół bochenka na osobę i konfiety czyli cukierki.

17 lipca

Idziemy do roboty w las. Mamy wycinać tam drogę przez ten bagnisty las. Straszna była ta droga do naszej dzielanki (działki).

Wykonywałyśmy z Lucią akrobatyczne sztuki, idąc po wąziutkiej desce nad trzęsawiskiem. Piłowałyśmy gałęzie drzew, zwałonych uprzednio przez naszych ludzi. Komary dokuczały. W lesie zastała nas burza, nim doszliśmy do posiołka byliśmy przemoknięci do nitki. W namiocie, pożał się Boże! wszystko mokre a z sufitu leje się ciurkiem. Babcia siedzi pod parasolem z żalną miną. Pani Prędką się złości i przeklina Rosjan i przeprowadza się na środek. Hałas i ruch, a przy tym bardzo zimno.

19 lipca

Dostaliśmy książeczki robocze. Na książeczkę dostajemy 2 kg chleba, tak że to nam wystarcza, a nawet nie bierzemy tyle. (Własne zapasy ratowały sytuację). Dzisiaj spotkał mnie i Lucię komendant w lesie i spytał, po co my chodzimy do roboty i powiedział, że przymusowa praca jest od 16 lat dopiero. Kazał nam iść do domu. Nam w to graj, będziemy chodziły do lasu na jagody.

20 lipca

Nazbierałyśmy dwa litry czarnych jagód w lesie po przeciwnej stronie naszego posiołka, jest on suchszy. Lucia nie miała pieniędzy na chleb, to spróbowała je sprzedać, po trzy ruble za litr. Miała sześć rubli na chleb. Więcej zarobiła na jagodach niż pracując w lesie.

23 lipca

Bardzo lubię ten milczący i tajemniczy las. Jest on suchy, iglasto-liściasty. Chodzimy z Lucią na jagody, jest ich masa, a mało chętnych do zbierania. Mówią Rosjanie tutejsi, że tu są niedźwiedzie, możliwe, bo są straszne gęszcze. Stach, Władek i Gienek pracują na stroitelstwie, czyli są stolarzami i kazali im robić ramy okienne dla budujących się baraków. To jest lepiej, bo nie muszą chodzić do lasu. Stach

nauczył się mówić po rosyjsku i jakoś się porozumiewa. Chodzimy wszyscy w łapciach plecionych z tyka. Stach wyciągnął sobie koszulę na wierzch i wygląda teraz jak Rosjanin.

20 sierpnia

Siedzę nad rzeką przy kuchence z cegieł, którą zbudował nam Gienek ze Stachem. Do tej pory miałam tylko dwie cegły, na których stawiało się garnek i podkładało suche patyki pod spód. Gotujemy z Gienkiem grzyby zebrane w lesie. Rzeka płynie u naszych stóp. Mieszmą postną zupę i przypominamy sobie chwile spędzone we Lwowie. To coś nieosięgalnego, nawet dla naszych marzeń. Czyste łóżko, pokój i dobry obiad też wspominamy jak bajkę. Dziwnym przypadkiem przywieźliśmy ze sobą książkę kucharską, która obecnie stała się dla nas najmiłą lekturą, nie mogliśmy uwierzyć, że tyle jaj i masła używało się do wszystkiego.

24 grudnia 1940

Pierwsza Wigilia na wygnaniu. Poszłam z Mamą do lasu i ścięłyśmy małą choinkę. Powiesiłyśmy choinkę u sufitu, bo w małej izbie nie było miejsca na ziemi. Ozdobiłam zabaweczkami, które zrobiłam z kolorowych wiór drewnianych otrzymanych od sąsiadki. Jędrus był zachwycony tak oryginalną choinką. Gdy brat z wujkiem powrócili z pracy w lesie, zasiedliśmy do skromnego posiłku. Ktoś zanucił kolędy, ale wszyscy się rozplakali. Życzyliśmy sobie nawzajem szybkiego powrotu do Polski i sił do wytrwania. Od ojca, który nie wiadomo gdzie jest, nie mieliśmy żadnej wiadomości.

25 grudnia

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia. Nie ma tu kościoła, ale przyszła znajoma pani i razem wszyscy pomodliliśmy się głośno. Polacy odwiedzali się nawzajem w swoich barakach, składając sobie życzenia. Gawędziło się przy pustym stole, każdy zjadł co miał u siebie.

30 grudnia

Nie mamy ani grosza, bo nie było wypłaty, po prostu kasjer nie przyjechał, czy go śnieg zasypał, czy ukradł te pieniądze, nie wiemy. Bawiąc się mamy mufką futrzaną nagle usłyszałam szelest w środku i pod podszewką znalazłam 10 rubli, które prawdopodobnie kiedyś tam wsadziłam i zapomniałam o nich. Radość była ogromna i kupiliśmy zaraz chleb i kaszę.

1 stycznia 1941

Nowy Rok. Jakże różny od tych spędzonych w domu, nie wiemy, co nam przyszłość przyniesie. Cieszymy się, że mamy kromkę chleba, ale mróz nam dokucza. Dochodzi do minus 40° C, po prostu dech zatyka.

2 stycznia

Na komendzie wywiesili kartkę, że jest 23° C mrozu. Jest to granica temperatury, do której ludzie muszą pracować w lesie, więc popędzono ich do lasu. Każdy zakrywa nos czym może. Para oddechu bucha w oczy przy każdym ruchu, brwi i szal oszroniony. Stach mówił, że nie sposób było używać siekierę, tym bardziej dotknąć ją gołą ręką, skóra by na niej została. Ludzie rozpalili ognisko i stojąc grzali się przy nim, ale to nic nie pomaga. Pozwolili im wrócić wcześniej do domu. Stacha nie poznałam, był cały siwy od mrozu, z soplami na szalu przy twarzy, a cała

Majka (rosyjska watowana wiatrówka) sztywna i biała od lodu, bo śnieg na niej stopił się przy ognisku i znów zamarzył w drodze powrotnej.

5 stycznia

Chodzę po wodę do rzeki. Mróz jest silny i przerębla zamarzła, a śniegu nasypało na jeden metr wysokości. Musiałam wrócić do chałupy po łopatę i siekierę. Czekala mnie ciężka praca. To powtarza się prawie codziennie. Na szczęście przyszła pani Flachowa, również po wodę i pomogła mi. Przy brzegu rzeki rosną wysokie brzozy, które pięknie wyglądają przysypane puchem śniegu, a ich biało-różowa kora skrzy się od mrozu. Polubiłam ten dziki las, tyle w nim pięknej przyrody, tylko ludzie źli. Zachwycam się widokiem i ciszą, tylko drzewa trzeszczą od mrozu. Zapominam na chwilę, że mam cienki płaszcz i dziurawe buty, przez które mróz niemiłosiernie szczypie. Śnieg sięga do pachy, dźwigam wiadro wody, idę ubitą ścieżką.

Potem sytuacja się zmieniła na gorszą. W styczniu 1941 nie dowieziono nam wypłaty i przez trzy miesiące dawano nam tymczasową zaliczkę, która nie wystarczała na długo. Naszych rzeczy nie było komu sprzedać. Kupowaliśmy w jadłodajni tylko jedną porcję kaszy i robiliśmy z tego wodnistą zupę na sześć osób. Paczki ze Lwowa nie dochodziły. Brat mój, Stach, dostał „kurzą ślepotę” z braku witamin i nic nie widział wieczorem. Wreszcie jedna znajoma dała mu pół butelki tranu i to mu przeszło. Dostawy do magazynu były bardzo rzadkie z powodu ogromnego śniegu. Brak chleba i zmniejszona racja do 400 gramów na osobę powodowały stały głód. Piekarnia, okradając nas z mąki, dolewała masę wody i chleb był jak glina, niewypieczony i kwaśny, ale za to ciężki. Na jedną osobę wypadła jedna gruba kromka dziennie, którą się dzieliło na trzy posiłki.

Gdy Babcia umarła w marcu, Żydzi z posiołka pomagali nam kopać grób dla niej, a nie było to łatwe w zamrzniętej na kamień ziemi. Wszyscy Polacy i Żydzi, którzy znali Dziadka i Babcie jeszcze ze Lwowa, przyszli na pogrzeb. Koń wiozący świeżo ociosaną, ciężką trumnę co chwila zapadał się w śnieg i baliśmy się, że trumna spadnie z sań. Śpiewaliśmy głośno Serdeczna Matko. Babcia była pierwsza, która zmarła na posiołku, a potem zmarł pan Maleczek, ale w szpitalu, w Sidorowie.

Przed zimą wprowadziliśmy się do zbudowanych przez Polaków i Rosjan baraków z ociosanych belek. Uszczelniono je mchem leśnym i stąd zjawilo się dużo pluskiew w izbach, z którymi walczyliśmy polewając mech naftą. Rozmieszczono nas rodzinami; w malutkiej izbie z kuchenką w rogu, mieściło się nas pięć osób. Spaliśmy na pryczy zrobionej z desek i na siennikach. Stach zrobił z drzewa stół i ławy. Ze starej beczki, którą przeciął na pół, miałam wspaniałą balię do prania.

Tak przeżyliśmy 13 miesięcy. W naszym osiedlu było 250 osób, w tym 60 Polaków i 190 Żydów.

7 sierpnia 1941

Doszła do nas na posiołek wiadomość, że z powodu wojny z Niemcami Rosjanie zawarli umowę z generałem Sikorskim, który postawił za warunek uwolnienie wszystkich Polaków w Rosji, wywiezionych i aresztowanych, na co oni się zgodzili. Nam nic oficjalnie nie mówią o amnestii, przeciwnie, warunki się pogorszyły: zmniejszono rację chleba, jak mówią, z powodu wojny z Niemcami. Podobno Niemcy zajęli Lwów.

16 sierpnia

Przyjechała do nas komisja z Sidorowa, na czele z komendantem NKWD, Jakuszewem. W izbie klubu Krasnyj Ugałok (Czerwony Kącik) było zebranie, na którym on nam ogłosił, że z powodu zawarcia umowy między Związkiem Sowieckich Republik Rad a generałem Sikorskim, Polacy są wolni i wyda im się dowód osobisty udostowierzenie. Strasznie głupią miał przy tym minę, bo musiał pamiętać, jak przed rokiem krzyczał, że „nigdy i nigdzie stąd nie wyjedziecie!”.

Potem każdego poszczególnie wzywano na komendę i po zebraniu od nas osobistych danych, zapytywano gdzie chcemy jechać. Nie wiedząc jeszcze, że Polskie Wojsko będzie na południu, Małgosia poradziła nam jechać do Taszkentu, bo czytała książkę Taszkient, miasto chleba, więc na pewno będzie go tam pełno no i nareszcie ciepło. Do Taszkentu nam nie dali biletów mówiąc, że nie wolno tam się nikomu więcej osiedlać. Pozwolili nam tylko jechać do pobliskiej Kokandy i Buchary, wydając nam bilety kolejowe.

30 sierpnia

Całą noc przespaliśmy na materacach w ubraniach, czekając na traktory. Dopiero w południe przyjechały, ale tylko dwa, na które załadowano rzeczy. Niestety, młodzi i zdrowi musieli iść pieszo siedem kilometrów do najbliższej kolejki wąskotorowej. Odchodząc z posiołka wzrok mój padł na samotną mogiłę pod lasem naszej Babci i pożegnałam ją ze łzami. Biedna, nie doczekała wolności i zamiast leżeć w rodzinnym grobowcu we Lwowie, zostaje tu wśród obcych na pustkowiu. Mama podała nam buteleczkę z wodą święconą i wszyscyśmy się przeżegnali przed podróżą w nieznaną.

Szliśmy pieszo drogą zbudowaną z belek, przez las, który w ciągu roku został przez naszych wycięty i osuszony. Wciąż ktoś poznawał miejsce swojej mozolnej pracy. Dopiero przed osiedlem, gdzie była kolejka, droga się urwała i skakaliśmy po kępach na bagnie i wtedy pocięły mnie osy leśne. Dopiero wieczorem dobrnęliśmy do celu. Tu załadowano nas na dreżynę, potem na pociąg towarowy. Stąd jechaliśmy na otwartej platformie z rzeczami, do Wochtogi. Na szczęście Mama z Jędrkiem była w wagonie, których było niewiele. Tu przypominałam sobie, że nasze wszystkie garnki pozostały przywiązane do traktora, który wiozł nasze rzeczy. Bardzo nam będzie ich brak przy zdobywaniu jedzenia na stacjach.

31 sierpnia

Załadowaliśmy się do pociągu osobowego z drewnianymi, żółtymi ławkami i pryzkami na górze. Na półkach umieściliśmy bagaż, a na innych rozłożyliśmy swoje pośłania. Nasza rodzina dostała cały przedział. Pociąg ruszył i zaczęła się nasza wielka podróż.

Podróż trwała przeszło trzy tygodnie, z większymi postojami na bocznych torach poszczególnych stacji, aby zdobyć posiłek. Cudownym zbiegiem okoliczności nasze dwa wagony przyczepiono do transportu ewakuacyjnego z Leningradu z rodzinami dygnitarzy sowieckich, sądząc po eleganckim ubraniu i biżuterii, jaką miały kobiety. To spowodowało, że na każdym większym postoju spodziewano się tego transportu i na dworcach kolejowych dawano nam do naczyń doskonałe, gęste zupy i chleb, czasem pasztetówkę. Nigdy nas nie informowano dokładnie, jak długo pociąg będzie stać na stacji. Bardzo denerwowaliśmy się przy zdobywaniu jedzenia, biegnąc niejednokrotnie pod górę z pełnym garnkiem lub wiadrem zupy, obawiając się, że pociąg ruszy bez nas. Raz nam się to zdarzyło, ale ponieważ było dużo ludzi, to dogoniliśmy nasz pociąg na trzeciej stacji, następnym pociągiem.

Pieniądze zdobywaliśmy sprzedając błyskawicznie Rosjanom na dworcu odzież, prześcieradła lub zegarki. Wymagała ta transakcja dużo sprytu i energii, które na szczęście posiadali nasi chłopcy. Krajobraz się zmieniał. Z zieleni i lasów przechodził na teren piaszczysty jak koło morza Aralskiego, gdzie wybiegły do pociągu dzieci czarnowłose, o skośnych oczach, proponując nam kupno naszyjników z kolorowych muszelek.

Przejeżdżaliśmy przez następujące miasta od północy: Buj — Kirów — Perm — świerdłowski — Czelabińsk — Troick — Kar-tały — Orsk — Orenburg — Aktjubińsk — Alga — Czelkar — Aralsk — Kazalińsk — Kyzyl Orda — Turkiestan i Taszkient.

Gdy przyjechaliśmy do Taszkientu, 25 września 1941 roku, wyładowano nas na placu przy dworcu i nie pozwolono nam zamieszkać w mieście, bo skierowanie mieliśmy do Kokandy. Tu przeleżeliśmy aż cztery dni pod gołym niebem na naszych bagażach, nakrywając się z głową kocem, bo noce były chłodne. W dzień natomiast upał dokuczał, a czasem gorący wiatr zasypywał oczy piaskiem, który wlaził do ust. Wreszcie załadowaliśmy się na pociąg z nadzieją udania się do Kokandy. Niestety wysadzili nas w Namanganie, gdzie znowu leżeliśmy w kurzu na dworcu trzy dni. Wyłoniliśmy spośród nas delegatów, którzy dobrze mówiąc po rosyjsku targowali się z władzami o wpuszczenie nas do Kokandy, aż wreszcie to nastąpiło. Było to urocze i czyste uzbeckie miasto. Znaleźliśmy sobie na własną rękę pokój w domu Tatara. Na dworze była kuchenka, gdzie się gotowało. Cena pokoju była przystępna, a pokój czysty. Dziwny to naród ci uzbekcy. Tu kobiety nie zakrywają twarzy, ale w Namanganie kobiety były całe zakryte czarną płachtą, a na przodzie była przyczepiona długa na 3/4 metra parandza utkana z czarnego, końskiego włosia. Zwisła ona od czoła aż do kolan, zakrywając twarz i ręce. Wyglądało to makabrycznie. Taką parandza zakładała już dziewczyna, gdy kończyła 14 lat.

W Kokandzie kobiety miały długie, czarne warkoczki, które myły w kwaśnym mleku. Czasami zaplatały je w drobniutkie warkoczki. Nosiły pięknie haftowane czapeczki i takie same serdaki. Spódnice miały czerwone, zielone lub niebieskie.. Mężczyźni nosili na głowie czarne, w białe wzory, czapeczki. Mało kto z dorosłych mówił po rosyjsku, przeważnie tylko dzieci uczące się w szkołach.

Zaczęło się trochę lepsze życie niż do tej pory. W mieście można było kupić doskonale wypieczony chleb i bez ograniczenia. Przy napływie ludności to się później zmieniło. Na rynku był prywatny handel i można było kupić bułeczki słodkie, dżem morelowy, różne nieznanne nam kasze jak dżugara, przypominająca naszą perłową. Sklepy nie miały dużo towaru. Sprzedawaliśmy odzież przywiezioną z Polski i odżywił się w ciągu trzech miesięcy tam spędzonych.

Ale i ta sielanka się skończyła, gdy zaczęło napływać coraz więcej uciekinierów rosyjskich z Kijowa i Moskwy, gdzie zbliżał się front niemiecki. Jednego dnia podjechały wozy pod nasze domy i enkawudziści kazali nam się spakować i pojechaliśmy znowu na dworzec kolejowy. Załadowano nas do osobowego pociągu, powiedziano nam, że musimy pracować w kołchozach i tam jedziemy. Widocznie nie wiedzieli co z nami zrobić, bo przez 10 dni wozili nas od Ałma-Aty do Taszkientu i z powrotem, zatrzymując się czasem dłużej na jakimś bocznym torze. Karmili nas nieźle i śmiałyśmy się, że możemy tak podróżować całe życie.

Wreszcie wyładowali nas w okolicy Dżałał-Abadu w Kirgiskiej Republice, skąd rozwieźli nas arbami, wozami na dwóch dużych kołach, po kołchozach. Tu rozlokowano nas w chatupach z dachami przykrytymi gałęzmi i gliną, przez które deszcz zmieszany z rozpuszczoną gliną lał się na nasze głowy i

posłania. Musieliśmy to sami naprawić. Pracowaliśmy tu przenosząc na drewnianych nosidłach w dwie osoby ziemię z miejsca na miejsce. Jakiś cel musiał być w tym, ale myśmy tego nie widzieli. Pieniądzy nam nie wypłacano, natomiast przydzielano 450 gramów mąki na pracującą osobę, a dzieciom mniej. Było to mało, gdy nie miało się nic innego do jedzenia. Z tej mąki piekłyśmy na patelni placki z drożdży zrobionych przedtem w słoiku. Dochodziliśmy pieszo osiem kilometrów do miasteczka, gdzie sprzedawaliśmy resztki naszych rzeczy i czasami udało się coś kupić do jedzenia.

Równocześnie nadeszła wiadomość, że o 25 kilometrów od nas, w Dżałał-Abadzie, formuje się polskie wojsko. Ruszyły tam tysiące ludzi. Mieszkali oni w namiotach ofiarowanych przez wojsko. Jak zwykle, przy tak dużym skupisku ludzi wynędzniałych, zaczął się szerzyć tyfus. Nasz wujek Edek poszedł do wojska i po kilku tygodniach zachorował na tyfus i zmarł. To przeraziło moją Mamę do tego stopnia, że postanowiła siedzieć z nami w kotłochzie.

Gdy zaczęły się wyjazdy do Persji, udało nam się dołączyć do wojska i w marcu 1942 ruszyliśmy pociągiem do Krasno-wodska. Jechaliśmy pierwszym transportem prowadzonym przez generała Borutę-Spiechowicza. Podróż nasza trwała dwa dni. Jechaliśmy drogą Dżałał-Abad — Andżan — Samarkanda — Aszchabad — Kyzyl-Arbat — Nebit-Dag i Krasnowodsk.

Gdy na statek załadowano nasz bagaż i wszystkich naszych znajomych, pozostaliśmy sami na molo. Okazało się, że nie ma nas na liście enkawudzisty, a tylko jesteśmy na liście polskiego oficera. Równocześnie z nami pozostali starsi państwo. Ogarnęło nas przerażenie. Zostać w Rosji bez rzeczy do sprzedania w razie potrzeby równało się śmierci głodowej. Wreszcie poszli do biura NKWD i znaleźli dodatkową listę, na której byliśmy wszyscy. Okręt już był bardzo przepełniony i mostek podniesiony. Pozostało nam tylko wspinać się po spuszczonej linowej drabinie. Mama i ja z Jędrkiem zrobiliśmy to w rekordowej szybkości, obawiając się, aby sowiecka władza się nie rozmyśliła.

Jadwiga Waluszewska-Dukszta

Przez Kazachstan

Kartki z pamiętnika i wspomnienia

28 kwietnia 1940

Dzisiaj jest niedziela i zarazem ukraińska Wielkanoc. Och, jak ja brzydko piszę, ale to dlatego, że pociąg trzęsie. Ale po co ja piszę od końca, muszę zacząć od początku. Mieszkałyśmy w Kosowie Huculskim, gdy przyszedł jakiś Żyd i powiedział, że nasz dom będzie upaństwowiony i że Mamusia tu mieszkać nie może. Jeszcze przedtem Sowietci zaczęli wywozić Hucułów. Bałyśmy się, żeby nas nie wywieźli... Aż 13 kwietnia w nocy przyszedł do nas Rosjanin z NKWD i lokalny milicjant, zrobili rewizję i kazali nam się pakować, by powiedzieli, że jedziemy pod Lwów. Ja poszłam z milicjantem po Lolę, żeby przysłała pomoc pakować rzeczy... Część lepszych rzeczy wzięła Lola, a resztę, jak łóżka, szafy — zapisał Rosjanin i to mają sprzedać, a pieniądze przysłać Mamusi. Później przyjechała fura i myśmy pojechały. Po drodze kto nas spotkał, to płakał. Lola też płakała... I gdy jechałam furą myślałam sobie, że nam tylko Bóg pozostał. Chciałam to powiedzieć, ale później się rozmyśliłam. Do Kołomyi jechałyśmy autobusem, a rzeczy jechały furą. Potem zapchali nas do wagonu towarowego, 31 osób, a

ten wagon był bez okien i myśmy tam siedzieli po ciemku. Na drugi dzień dopiero wyjechaliśmy z Kołomyi. Dowiedzieliśmy się potem, że jedziemy do Rosji. Do granicy jechałyśmy 8 dni i to nie dali nam jedzenia, tylko się żyło tym, co się miało. W Husiatynie była przesiadka do rosyjskich wagonów. Teraz jesteśmy 40 km od Uralu...

11 maja 1940

Obecnie mieszkamy w barakach w środkowej Azji. Miejscowość ta nazywa się Semipałatyńsk. Tutaj jest lepiej niż w wagonie, bo możemy wszędzie chodzić. My teraz marzymy o powrocie. Okolica ta jest malaryczna, a miasto leży nad rzeką Irtysz... Przedwczoraj byłam w parni (sauna), tutaj nazywają to banią. Tu są ludzie rasy kazachskiej i są bardzo brzydki.

Do Semipałatyńska dojechaliśmy 3 maja. Dzień był słoneczny i gorący. Przy bocznej linii kolejowej, gdzie nasz pociąg stanął, czekały już na nas w równych rzędach ciężarówki. I po raz pierwszy zobaczyliśmy Kazachów. Ich wygląd wywołał prawie że ogólne przerażenie i płacz: „Gdzie oni nas przywieźli?”.

15 czerwca 1940

Mieszkam w tym słynnym kołchozie tak zachwalanym przez Sowietów. Kołchoz to najgorsza rzecz na świecie, nasz nazywa się kołchozem Czapajewa, a wieś Suzdołówka. Jesteśmy na stepie, ani rzeki, ani drzewa, tylko ziemia i niebo i te paskudne, niepodobne do mieszkania glinianki z płaskimi dachami i podłogą z ubitej gliny. Jesteśmy 70 km od miasta. I tylko pomyśleć, że rok temu mieszkałam we Lwowie i widziałam kamienice i ludzi tak elegancko ubranych, a teraz tu ludzie prawie nadzy, bo jak dziecko zrzuci sukienkę do prania, to musi chodzić gołe... Boże daj nam doczekać powrotu. My tutaj żyjemy tylko nadzieją, bo inaczej byśmy powariowali. Jesteśmy odcięci od świata, szczęście, że są od czasu do czasu gazety.

18 czerwca 1940

Step jest piękny, tylko my nie myślimy o tym, bo to jest obczyzna. Mieszkać na stepie całe życie jest okropnością. Kołchoz jest mimo wszystko lepszy od wagonu. Bo w wagonie raz przez jeden dzień nie dostałyśmy wody i żyłyśmy tylko czarnym chlebem, spało się razem i dziura w podłodze służyła jako klozet, i tak wszystko na kupie. Później zrobili zasłonę z koca dla przyzwoitości. Tutaj możemy wszędzie chodzić. Kilka osób pracuje przy suszeniu łajna krowiego na kiziaki, a chorzy dostają chleb, kartofle, ale mniej od pracujących. Od nas dwie panienki pojechały furą zaprzęzoną wołami do miasta. Już upłynął tydzień jak wyjechały. Czekamy na nie z niecierpliwością, bo może listy przywiozą.

Step rzeczywiście był piękny. Z kołchozu widać było na Wschodzie dalekie, liliowe góry Ałtaju, a w promieniach zachodzącego słońca śnieżne szczyty zmieniały kolor na pomarańczowy. Ale step otaczał nas zupełnie, a trzydzieści lepianek ciągnących się po obu stronach szerokiego szlaku „ulicy” ginęło w morzu dzikiej trawy i nieznanym roślin. Otaczała nas lekko falista ziemia i wzgórza. Wszystko już, tak wczesnym latem, spalone słońcem. Do trzydziestu rodzin ukraińskich wywiezionych w 1936 roku dołączyło się teraz czternaścioro Polaków, pięć rodzin: dziewięć kobiet, dwóch chłopców i trzy dziewczynki. Z tej grupy tylko siedem osób pracowało.

W kołchozie zetknęłam się z burzą piaskową. Pewnego lipcowego dnia ciemnoszara chmura ukazała się na południu, z wąskiego pasma wznosiła się z ogromną szybkością i po paru minutach zasłoniła

ćwierć nieba. Zdecydowałam się wtedy pójść po wodę, żeby zrobić zapas przed burzą. Pobiegłam z wiadrem na drugą stronę naszej ulicy do studni i tylko zdążyłam zaczerpnąć wody w kubek i przelać do wiadra, gdy zrobiło się zupełnie ciemno. Słońce zniknęło i wszystko przybrało szaro-żółty odcień. Piasek jak szpilki zaczął prażyć mnie po twarzy, nogach i rękach. Schowałam się do chałupy. Po paru minutach bardzo silnej wichury nastąpiła cisza i spokój. Burza przeszła, ale po niej wszystko było pokryte grubą warstwą piasku. Piasek dostał się do wszystkich zakamarków. Mieliśmy roboty na parę godzin, a nawet kilka tygodni po burzy znajdowaliśmy piasek w różnych zakątkach.

12 sierpnia 1940

Tak długo nie pisałam, ale to przez chorobę. Zachorowałam na ostre zapalenie stawów i dwa tygodnie leżałam (w szpitalu w Semipałatyńsku) bez doktora i lekarstw, na podłodze, dopiero później dali łóżko. Teraz już jest mi lepiej, ale nie mogłam chodzić przeszło miesiąc. 20 lipca wyszłam ze szpitala. Ale to wystarczy, więcej już bym do sowieckiego szpitala nie poszła, bo nie dość, że byłam bez Mamusi, to jeszcze słowa po rosyjsku nie umiem. A jedzenie też okropne. Gdy wróciłam, wszyscy się bardzo ucieszyli. Moje imieniny dość przyjemne jak na niewolę. Teraz z kołchozu nic nam nie dają, trzeba samemu sobie kupować mąkę. Tylko pracujący dostają. Czasami Jadzia idzie kraść kartofle. Tego roku nieurodzaj — ludzie boją się głodu. My mamy nadzieję w Bogu.

Chodziłam kraść nie tylko kartofle. Zrobiliśmy raz wyprawę w nocy na kawony, których pole leżało na zboczu pobliskiego pagórka. Niestety, worek kawonów na nic się nie przydał, bo były niedojrzałe. Chodziłam też w step zbierać krowie placki, ale i tu nie miałam wielkiego powodzenia. Słońce paliło wszystko i nawet te kiziaki nie były odpowiednie na opał. Złudzenie odległości na stepie jest zaskakujące. Pewnego razu zdecydowałam się pójść na niedalekie wzgórze, żeby zobaczyć co jest za nimi. Po godzinie popatrzyłam w kierunku kołchozu — był on już prawie niewidoczny, a „pobliskie” wzgórze wciąż jeszcze widniały na horyzoncie.

Nigdy nie było mi dane odkryć tajemnic kryjących się za wzgórzami.

Jeden dzień tylko ja, Hanka i Janka pracowałyśmy w polu. Naszym zadaniem było plewienie, ale ponieważ nikt mi nie powiedział co mam wrywać, wyplewiłam na czysto całe swoje pólko. Po tym wysiłku nie tylko bolały mnie plecy, ale dostałam gorączki i predsiedatiel (przewodniczący kołchozu) stwierdził, że jesteśmy za młode do pracy. Tak skończyła się moja kariera ogrodniczki.

21 sierpnia 1940

Z listów od Mińci dowiedziałyśmy się, że Juńcię też wywieźli. Jest w tym samym województwie tylko nie wiemy gdzie. (Julia Rolińska, która później uczyła w Isfahanie, a w 1944 roku wyjechała do Nowej Zelandii). Mamusia napisała prośbę do Stalina o powrót, tylko ma ją wysłać. My się modlimy, żeby jeszcze przed zimą wrócić do Lwowa.

30 sierpnia 1940

Przedwczoraj przysłała kartka z Rumunii od Tatusia. Tatuś nic takiego nie pisze, bo Sowietci cenzurują listy. Dzisiaj Mamusia z Jadzią pojechały do Znamienki po paczkę od Mińci. Wczoraj wróciła jedna z pań z Semipałatyńska. Powiedziała bardzo dobrą nowinę, że najdalej za 6 tygodni pojedziemy... Każda taka nowina, choć najwątплиwsza, rozbudza nadzieję. Od wczoraj nie mamy chleba — jadłyśmy

sucharki, które trzeba rąbać nożem, bo ugryźć się nie dadzą. Mamusia pojedzie do miasta, może kupi mąki 16 kg za 140 rubli. Ja wszystkiego nie mogę pisać, bo by się zeszyt skończył.

Po listy i nieczęste paczki trzeba było jeździć osobiście 12 kilometrów do sąsiedniego kołchozu Znamienki, gdzie była poczta. Nie było to łatwe — wszystko zależało od przedsiębiorcy, czy znajdzie miejsce na furze.

„Jak ja jej dam” — krzyczała przerażona Lucyna — „patykiem po jej grubym tyłku, to odechce się jej chodzić na spacer”. Sytuacja była poważna. Lucyna była oficjalnym pastuchem trzody świń, własności państwowej, i tylko raz i to na krótko, bo tak twierdziła Lucyna, zdarzyło się jej, że zasnęła, a po tej drzemce okazało się, że jedna maciora znikła. Cały posiółek przeszukali, a świnie nie znaleźli. Przedsiębiorca, który też miał stracha przed konsekwencjami „kontrrewolucji”, bo utrata państwowej własności, jaką była ta świnia, jest aktem wymierzonym w samo serce systemu komunistycznego, zaprzął konia do furmanki i pojechał z Lucyną na poszukiwania. Znaleźli ją wreszcie idącą sobie do Znamienki bez pośpiechu. Czy rzeczywiście dostała od Lucyny obiecane kije, nikt się nie dowiedział.

30 września 1940

Już cały miesiąc nie pisałam, a to dlatego że byliśmy w mieście po zakupy. Tydzień temu dopiero przyjechałam, a Mamusia z Jadzią jeszcze zostały. Oczekuję ich z dnia na dzień. Jechałam końmi, byłabym zamarzała, ale jeden gospodarz dał mi swoją baranicę. W mieście siedzieliśmy 3 tygodnie. Mamusia wniosła prośbę do NKWD o przeniesienie do miasta. Gdy tu przyjechałam, zastałam dużo kartek i listów, a między nimi kartkę, odpowiedź od Stalina, że naszą sprawę ma rozstrzygnąć Lwowska obłast. Więc może wrócimy... Przedwczoraj byłam w Znamience po paczkę — musiałam tam nocować — bardzo gościnnie przyjęła nas jedna kobieta. Wczoraj była niedziela, a to wcale nie można poznać, że to dzień święty, bo wszyscy musieli iść do roboty. (...)

5 października 1940

Jednak siła nadziei jest wielka. Kiedyś tu pani Lucyna przybiegła i powiedziała, że wyjeżdżamy. Od razu wszyscy zaczęli się pakować. My też już się częściowo spakowaliśmy. A to dlatego, że ludzie napisali prośbę do NKWD, żeby nas przenieśli do miasta, bo tu nie ma dla nas ani chleba, ani opału. Teraz czekamy na odpowiedź. Jutro jest niedziela i jakieś sowieckie święto — wszyscy muszą iść na kartofle. Wszyscy mówią, że nas wywiozą. (...) Ale wszystko zależy od Boga.

Brak jedzenia dał nam się odczuć już pod koniec lata. Żniwa przeszły. Kartofle zostały zebrane. Przyjechały urzędowe ciężarówki i zabrały wszystko. Żniwo było marne, „plan” nie został wykonany, przeto nic nie zostawiono ludziom, którzy przez całe lato ciężko pracowali — od świtu do nocy na odległych polach.

27 października 1940

...Teraz już wszyscy mówią, że wyjedziemy, co daj Boże! My teraz idziemy spać o 6 godzinie, bo świec nie mamy...

16 grudnia 1940

Nie pisałam tak długo, bo codziennie dzieje się to samo, więc nie warto pisać. Ale dwa dni temu stało się coś takiego, co może zmienić nasz los. Wieczorem przyszła poczta i między innymi listami był list od władz ze Stanisławowa, w nim było napisane, że zajmą się naszą sprawą. Bardzo ucieszyliśmy się, ale jeszcze nie wiadomo czy NKWD pozwoli. Dla mnie jest to nie do uwierzenia i chyba wtenczas uwierzę, gdy znajdę się we Lwowie. Niedawno przyszła paczka od Mińci. W paczce były dwie świece, makaron, grysik, piernik, a najważniejsze cukier. Mińcia i Wanda posłały nam w listach opłatki. Mińcia pisała, że jeszcze jedna paczka jest w drodze. Mamusia musi jechać do miasta zrobić jakieś zapasy albo na podróż, albo na tutejsze życie. Nam się już mąka skończyła, tak że na śniadanie nie ma placków z prosa, tylko grysik albo jakaś zupa. Jak modlitwa może dużo zrobić, na przyszłość już mam naukę, że trzeba wierzyć, a będzie się wysłuchanym. Na razie nasz powrót zależy od Boga.

Zima na stepie jest okrutniejsza od lata. W lecie temperatura dochodziła do trzydziestu kilku stopni Celsjusza, a w zimie do minus 40 i niżej. Lepianki były zakryte śniegiem aż pod dach, tylko wąska przestrzeń między ścianą a wałem śniegu pozwalała nam wydostać się po wodę i inne potrzeby.

Nasze prośby i podania do władz zostały w końcu wysłuchane. Przyszło oficjalne pozwolenie z NKWD, że-możemy się przenieść do miasta. Teraz wszystko zależało od prezydenta, kiedy będzie miał wolne konie (bo wołami jeżdżono tylko w lecie) i ludzi, żeby nas odwieźć do Semipałatyńska.

Spakowanie nie zabrało nam dużo czasu. Od momentu przybycia na posesję wierzyliśmy, że długo tam nie będziemy, a rozmaite plotki sprawiały, że byliśmy zawsze na pół spakowane w niezachwianej wierze, że wyjedziemy.

W oznaczonym dniu od samego rana byliśmy gotowi do drogi, ale ruszyliśmy dopiero pod wieczór, bo przez cały dzień szalała zawieja śnieżna — buran. Niedaleko jednak zajechaliśmy, bo znów wiatr się zerwał i zapadła noc. Musieliśmy więc przenocować w sąsiednim kazachskim kołchozie, pięć kilometrów od Czapajewa. O świcie następnego dnia gościnnie Kazaczka, u której zatrzymaliśmy się, poczęstowała nas gorącą, zieloną herbatą — i dolewała tak długo, aż jeden z naszych furmanów powiedział, że jeśli więcej nie chcemy, to musimy odwrócić czarki do góry dnem, bo to jest taki kazachski zwyczaj. Żeby w pełni ocenić wspaniałomyślność gestu naszej gospodyni, trzeba zrozumieć, jaką wartość Kazachowie przywiązują do herbaty. Herbata jest dla nich ważniejsza od jedzenia. Nie ma ceny, której by nie zapłacili za kawałek cegiełki, bo w takiej formie jest tam dostarczana. Parzenie i picie jej jest rytualnym obrzędkiem.

Ranek po burzy poprzedniego dnia i nocy był słoneczny, a mróz przenikliwy. Zdecydowałam się iść piechotą za saniami. Pomimo niezliczonych warstw ubrania było mi zimno. Miałam na sobie koszulę, piżamę, bluzkę i dwa swetry, wiatrówkę i spodnie narciarskie, pończochy, dwie pary skarpetek i walonki (wysokie buty z prasowanego filcu), na to wszystko płaszcz, a na głowie czapkę rosyjską z nausznikami, szalik na szyi i chustkę zasłaniającą twarz całkowicie w ten sposób, że tylko wąska szpara dawała mi widok na świat. Mieliśmy przed sobą 40 kilometrów do bykietu — domu zajezdnego, który należał do kilku kołchozów. Bykiet leżał mniej więcej w połowie drogi między kołchozem a miastem. Po południu buran znów się podniósł. Parę ostatnich kilometrów do bykietu przeszłam już w zupełnej ciemności. Nie tylko dlatego, że się zrobiło ciemno, ale oślepałam po całodziennym marszu przez pola śniegowe. Trzymałam się kurczowo sań i pocieszałam, więcej siebie niż Mamę, która na pół zamrznięta siedziała z Hanką na saniach, że „to już niedaleko”. Na bykiecie

rozlokowaliśmy się w ogólnej izbie. Przy kominku grupa przejezdnych Kazachów gotowała sobie pilmeni (rodzaj pierogów na rosole). Musieliśmy wyglądać bardzo żałośnie, bo Kazachowie ofiarowali nam po kilka pierogów. Był to nasz pierwszy posiłek od przeszło doby. Na drugi dzień jechałam już na saniach, bo szlak był przetarty i konie mogły ciągnąć sanie szybciej. Po południu dojechaliśmy do kołchozowego domu na zachodnim brzegu Irtysza, a nazajutrz przepawiono nas łodzią do Semipałatyńska i ostatecznie dojechaliśmy do baraków w północnym przedmieściu miasta, Zatonie.

25 lutego 1941

I my znów w Siemipałatyńsku. I kto śmie powiedzieć, że Boga nie ma. Wyrwał nas z kołchozu i wybawił nas z tej ciężkiej niewoli. Ja w to wierzę i wierzyć nie przestanę. Teraz jest nam lepiej niż w kołchozie. Dostałyśmy paczkę od całkiem obcego Żyda, Mamusia u niego kupowała pieczywo. Razem dostałyśmy już tutaj pięć paczek — jedną od znajomego szewca, a reszta od Mińci. W naszym baraku mieszka 45 osób — jest ciasno, ale trudno. Jutro mamy dostać chleb, a drzewo sobie kupujemy. Mówiłam nowennę do Św. Judy-Tadeusza o powrót do domu, bo tak jak mnie wysłuchał, gdy byłam chora, tak i teraz może mnie nie opuści.

27 czerwca 1941

Wybuchła nowa wojna — dwóch byłych sprzymierzeńców: Rosji z Niemcami. Listy przestały dochodzić, jesteśmy bez wiadomości. Tutaj jest stan wojenny więc trzeba milczeć.

3 sierpnia 1941

Dzisiaj jest niedziela. Mamusia poszła sprzedawać rzeczy na barachołki — jeszcze nie wróciła. Niemcy już są pod Moskwą — strasznie ją bombardują... Naszych więźniów wypuszczają, jest bowiem amnestia dla wszystkich Polaków. Modliłam się do Sw. Antoniego o zlitowanie się nad nami i zostałam wysłuchana... Gdy sobie pomyślę, że mam tu chodzić do szkoły i uczyć się po rosyjsku - słabo mi się robi.

11 sierpnia 1941

Wczoraj przez radio mówił po polsku i innymi językami słowiańskimi gen. Szyszko-Bohusz. Na końcu krzyknął: „Niech Żyje Polska!”. Wszyscy byli bardzo wzruszeni.

19 sierpnia 1941

Najważniejsze jest to, że Niemcy już pod Moskwą. Smoleńsk już w niemieckich rękach. W Semipałatyńsku jest pełno Żydów, uciekinierów z Polski i z Rosji. Podobno do Moskwy przyjechał ambasador polski, ale to może być plotka. Jadzia zapisała się do szkoły, a ja nie chcę, ale zobaczę jeszcze, może pójdę. Na razie żyjemy nadzieją — może coś się zmieni.

17 października 1941

Kilka dni temu była rejestracja ochotników do polskiej Armii. Był artykuł po polsku w gazecie pisany kazachskimi czcionkami, bo polskich nie mają...

Na tym kończy się pamiętnik Hanksi pisany w Rosji.

Przeżyliśmy drugą zimę na wygnaniu, tym razem na Zatonie. Początkowo w baraku, gdzie mieszkało 45 osób w rodzinnej atmosferze (jak to Marian Zulauf, współtowarzysz, określał wchodząc do baraku: „zapach ludzi ubogich, ale najedzonych”), a potem w izbie wynajętej od Rosjanki. Żyliśmy ze sprzedaży rzeczy, tak jak w kołchozie, i złota w złotoskupce. Złotoskupka był to oficjalny sklep, w którym złoto, z poprzednio stopionej biżuterii, można było wymienić na wszelkiego rodzaju towary. Kupowaliśmy tylko mąkę, kaszę, a czasem cukier. Życie w mieście było o wiele lepsze niż w naszym biednym posiofku. Zawsze można było coś kupić, jeśli nie w sklepach, to na „czarnym” rynku, ale na to trzeba było mieć pieniądze, a nasze „towary” (pościel i ubrania Ojca) na handel zamienny lub sprzedaż zmniejszały się w zastraszającym tempie.

3 maja 1942 pani Stefa Bundowa, z którą mieszkaliśmy na posiołku, umarła na gruźlicę. Mama, jako delegatka polskiego poselstwa w Semipałatyńsku na Zatoń, zajęła się pogrzebem. Parę osób szło za furą z trumną. Wyboista dróżka wiodła na cmentarz, okrążając nasze stare baraki, które teraz już były prawie puste. W pewnej chwili Mama szepnęła do mnie: „Jadziu, wejdź na furę i siądź na trumnę, bo zaraz to wszystko zleci”, więc zamiast iść za trumną, usiadłam na niej i tak dojechałam do cmentarza. Nie było księdza, tylko ktoś przeczytał modlitwę i zaśpiewaliśmy Anioł Pański.

W czerwcu niespodziewanie zjawił się polski oficer, jeden z adiutantów generała Tokarzewskiego, z biletem kolejowym dla pani Oli Ludwigojowej. Z góry powiedział, że ma rozkaz zabrać tylko panią Olę. Po dłuższych dyskusjach ze starszymi i sprawdzeniu biletu okazało się, że bilet jest otwarty i można dopisać kilkanaście osób. Dzięki temu wyjechaliśmy z Semipałatyńska.

Podróżowanie w Rosji nastręczało dużo trudności. Aby kupić bilet, trzeba było mieć w pierwszym rzędzie pozwolenie z NKWD, a następnie tak zwaną sanobrabotkę, czyli zaświadczenie, że przeszło się dezynfekcję i łaźnię. Ale i to nie gwarantowało podróży. Stacje kolejowe w Rosji są zawsze oddalone od miasta o parę kilometrów. Walonki, w których chodziłam w zimie, nie nadawały się na upalne lato. Dostałam z darów angielsko-amerykańskich parę butów żołnierskich nr 42. W nich maszerowałam ze wszystkimi na stację przez parę dni w nadziei, że po pierwsze będzie pociąg, a po drugie, że znajdzie się dla nas miejsce w przepełnionych wagonach. Moje nogi po tych wędrówkach wyglądały jakbym cierpiała na elephantiasis, tak były spuchnięte. Nareszcie przyszedł oczekiwany pociąg i dzięki sprytnym i zaradnym młodym Żydom wpakowaliśmy się wszystkie do wagonu i przy dźwiękach muzyki z głośnika wyruszyliśmy w drogę na południe.

Koło Ałma-Aty pociąg zatrzymał się na krótko w czerwonym polu, gdzie okiem sięgnąć płonily się czerwone maki — od horyzontu do horyzontu. W Taszkencie czekała nas przesiadka, a to znaczyło znów kilkudniowe czekanie na pociąg, którego czas przybycia był tajemnicą. Ulokowaliśmy się więc w przyległym do stacji parku. Siedliśmy naokoło piramidy naszych tobołków, bo tylko w ten sposób mogliśmy strzec naszego majątku przed żulikami, bo tych w porównaniu z chlebem nigdy nie brak w ZSRR. Moje wspomnienia Taszkentu to rzeka i niebieskie tramwaje.

Następny etap, Taszkient-Kagan, odbył się bez żadnych incydentów. Następnego dnia dojechaliśmy do celu naszej podróży — Szachryzjabsu, u północnego progu Himalajów. Nasza grupa z Semipałatyńska ulokowała się w wynajętej od Uzbeka lepiance z oddzielnym podwórkiem. Ponieważ znalazłyśmy się tam w połowie lata, spałyśmy pod gołym niebem, dzieląc nasze postanie ze skorpionami. Niedługo część przeniosła się do innych mieszkań, a część zachorowała na malarię lub inne choroby i poszła do szpitala. Zostałam prawie sama. Z resztek cukru uskładanego w Semipałatyńsku i wiśni kupowanych na rynku w Szachryzjabsie gotowałam sobie kompot. Czasami

chodziłam do parku, gdzie przedsiębiorczy Uzbek piekł i sprzedawał wyśmienity szaszłyk. Odwiedzałam moich chorych w szpitalu i załatwiałam im zakupy na rynku i przeróżne sprawy w mieście. W wolnych chwilach chodziłam kąpać się w aryku, popularnym wśród Polaków, nad którym brzęczały złowrogie moskity. Zdecydowałam się nawet pójść do polskiego dentysty, żeby wyrwał mi ząb, ale dosłownie wybił mi go, bo nie miał przyrządów, i bez znieczulenia, bo nie miał lekarstw.

W Szachryzjabsie wznosiła się potężna struktura łuku triumfalnego Tamerlana. Codziennie polski trębacz wspinał się po schodach na sam szczyt ruiny i wtedy stamtąd płynęły dźwięki hejnału mariackiego na całe miasteczko. Takie chwile nastrojały mnie bardzo patriotycznie i byłam całkowicie zadowolona z życia. Ostatecznie nadszedł końcowy etap naszych wędrówek po azjatyckiej Rosji. Pod naszą lepiankę zajechała arba o solidnych kołach, bez szprych. Załadowaliśmy swoje już teraz bardzo zmniejszone manatki i w nocy dojechaliliśmy do Kitabu. Tam już czekał na nas pociąg. Ładowanie trwało do późna w nocy. Przejeżdżaliśmy koło Kaganu, Samarkandy i Aszchabadu. Mijaliśmy pustynię Kyzyl Kum i Kara Kum. Wszystko teraz wyglądało inaczej. Czuliśmy się prawie turystami. Zbliżaliśmy się ku wolności. Karmiono nas żołnierskimi racjami i daktylami. 17 sierpnia dojechaliliśmy do zatoki Krasnowodskiej i tam wyrzucono nas na piasek. Morze pokryte było grubą warstwą ropy naftowej, tak że o kąpeli nie było mowy. Przeczekaaliśmy cały dzień (piekło Krasnowodska) pod prażącym słońcem. Ale teraz już nikt nie narzekał. Nazajutrz rano wszyscy ładowali się drzwiami i oknami do kolejki, która zawiozła nas do portu. Niektórzy jednak musieli odbyć tę kilkukilometrową trasę na piechotę. Statek „Kaganowicz” już czekał przy molo, ale dopiero pod wieczór, przepełniony kilkutysięcznym tłumem żołnierzy i cywilów, odbił od brzegów ZSRR. O 5 rano 19 sierpnia 1942 dopłynęliśmy do Pahlevi.

Z perspektywy 45 lat trudno jest zrozumieć, dlaczego w tym olbrzymim kraju, potencjalnie bogatym i pięknym pięknem dzikich i rozległych stepów i pustyni, tyle było ludzkiej niedoli, nieufności i tragedii. Nie zapomni się jednak nigdy, co prawda rzadkich, przebłyków człowieczeństwa i momentów litości zaznanych od obcych ludzi: Kazaczka częstująca herbatą czy Kazachowie dzielący się pierogami.

Dwuletni okres w ZSRR to nie, jak większość błędnie twierdzi, okres zmarnowanej młodości. Tam zrozumieliśmy wartość człowieczeństwa, odkryliśmy tajemnicę współżycia i poznaliśmy, co znaczy skarb wolności.

Anna Lewicka — kartki z pamiętnika Jadwiga Lewicka-Howelss — wspomnienia

Prezentowany wybór pamiętników i wspomnień Polaków z okresu drugiej wojny światowej ma szczególny charakter. Są to relacje ludzi, którym wojna kojarzy się z pobytem w więzieniach i obozach radzieckich, z osiedleniem na Syberii lub na południu Związku Radzieckiego. Książki, z których dokonano wyboru fragmentów, nie były dotychczas publikowane w kraju, ukazały się przeważnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych na Zachodzie, głównie w Anglii i we Włoszech.

Najnowsze ustalenia historyków ostatniej wojny, na których opiera się między innymi strona polska komisji zajmującej się badaniem „białych plam” w stosunkach polsko-radzieckich, mówią o liczbie ponad 2 milionów Polaków poddanych w Związku Radzieckim różnym formom represji.

Wydawnictwa „Alfa” — Warszawa 1989

Wydanie I. Nakład 160.000 + 250 egz.

Ark. wyd. 16,50. Ark. druk. 18.00

Skład: Zakład Poligraficzny Wydawnictwa „Alfa”

Druk i oprawa: Olsztyńskie Zakłady Graficzne

im. Seweryna Pieniężnego

10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2

Zam. 1271/89 A-91/207

ISBN 83-7001-298-1

Cena zł 1600,—